

# DO CZYTELNIKA

Starania, aby ułatwić Czytelnikowi wędrówkę przez stronicę tej książki, mogły niekiedy wpłynąć na precyzję wypowiedzi, sędzę jednak, że niewielka to wada w porównaniu z trudami lektury, zwłaszcza gdy opowieść rozciągnięta jest w czasie i przestrzeni, a na dodatek występują w niej całe zastępy różnorodnych postaci.

Wszystkie daty zostały podane w tej książce wedle kalendarza zachodniego, z odwołaniem do naszej ery. Nie używam Anno Domini, bo w kontekście zasadniczego tematu uznałem to za taktowniejsze rozwiązanie. Zrezygnowałem z podwójnego datowania (czyli oprócz zachodniej, podawania również daty według kalendarza islamu). Wzrok zwykle tylko przemyka nad takimi zbitkami cyfr i nie są one zapamiętywane. Na podobnej zasadzie, dla wygody Czytelnika i przejrzystości narracji, nazywam opisywany okres średniowieczem albo wiekami średnimi, chociaż Andaluzyja i Mezopotamia przeżywały wtedy wielki rozkwit kultury, zwany okresem klasycznym lub wiekiem złotym.

Używam nazw geograficznych w obecnym ich brzmieniu i zgodnie z dzisiejszym podziałem geopolitycznym świata, chcąc w ten sposób uczynić wykład jaśniejszym i uniknąć dygresji oraz licznych przypisów. Tymi samymi przesłankami kierowałem się przy imionach własnych. Nieceuropejskie miana podaję w ich uproszczonej wersji albo w postaci określeń przyjętych już od wieków w kulturze europejskiej (np.: Aimanzor,

Awicenna). W przypadku europejskich nazw własnych dążyłem do podawania ich w oryginalnym brzmieniu, jeśli nie wprowadzało to dodatkowych utrudnień narracyjnych.

Kiedy tylko mogę, upraszczam pisownię i brzmienie arabskich nazw oraz imion własnych, dążąc przede wszystkim do prostoty, choć orientalistów moje zabiegi mogą dziwić, a niekiedy nawet oburzać. Uznałem jednak, że nadmiar znaków (makrony, kropki i apostrofy) stosowanych w uznawanych przez współczesną filologię transliteracjach nie jest naprawdę konieczny, a przede wszystkim utrudnia percepcję. Ktoś może uznać moją decyzję za nazbyt arbitralną, skoro sam mam w nazwisku apostrof, ale raz jeszcze powtórzę, że kierowała mną chęć ułatwienia życia czytelnikowi. Z drugiej strony, zachowałem określenia i pojęcia, które mogą utrudnić odbiór, jak *convivencia* czy *umma*, ale uznałem ich obecność na łamach książki za w pełni uzasadnioną. Ufam, że Czytelnik oswoi się z nimi w trakcie lektury, a w razie jakichkolwiek problemów sięgnie do umieszczonego na końcu książki słowniczka.

Uwaga od wydawcy polskiego: Nazewnictwo geograficzne oraz imiona własne bohaterów podano zgodnie z polskimi regułami opracowania tego typu wydawnictw. W zapisie imion własnych i nazw arabskich przyjęto uproszczoną transkrypcję polską wyprowadzoną bezpośrednio z pisma arabskiego. Jakkolwiek w wielu wypadkach arabskie nazwy własne posiadają swoje polskie odpowiedniki (np. Bagdad, Damaszek).

Do terminów arabskich, które weszły do użytku w języku polskim, nie zastosowano wyróżnienia kursywą. Polskie ekwiwalenty tureckich znaków diakrytycznych rysują się następująco: c - dž; ç - cz; i - y; j - ź; ş - sz; y - j; ğ - wydłużenie poprzedzającej samogłoski; i - i; ö - niemieckie ö; ü - niemieckie ü. W wielu wypadkach tureckie nazwy własne posiadają swoje polskie odpowiedniki, np. nazwy miast.

# WSTĘP

## *Mezquita i Aja Sofia*

Kordoba. Rozległe, białe miasto z plątaniną podwórek i brukowanych uliczek ciągnących się wzdłuż jasnych nabrzeży rzeki Gwadalkiwir. Tutejsze Stare Miasto uchodzi za perłę tradycyjnej hiszpańskiej architektury a obecni wszędzie sklepikarze zachęcają nieustannie do kupowania strojów w stylu flamenco i plastikowych podróbek zbroi konkwistadorów. Niemniej w samym sercu historycznej dzielnicy można natrafić na coś, co nie pasuje do nawoływań handlarzy; na coś, co stanowi o dumnym dziedzictwie miasta i samo w sobie jest cudem architektury. To Mezquita, co po hiszpańsku oznacza meczet. Świadek całkiem innych czasów, innej historii i odmiennej spuścizny. Tym, którzy ciekawi są burzliwego procesu, jaki kształtował tożsamość krain basenu Morza Śródziemnego, meczet ten oferuje dwie okazje do szczególnych refleksji. Obie wywarły też olbrzymi wpływ na tę książkę.

Pierwsza okazja pojawia się zaraz za progiem. Gdy minie się obsadzony drzewami pomarańczowymi wewnętrzny dziedziniec i przejdzie się pod łukiem głównego wejścia, trzeba poczekać chwilę, aż oczy przywykną do półmroku. Żarówek jest tu niewiele, i zostały rozwieszane raczej symbolicznie, niż by rozjaśnić wnętrze, wkoło rozlegają się głosy przewodników przepędzających swoje trzódki przez świątynię, jednak wszystko to już wkrótce przestaje przeszkadzać. Widok jest niepowtarzalny. Po kamiennej podłodze maszerują

rzędy smukłych, marmurowych kolumn. Każda jest dwukrotnie wyższa od człowieka. Wbrew pozorom nie ma w tym cienia monotonii właściwej symetrii każdego ćwiczenia musztry. Przejścia między kolumnami tworzą swoistą siatkę i całość jest w baśniowy wręcz sposób przestronna.

Głowice przyległych kolumn łączą półkoliste łuki z ułożonych naprzemiennie bloków czerwonej cegły i białego kamienia. Łuki te wypełniają całą przestrzeń - widać je we wszystkich kierunkach, w identycznym rytmie. Ich symetryczna powtarzalność sprawia, że wewnątrz zdaje się pozostawać w nieustannym ruchu, całkiem jak grupa modlących się muzułmanów.

Abd ar-Rahman, który jako władca Kordoby w ósmym stuleciu naszej ery zdecydował o powstaniu tego meczetu, też mógłby wiele powiedzieć o nieustannym ruchu. Jego życie obfitowało w dramatyczne zwroty. Był ostatnim z Umajjadów, potomkiem kalifów, którzy władali z Damaszku muzułmańskim światem. Musiał uciekać z rodzinnej Syrii, gdy rywalizujący z jego rodem Abbasydzi w 750 roku zbrojnie przejęli władzę. Przewodził im wówczas Abu al-Abbas as-Saffah. Ostatni człon jego imienia okazał się proroczy. As-Saffah oznacza rozlew krwi i rzeczywiście - Umajjadzi zostali wybici niemal do ostatniego. Tylko jeden Abd ar-Rahman zdołał uniknąć rzezi, aby po przebyciu całego wybrzeża Morza Śródziemnego ustanowić nowe państwo w odległej Hiszpanii.

Przez kolejne dwa stulecia jego następcy rozbudowywali meczet. Ostatnie prace odbyły się za czasów

Almanzora, bezlitosnego wezyra, który rządził jako szara eminencja zza pleców umajjadzkiego władcy. Meczet został wówczas dwukrotnie powiększony. Almanzor zachował charakterystyczne kolorowe łuki i dodał metalowe lampy zrobione z dzwonów zdobytych w Santiago de Compostela na północy Hiszpanii. Dzwony ze świątyni pod wezwaniem Jakuba Większego Apostoła, zwanego też Pogromcą Maurów, przyświecały odtąd podczas modłów dziękczynnych tym, których rozgromić nie zdołał. Świątynia w Santiago została zbezczeszczona, co nie przeszkodziło jednak w narastaniu kultu Jakuba w wiekach średnich.

Historia dzwonów daje początek drugiej refleksji, która wiąże się ze słynnym meczetem. Wędrując między imponującymi kolumnami, zwiedzający szybko się orientuje, że Mezquita nie jest wcale świątynią islamu. W samym środku symetrycznego labiryntu wznosi się chrześcijańska katedra, której wieża wyrasta barokowym masywem ponad oryginalny dach budowli. Przepych drugiej świątyni nijak nie współgra ze stylem tej, która była pierwsza, a liczne figuracywne zdobienia dopełniają kamienia obrazy. Chrześcijanie odebrali Kordobę muzułmanom w 1236 roku, ale przeróbkę meczetu przeprowadzono dopiero w szesnastym i siedemnastym wieku. Gdy monarcha, który na nią zezwolił, ujrział rezultat prac, westchnął z żalem: „Zbudowaliście tutaj coś, co każdy mógł postawić w dowolnym miejscu; zniszczyliście coś, co było jedyne w swoim rodzaju”.

Jakkolwiek oceniać obecną katedrę pod wezwaniem Marii Panny - jeden ze współczesnych nam krytyków nazwał ją „wielką nudą” - jej dzieje są swoistym świadectwem walki między dwiema wielkimi religiami, która doświadczała miasto nad Gwadalkiwirem. Niemniej ważniejsze jest to, że przedostawszy się na Półwysep Iberyjski, Abd ar-Rahman sprowadził w ślad za sobą konflikt, który rozlał się z czasem na cały basen Morza Śródziemnego i wiele leżących nad nim krain.

Na przeciwnym końcu tego morza stoi meczet, który można uznać za godnego rywala świątyni w Kordobie. Wyrastając wysoko ponad hipodrom Stambułu, przypomina swoimi masywnymi kopułami i czerwonymi murami nierówno wypełnioną misę owoców. Hagia Sophia była ostatnim świadectwem hegemonii wczesnego chrześcijaństwa. Wznosząc kościół Mądrości Bożej, cesarz Justynian pragnął zadziwić świat i przyćmić największe osiągnięcia starożytnych. 27 grudnia 537 roku, gdy otwierał świątynię, wkraczając pierwszy raz pod olbrzymią kopułę, miał powiedzieć: „Salomonie, prześcignąłem cię”. Pamiętał wówczas zapewne, jak bardzo skarłał przy jego dziele rzymski Pantheon, a wraz z nim bogowie, którzy w nim pomieszkiwali.

Dzisiaj Hagia Sophia jest tak samo wypełniona echemi trudnych dziejów jak Mezquita. Nieco onieśmielone ogromem gmachu grupki turystów wędrują nieustannie po szarozłotym wnętrzu, wysłuchując objaśnień przewodników władających wszystkimi chyba językami świata. I chociaż świątynia liczy już prawie

półtora tysiąca lat, nadal budzi podziw swoim rozmachem i jest unikatowym świadectwem dawnej sztuki budowlanej. Przetrwiała najazdy, grabieże, trzęsienia ziemi i wywołane nimi katastrofy budowlane (kolejno w latach 553, 558, 989, 1204, 1346). Wieńcząca ją kopuła wznosi się na wysokości ponad pięćdziesięciu pięciu metrów nad marmurową posadzką. Oparta została na czterech masywnych filarach i dwóch mniejszych półkopułach umieszczonych po stronie północnej i południowej. Z trzech stron wewnątrz otaczają galerie, przy czym dwie wsparte zostały na smukłych marmurowych kolumnach z kapitelami pokrytymi odwzorowaniami liści akantów i palm, pośród których widoczne są monogramy Justyniana i cesarzowej Teodory.

Przy całej swej wspaniałości Hagia Sophia nie zawiera zbyt wielu dzieł sztuki. O dawnej chwale świadczą tylko mozaiki pozostałe w nielicznych fragmentach na galeriach. Po części odpowiedzialny jest za to wielki spór, który rozgorzał w dziewiątym i dziesiątym stuleciu, kiedy to ikonoklaści uznający wyobrażenia świętych za świadectwo herezji z zapalem dążyli do ich zniszczenia. Wprawdzie ostateczna wygrana przypadła przeciwnikom ikonoklastów, ikonodulom, to jednak ich dziedzictwu nie było dane dotrzeć do naszych czasów. Pewnego wyjaśnienia dostarcza inskrypcja znajdująca się w południowej galerii. Na samotnym kamieniu osadzonym w murze można dojrzeć wyryte nazwisko Henryka (Henricusa) Dandola, weneckiego doży. Choć niewidomy i po osiemdziesiątce, poprowadził on



w 1204 roku armię krzyżowców, którzy złupili zarówno świątynię, jak i całe miasto.

Jakkolwiek istotny w swej ironicznej wymowie, nie jest to zasadniczy powód braku chrześcijańskich symboli. Hagia Sophia padła ofiarą tej samej rywalizacji, która dotknęła meczet w Kordobie, tyle że tutaj role się odwróciły. Ktokolwiek wejdzie do środka, natychmiast dojrzy, że nie znajduje się w domu Chrystusa. Wielkie dzieło Justyniana zostało w 1453 roku zamienione w meczet na polecenie Mehmeda Zdobywcy. Stało się to w roku, w którym Konstantynopol, jak zwano wówczas Sambuł, wpadł w ręce Turków osmańskich. Hagia Sophia została przemianowana na Aja Sofia.

Wzbożona dobudowanymi przez kolejnych sułtanów czterema strzelistymi minaretami, aż do 1932 roku pełniła rolę jednej z najważniejszych świątyń islamu. Wtedy dopiero republikański rząd Kemala Atatürka zdecydował o przekształceniu jej w muzeum. Podobny akt sekularyzacji w Kordobie nie przyszedł nawet nikomu do głowy. 479 lat w służbie islamu zostawiło swój ślad, ale nie odmieniło znacząco wnętrza świątyni. Pojawiło się kilka stylowych uzupełnień, jak łoża dla sułtana, minbar (kazalnica wykorzystywana podczas piątkowych modlitw) czy mihrab (wnęka znajdująca się pośrodku ściany kibli, która wskazuje kierunek Mekki). Jednak nie rzucają się one w oczy, zwłaszcza w zestawieniu z wielkim napisem, który widoczny jest na kopule i głosi: „W imię Boga miłosiernego i łaskawego; Bóg jest światłem Niebios na Ziemi. Jego blask jest Nim samym, a nie tylko światłem, które prze-

świeca przez szyby albo którym migocze gwiazda zaranna i którym jaśnieje pochodnia”. Nieco mniej udane, chociaż w swoim czasie równie głośne, są wielkie drewniane medaliony zawieszane na ścianach. Jest ich osiem i wykaligrafowano na nich imiona: Allaha, Mahometa, pierwszych czterech kalifów oraz dwóch wnuków Mahometa. Monogramy Justyniana i Teodory wyglądają przy nich wręcz skromnie.

Niemniej sama architektura świątyni, wielkiego dzieła budowniczych Justyniana, przemawia i tak donośniejszym głosem niż wszelkie religijne inskrypcje. Architekci sułtanów osmańskich poszli w ich ślady, wznosząc kolejne wielkie gmachy - meczet Suleymaniye i meczet sułtana Ahmeda (zwany Błękitnym Meczetem) - i naśladowując w swoich wysiłkach majestat Aja Sofia, która była spośród nich pierwsza. Jeden ze współczesnych badaczy porównał te gigantyczne świątynie do „obłoków przyszpilonych do ziemi igłami minaretów”. Jednak zanim zaczęły się kojarzyć z tak pełną spokoju wizją, musiały przejść różne, zwykle burzliwe koleje losu.

Godzi się też wspomnieć, że chrześcijaństwo, które rozkwitło w Konstantynopolu, pojawiło się na miejsce dawnych wierzeń Bizancjum, Mezquita Abd ar-Rahmana przejęła elementy wizygockich kościołów wcześniej wznoszonych w Kordobie, te z kolei nosiły wyraźne ślady wpływu jeszcze dawniejszych, pogańskich przybytków z czasów Rzymu. Rejon śródziemnomorski, który z dawna mógł się szczycić bogatą i he-

terogeniczną kulturą, zyskał jeszcze w chwili, gdy chrześcijaństwo spotkało się tutaj z islamem.

Cesarz Justynian Wielki zmarł 14 listopada 565 roku. Jak powiada tradycja, pięć albo sześć lat później narodził się prorok Mahomet. Następne tysiąclecie, od siódmego do szesnastego wieku, było okresem konfrontacji dwóch wielkich religii i zmagania o prymat nad całym basenem śródziemnomorskim. Obie wspomniane świątynie są dobrą ilustracją tych kontaktów, które niekiedy przebiegały harmonijnie, a niekiedy zmieniały się w otwarte konflikty. Ich echa docierają do naszych czasów, stając się dla opinii publicznej nie zawsze najlepszym kluczem do interpretacji aktualnych problemów. Wprawdzie chodzi o wydarzenia sprzed wieków, jednak te najważniejsze spośród nich wydają się warte przypomnienia, chociażby po to, aby umożliwić współczesnym ułożenie ich w pewnym porządku chronologicznym. Ostatecznie to nasza wspólna historia, którą dobrze jest znać, zwłaszcza gdy znowu dają się słyszeć tu i ówdzie głosy o nieuniknionym starciu dwóch kultur. Perspektywa historii daje szansę na prawdziwszą ocenę obu protagonistów i sprawiedliwszą ich ocenę.

Większość tej historii wypełniają oczywiście wojny prowadzone zgodnie ze standardami cywilizacji, które powstawały i upadały nad brzegami Morza Śródziemnego. Obie strony wysyłały armie do boju, obie czciły swoich bohaterów i obie wzywały Boga, aby wsparł wysiłki ich żołnierzy i twórców machin oblężniczych. Po równi maskowały zdziczenie i okrucieństwo,

obracając je w heroizm i nadając im rangę świętej sprawy.

Historię wojen między chrześcijaństwem a islamem można przedstawić w skrócie w siedmiu odsłonach. To siedem bitew, które albo zostały zgodnie uznane przez uczonych za punkty zwrotne, albo zapadły głęboko w powszechną świadomość i znajomość historii. Pierwsze dwie, Jarmuk i Poitiers, ilustrują początkową fazę konfliktu, kiedy obie strony niewiele jeszcze o sobie wiedziały, a armie islamu pojawiły się jakby znikąd, aby na zawsze odmienić kulturę śródziemnomorską. Środkowe trzy - Manzikert, Hittin i Las Navas de Tolosa - obrazują największe nasilenie konfliktu, kiedy to wielu uczestników postrzegało siebie jako walczących za wiarę pogromców niewiernych. Religia nigdy nie odgrywała większej roli w tych zmaganiach niż właśnie wtedy, między jedenastym a trzynastym wiekiem. Ostatnie dwie, czyli Konstantynopol i Malta, zdarzyły się już na tyle blisko czasów współczesnych, że religijne konteksty straciły w nich na znaczeniu, na rzecz obrony interesów gospodarczych, zwłaszcza handlowych. Pod koniec szesnastego wieku Morze Śródziemne nie było już morzem wiary. Raczej - morzem kupców. A czasem także piratów.

Pola wspomnianych bitew rozsiane są po całym śródziemnomorskim świecie. W kolejności chronologicznej i wedle współczesnej lokalizacji były to Syria, Francja, Turcja, Izrael, Hiszpania, ponownie Turcja i Malta. Podobnie różne plemiona i narody brały w nich udział. W każdej epoce trochę inne. Z czasem Turcy

zastąpili Arabów, a Frankowie - Greków. Swoje role odegrali Normanowie, Berberowie, Słowianie, Mongołowie, Włosi i Hiszpanie. Niektórzy ich wodzowie przeszli do legendy, jak Saladyn czy Cyd, inni zaś, chociaż w swoich czasach byli równie znani i podziwiani, pozostali postaciami jednej kultury, jak serbski książę Lazar czy turecki Alp Arslan.

Należy dodać, że konflikt nie płonął cały czas z tą samą intensywnością. Zdarzały się też okresy pokojowej koegzystencji i przenikania kultur (co Hiszpanie zwali *convivencia*). Była to jeszcze jedna cecha charakterystyczna kontaktów chrześcijaństwa i islamu. Od Kordoby po Sztambuł, od Kairu po Palermo i Toledo wędrowali przez śródziemnomorski świat kupcy, uczeni, tłumacze i kapłani, którzy każdym swoim krokiem przyczyniali się w jakimś stopniu do wymiany pomiędzy tymi dwoma światami. I właśnie współpraca nadała tak naprawdę ton dziejom, chociaż wielokrotnie była tylko tłem dla o wiele głośniejszej muzyki towarzyszącej przemarszom armii, których poczynania kończyły i zaczynały kolejne epoki. Istniały cztery wielkie ośrodki wymiany kulturalnej: Kordoba Umajjadów, chrześcijańskie Toledo, normańskie Palermo i osmański Konstantynopol. Dla średniowiecznego świata Morza Śródziemnego były one równie znaczące jak wszystkie święte wojny. Dopiero taki obraz, obraz pokojowej współpracy zakłócaniej wielkimi bitwami, jest bliższy prawdziwemu obrazowi, często obecnie zniekształcanemu w imię wątpliwych idei krzewionych przez religijnych szowinistów.

Uczciwie jednak trzeba zaznaczyć, że nasze fałszywe wyobrażenie o dawnych kontaktach między chrześcijaństwem a islamem nie wynika jedynie ze swoistego, „tunelowego” postrzegania historii, czyli zwracania uwagi jedynie na te zdarzenia, które stawiają przedstawicieli naszej kultury w korzystnym świetle. Swoją rolę odgrywa także ignorancja. Pomyślmy, w jak niewielkim stopniu barwna kultura Maurów wpływa na nasze wyobrażenia o średniowiecznej Europie. Mało znane jest także muzułmańskie piśmiennictwo z tamtych czasów, chociaż bez tego głosu historia relacji między obiema religiami musi pozostać niepełna. Trzeba jednak przyznać, że w ostatnim półwieczu historycy uczynili naprawdę wiele, aby udostępnić nam wspomniane źródła, chociaż tylko część z nich stała się znana poza środowiskiem specjalistów.

Ważne jest jeszcze jedno. Początki kontaktów chrześcijaństwa i islamu to bardzo odległa przeszłość. Z drugiej strony, wszystko to działo się w miejscach, które do dziś pobudzają wyobraźnię. Fernand Braudel stwierdził wprost: „Sam widok Morza Śródziemnego nie wyjaśni oczywiście wszystkiego. Nie opowie o żywych ludziach ani o złożonych powodach takich a nie innych decyzji, które podejmowali. Niemniej to cierpliwe morze, zawsze gotowe roztoczyć przed nami krajobrazy z przeszłości. Gdy ujrzymy je na własne oczy, nadal takie samo pod niezmiennie błękitnym niebem, wystarczy przymknąć oczy, aby przeszłość ożyła”.

Wielki historyk ma rację. Odwiedzając pola dawnych bitew i znaczące miasta leżące nad brzegami Mo-

rza Śródziemnego, można cofnąć się poniekąd w czasie. Zwłaszcza jeśli naprawdę pragniemy zrozumieć, co zdarzyło się tam w przeszłości. Każda, nawet najbardziej zafałszowana z upływem wieków opowieść nabierze życia dzięki temu, co pozostało z tych dawnych lat. Temu, co trwa. Swoje doda nawet wiatr buszujący wśród cyprysów. Mułłowie i biskupi mogą mieć swoje zdanie, ale ważniejsze jest to, co można ujrzeć na własne oczy.

Całe Morze Śródziemne stało się zatem wielką sceną. Niesymetryczną, rozciągającą się między Mezquitą a Aja Sofia. Obejmowała kilka mórz: Balearskie, Tyrreńskie, Jońskie, Adriatyckie, Libijskie i Egejskie, oraz liczne wyspy: Majorkę, Korsykę, Sycylię, Sycylię, Malte, Krete, Rodos i Cypr. Nieregularna linia brzegowa obfitowała w półwyspy i zaciszne zatoki przynależące do trzech kontynentów. I była jeszcze pełna zdradzieckich prądów szeroka toń samego morza, zwana czasem czerwoną jak wino, czasem błękitną (*grand bleu*), a czasem białą (*Akdeniz*, po turecku: Morze Białe). Gdy w 260 roku przed naszą erą Rzym rozgromił flotę Kartaginy pod sycylijskim Milazzo (dawniej Mylae), zwycięskie załogi zakrzyknęły: *Mare nostrum! Mare nostrum!* „Nasze morze” - a dokładniej, ich morze. I takim pozostało przez setki lat.

Jednak rzymskie *mare nostrum* oznaczało coś więcej niż tylko morze. Jego łacińska nazwa brzmiała *medius terra* - pośród lądu. I ten ląd był jego nieodłączną częścią. W drugim wieku naszej ery imperium rzymskie panowało nad całym basenem Morza Śródziemne-

go. Nie było społeczności, na której życiu grecko-romańskie wzory nie zostawiłyby swojego piętna. Wielkie osiągnięcie i znaczące dziedzictwo.

Imperium musiało się z czasem oczywiście rozpaść, a Morze Śródziemne wymknęło się Rzymianom z rąk. Między czwartym a szóstym wiekiem ośrodkiem cywilizacji stało się cesarstwo wschodniorzymskie ze stolicą w Konstantynopolu. „Nowy Rzym” założony w 330 roku na miejscu dawnego Bizancjum, dzieło cesarza Konstantyna, przetrwał upadek pierwszego imperium (za datę upadku Rzymu przyjmuje się powszechnie rok 476).

Wschodni spadkobierca *mare nostrum* odszedł daleko od dawnych wzorów budowy imperium. Językiem jego władców był grecki, nie łacina. Inaczej też zaczęto spoglądać na świat. Podstawą legitymizacji władzy stał się monoteizm. Dawny Rzym czynił wprawdzie swoich cesarzy bogami, jednak w rzeczywistości imperium pozwalało na praktykowanie wielu kultów i religii. W cesarstwie bizantyjskim, jak nazwali historycy cesarstwo wschodniorzymskie, religia została przekuta w narzędzie sprawowania władzy. W konsekwencji podjęto próbę uczynienia z ludów zamieszkujących wybrzeża Morza Śródziemnego wyznawców jedynej wiary.

Wyznaniem tym było chrześcijaństwo, ruch religijny, który wyłonił się z judaizmu i w ciągu kilku wieków sięgnął po miano uniwersalnego. Jego założyciel, Jezus z Nazaretu, był postrzegany przez większość wiernych jako istota boska. Wyznawcy nowej religii mieli odmienić duchowość odziedziczoną po starożyt-



nych. Będąc potomkiem judaizmu, chrześcijaństwo rozpowszechniło się w greckojęzycznym świecie, czyniąc z Jezusa dawno wyczekiwanego przez Żydów Mesjasza. Święte księgi judaizmu, znane w chrześcijańskim świecie jako Stary Testament, zostały uznane za wstęp do Jego nauk. Podczas gdy sam judaizm ucierpiał znacznie w 70 roku naszej ery, kiedy to Rzymianie stłumili bezlitośnie żydowskie powstanie w Palestynie i zburzyli główną świątynię w Jerozolimie, chrześcijaństwo nie tylko przetrwało wczesne prześladowania, ale wręcz rozpowszechniło się na całe *mare nostrum* i ostatecznie przewyższyło judaizm liczbą wyznawców. W czwartym wieku zdobyło dominującą pozycję zarówno we wschodnim, jak i zachodnim cesarstwie, przy czym uprzywilejowany status zapewnił mu ten sam cesarz Konstantyn, który założył Konstantynopol. Z czasem zaczęto odwoływać się do niego nie tylko w sprawach ontologicznych, ale również w kontekście sprawowania władzy. Przyjęcie nowej wiary dostarczało transcendentnej legitymizacji kolejnym rządzącym, o Morzu Śródziemnym zaczęto zaś mawiać, że to „chrześcijańskie jezioro”.

Nie był to jednak akwen spokojny. Chrześcijanie nowej kultury śródziemnomorskiej zwykli spierać się głośno o naturę swego zbawcy. Echa tych dyskusji docierały do najdalszych zakątków *mare nostrum*, prowadząc do licznych oficjalnych debat oraz pogromów. Jedną z nich odbyła się w 451 roku na soborze w Chalcedonie (obecnie tureckie Kadiköy) i zakończyła się ponownym wypowiedzeniem doktryny ortodoksyjnego

chrześcijaństwa. Zgodnie z nią Jezus był dwojakiej natury, ludzkiej i boskiej, przy czym uzupełniały się one i przeplatały. Co więcej, był również częścią boskiej Trójcy. Wprawdzie cesarz przypieczętował tę decyzję mocą swego autorytetu, niemniej dysydenckie nurty w rodzaju monofizytyzmu, arianizmu czy nestorianizmu nadal utrzymywały się w Syrii, Egipcie, Armenii, zachodniej Mezopotamii, północnej Afryce, Hiszpanii i w znacznej części Italii. Doprowadziło to do prawdziwej kakofonii. Pewien przybysz, który odwiedził wówczas Konstantynopol, zanotował: „Wszędzie, w naj- nędzniejszych nawet domach, w alejach, na targowiskach i na rogach ulic można spotkać ludzi dyskutujących na nieoczekiwane całkiem tematy. Prosząc o rachunek, słyszałem komentarz na temat niepokalanego poczęcia. Pytając o cenę chleba, dowiadywałem się, że Ojciec ważniejszy jest od Syna. Gdy chciałem sprawdzić, czy moja kąpiel już gotowa, powiedziano mi, że Syn został stworzony z niczego”. Do tych swarów dochodziły jeszcze częste spory kompetencyjne pomiędzy pięcioma patriarchami wczesnego Kościoła - z Aleksandrii, Antiochii, Konstantynopola, Jerozolimy i Rzymu. Jak zauważył pogański historyk Ammianus Marcellinus: „Żadne dzikie zwierzę nie było nigdy tak okrutne wobec człowieka, jak chrześcijanie nawzajem wobec siebie”.

Mimo to około połowy szóstego wieku powstało coś, co można nazwać wspólnotą chrześcijańskiego świata. Barbarzyńskie ludy, które podbiły dawny Rzym, Wandalowie, Wizygoci i Ostrogoci, zostały albo

pokonane, albo przekonane do aktywnego udziału w budowie chrześcijańskiej cywilizacji na Zachodzie. Belizariusz, utalentowany wódz bizantyjski, podbił ponownie dla swego władcy, Justyniana, Italię i północną Afrykę. W ten sposób Konstantynopol zapanował także nad przeciwległym wybrzeżem Morza Śródziemnego. Ewentualne zagrożenie dla cesarstwa dostrzegano na Wschodzie, ze strony trwającego już od czterech wieków sasanidzkiego imperium Persji, którego wojska nieraz ścierały się już z armiami Bizancjum i jego sojuszników. Nikt chyba się nie spodziewał, że wkrótce całkiem blisko pojawi się znacznie potężniejszy przeciwnik, z głosem tak donośnym, że wszelkie spory doktrynalne staną się ledwie słyszalnym szeptem.

Nowa i równie nośna jak chrześcijaństwo religia pojawiła się nad brzegami *mare nostrum* w pierwszej połowie siódmego stulecia. Narodziła się w Hidzazie, w środkowo-zachodniej części Półwyspu Arabskiego. Jej twórca, Mahomet, był kupcem z szanowanego plemienia Kurajczytów zamieszkujących Mekkę. Utrzymywał, że doznał szeregu objawień zesłanych mu przez archanioła Gabriela i samego Boga. Były one kierowane w pierwszym rzędzie do Arabów, w drugim do całej ludzkości. Postrzegał je jako kontynuację tych samych boskich interwencji, które zostały zesłane na Abrahama i innych proroków Starego Testamentu oraz samego Jezusa. Zrodzona w ten sposób religia, islam (co oznacza poddanie się Bogu), przyswoiła objawienie udzielone Żydom - a później uznane także przez chrześcijan - i włączyła je w coś, co muzułmanie uznali za idealną

postać monoteizmu. Jej świętą księgą stał się Koran (po arabsku: czytanie, recytacja). Nowa wiara uznała, że obie starsze religie sprzeniewierzyły się poniekąd objawieniu. Abraham (Ibrahim), jako pierwszy monoteista, był w jej świetle pierwszym muzułmaninem. Jego dokonania oraz czyny jego potomków opisane w Starym Testamencie zinterpretowane zostały na nowy sposób, w duchu koranicznym. W ten sposób, i inaczej niż w chrześcijaństwie, święte księgi judaizmu nie zostały po prostu przejęte przez islam. Nowina przekazana Mahometowi, ostatniemu z długiego szeregu proroków, wyparła wszystko, co było wcześniej.

Krainy Morza Śródziemnego miały stać się w ten sposób terenem rywalizacji dwóch wielkich systemów religijnych, z których każdy rościł sobie prawo do bycia jedynym słusznym wyznaniem. Ich pierwsze spotkania cechowało daleko posunięte wzajemne niezrozumienie. Bizantyjscy chrześcijanie postrzegali z początku islam jako jeszcze jedną heretycką odmianę ich własnej religii, nowy głos w ciągnącym się z dawna sporze o naturę boskości. Zapewne nawet najlepiej wykształceni chrześcijańscy myśliciele nie doceniali jeszcze znaczenia tego, co przyniósł ze sobą Mahomet. Muzułmanie ze swej strony reprezentowali znacznie bardziej złożone podejście. Koran nakazywał im szanować Żydów i chrześcijan jako tych, którzy doznali już objawienia, nawet jeśli okazało się ono niepełne, a jego treść z latami zniekształcono.

Mimo to wielu postrzegało chrześcijan jako oddających cześć bałwanom pogan. Mahomet niestrudzenie

tępił w Arabii wszelkie przejawy politeizmu, posługując się islamskim wyznaniem wiary: „Nie ma boga nad Boga”. Podobne, choć zasadniczo chrześcijańskie, credo: „Wierzę w Boga, Ojca wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi. I w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedynego, Pana naszego, który się począł z Ducha Świętego” mogło sugerować muzułmanom, jak i innym niechrześcijanom, że kłótniwi czciciele Trójcy Świętej oddają hołd więcej niż jednemu bogu.

Niezrozumienie zrodziło z czasem wrogość, a wrogość skłoniła do sięgnięcia po oręż, chociaż zarówno Jezus, jak i Mahomet niemal jednym głosem nawoływali do braterstwa. Chrześcijaństwo, z początku prześladowane i nastawione pacyfistycznie, stało się narzędziem władzy. Królowie z niego wywodzili swoje uprawnienia („pomazaniec Boży”), krzyżowcy nieśli słowo Boże na sztandarach i nawet mnisi sięgali po broń, a piratów czasem ogłaszano świętymi.

Islam od samego początku splatał się z polityką. Mahomet był postacią jak najbardziej z tego świata. Toczył wojny, aby zjednoczyć Półwysep Arabski pod swoimi rządami. Każdy z jego następców (kalifów) był przywódcą zarówno w wymiarze duchowym, jak i doczesnym. Cokolwiek czynili, czynili w imię Boże, nawet jeśli ich działania były jednoznacznie umotywowane politycznie. Założenie o nadnaturalnym przewodnictwie legło zapewne u podstaw szczególnego despotyzmu, który pojawił się w islamie, zwłaszcza że przyjmowana powszechnie teza o równości wszystkich braci w wierze nie zachęcała do zadawania pytań o le-

galność poczynań kalifa. Ale czy zły muzułmanin albo zły wódz mógł być dobrym kalifem? Tak jak spory o naturę Jezusa były piętą achillesową chrześcijaństwa, tak w islamie pojawiły się w pewnej chwili konflikty związane z sukcesją po Mahomecie, które osłabiały młodą jeszcze religię, wynosząc jedne i niszcząc inne rody, rodząc kolejne schizmy.

Mimo podziałów wewnętrznych oba wyznania trwały i w coraz większym stopniu wpływały na poglądy i działania królów, cesarzy i sułtanów. Pewien historyk, który podszedł do zagadnienia z typowym dla dwudziestego wieku sceptycyzmem, stwierdził: „(...) kiedy współczesny człowiek zaczyna odwracać się od religii, przestaje też wierzyć, że inni ludzie mogli w swoich czasach traktować ją poważnie. Zaczyna wówczas na nowo przyglądać się wielkim ruchom religijnym w poszukiwaniu motywów i mechanizmów, które pasowałyby do jego wizji świata”.

Tak daleko posunięta laicyzacja nie wydaje się obecnie najwłaściwszym podejściem, niemniej próba głębszego wejrzenia w zdarzenia, które historycznie kojarzone są przede wszystkim z religią, jest najpewniej działaniem uprawnionym. Bez wątpienia konflikt między chrześcijaństwem a islamem nie miał jedynie wymiaru religijnego. Konflikty wybuchały z wielu powodów, przy czym niepoślednią rolę odgrywało właściwe obu stronom przekonanie, że wojna jest najdoskonalszym sposobem prowadzenia polityki i rozstrzygania sporów. Swoje dołożyły też chciwość, geopolityczna rywalizacja, rodzinne i monarsze ambicje, me-

galomania albo wręcz socjopatyczne skłonności poszczególnych władców. Obie strony były na równi wojownicze, a ich wewnętrzne konflikty nie ustępowały tym zewnętrznym. Muzułmańskie rody żywiły niekiedy wobec siebie tyle samo nienawiści, ile potrafiły okazać niewiernym. To samo dotyczyło chrześcijan. Wystarczy przypomnieć, że to chrześcijańscy krzyżowcy, nie muzułmanie, najechali i złupili w 1204 roku grecki Konstantynopol.

Jednak ówczesne zamięślenie do wojaczki nie powinno przysłonić fundamentalnego znaczenia wiary, która decydowała o kształcie kontaktów między obiema kulturami. Chociaż, biorąc pod uwagę konkretne postaci, była to wiara różnej próby. Na przykład Saladyn, kurdyjski bohater spod Hittinu i pogromca jerozolimskich krzyżowców, był zapewne człowiekiem głęboko religijnym, który szczerze cierpiał, widząc frankijskich intruzów w Palestynie, kraju, który jego zdaniem winien być muzułmański. Z drugiej strony Karol Młot, którego Europa wychwalała za uratowanie chrześcijaństwa pod Poitiers, nie był zapewne bardziej religijny od swojego wierzchowca. Wszelako te kontrasty, nawet jeśli powszechne i mające swe odniesienia w skali makro, nie umniejszały prawdziwie duchowych konsekwencji działań możliwych tamtego świata. Także wówczas, gdy kierujące nimi motywy były mocno przyziemne. Zwykliśmy myśleć o krajach basenu Morza Śródziemnego jako wyraziście podzielonych religijnie, za podstawę przyjmując istnienie chrześcijańskiej albo islamskiej większości. To jednak wcale nie

musiało tak wyglądać. Nie było wszakże w swoim czasie przesądzone, iż Turcja stanie się krajem muzułmańskim, a Hiszpania chrześcijańskim. Zdecydowała o tym obfitująca w wojny epoka średniowiecza. Zdecydowali o tym żyjący i działający wówczas ludzie.

Konsekwencje uzyskania dominacji przez jedną z rywalizujących religii byłyby trudne do przecenienia. Każda z nich inaczej kształtowała prawo, miała inny wpływ na sztukę i edukację, inaczej postrzegała takie kwestie, jak rola kobiety w społeczeństwie, tolerancja wobec mniejszości oraz organizacja społeczeństwa jako takiego. W tym kontekście judaizm nie mógł wywrzeć podobnego wpływu. Nigdy nie stał się równie uniwersalnym narzędziem walki o władzę. Żydzi, chociaż odgrywali istotne role w społeczeństwach opanowanych przez chrześcijaństwo albo islam, nie stawali się głównymi aktorami tego dramatu historii, chociaż - paradoksalnie - to właśnie judaizm był poniekąd rodzicem obu późniejszych religii. Sugeruje to metaforę, która może wprawdzie nie zyskać aprobaty wyznawców chrześcijaństwa i islamu, wydaje się jednak trafna: była to w gruncie rzeczy walka rodzeństwa o spuściznę. Tą sukcesją było zaś *mare nostrum* wraz z całym swym dziedzictwem kulturowym obejmującym zarówno pisma Platona i Arystotelesa, jak i judaistyczny monoteizm. To była zasadnicza stawka toczących się od siódmego wieku konfliktów między rodzeństwem. To oraz sama wizja Boga.



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

## JARMUK 636

Powstanie islamu; upadek chrześcijańskich krain  
Syrii i Palestyny

W odróżnieniu od przepychu meczetu w Kordobie czy świątyni Aja Sofja w Konstantynopolu miejsce, gdzie zaczęła się rywalizacja chrześcijaństwa i islamu, wydaje się wręcz surowe. Wyżynna kraina nad brzegami rzeki Jarmuk przedstawia księżycowy niemal krajobraz. Ot, równina zaścielona czarnymi, bazaltowymi skałami. Pole dawnej bitwy wygląda praktycznie tak samo jak w 636 roku. Nie spotka się tu wycieczek ani amatorów historycznych pikników, którzy opanowali tereny pod Azincourt czy Waterloo. Obecna sytuacja geopolityczna i niegościnnność owego pustkowia oszczędziły mu podobnych najazdów. Na północ od wyrzeźbionego przez rzekę wąwozu wznoszą się spalone słońcem Wzgórza Golan, gdzie akurat wojska i broni dzisiaj nie brakuje.

Kraina leżąca na styku granic Syrii, Jordanii i Izraela nie ma w sobie nic bukolicznego. Koryta pomniejszych rzek tylko okresowo zapełniają się tutaj wodą, powodując gwałtowne powodzie. Ich kaprysy skutecznie utrudniały rozwój rolnictwa, aż w końcu trzy z nich, Wadi Rukkad, Wadi Allan i Al-Harir, zostały przegrodzone tamami. Rozpadliny w dolnym brzegu zniechęcały nawet pasterzy kóz. Obecnie na płaskowyżu znajduje się jednak sporo gospodarstw rolnych oraz kloc-

kowatych wiosek i kibuców. Między czarnymi skałami, które bywają jedynymi punktami orientacyjnymi, znajdują się z rzadka kępy eukaliptusów. Samotne wzgórza, niczym oazy zieleni, wyrastają nawet na setki metrów ponad poprzecinane korytami rzek kamieniste pola.

Wąwóz rzeki Jarmuk, która płynie ku zachodowi, aby na południe od Jeziora Tyberiadzkiego wpaść do Jordanu, wytycza współcześnie granicę między Syrią a Jordanią i zamyka jednocześnie dawne pole bitwy od południa. Strome zbocze dwustumetrowego jaru tworzy naturalną barierę. Inna to całkiem rzeka niż te, do których przyzwyczajeni byli Europejczycy, co dodało w szczególny sposób dramatyzmu krwawemu spotkaniu cywilizacji, mającemu zmienić bieg śródziemnomorskiej historii.

Mimo dawnego i obecnego znaczenia tego miejsca brak tu pomnika, który upamiętniałby straszną bitwę. Głównymi punktami orientacyjnymi pozostają dwa wzgórza wznoszące się w pobliżu syryjskiego miasta Nawa, będącego dziś w zasięgu ognia artyleryjskiego ze Wzgórz Golan. Z północnego wzniesienia, zwanego Tali al-Dżabila, niemal na pewno roztaczał się kiedyś widok na bizantyjską armię. Na południe od miasta wyrasta samotny pagórek zwany przez miejscowych Wzgórzem Zgromadzeń, co może odnosić się do historycznej koncentracji wojsk muzułmańskich w 636 roku. Jakkolwiek jednak było, współcześni goście odwiedzają te tereny w związku z wydarzeniami o wiele późniejszymi niż wielkie zwycięstwo wyznawców Proroka.

Pewnego popołudnia w listopadzie 2003 roku przez okrytą pyłem wioskę Szajch Sa'ad przejechał ja-skrawoczerwony autobus na libańskich numerach rejestracyjnych. Gdy zatrzymał się na skraju zabudowań, wysiadła zeń grupa kobiet, które wspięły się na niewielkie wzniesienie i weszły do niskiego, białego budynku o trudnym do określenia wieku. Wewnątrz znajduje się mała świątynia z udrapowanym zielonymi sztandarami nagrobkiem. Kobiety pogładziły sztandary palcami i ucałowały. Ich umalowane twarze ostro kontrastowały z typowymi muzułmańskimi okryciami głowy. Potem zrobiły trochę zdjęć, wykonały kilka telefonów przez komórki, wymieniły uśmiechy. To miejsce to Dajr Ajjub, gdzie pochowano biblijnego Hioba, słynnego z ciężkich doświadczeń zesłanych przez los i niezachwianej wiary. Był również wzorem cierpliwości, co do dzisiaj zdaje się przyciągać doń panny na wydaniu. Chichocząc nerwowo i myśląc o swoich przyszłych mężach, nie pamiętają najpewniej o tym, czego dokonali tu ich przodkowie. W końcu ich opiekun, przystojny i starający się wyglądać na poważną osobę imam, spojrział na zegarek i dał znać, że pora ruszać dalej.

Autobus odjechał, kierując się zapewne do pobliskiego miasta Nawa, gdzie spoczywać ma z kolei Sem, jeden z synów Noego. Odgłos silnika ucichł w oddali i równina ponownie ożyła przeszłością. Współczesna szosa biegnie tam dokładnie tak samo jak dawna rzymska droga łącząca Jerozolimę z Damaszkiem. Zapewne tutaj właśnie doszło do owej szarży konnicy, która za-

ważąca na biegu historii. Jak zawsze, gdy chodzi o równie odległe wydarzenia, tak i w tej sprawie trudno o pewność, jeśli jednak rzeczywiście tak było, to pielęgnowane przez muzułmanów Dajr Ajjub jest także grobowcem chrześcijańskiego Wschodu. Pewien historyk z początku dwudziestego stulecia opisał to w ten sposób: „Po dziesięciu wiekach starczył jeden cios arabskiej, zakrzywionej szabli, aby wszystko zawaliło się z dnia na dzień. Język grecki i myśl starożytna oraz zachodnie wzory życia, wszystko poszło z dymem. Dorobek tysiąca lat przepadł, jakby nigdy go nie było. Zabrakło czasu kulturze Zachodu, aby zapaść korzenie w ziemi Orientu. Greckie dziedzictwo okazało się tylko maską skrywającą coś całkiem odmiennego. Wszystkie greckie miasta, które wyrosły nad Nilem i u stóp Hindukszu, i wszystko greckie, co w nich istniało, przeminęło z wiatrem”. Opis jest oczywiście metaforyczny, ale trafnie oddaje sens tego, co zdarzyło się nad Jarmukiem.

Bitwę poprzedził niespokojny czas chaosu, zarazy, niesławy, tyranii i wojen. Śmierć cesarza Justyniana w 565 roku zbiegła się z szalonymi galopadami Jeźdźców Apokalipsy wokół całego Morza Śródziemnego. Większa część Italii wymknęła się Bizantyjczykom z rąk, podbita przez germańskich barbarzyńców znanych jako Longobardowie (czyli długobrodzi), którzy wyłonili się z rozległych lasów wschodniej i środkowej Europy. Hiszpania wpadła w ręce Wizygotów, Prowansja dostała się Burgundom. Wojownicze tureckie plemię Awarów przepравиło się przez Dunaj i pustoszyło

bizantyjskie Bałkany. Dodatkowe straty zadała dżuma, która zabiła co najmniej połowę mieszkańców Konstantynopola.

Złe wieści nadchodziły ze wszystkich stron, źle działo się także w centrum, gdzie z początkiem siódmego wieku pewien niepiśmienny tracki niższy oficer przywdział jako uzurpator purpurę i mianował się cesarzem Fokasem. Paranoiczne okrucieństwo, którym zasłynęły jego rządy, przewyższyło osiągnięcia starożytnych Rzymian w rodzaju Nerona czy Kaliguli. Oślepienie przeciwników, a nawet ludzi podejrzanych tylko o nieprzychylność stało się zwykłą praktyką, podobnie jak stosowanie tortur dla wydobycia zeznań. Co gorsza, właśnie za jego rządów ziściły się dawne obawy przed zagrożeniem ze Wschodu. Persowie zburzyli kruchy pokój między dwoma imperiami prowadzeni przez króla Chosrowa II, niegdyś przyjaciela cesarza Maurycjusza, który został ścięty, aby zwolnić miejsce dla Fokasa. Wywodzący się z dynastii Sasanidów dumny władca, który podporządkował sobie tereny obecnego Iraku i Iranu, dojrzał szansę stworzoną przez zamieszanie panujące za zachodnimi granicami swego państwa. Podczas gdy Fokas oślepiął i ścinał prawdziwych i wyimaginowanych wrogów oraz skłócał prześladowaniami Żydów i chrześcijan na Bliskim Wschodzie, Chosrow zaatakował zewnętrzne prowincje cesarstwa bizantyjskiego. Najpierw Górną Mezopotamię, potem Armenię, Syrię, Palestynę i Egipt. Podbijał i łupił, nie napotykając większego oporu ze strony garnizonów zdemorali-

zowanych okrucieństwami Fokasa. Skala kryzysu jasno dowodziła, że pora na nowego cesarza.

Został nim Herakliusz, syn bizantyjskiego egzarchy Kartaginy. Potężne niegdyś północnoafrykańskie miasto podbite w czasach, gdy zwrot *mare nostrum* został po raz pierwszy użyty, było już tylko odległą prowincją, która cierpliwie znosiła szaleństwa Fokasa i służyła całemu imperium za spichlerz. Ostatecznie jednak Herakliusz przekształcił wożącą ziarno flotę handlową w zarzewie rewolty. W 609 roku przystojny, trzydziestopięcioletni arystokrata przebył Morze Egejskie i zawinął do Tessaloniki, gdzie spędził zimę i lato, zbierając armię, pozyskując sojuszników i szykując sobie przy pomocy szpiegów grunt w stolicy. Jesienią 610 roku skierował się do Hellespontu. W październiku jego okręty przebyły morze Marmara i rzuciły kotwice opodal Złotego Rogu, wąskiej zatoki Bosforu, nad którym na wielkim półwyspie w kształcie kciuka rozłożył się Konstantynopol. Wynik tej akcji mógł być tylko jeden. Cesarz Fokas nie miał już żadnych sojuszników, wrogów zaś mnóstwo. Odarty z zaszczytów i szat zawleczony został nad zatokę, gdzie czekał już gość z Kartaginy. Nie kryjąc satysfakcji, Herakliusz spytał szyderczo: „To ty, okrutniku, rządziłeś tak strasznie?” Fokas odparł na to: „Bez wątpienia ty będziesz rządzić lepiej”. Pochlebstwo nie zostało docenione. Fokasa niezwłocznie ścięto, a jego ciało odarto ze skóry i poświęrtowano na kawałki dość małe, aby dało się je upiec w piecu, co bardzo ucieszyło tłumnie zgromadzonych jego przeciwników. Tego samego dnia, 5 paź-

dzielnika 610 roku, Herakliusz koronował się na cesarza i poślubił bizantyjską księżniczkę Eudoksję. Z czasem kazał nazywać się *basileusem*, co było greckim odpowiednikiem rzymskiego tytułu cesarza. Jego następcy podjęli ten zwyczaj.

Herakliusz przejął kontrolę na chwiejącym się imperium, potrzebował jednak całych dziesięciu lat starań, zanim udało mu się poprowadzić armię na wrogów. Jako dobry żołnierz podzielił stare *mare nostrum* na szeregi okręgów wojskowych pokrywających się z cywilnymi ośrodkami władzy. Ta struktura, z okręgami zwanymi *ternami*, służyła cesarstwu z powodzeniem w następnych stuleciach wojen. Głównie dzięki nadaniom ziemi, która była nagrodą za wierną służbę w szeregach. Niemniej jako *basileus* Herakliusz naznaczony był bizantyjską skłonnością do dzielenia chrześcijańskiego włosa na czworo. Mieszał się do spraw religijnych, popierał prześladowania domniemanych i prawdziwych heretyków, a nawet posunął się do wydania edyktu potępiającego judaizm. Co gorsza, w prywatnym życiu doprowadził do skandalu. Po śmierci Eudoksji, która cierpiała zapewne na epilepsję, dopuścił się gorszącego występku, biorąc za żonę swą piękną siostrzenicę Martynę. Zrodzone z tego związku potomstwo okazywało się niezmiennie chorowite albo kalekie, co w oczywisty sposób uznawano za karę boską.

Mimo nader licznych wad Herakliusz zdołał uporządkować cesarstwo i przygotował je do walki. Szczególnym osiągnięciem było skłonienie bogatego, ortodoksyjnego Kościoła konstantynopolitańskiego do sfi-

nansowania odbudowy armii. Pora była najwyższa wziąć się do szachinszacha, perskiego króla królów, który sprawował despotyczne rządy z Ktezyfonu w Mezopotamii.

Grecko–perska rywalizacja u schyłku epoki antycznej nie doczekała się równie bogatej literatury i tylu legend, jak wcześniejsze zmagania między Dariuszem i Kserksesem, którego ateńscy hoplici i marynarze pokonali u zarania okresu klasycznego pod Maratonem i Salaminą. Sasanidzi, którzy w czasach Herakliusza byli na szczycie już od czterech wieków, z powodzeniem stawali przeciwko Rzymianom i nie lękali się wojsk dowodzonych z Konstantynopola. Obie strony nieustannie najeżdżały strefy buforowe w pustynnej Syrii i w górach Anatolii, nie ustając w odwiecznej walce

Wschodu z Zachodem o panowanie nad ziemiami zwanymi Żyźnym Półksiężycem. Po stworzeniu cywilizacji nieustępującej wcale bizantyjskiej Sasanidzi mieli siebie za lepszych od wszystkich innych ludów i uważali się za godnych naśladowców wielkich Persów sprzed tysiąca lat. Jak napisał to jeden z przedstawicieli dumnej dynastii:

*[Iran] jest centrum [świata], ponieważ nasz kraj leży pośrodku innych ziem, a nasz lud jest najszlachetniejszym i najwspanialszym ze wszystkich ludów. Jeździ konno jak Turcy, intelektem dorównuje mieszkańcom Indii, w sztukach i rzemiośle doścignął Greków. Bóg obdarzył go tym wszystkim hojniej niż każdy inny lud z osobna. Nie nauczył tamtych ani ceremonii religijnych, ani oddawania hołdu królom, nam to przekazu-*



*jąc. I uczynił nasz wygląd i barwę naszych włosów mi-  
łymi oku, bez przewagi czarnych lub jasnych, lub ru-  
dych barw; i brody nasze i włosy na głowie nie są ani  
zbyt kręcone, jak u Negrów, ani całkiem proste, jak  
u Turków.*

Podobny ton samouwielbienia pojawiał się w ofi-  
cjalnej korespondencji. W listach perskiego króla do  
greckiego basileusa znaczące jest już samo rozbudowa-  
ne i specyficznie „życzliwe” powitanie: „Najszlachet-  
niejszy z bogów, król i władca całej ziemi, syn wielkie-  
go Hormizda, Chosrow, do Herakliusza, swego niegod-  
nego i nieokrzesanego niewolnika”.

Basileus może mógłby to nawet ścierpieć, gdyby  
Chosrow nie dozwolił swojemu wielkiemu wodzowi  
Szarbarazowi na złupienie wielkich miast bizantyjskie-  
go Wschodu - Antiochii, Aleppo, Damaszku czy Alek-  
sandrii. W Jerozolimie Szarbaraz podpalił Bazylikę  
Grobu Pańskiego, rabując kilka najświętszych relikwii  
chrześcijaństwa, w tym relikwie Krzyża Świętego, któ-  
re trafiły do królewskiego skarbcza w Ktezyfonie.

W odpowiedzi Herakliusz zebrał w 622 roku wiel-  
ką armię i przekroczył Bosfor, aby wyzwać przeciwni-  
ka do bitwy w samym sercu imperium Persów. Był  
pierwszym od ponad dwóch wieków rzymskim cesa-  
rzem, który osobiście poprowadził wojsko do boju.  
Uznano to za epokowe wydarzenie, zwłaszcza gdy bez  
trudu wygrał bój w Anatolii, a potem pomścił złupienie  
Jerozolimy, niszcząc w Ganzaku świątynię kultu ognia  
poświęconą Zaratusztrze, którego nauki legły u pod-  
staw religii Persów. Sukces gonił sukces przez całą

długą i krwawą kampanię. Dla Bizantyjczyków rok 622 był zapewne dzięki tym zwycięstwom i nowej nadziei danej im przez basileusa zwiastunem nowej ery.

Jeśli rzeczywiście tak myśleli, nie mogli się bardziej mylić. Historia rzadko okazywała się tak ironiczna jak wówczas, gdy Herakliusz wszczął ofensywę dla ratowania cesarstwa. W tym samym roku narodziło się bowiem inne i to o wiele poważniejsze zagrożenie dla jego państwa. Zagrożenie, przy którym dotychczasowy konflikt był ledwie skromną rozgrzewką przed dalszą walką. Wojna ta miała trwać osiem stuleci i już na samym początku, w niecałe dwadzieścia lat, usunąć bezpowrotnie Persów ze sceny historii. Albowiem we wrześniu tego pełnego zwycięstw roku kilkudziesięciu akolitów idących za nieznanym nikomu Muhammadem Ibn Abd Allahem przepравиło się przez wzgórza otaczające Mekkę i powędrowało na północ Półwyspu Arabskiego do Jatribu, oazy znanej dzisiaj pod nazwą Medyna. Był to czas hidżry, czyli wywędrowania, rok pierwszy w kalendarzu islamu.

Nic nie zapowiadało jeszcze całego pasma zdarzeń, które doprowadziły do narodzin religii mającej obecnie ponad miliard wyznawców rozrzuconych po całym świecie. Wedle utrwalonego w tradycyjnych przekazach obrazu, w początkach siódmego wieku ten, któremu pisane było zostać prorokiem, wiódł całkiem zwyczajne i skromne życie. Nie wyglądał zapewne na wybrańca losu, zwłaszcza takiego, który odmieni bieg historii. Nawet wówczas, gdy jako w pełni dojrzały mężczyzna zrozumiał swoje powołanie, musiało minąć

jeszcze prawie dziesięć lat, zanim stał się znany poza najbliższym kręgiem krewnych i przyjaciół. Pojawiając się niemal znikąd, zawędrował na sam szczyt w sposób, który dany był naprawdę wybrańcom. Można porównywać go z Jezusem z Nazaretu, który w swoim ziemskim bytowaniu nie miał tyle szczęścia, zgładzony w hańbiący sposób jako przestępca. Z Mahometem było inaczej. Dożył chwili, gdy jego nauki zostały powszechnie przyjęte, a parę pokoleń później zebrano je w Koranie - pierwszej księdze spisanej w języku arabskim<sup>13</sup>. Jezus umierał w cierpieniu i poniżeniu, skazany przez namiestnika mało ważnej prowincji. Mahomet, gdy odchodził w 632 roku, był żegnany jako patriarcha wielkiego, szanowanego rodu i władca całej Arabii. Wiedział, że zwyciężył.

Jego wcześniejsza biografia też godna jest uwagi. Urodził się około 570 roku jako ubogi kuzyn plemienia Kurajszytów z Mekki. Wcześniej osieroconego chłopca wychowywał stryj, który też dał mu potem zatrudnienie<sup>14</sup>. Mekka była wówczas ważnym ośrodkiem handlowym i celem częstych pielgrzymek. Słynęła ze źródła Zamzam, które biło pośrodku haramu, świętego terenu, na którym zakazany był rozlew krwi. Oaza znajdowała się we władaniu kilku kurajszyckich rodów, w tym i rodu Banu Haszim, do którego należał Mahomet. Kilku jej członków służyło w szeregach straży haramu, co było źródłem pewnego prestiżu, jednak tylko najbogatsi, jak jego stryj, angażowali się w organizowanie karawan. Kupcy z Mekki handlowali indyjskimi i afrykańskimi przyprawami, wyrobami rzemieślni-

czymi oraz niewolnikami pozyskiwanymi w Jemenie i dostarczonymi następnie przez Morze Czerwone aż do bizantyjskich portów w Palestynie i Syrii.

Los Mahometa poprawił się znacznie, gdy zatrudniła go Chadidża, bogata wdowa z Mekki. Wprawdzie trudno stwierdzić to z całkowitą pewnością, jednak przypuszcza się, że do tamtej chwili poznał już bizantyjski Bliski Wschód i tak ważne ośrodki, jak Damaszek czy Jerozolima. Pierwszy biograf proroka, Ibn Is-hak, twierdził, że podczas pobytu w prowincjonalnym mieście Bosra (w południowej Syrii, w pobliżu rzeki Jarmuk) Mahomet napotkał pewnego chrześcijańskiego mistyka, który miał rozpoznać w kupcu przyszłego pro-roka.

Ostatecznie Mahomet poślubił Chadidżę, która, chociaż o prawie piętnaście lat od niego starsza, urodzi-ła mu prawdopodobnie cztery córki. Było to małżeń-stwo udane także pod innym względem, wzbogacony bowiem dzięki żonie Mahomet zyskał czas na rozmy-ślania nad swoim powołaniem. Długie lata spędził na medytacjach i wcale niełatwych kontaktach z obecnymi w tym regionie przedstawicielami chrześcijaństwa i ju-daizmu oraz wieloma poszukiwaczami własnych wie-rzeń monoteistycznych w obrębie istniejącej już trady-cji.

W roku 610 wzięty kupiec stał się kimś całkiem innym. Miało do tego dojść po wizycie archanioła Ga-briela, który wedle sury z Koranu powiedział Mahome-towi: „Głoś! W imię twego Pana, który stworzył! Stwo-rzył człowieka z grudki krwi zakrzepłej! Głoś! Twój

Pan jest najszlachetniejszy! Ten, który nauczył człowieka przez pióro; Nauczył człowieka tego, czego on nie wiedział”. Odtąd anielski wysłannik odwiedzał Mahometa regularnie przez resztę jego życia. Prorok przekazywał ludziom słowa Boga podczas epizodycznych transów, które były równie ekstatyczne jak męczące. Zbiegiem okoliczności, które wszakże trudno by przeceniać, pierwsze objawienia zdarzyły się dokładnie w tym samym roku, kiedy Herakliusz pożegłował do Bizancjum.

Od 610 roku Mahomet pracował nad nowym monoteistycznym systemem, który pasowałby do tradycyjnej etyki pustynnych wyznawców kultów animistycznych, a zarazem uwzględniał polityczną anarchię właściwą ludowi rozbitemu na liczne i wojownicze klany, które tkwiły zasadniczo w epoce plemiennej. Mówiąc o dziele Proroka, zwykle kładzie się największy nacisk na pięć filarów islamu (wyznanie wiary, modlitwę, jałmużnę, post i pielgrzymkę do Mekki), to jednak nie było wszystko. Wśród najważniejszych kwestii wymienić należy: wymóg osobistej pobożności i uczciwości, wyraźne określenie, co czeka człowieka po śmierci w niebie i piekle, położenie podwalin pod nowe społeczeństwo i nowy system praw, wezwanie do braterstwa oraz uczciwości w kontaktach z innymi. To ostatnie miało najszerszy zasięg kulturowy i pomogło w przełamaniu barier międzyplemiennych, a nawet międzyreligijnych. Islam jawił się w ten sposób jako religia nadająca doskonałą postać wszystkiemu, co poja-

wiło się wcześniej, a Mahomet stawał się prorokiem dopowiadającym ostatnie i ostateczne objawienie.

Pierwszą nawróconą osobą była jego żona. Za nią podążyła część jej rodziny oraz niektórzy biedacy z Mekki. Najpierw nieśmiało, potem z coraz większą pewnością siebie, Mahomet zaczął głosić słowo wśród plemienia Kurajszytów, starając się skłonić ich do wygnania panoszących się w Mekce bożków. Ubolewał nad tym, że znajdująca się pośrodku haramu Kaaba - budynek wzniesiony wedle tradycji przez biblijnego Adama, później odnowiony przez Abrahama i Izmaela - stała się miejscem oddawania czci Al-Lat, Al-Uzza i Manat, boginiom uznawanym za córki Boga. Niektórzy z jego współplemieńców posłuchali, większość jednak wolała poprzestać na henoteizmie, czyli przekonaniu, że istnienie najwyższego boga nie wyklucza istnienia innych boskich bytów.

Mahomet zrobił wówczas coś, co bez wątpienia miało przekonać do niego opornych - przyznał niemal, że mogą istnieć także inni bogowie. Szybko jednak wycofał się z tego, twierdząc, że te „szatańskie wersety” włożył mu w usta zły duch, który próbował podszyć się pod Boga. Od tej pory Prorok był jeszcze bardziej bezkompromisowym rzecznikiem monoteizmu i zaczął ponownie nawoływać swoich pobratymców do porzucenia bogów i bogiń, którym oddawali hołd ich ojcowie. Jego pozycja w Mekce musiała przypominać wówczas to, czego doświadczył Sokrates w Atenach. Jeśli wcześniej mógł być uznawany tylko za irytującego wichrzyciela, to ostatecznie awansował na wroga.

Wprawdzie zwyczaje plemienne nakazywały szacunek wobec swoich, jednak niektórzy Kurajscy dość mieli reformatora, którego monoteistyczne zapędy groziły spadkiem liczby pielgrzymów przybywających do Mekki, co oznaczało mniejsze wpływy. Nienawróceni, którzy stanowili większość, próbowali najpierw zepchnąć ród Banu Haszim na margines życia. Gdy to się nie tylko nie powiodło, ale nawet przysporzyło Mahometowi zwolenników wśród młodszych - i tym samym bardziej buntowniczych - przedstawicieli plemienia, sięgnięto po mniej wyrafinowane sposoby. Prorok mógł usłyszeć jakieś plotki na temat spisku na jego życie albo po prostu dojrzał w porę gromadzące się nad jego głową czarne chmury. Porozumiawszy się z ludźmi z Medyny, uciekł wraz z kilkoma dziesiątkami swoich zwolenników. Jednak hidzra była czymś więcej niż tylko ucieczką. Stała się pierwszym krokiem do osiągnięcia ważnego celu: autonomii wspólnoty muzułmanów, prowadzonej przez Mahometa ummy. Wyzwoliwszy się spod wpływu konserwatywnych Kurajczyków, islam mógł wreszcie rozwinąć skrzydła.

W Medynie Prorok pokazał się jak zdolny przywódca. Po śmierci Chadidży zawarł jeszcze kilka użytecznych politycznie małżeństw i do tego samego zachęcał swoich zwolenników, nie ustając jednocześnie w głoszeniu nowych idei społecznych i duchowych, co znalazło potem odbicie w Koranie. Nie ufając samym słowom, ubodzy pionierzy islamu z Medyny zaczęli także zbrojnie podporządkowywać sobie Arabię i jej bogactwa. Nie cofali się przy tym nawet przed poli-

tycznie motywowanymi morderstwami. Najpierw zjednali sobie gospodarzy, czyli dwa pogańskie plemiona, które zaprosiły Mahometa do Medyny jako świętego męża mającego rozsądzić spór między nimi. Była to w przedislamskiej Arabii częsta praktyka, która pozwalała w wielu przypadkach uniknąć rozlewu krwi. Prorok rozwiązał problem, nawracając ich wszystkich; dziś znani są oni historykom islamu jako „pomocnicy” - dla odróżnienia od kurajczyckich towarzyszy, który nazywano „kompanami emigracji”. Bliskie więzi łączące pomocników ze społecznościami Beduinów spowodowały szybki napływ przedstawicieli plemion nomadów do armii Proroka. Gorzej powiodło mu się w kontaktach z trzema wyznającymi judaizm plemionami Medyny<sup>27</sup>, które powitały wprawdzie przybyszów, ale odmówiły porzucenia swojej wiary i przystania do muzułmańskiej ummy. Ostatecznie potraktowano je bardzo brutalnie, pozbawiając majątku i skazując na wygnanie albo, jak w przypadku pechowego plemienia Banu Kurajza, dopuszczając się masowej egzekucji wszystkich dorosłych mężczyzn, kobiety i dzieci zaś sprzedając w niewolę. Pretekstem do tych działań było oskarżenie przedstawicieli plemienia o sprzyjanie najbardziej zawziętym wrogom Proroka, czyli mieszkańcom Mekki.

Pokonanie tych ostatnich stało się dla emigrantów ważnym celem, może nawet najważniejszym. Nie dość, że bolała ich ciągle odmowa przyjęcia nowej wiary, to jeszcze bogata i potężna Mekka wraz ze swymi sojusznikami była poważnym zagrożeniem. Do pierwszej bi-



twy doszło w 624 roku, kiedy to muzułmanie napadli na karawanę Abu Sufjana, bogatego kurajczyckiego kupca, który wracał szlakiem przechodzącym niedaleko Medyny ze skarbami pozyskanymi w Palestynie. Atak zakończył się niepowodzeniem, a co gorsza, zebrany pośpiesznie w Mekce i wysłany na północ oddział, który miał pomóc kupcowi, wpadł niemal przypadkiem na muzułmanów w oazie Badr. Chociaż znacznie słabsi liczebnie, zwolennicy Proroka odnieśli w tej walce miażdżące zwycięstwo. Wielu zagrzewały do walki słowa Mahometa, że każdy, kto zginie w służbie wiary, ma gwarantowany wstęp do raju, gdzie zazna wszelkiego dobra i dostatku. To pierwsze starcie między bratnimi arabskimi plemionami wyzwoliło cały szereg kolejnych starć, do których doszło w następnych latach, i rozpało między przeciwnikami prawdziwie fanatyczną nienawiść. Jak podaje jedno z ówczesnych źródeł, Hind, żona Abu Sufjana, wsławiła się tym, że po bitwie w 624 roku zjadła wątrobę zabitego wuja Mahometa, Hamzy (uczyniła to zapewne dlatego, że jej własny ojciec zginął z ręki Hamzy rok wcześniej w oazie Badr).

W drugiej połowie dziesięciolecia muzułmanie zaczęli w końcu zwyciężać. Tak na polach bitew, jak i w ludzkich sercach. Podobnie jak dzieje się to współcześnie, również w tamtych czasach sukces przysparzał zwolenników. Wieści o triumfach Proroka we wszystkich zakątkach Arabii były istotnym argumentem skłaniającym do przyjęcia jego wiary. Swoje czyniła też zasłużenie dobra reputacja Mahometa, który umiał oka-

zywać wspaniałomyślność wszystkim nowo nawróconym, nawet jeśli przyjmowali jego słowo bez większego entuzjazmu. W 630 także Mekka uroczyście powitała swego syna i uznała jego przywództwo, chociaż nie bez oporu wspomnianej wcześniej Hind. Mahomet zachował się bardzo mądrze i nie pielęgnował urazy. Przez dwa pozostałe mu jeszcze lata życia zdołał zyskać przychylność także tych, którzy wcześniej z niego szydzili. Nie wahał się mianować ich na wysokie stanowiska i nie bronił dawnym wrogom dostępu do łupów zdobytych podczas kolejnych wojen. Zaczął w ten sposób kształtować nowe społeczeństwo i tym samym nowe państwo ożywiane młodą i wciąż pełną energii religią. Zdołał skupić wokół jednego celu mieszkańców oaz, miejskich kupców i wojowniczych nomadów. Co więcej, natchnął ich ideą, aby wyruszyć razem poza piaszczyste pustkowia Arabii, w daleki świat, gdzie trwały właśnie zmagania armii Herakliusza i Chosrowa. Wyczerpująca wojna między dwoma mocarstwami stwarzała niepowtarzalną okazję, której spadkobiercy Mahometa nie zamierzali zmarnować.

Bizantyjczycy mieli już dość. Wojny w Persji nie szły nawet źle, ale skarbiec zaczynał z ich powodu świecić pustkami. Chroniony potężnymi murami Konstantynopol przetrwał perskie i awarskie oblężenia, podczas gdy pewny bezpieczeństwa stolicy Herakliusz gnębił Chosrowa i pustoszył trzema oddzielnymi armiami Anatolię, Syrię i Mezopotamię. Wobec klęsk militarnych chełpliwy szachinszach zaczął sięgać po drastyczne metody. W pewnej chwili nakazał nawet za-

solenie ciała swojego pokonanego i zdegradowanego wodza oraz przysłanie go do Mezopotamii, by osobiście mógł dopilnować należytego odarcia go ze skóry. Persowie przyglądali się bezradnie postępom bizantyjskiej armii, która zajmowała kolejne miasta na wschodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego. Na początku lat trzydziestych siódmego stulecia Grecy ostatecznie wygrali.

W odróżnieniu od Mahometa zwycięski Herakliusz nie zapominał ani nie wybaczał. Zemścił się surowo na wszystkich, którzy sprzyjali Persom.

Pogorszyło to dodatkowo kontakty między Grekami a ludami semickimi Bliskiego Wschodu, Żydami i chrześcijanami monofizyckimi. W tym samym czasie tradycyjni arabscy sojusznicy cesarstwa, Ghassanidzi, którzy od pokoleń służyli Konstantynopolowi, chroniąc Syrię przed Persami i najazdami Beduinów, poróżnili się z metropolią. Wraz z pojawieniem się wojowniczych wyznawców Proroka spór ten zszedł na dalszy plan, nie pozostał jednak bez wpływu na lojalność Ghassanidów wobec dotychczasowych mocodawców.

Tradycyjne muzułmańskie przekazy podają, że Mahomet wystosował listy do Herakliusza i Chosrowa, aby spróbować zapobiec nadchodzącej zawierusze. Jak można się było spodziewać, zajęty walką szachinszach po prostu wyrzucił wysłannika Mahometa za drzwi, Herakliusz wszakże przeczytał głośno list, który nakłaniał go do przejścia na islam. Zaciekawiony basileus kazał wezwać kurajczyckiego kupca, który przejeżdżał przez Jerozolimę, i wypytał go o Proroka. Kupcem

owym był Abu Sufjan, wówczas jeszcze zawzięty wróg muzułmanów (nawrócił się wraz z żoną dopiero w ostatniej chwili, w przeddzień powrotu Mahometa do Mekki). Wedle przypowieści miał przedstawić Proroka jako osobę nieposzlakowaną prawą i zyskującą z każdym dniem coraz więcej uczniów. To jeszcze bardziej zaintrygowało basileusa.

Ten sam przekaz podaje, jakoby astrologowie wywróżyli mu, że Bizancjum zostanie pokonane przez obrzezanych. Rozważywszy najpierw szansę na usunięcie z tego padołu wszystkich męskich przedstawicieli narodu żydowskiego, po głębszym zastanowieniu kazał wezwać do siebie ambasadora Ghassanidów. Następnie kazał mu się rozebrać. Wysłannik pokazał, co miał do pokazania, i wyjaśnił, że obrzezanie jest starym arabskim zwyczajem. Oświecony w ten sposób Herakliusz miał pognać do syryjskiego Homs w dolinie Orontesu i zwołać tam komisję episkopalną, aby błagać ją o gromadne przejście na islam i oddalenie tym samym nieuchronnej katastrofy. Biskupi, rzecz jasna, uznali, że ich władca musiał postradać rozum.

Mimo całej swej fantastyczności, obie historie sugerują, że ich autorzy darzyli Bizancjum niejaką sympatią. Może nawet współczuciem. Podczas gdy ludy piasków rosły w siłę, Grecy nie przeczuwali nawet, co ich czeka. Wygrawszy wojnę w rzymskim stylu, mieli zamiar zakosztować znowu nieco pokoju. Oznaczało to rozkwit handlu, polowania, zabawy na hipodromie i wszelkie grzechy popełniane między jedną a drugą spowiedzią. Persowie zostali pokonani i nikt więcej nie

zagroził już ze wschodu. W roku 630 Herakliusz odzyskał relikwię Krzyża Świętego i umieścił ją ponownie w odbudowanej Bazylice Grobu Pańskiego w Jerozolimie. Przy okazji nakazał masakrę Żydów w Galilei, co w jego wykonaniu nie było niczym nowym. Nie miał bladego pojęcia, że Mahomet wracał właśnie do Mekki, gdzie przywitano go jak bohatera. Wbrew tradycyjnym przekazom basileus zapewne nawet jeszcze nie słyszał o Proroku, chociaż podczas ostatniej wizyty w Jerozolimie mogły do jego uszu dojść informacje o potyczce między bizantyjskimi i ghassanidzkimi oddziałami, które pokonały rok wcześniej jakichś arabskich zbrojnych napotkanych w południowej Jordanii. Skoro jednak sam nie był prorokiem, nie mógł wiedzieć, że ta drobna potyczka da niebawem początek wojnie, ani że napastnicy okażą się natchnieni wiarą nieustępującą wcale jego własnej.

Muzułmanie, przeciwnie, zaczęli w tym samym czasie hołdować iluzorycznemu przekonaniu o słabości przyszłego przeciwnika. Po śmierci Proroka w roku 632 głową ummy wybrano Abu Bakra, jednego z pierwszych nawróconych, ojca Aiszy, młodziutkiej, ukochanej żony Mahometa. Darzył on Proroka wielkim szacunkiem i czcząc jego pamięć, starał się dorównywać mu w pobożności i władczej roztropności. Obsadzając stanowiska w armii, szukał zawsze najlepszych i nie zwracał przy tym uwagi na to, kiedy przeszli na islam. Od stażu w wierze ważniejszy był talent. Wśród świeżych nabytków znalazł się także Chalid Ibn al-Walid, stronnik Abu Sufjana, który zdołał wcześniej odzna-

czyć się w walkach przeciwko muzułmanom. Jego późne przyjęcie nowej wiary przysporzyło młodemu ruchowi dalszych zwolenników. Za kalifatu Abu Bakra podporządkował sobie wiele plemion arabskich, które usłyszawszy o śmierci Proroka, oportunistycznie porzuciły dawne wierzenia i zwracały się ku lokalnym naśladowcom Mahometa. Wszystkie te wojny, zwane *ridda*, utrwaliły obraz Chalida jako zdolnego dowódcy. Odtąd zwano go Mieczem Boga (Sajf Allah). Jako taki został wyznaczony do poprowadzenia wyprawy na wschód, do Mezopotamii. Imperium Sasanidów chwiało się w posadach, gnębione dodatkowo wywołanymi przegraną wojną powstaniem przeciwko dotychczasowym władzom. Nim to dziesięciolecie dobiegło końca, Mezopotamia znalazła się w sferze wpływu muzułmanów.

Kalif Abu Bakr podjął także brzemienne w skutki decyzję o zaatakowaniu Bizancjum, chociaż utrzymywał przy tym, że wypełnia jedynie życzenie Mahometa, który wysłał już przecież kiedyś wojsko do Jordanii. Pretekst w istocie nie był tak naprawdę potrzebny. Oba dawne imperia były mocno osłabione i nic dziwnego, że ktoś trzeci postanowił zebrać owoce długiej wojny. Walka nie miała jednak nic wspólnego z popularną na Zachodzie wizją, w której pustynni wojownicy z szaleństwem w oczach najeżdżali cywilizowane krainy, nawracając wszystkich ostrzem miecza. Islam odmienił ludy Arabii, które wcześniej z rzadka naruszały granice zwabione bogactwami innego świata. Pod rządami Mahometa i jego następców umma stała się zwartą spo-

łecznością zdolną do planowania skoordynowanych kampanii. Podstawowej motywacji dostarczała jej bez wątpienia nowa wiara, jednak powody samego wszczęcia wojny były raczej typowo ludzkie, nie religijne. Słabość sąsiadów prowokowała, a ich bogactwa kusiły, należało zatem działać, zwłaszcza że było kim. W ten sposób w roku 634 muzułmanie ruszyli w końcu na Palestynę.

Prowadzącego pierwszą wyprawę Amr Ibn al-Asa, który podobnie jak Chalid późno przyjął nową religię, wierni okrzyknęli bohaterem. Zaatakował w pobliżu Gazy. Bitwa w oazie Dathin była niewiele więcej niż krótką potyczką, jednak zwycięstwo muzułmanów wstrząsnęło bizantyjskim Bliskim Wschodem. Dopiero co po dziesiątkach lat walki udało się wyeliminować Persów, a tu nagle w roli zdobywców wystąpili Arabowie, lud dotąd niekłopotliwy i nastawiony niemal wyłącznie na handel. Wieśniacy opuszczali w panice swoje pola, miasta zapełniły się uchodźcami, a Sofroniusz, patriarcha Jerozolimy, grzmiał z kazalnicy o „diabelskiej dzikości” najeźdźców. Amr tymczasem parł ze swoim wojskiem coraz dalej, plądrując wsie i omijając miasta. Trzymał się też z dala od wybrzeża, które patrolowała bizantyjska flota. Na wschód od Morza Martwego, na płaskowyżu Jordanii, żołnierze grabili, co tylko chcieli. Przebywający w swoim pałacu w Homs Herakliusz wezwał Teodora, swojego brata i weterana wojen perskich, do ruszenia na południe i uporania się z tym zupełnie niespodziewanym atakiem. Abu Bakr, który spoczywał już na łożu śmierci w Medynie, we-

zwał z kolei Chalida Ibn al-Walida, kazał mu przerwać operacje w Iraku i skierować się do Palestyny. Ten ostatni rozkaz zachwiał dotychczasową równowagę sił.

Późną wiosną roku 634 Chalid opuścił Irak i ruszył przez piekło syryjskiej pustyni ku zachodowi. Jego przeprawa przeszła do legendy. Wedle jednej z wersji miał na początku zakazać pojenia jucznych wielbłądów, aby ostatecznie dać im się napić do syta z Eufratu. Potem zabijał je kolejno i rozdzielał przechowywaną w nich wodę pomiędzy żołnierzy. Jakkolwiek tego dokonał, przebył pustkowia i pojawił się nie w Palestynie ani Jordanii, ale w południowo-zachodniej Syrii, ledwie dzień drogi od Damaszku. Tam po krótkim oblężeniu zdobył Bosrę (gdzie Mahomet został pierwszy raz uznany za proroka). Arabowie, których Bizantyjczycy mieli za kiepskich jeźdźców i rabusiów raczej niż wojowników, zdobyli cesarskie miasto, i to nie prowincjonalne, gdzieś na pograniczu Palestyny czy Jordanii, ale w Syrii. Herakliusz, który szybko wyczuł w tym zagrożenie dla swej cesarskiej osoby, przeniósł się na północ, do bezpieczniejszej Antiochii, skąd blisko było do Anatolii i morza. Chalid zaś ruszył na południe, a spotkawszy się z Amrem, przejął dowodzenie nad wojskiem skierowanym przeciwko bratu basileusa, Teodorowi.

Do pierwszego większego starcia doszło 30 lipca 634 roku, w pobliżu miejscowości zwanej Adżnadajn, która leżała zapewne około dwudziestu kilometrów od Betlejem. Niewiele o tej bitwie wiadomo, poza tym, że muzułmanie odnieśli miażdżące zwycięstwo. Jeden z przekazów podaje, że bohaterski Chalid wzywał



wcześniej Bizantyjczyków do pojedynków, szydząc głośno: „Jestem śmiercią bladolicych, jestem zabójcą Rzymian, jestem zesłanym na was biczem, jestem Zar-rar Ibn al-Azwar”. Jeśli tak było, przeżył te przechwałki, przypisuje mu się bowiem zabicie kilku bizantyjskich dowódców, co miało znacznie osłabić morale przeciwnika w decydującym momencie bitwy. Pokonany Teodor został odesłany w niełasce do Konstantynopola, pod opiekę mało serdecznej dlań Martyny, wszechwładnej siostrzenicy i szwagierki zarazem.

Muzułmanie nie ustali w pochodzie na północ. Boga-te łupy musiały bez wątpienia przyciągać nowych ochotników w ich szeregi. W ciągu następnego roku najeźdźcy wygrali szereg bitew w rejonie Morza Martwego, aż w końcu wdarli się wielką liczbą do Syrii i wzięli się do tamtejszych miast, pradawnych „portów pustynnych” przyjmujących karawany ze Wschodu. Położone w jednej linii Damaszek, Homs, Hama i Aleppo były kluczem do władzy nad całą krainą. Zgromadzeni za ich murami mieszkańcy zaczęli się zastanawiać, czy naprawdę warto być poddanym Bizancjum. Czy muzułmanie nie obiecywali wolności wyznania? Czy nie byli bratnim ludem semickim? Z Konstantynopolem zawsze była ta bieda, że nie tylko zbierał sowite podatki, ale też nigdy nie zostawiał ludzi w spokoju. Pod muzułmanami tyrania byłaby zapewne taka sama, ale synagogi i świątynie monofizytyckie odetchnęłyby zapewne od gwałtów.

Herakliusz zbierał owoce swojej mściwości i lat okrucieństwa wobec poddanych. Najpierw upadł Da-

maszek, potem Homs. Wyczuwający wahania mieszkańców prowincji basileus zaczął działać. Skoncentrował armię w Anatolii, wezwał posiłki z Armenii. Ghasanidzi, jako wieloletni sojusznicy cesarstwa, też zebrali siły. Mimo zmęczenia niedawnymi wojnami cesarstwo bizantyjskie nadal miało te same ambicje, które przyświecały Rzymianom. Chcąc panować nad światem, rzuciło całą swą potęgę przeciwko intruzom.

Przytłoczeni liczbą i zapewne gorzej przygotowani do walki muzułmanie zdecydowali się na taktyczny odwrót. Wycofali się z dopiero co opanowanych miast i zgrupowali siły w pobliżu Bosry i Dary w południowej Syrii. Co ciekawe, w drugim z tych miast osiedliło się jedno z plemion arabskich wyznawców judaizmu, których Mahomet wygnał dziesięć lat wcześniej z Mekki. Relacje nie wspominają nic o aktach wrogości pomiędzy nimi a wojskiem ich wcześniejszego prześladowcy. Ponadto zajmujące się płatnerstwem i kowalstwem plemię mogło nawet pomóc w doposażeniu armii muzułmanów zrażone nietolerancją i masowym rozlewem krwi za rządów Herakliusza. W istocie plemię Banu an-Nazir nie miało zapewne wielkiego wyboru w tej kwestii. Nad Jarmukiem stacjonowało piętnaście tysięcy wojowników Proroka. Latem 636 roku miała się tam pojawić wielka armia Bizantyjczyków.

Jeśli chodzi o samą bitwę, to chociaż miała ona wielkie znaczenie dla losów świata, brak jest pewnych źródeł opisujących jej przebieg. Można wybierać jedynie między oskarżycielskimi relacjami chrześcijańskich kronikarzy a triumfalistycznymi przekazami obecnymi

w muzułmańskiej tradycji. Jakkolwiek to wyważyć, nadal będziemy mieli do czynienia z propagandą raczej niż prawdziwą historią. Zachodni badacze odrzucali do niedawna większość muzułmańskich relacji, skłonni wiązać przegraną z nagłą burzą piaskową, która oślepiła Bizantyjczyków, chociaż rzecz rozgrywała się przecież pośród Wzgórz Golan. Wspominali też zwykle o wrodzonej, wedle Greków, perfidii Ormian. Jak podają, pewien lojalny dotąd armeński wojownik o imieniu Wahań, miał się ogłosić w przededniu bitwy nowym basileusem, co wywołało podobno wielki zamęt w bizantyjskich szeregach. Wprawdzie nie byłoby to nic niezwykłego w cesarstwie (ostatecznie Fokas i Heraklusz też byli uzurpatorami), jednak uzasadnianie porażki pojawieniem się frakcji buntowników wydaje się pomysłem mocno naciąganym. Co można powiedzieć z całą pewnością, to że Syria i Palestyna były wówczas słabymi, podzielonymi i niepewnymi politycznie prowincjami. Z drugiej strony, nadciągający Arabowie potrafili na tyle wygasić stare plemienne animozje, by stworzyć wielką i zdyscyplinowaną armię.

W lipcu 636 roku Bizantyjczycy zgromadzili siły w południowej Syrii. Główny obóz warowny założyli nad wadi w zachodnim rejonie Wzgórz Golan, blisko wioski Jakusach (dzisiaj stoi tam nie gorzej ufortyfikowany kibuc Meizar). Nie było ich raczej aż ćwierć miliona, jak podaje jedna z arabskich kronik, ale najpewniej przewyższali liczbowo muzułmanów dwa albo i trzy razy. Dowodzący z dalekiej Antiochii Heraklusz nakazał swoim dowódcom zwykle działania na rzecz

cesarstwa. Najpierw mieli podjąć próby przekupienia czy wręcz skaptowania swoich odpowiedników po stronie wroga. Był to względnie humanitarny sposób odnoszenia zwycięstw bez rozlewu krwi. Jeden z obecnych nad Jarmukiem bizantyjskich wodzów, niejaki Niketas, był zresztą tego najlepszym dowodem. Jego ojciec - Szarbaraz, wielki perski wódz - dwadzieścia lat wcześniej spustoszył Jerozolimę.

Muzułmanie nie złapali przynęty. Łapówki odrzucili, pochlebstwa zignorowali. Zyskano zapewne tylko tyle, że Ghassanidzi i inni arabscy sojusznicy Bizancjum mogli nabrać szacunku dla przeciwnika. Wprawdzie Umar, następca zmarłego kalifa Abu Bakra, pozbawił Chalida dowództwa, ale otaczająca go sława niezwyciężonego pozostała i wraz z pogłoskami o nowej wspólnocie wiernych musiała wywierać destrukcyjny wpływ na sprzymierzeńców cesarstwa. Mijało lato 636 roku, a nieprzekupni Arabowie nie tylko nie zniknęli z piasków pustyni, ale urosli jeszcze w siłę. Bizantyjczycy zaś, chociaż Syria od dawna była ich lennem, poczuli się jak na terenie przeciwnika. Szlaki zaopatrzeniowe przestały być bezpieczne, a na dodatek arabski namiestnik chrześcijańskiego Damaszku narzekał coraz głośniejsze na koszty utrzymania wielkiej cesarskiej armii. Podobno zorganizował nawet nocny wypad na obozowisko niedaleko miasta, co miało mocno podkopać morale wojska. Gdy nadszedł sierpień, bizantyjscy dowódcy pojęli, że Bóg im chyba jednak nie sprzyja i nie ma co dłużej czekać.

W połowie sierpnia 636 roku Wahań miał złożyć Chalidowi jeszcze jedną propozycję: jeśli muzułmanie zwiną obóz i opuszczą prowincję, będą mogli zachować łupy. Miecz Boga nie był tym zainteresowany. Następnego dnia rano, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa było to 15 sierpnia, zabrzmiały sygnały do rozpoczęcia walki. Na kamienistych polach pojawili się samotni wojownicy obu stron. Podczas gdy oni staczali śmiertelne pojedynki, reszta wojska przywdziewała kolczugi i pancerze z utwardzanej skóry. Muzułmańscy łucznicy dosiadali wierzchowców, bizantyjska piechota nakładała proste, spiczaste hełmy z metalowymi noskami chroniącymi środek twarzy. Błysnęło słońce na ostrzach dzid i włóczni, okrągłe tarcze stanęły murem. Znak bizantyjskiego krzyża przeciwko barwom Arabii. Armie, które podchodziły się przed całe lato, gotowe były do finalnej rzezi. Główna bitwa zaczęła się koło południa. Miała potrwać aż sześć dni.

Na ile można to dzisiaj określić, walki toczyły się na odcinku około piętnastu kilometrów, od Nawy na południu do brzegów rzeki Jarmuk. Bizantyjczycy zgrupowali się na zachodzie. Muzułmanie, którzy lepiej znali teren, wybrali wschodnią stronę, zostawiając inicjatywę przeciwnikowi. Cesarski obóz w Jakusach leżał na tyłach oddalony o dwadzieścia kilometrów. Rozbito go w miejscu łatwym do obrony, leżącym na drodze biegnącej do północnej Palestyny. Miał być drzwiami do ziemi obiecanej. Lokalizacja byłaby idealna, gdyby nie jeden minus o charakterze strategicznym. Między obozowiskiem a wybranym przez Chalida polem bitwy

ciągnęło się suche łożysko Wadi Rukkad - miejscami równie głębokie i urwiste jak wąwóz Jarmuku. W razie wymuszonego odwrotu, w który nikt nie wierzył, Bizantyjczycy musieliby nadkładać mocno drogi, kierując się ku północy, gdzie suche łożysko było łatwiejsze do przejścia, albo korzystać z rzymskiego mostu spinającego brzegi rozpadliny w Aj n Dakar. Most postawiono kilka kilometrów na północ od miejsca, gdzie Rukkad wpadała do Jarmuku. Zapewniał najkrótsze dojście do obozowiska i był całkiem solidny, ale bardzo wąski, co w oczywisty sposób musiałoby spowodować zator na drodze.

Bizantyjczycy jednak wierzyli w swoją przewagę liczebną i sprawiedliwość dziejową. Nawet tarcia między dowódcami nie osłabiły ich świętego przekonania, że skoro Rzymianie (nazywani przez wrogów Rumi lub Rum) zawsze wygrywali, tak będzie i tym razem. Przecież to oni byli prawowitymi spadkobiercami *mare nostrum*. Arabowie w tych kalkulacjach traktowani byli jako nieistotni dostarczyciele przejściowych kłopotów.

Pierwszy frontalny atak z pozycji leżących w pobliżu dzisiejszej wioski Tsil poprowadził zapewne Ormianin Wahań. Chroniona tarczami i poprzedzana oddziałem łuczników, bizantyjska piechota ruszyła do walki najpewniej w tej samej formacji jeża, która pomogła Rzymianom podbić starożytny świat. Lekka arabska jazda cofnęła się pod osłonę swoich łuczników i przegrupowała. W ciągu pierwszego dnia bitwy rozegrało się wiele pojedynków, do których włączali się też dowódcy obu stron. Sytuację, która wytworzyła się

o zmierzchu, można by nazwać patową. Żadna ze stron nie straciła, ale i nie zyskała terenu.

Następnego ranka Bizantyjczycy zaatakowali w porze modłów - tyle wiedzieli już o swoich nowych przeciwnikach. Zagrozili poważnie obozowiskom Chalda i innych dowódców, zwłaszcza na północy, w pobliżu Nawy, gdzie przełamali zapewne arabskie pozycje. Niektóre kroniki podają, że znaczącą rolę odegrały wówczas arabskie kobiety. Żony i córki uciekających wojowników miały zagrozić im drogę uzbrojone w zastrzone pale od namiotów i przeklinając ich głośno za ustąpienie z pola. W późniejszej tradycji podkreślano oczywiście rolę Hind, która miała uratować sytuację w południowej części pola bitwy, obok urwiska Jarmuku, intonując wraz z siostrami pieśń wyrażającą jedną z najstarszych możliwych w takiej sytuacji gróźb:

*Jesteśmy córami nocy;*

*Z kocią gracją*

*przeciągamy się na poduszkach,*

*podzwaniając bransoletami.*

*Jeśli zwyciężycie, obejmiemy was,*

*jeśli cofniecie się, nagrodą będzie*

*oddzielenie od łoża miłości.*

Mąż Hind, siedemdziesięcioletni Abu Sufjan, zawrócił w miejscu i poprowadził kontratak, w którym stracił oko od bizantyjskiej strzały. Inny dowódca z północnej części pola miał wykonać identyczny manewr z okrzykiem: „Łatwiej stawać przeciwko Rumim, niż sprzeciwiać się własnym żonom!”

Jakkolwiek było naprawdę, muzułmanie musieli zmobilizować wszystkie siły, aby powstrzymać atak bizantyjskiej piechoty i konnicy. Za plecami mieli tylko pustynię, co uniemożliwiało im strategiczny odwrót. Chalid przyjął zapewne ryzykowną taktykę atakowania jedynie wówczas, gdy przeciwnik zacznie wykazywać oznaki osłabienia albo dezorganizacji. Dowódca znacznie słabszych liczebnie sił muzułmańskich nie mógł sobie pozwolić ani na jedno, ani na drugie. Mimo rozbieżności w relacjach źródłowych jedno wydaje się pewne: ostatecznie dojrzał swoją szansę czwartego albo piątego dnia krwawej bitwy.

W *Strategikonie*, bizantyjskim traktacie wojskowym z epoki, sugerowano równoczesne zastosowanie piechoty oraz jazdy dla zaskoczenia przeciwnika i ostatecznego rozbicia jego sił. Manewr wymagał zgrania i wyćwiczenia żołnierzy, zwłaszcza piechoty, która winna we właściwych chwilach usuwać się, by stworzyć przejścia dla jazdy galopującej na przeciwnika i wracającej po nagłym ataku. W ogniu walki nie była to łatwa sprawa. Czołowi historycy analizujący bitwę uważają, że Bizantyjczycy spróbowali tego i im się nie udało. Takie wytłumaczenie klęski wydaje się bardziej prawdopodobne niż opowieści o burzy piaskowej. Zapewne jazda odsadziła się z jakiegoś powodu od piechoty, zostawiając ją bez wsparcia. Chalid trzymał konnych w odwodzie za swoimi liniami. Czekał zapewne na podobną chwilę. Przy dźwięku czyneli i wtórze głośnych krzyków pognął na osłabionego przeciwnika. Zaskoczona bizantyjska konnica, która składała



się w większości z Ghassanidów, uciekła zaskoczona na północ, w kierunku Tali al–Dżabili i na położone dalej pola lawy. Armeńska piechota została z odsłoniętą flanką, która przyjęła cały impet ataku. Oczywiście musiała ustąpić przed uzbrojoną w miecze i włócznie jazdą. W czasach przed wynalezieniem prochu był to najbardziej morderczy oręż i marzenie każdego jeźdźca. Lewe skrzydło Bizantyjczyków zostało zmasakrowane. To samo spotkało część centralnie rozmieszczonych oddziałów.

Jednak Bizancjum nie utraciłoby Bliskiego Wschodu, gdyby nie jeszcze jedna niespodzianka, która miała się zdarzyć tego dnia. Wedle jednej z relacji, gdzieś w tym rejonie czekał w ukryciu, za wzgórzem albo w jakiejś rozpadlinie, niewielki oddział jazdy. Dowodzić mógł nim Zarrar Ibn al–Azwar, zabójca bladolicych z Adżnadajnu. Gdy przyszedł rozkaz, konni wypadli z kryjówki i niczym wichur ruszyli na zachód. Przedarli się przez ogarnięte chaosem linie przeciwnika i ruszyli przed siebie. Ich celem był most w Ajn Dakar.

Nie da się oczywiście ustalić, gdzie krył się ów oddział. Jeśli rzeczywiście istniał, mógł czekać za dawno już ściętym rzędem drzew albo za Dajr Ajjub, Wzgórzem Hioba, czy wyższym nieco Tali al–Dżumu’a, Wzgórzem Zgromadzeń (gdzie obecnie znajduje się posterunek obserwacyjny syryjskiej armii). Droga skręca tu w prawo przed grobowcem Hioba i biegnie dalej przez pustkowie prosto na zachód. Można przypuszczać, że z tego właśnie miejsca jeźdźcy ruszyli galopem ku wiosce Tsil. Dzisiaj jak okiem sięgnąć rosną gaje

oliwne, gdzie zawołowane kobiety uderzają drągami w gałęzie, aby strącać owoce na ułożone na ziemi płachty. Mężczyźni, większość w czerwonych albo czarnych kefijach, wiążą z nich worki i ładują na grzbiety cierpliwych osłów. Gdyby nie przemykające czasem drogą wojskowe jeepy, sceneria byłaby zapewne bardzo podobna do tej sprzed setek lat.

W Tsil jest już inaczej. Przybysza witają liczne, chociaż niedokończone, betonowe konstrukcje wielopoziomowych skrzyżowań. Uczennice schodzą z drogi rozmaitym wynalazkom samochodowym, które pełzną niczym pobrząkujące owady. Zapytany o drogę sklepikarz gotów jest pomóc, ale najpierw wskazuje drogę do Wadi Allan. Dopiero po chwili pojmuję, że turyście chodzi o Wadi Rukkad i Ajn Dakar. Uśmiecha się, ale zaraz kręci głową i wyjaśnia, że tam nie da się dojechać. I ma rację. Jakkolwiek by próbować, niezmiennie trafia się na zapory drogowe i czuwających przy nich syryjskich poborowych o twarzach dzieci. Turysta może pokazywać im dowolne papiery, i tak pozostają nieubłagani. Most Ajn Dakar leży tylko kilka kilometrów dalej, jednak obecny konflikt skutecznie blokuje dostęp do niego. Dopiero pewien staruszek prowadzący osła z siedzącym na grzbiecie zwierzęcia prawnikiem, pokazuje ścieżkę biegnącą w dół zbocza.

Dróżka okazuje się bardzo trudna do przebycia, a stok szalenie stromy, ostatecznie jednak udaje się dotrzeć do brukowanej drogi, której tak pilnowali żołnierze. Z góry nie widać już tego miejsca, nie trzeba się zatem martwić posterunkami. Nieco dalej rośnie zagaj-

nik oferujący cień i dodatkową osłonę przed czujnymi spojrzeniami żołnierzy. Jeszcze niecałe pół kilometra i droga zaczyna biec po równym terenie, aż w końcu dociera do szerokiego wąwozu. Tutaj po lewej stronie wznosi się rzymski most. Od dawna nieużywany, ale jedyny w swym rodzaju. Łuki z czerwonej cegły, mocne kamienne filary i lekko wybrzuszone jezdnie pozwalają rozpoznać w nim dzieło inżynierów z epoki *mare nostrum*. Mimo że nie ma tu żadnej tablicy ani inskrypcji, jest obecnie pomnikiem przypominającym tamtą bitwę.

Wadi Rukkad wypełniają dziś granitowe bloki, między którymi zielenieją mizerne krzewy. Ku południowi koryto rzeki opada aż do miejsca, gdzie łączy się z Jarmukiem. Na północy drobne fale uderzają w tamę przegradzającą nurt rzeki. Na zachodzie wznoszą się Wzgórza Golan. Nie wiadomo skąd, drogą biegnącą ze wschodu nadjeżdżają szybko trzy jeepy opatrzone wielkimi literami UN. Wojska ONZ nie przejawiają szacunku dla historii. Najwyraźniej zbyt wiele wody przepłynęło już pod tym mostem...

Muzułmańscy jeźdźcy nie szukali długo. Zdrajca doprowadził ich wprost do mostu. Reszta była wynikiem zaskoczenia i demoralizacji przeciwnika. Żołnierze Proroka dość szybko opanowali przeprawę i zablokowali chrześcijanom najdogodniejszą drogę ucieczki w kierunku obozowiska. To już nie był problem wąskiego gardła. To była pułapka.

Co gorsza, w ślad za jazdą Chalid pchnął do walki piechotę, tak że północna droga odwrotu również oka-

zała się niedostępna dla wojsk cesarskich. Na drodze do brodu stały już tysiące muzułmańskich wojowników, większość zapewne razem z żonami. Wielka masa bizantyjskiego wojska została zamknięta w południowo-zachodniej części płaskowyżu, między Wadi Allan i Wadi Rukkad. Jedyna droga odwrotu prowadziła przez kamieniste rozpadliny albo strome zbocza wąwozu Jarmuku.

Klęska zmieniła się w paniczną ucieczkę. Nie było jednak gdzie uciekać, bo obozowisko także wpadło w ręce przeciwnika. Jeźdźcy z Ajn Dakar wyprawili się pod osłoną nocy do Jakusach i zniszczyli bizantyjskie pozycje na tyłach. Powodzenie zawdzięczali załamaniu woli walki u przeciwnika i własnej szaleńczej odwadze. Wieści o porażce dotarły na pierwszą linię i nim minął dzień, wojska cesarskie zmieniły się w przerażony tłum szukający o poranku jakichkolwiek dróg ucieczki. Niektórzy siadali po prostu na ziemi, czekając na swój los, inni ginęli, uchodząc z pola walki. Jeszcze inni stawiali opór do końca. Muzułmanie napierali z północy i wschodu, spychając przeciwnika w kierunku wąwozu Jarmuku. Nie brano jeńców. Tego dnia śmierć dopadła tysiące, a może nawet dziesiątki tysięcy ludzi.

Jednak koszmar bizantyjskich żołnierzy jeszcze się nie skończył. Ci, którzy umknęli w początkowej fazie walki albo przebili się zwartymi grupami, ruszyli na północ przekonani zapewne, że muzułmanie pozostaną na polu bitwy, aby obdzierać trupy z łupów. Pomylili się, nie doceniając dyscypliny panującej w szeregach przeciwnika. Muzułmanie ruszyli w pościg. Większa

część Syrii oraz obecnego Libanu stała się sceną wielkiego polowania na ludzi. Wahań wraz z pozostałymi mu jeszcze oddziałami został osaczony na południe od Damaszku i zabity. Inna grupa wycofujących się wojsk została wybita w Dolinie Bekaa. Chalid uderzył na Homs, kilkaset kilometrów na północ od Jarmuku, gdzie Niketas chronił skórę, ogłaszając nagle swoje nawrócenie na islam. Potem fala muzułmanów dotarła jeszcze dalej, do doliny Orontesu, kolebki syryjskiej cywilizacji, oraz do granic Anatolii, aż za Aleppo. Miasta poddawały się jedno po drugim. Szybko stało się oczywiste, że nie będzie kolejnej wojny o bizantyjską Syrię. Jarmuk przesądził sprawę.

W krajobrazie na północny zachód od Aleppo widać jeszcze fragmenty tego świata, który miał wówczas zniknąć, chociaż tam, gdzie kiedyś wznosiły się miasta, teraz zostały tylko wapienne granie. Tu i ówdzie otwierają się niespodziewanie rozpadliny, jakby sama ziemia próbowała zwodzić wędrowców. Żywych śladów ludzkiej obecności jest niewiele. Rozrzucone tu i ówdzie na wzgórzach wioski stoją samotnie niczym strażnicy dzikiej krainy. Wszędzie jednak można dostrzec obrobione, miodowe bloki kamienia odbijające się wyraźnie od szarych skał i purpurowej gleby. Gdy przyjrzeć się uważniej, można poznać, że te bloki to pozostałości elementów architektonicznych dawnych budowli - kościołów, willi, magazynów, rynku. Takich opuszczonych bizantyjskich miast i wiosek jest łącznie ponad siedemset. Wszystkie zamienione w ruinę świadczą o czasie, kiedy nagie obecnie wzgórza porośnięte były

gajami oliwnymi i ogrodami, a na przecinających krajną rzymskich drogach tłoczyli się kupcy, skrybowie, matrony, aktorzy, mnisi i pielgrzymi.

Największe wrażenie robią pozostałości pewnego miasta leżącego na zielonych stokach gór, tuż ponad ostatnim odcinkiem szlaku jedwabnego, biegnącego z Chin do Antiochii. Zachodni wiatr od gór świszczy pośród drzew oliwnych i sosen okalających ulicę znaną niegdyś jako Via Sacra. Obecnie kończy się ona wielkim rumowiskiem bloków i na wpół zawalonych łuków. To pozostałości wielkiej bazyliki zbudowanej na planie krzyża dokoła otwartego dziedzińca. Pośrodku znajduje się podstawa kolumny, która miała niegdyś dwadzieścia metrów wysokości. Na jej szczycie mieściła się drewniana platforma - przez trzydzieści sześć lat siedlisko Szymona Słupnika, pustelnika z piątego wieku, którego ostentacyjna asceza i samoumartwienie przyciągało tłumy pielgrzymów z całej bizantyjskiej Syrii.

Ruiny kompleksu bazyliki świętego Szymona Słupnika dają pewne pojęcie o bogactwie chrześcijańskiej Syrii i wadze, jaką przywiązywano wówczas do spraw pozaziemskich. W cieniu szczątków kolumny spory religijne, które wstrząsały Bizancjum, nie wydają się już tak egzotyczne. Miasto, które było niegdyś również często nawiedzane przez pielgrzymów jak Jerozolima, przetrwało pierwszy wstrząs po bitwie, zostało jednak pokonane przez jej długofalowe skutki. Zaczęło z wolna podupadać. Trzęsienia ziemi i zaniedbanie dokonały z czasem reszty dzieła zniszczenia. Nawet tym-

czasowy powrót Bizancjum na te tereny w dziesiątym wieku nie zdołał zahamować dechrystianizacji. Według większości badaczy, około roku 900 islam stał się w Syrii religią dominującą. Sto lat później ruiny bazyliki wyglądały już tak jak dzisiaj. Szymon Słupnik zapewne z trudem pojąłby meandry historii.

Jarmuk oznaczał nie tylko koniec chrześcijańskiej hegemonii w basenie Morza Śródziemnego. W Niedzielę Palmową 638 roku kalif Umar Ibn al-Chattab wkroczył do Jerozolimy. Podążał dokładnie tymi samymi ulicami co ledwie osiem lat wcześniej Herakliusz. Do dziś trwają spory o to, czy jechał na ośle czy śnieżno-białym wielbłądzie. Niemniej Sofroniusz, patriarcha Jerozolimy, okazał mu cześć godną władcy. Umar zaś zdecydował, że Żydzi i chrześcijanie będą płacić od tej pory dzizję, czyli pogłównę, podatek pozwalający na wyznawanie własnej wiary. Oba „ludy Księgi” były od tej pory zimmimi, chronionymi obywatelami drugiej kategorii, których los zależał od aktualnego poziomu tolerancji muzułmańskiej władzy. Koran nie zaliczał ich do równie oświeconych jak wyznawcy prawdziwej wiary:

*I nie sprzeczaście się z ludem Księgi inaczej, jak w sposób uprzejmy - z wyjątkiem tych spośród nich, którzy są niesprawiedliwi - i mówcie: „Uwierzyliśmy w to, co nam zostało zesłane, i w to, co wam zostało zesłane. Nasz Bóg i wasz Bóg jest jeden i my jesteśmy Mu całkowicie poddani”.*

Patriarcha Sofroniusz zaprosił kalifa Umara do Bazyliki Grobu Świętego. Wprawdzie Isa (Jezus) był kimś

ważnym dla muzułmanów, ale Umar odmówił. Powiedział, że gdyby zastało go w bazylice wezwanie do modlitwy, jako dobry muzułmanin musiałby usłuchać, a wówczas jego lud zażądałby, aby zmienić tę świątynię w meczet. A tego chyba patriarcha by nie chciał, prawda?

Z górą Moria było inaczej. Umar wiedział, że to kamieniste wzniesienie ponad Jerozolimą, zwane także Górą Syjon, Wzgórzem Świątynnym i Pępkiem Świata, było miejscem, gdzie Ibrahim (Abraham), pierwszy monoteista i tym samym pierwszy muzułmanin, próbował złożyć w ofierze swojego syna. To tam, Sulejman (Salomon) zbudował swoją świątynię. Stamtąd właśnie Mahomet wzniósł się do nieba, aby spotkać się dawnymi prorokami, i tam z nieba powrócił. Było to więc święte miejsce, ustępujące jedynie Mekce i Medynie. Przez pierwsze dwa lata Prorok modlił się nawet zwrócony w stronę Jerozolimy, a nie opanowanej przez wrogów Mekki. Jako drugi z następców Proroka, kalif Umar stanął na szczycie i ogarnął spojrzeniem okolicę. Teraz ta kraina była częścią Dar al-islam, terytorium islamu, i tym samym - pokoju. Rumi władali nadal Dar al-harb, terytorium wojny.

Niedobitki bizantyjskich armii wycofały się za góry Taurus, do kamienistej Anatolii, Azji Mniejszej dla starożytnych. Herakliusz opuścił Antiochię załamany. Cesarstwu, które uratował przez Persami, został zadany cios, który spadł jakby znikąd, prosto z pustyni. W kościołach i bazylikach jego państwa zadawano jedno pytanie: Czy zwycięstwo heretyków to kara zesłana na



Bizancjum przez Wszechmogącego? Widok powracającego basileusa mógł sugerować, że tak. Nad Bosforem Herakliusz nie zdołał wsiąść na barkę, która miała przewieźć go na europejski brzeg. W jakiś sposób nabawił się nieprzewycięzalnego lęku przed wodą. Hydrofobia przez kilka tygodni nie pozwalała mu wejść do miasta, aż w końcu zbudowano most pontonowy. Basileus przejechał nim dopiero wtedy, gdy specjalnie ustawieni jeźdźcy i liczne palmy zasłoniły przed jego oczami widok cieśniny.

Herakliusz zmarł w roku 641, zostawiając cesarstwo na łasce Martyny i jej intryg. Jej spory z synami i kochankami w sprawie sukcesji nie miały końca. Umar został zamordowany w 644 roku. Był pierwszym z trzech kolejnych kalifów, których spotkał taki los. Terytorium pokoju zmieniło się w pole wojny domowej. Co do Chalida, zmarł w niejasnych okolicznościach, zwolniony ze służby krótko po bitwie nad Jarmukiem. Zapewne kalif Umar nie chciał, aby sława wielkiego wodza przyćmiła jego własną. W Homs, miejscu wielu triumfów Chalida, wzniesiono na jego cześć wielki meczet. Na początku dwudziestego wieku odbudowano go w stylu osmańskim. Sarkofag Chalida znajduje się w rogu, obok wejścia, skąpany w zielonym, fluorescencyjnym blasku. Na dziedzińcu modlitewnym widnieje napis, po arabsku i po angielsku: „Nie prosź, to niegodne”.

# ROZDZIAŁ DRUGI

## POITIERS 732

Wiek arabskich podbojów; walki w Konstantynopolu, Afryce Północnej, Hiszpanii i Galii

Czasem słowo pisane przyćmiewa zdarzenie, które opisuje. O stuleciu, które nastąpiło po wielkiej bitwie nad brzegami Jarmuku, nikt nie spisał bardziej pamiętnych zdań niż Edward Gibbon na temat bitwy pod Poitiers, podczas której Karol Młot zadał muzułmanom miażdżący cios. Gibbon, ten Herodot oświecenia, dał się ponieść spekulacjom, co by było, gdyby losy bitwy potoczyły się inaczej. Stworzony przez niego scenariusz niczym zmora prześladował Zachód przez wiele pokoleń:

*Zwycięski marsz powiódł Saracenów tysiąc mil od skały Gibraltaru, aż po brzegi Loary; gdyby przeszli jeszcze drugie tyle, osiągnęliby granice Polski i góry Szkocji; Ren nie jest trudniejszy do przebycia od Nilu albo Eufratu, arabska flota zaś mogłaby wpłynąć bez walki do ujścia Tamizy. W szkołach Oksfordu nauczano by egzegezy Koranu, a z tamtejszych kazalnicy głoszono by obrzezanemu ludowi świętość i prawdziwość objawień Mahometa.*

Zwodząc po mistrzowsku czytelnika, Gibbon sugeruje, że bitwa pod Poitiers uratowała chrześcijaństwo. W czasach oświecenia nie był w tym poglądzie odosobniony. Francuzi - na ich ziemi rzecz się rozegrała - w swojej literaturze z dawna podkreślali jej znaczenie.

Wolter, ten złośliwy geniusz, kpiąc z zachwyty swych rodaków nad bitwą, dodawał jednak z przejęciem w *Lessai sur les moeurs*: „Gdyby nie Karol Młot (...) Francja byłaby muzułmańską prowincją”. Późniejsi twórcy zgadzali się z tym, często nawet z jeszcze większą egzaltacją. Do dziś w wielu ratuszach francuskich miast można napotkać dziewiętnastowieczne malunki przedstawiające Maurów wlewających się do Europy w towarzystwie skąpo odzianych Amazonek. Nasze najważniejsze źródło informacji na temat bitwy, *Kronika mozarabska z roku 754*, wprowadza nowe słowo - *europenses* - określając Europejczykami poddanych Karola Młota. Szybko podchwycili to wszyscy, którzy traktowali Poitiers jako swoisty chrzest Europy. Nawet jeśli prace współczesnych historyków umniejszają znaczenie tamtej bitwy, mając ją jedynie za przejściowe niepowodzenie wojowników Proroka, dla wielu ludzi Zachodu Poitiers pozostaje swoistą cezurą porównywalną z przekroczeniem Rubikonu przez Cezara czy odkryciem Kopernika. Dla muzułmanów oznacza pierwszą porażkę po stuleciu podbojów czynionych w imię Mahometa. Podbojów, które na zawsze odmieniły świat Morza Śródziemnego. Tak zatem, nawet jeśli nie była ona punktem zwrotnym, na pewno można uznać ją za zapowiedź istotnych zmian.

Obecny widok kościoła Świętego Hilarego w Poitiers nie kojarzy się nijak ze stuleciem arabskich zwycięstw. Wprawdzie muzułmanie złupili go jesienią 732 roku, jednak przesiąkł na tyle ponadczasową atmosferą chrześcijaństwa, że przywołanie tamtych zdarzeń wy-

maga wielkiego wysiłku wyobraźni. Nie przypomina nijak ruin bazyliki Szymona Słupnika. Brak wkoło cyprysów i spalonych słońcem pustkowi. Jasna romańska budowla (obecna świątynia pochodzi z roku 1049) znajduje się w zacisznym zakątku Starego Miasta. Jej wypolerowane deszczem i wiatrem kamienie osłania cień dostojnego cisu. Co niedziela garstka miejscowych parafian uczestniczy w mrocznym wnętrzu w mszy. Całość wydaje się aż do posad chrześcijańska i nic nie sugeruje, aby kiedykolwiek była inna.

Wychodząc ze starego kościoła na miasto i jeszcze dalej, na przedmieścia, także nie spotyka się żadnych znaków sugerujących dawną obecność wyznawców Proroka w tej okolicy. Poitiers, chociaż leży na południe od Loary, znajduje się tylko trzysta kilometrów od Paryża i daleko mu do śródziemnomorskich klimatów. Wzniesione na wzgórzu nad rzeką Clain, z wieżami i pokrytymi szarą dachówką klasztorami, nie ma wiele wspólnego z bogatymi w ciepłą terakotę miastami Południa. Jego otoczenie, region Poitou, to Francja jak z widokówek, ze strumieniami, zagajnikami i łagodnymi, zielonymi wzgórzami oraz wieśniakami zaznajomymi różnych bukolicznych radości w stogach siana albo przesiadującymi przed rozpalonymi kominkami. Nie ulega wątpliwości, że tak bogata kraina warta była wojennego trudu, co potwierdzają dwie inne bitwy tu rozegrane. W 507 roku Chlodwig, pierwszy chrześcijański król Franków, pokonał na wschód od Vouillé Wizygotów. Jak powiadano, prowadziło go wówczas niebiańskie światło, które pojawiło się nad grobem święte-

go Hilarego. W 1356 roku Francuzi stawili tu czoło Anglikom podczas wojny stuletniej. Niezrażony wcześniejszą o dziesięć lat klęską pod Crécy, kwiat francuskiego rycerstwa pogalopował ku jeszcze większej katastrofie, tym razem na południe od miasta. W sielskim krajobrazie Poitou zarumienieni od wysiłku topornicy starli się bezlitośnie pośród zieleni i w cieniu zamków, które obie strony uważały za swoje.

Skąd się jednak tu wzięli uczniowie pustynnego wizjonera? Co porabiali pośród łąnów zbóż i przydrożnych kapliczek? Do dziś zdumiewa, że dotarli tak daleko i że stało się to tak szybko. Opisuując przeszłość, trzeba zawsze przekroczyć pogłębiającą się z każdą chwilą przepaść czasu, tutaj jednak wchodzi w grę także kwestia dystansu geograficznego. Gibbon podkreśla, ile to mil muzułmanie przemaszerowali od Gibraltaru, jednak stuletni wyścig do tego zielonego zakątka Francji nie zaczął się u podnóża skały na krańcu Europy. Jego początku należy szukać na drugim brzegu morza. Opowieść o tym, co zdarzyło się pomiędzy Jarmukiem a Poitiers, brzmi chwilami wręcz nieprawdopodobnie.

Zacząło się od najbogatszej prowincji antycznego świata, Egiptu, który był wówczas spichlerzem mogącym skusić każdego najeźdźcę, a co dopiero wojowników z pustynnego Hidżazu na Półwyspie Arabskim. Muzułmanie mogli nie wiedzieć, że w roku 610, gdy Mahomet doznał pierwszego objawienia, skarbiec greckiego patriarchy Aleksandrii krył w sobie aż osiem tysięcy funtów złota, arabscy kupcy widzieli jednak najpewniej, jakim rogiem obfitości był Dar Nilu (Egipt

wysyłał do Konstantynopola tytułem podatków siedem milionów buszli ziarna rocznie). Musieli słyszeć też o tysiącletniej tradycji handlu szmaragdami i złotem z kopalni w górze rzeki. Nawet bez boskich wskazówek Kurajszyci wiedzieli, czego szukać.

Tym, który wybrał Egipt za cel ataku, był Amr Ibn al-As, sprawca pierwszego zwycięstwa muzułmanów nad Bizantyjczykami w oazie Dathin niedaleko Gazy w roku 634. Od tamtego czasu usatkwował się nieco i osiadł w majątku w Beer Szewie, niegdyś domu Abrahama i jego kłótniowego rodu. Dzieci Abrahama miały raz jeszcze ucierpieć za sprawą Amra, gdy poprowadził on oddział czterech tysięcy konnych przez pustynię Negew. Nie była to wielka siła, jeśli wziąć pod uwagę cel wyprawy, ale niewiele prowincji cesarstwa mogło być wówczas równie łatwym łupem.

Po przekroczeniu Synaju w grudniu 639 roku muzułmanie zastali mieszkańców Egiptu w ponurych nastrojach. Były one skutkiem złych wieści dochodzących z Konstantynopola oraz tradycyjnych już miejscowych sporów religijnych. Większość egipskich chrześcijan, którzy zwali się koptami (od słowa Kopt, co było jednym z określeń Egiptu), odrzuciła decyzję podjętą w 451 roku na soborze chalcedońskim o fatalnym w skutkach podziale wschodniego chrześcijaństwa na kilka odłamów. Ortodoksi deklarowali, że Jezus miał podwójną naturę, człowieczą i boską. Koptowie, na których greckie i rzymskie ambicje, aby przemawiać w imieniu całego chrześcijaństwa, nie robiły większego wrażenia, pozostali przy monofizytyzmie głoszącym,

że Jezus miał tylko jedną naturę boską. Ortodoksyjnej, czyli chalcedońskiej odmiany wiary właściwej ich władcom nie cierpieli równie mocno jak poborców podatkowych.

Podczas okupacji Egiptu w latach dwudziestych siódmego wieku Persowie przebiegle faworyzowali koptyjskich przywódców, usuwając w ten sposób w cień greckie elity, jednak po zwycięstwie Herakliusza nad Chosrowem stary porządek powrócił, a wraz z nim powróciły prześladowania. Ostatecznie greccy duchowni zaproponowali kompromis, wprowadzając coś takiego jak monoteletyzm (głoszący, że w obu swych naturach, ludzkiej i boskiej, Chrystus kierował się jedną wolą). Była to swoista doktrynerska sztuczka, która spotkała się w Egipcie (i gdzie indziej) ze sceptycznym przyjęciem. Dużą rolę w dyskredytacji tej swoistej gałązki oliwnej podanej monofizytom odegrał patriarcha Jerozolimy - Sofroniusz. Najpewniej pożałował gorzko tego zamachu na chrześcijańską jedność, gdy dziesięć lat później przyszło mu oprowadzać po mieście wodza zwycięskich muzułmanów.

Amr dobrze wykorzystał sytuację. W lipcu 640 roku dotarł do bram Babilonu, miasta garnizonowego leżącego w dolnym nurcie rzeki, blisko dawnej stolicy faraonów w Memfis. Była to jedna z ważniejszych w okolicy warowni, której nie należy mylić z antycznym Babilonem w Mezopotamii. Obleżone miasto utrzymało się przez jesień i zimę, chociaż jego dowódcy oraz koptyjscy mieszkańcy pozostawali pod komen-  
dą Cyrusa, greckiego patriarchy, a zatem namiestnika

Konstantynopola w Egipcie. Trudno orzec, czy Cyrus z własnej woli podjął rokowania z przeciwnikiem, czy tylko osłabił wolę walki obrońców. Herakliusz, stary już, ale wściekły, odwołał Cyrusa do stolicy i zwolnił go ze stanowiska. Zaraz potem jednak umarł i w połowie 641 roku Cyrus znów pojawił się nad Nilem, tym razem jako wysłannik owdowiałej Martyny, która za wszelką cenę pragnęła pokoju - potrzebowała go, aby spokojnie prowadzić intrygi, które miały wynieść ją na szczyty władzy. Niewiele jej z tego wyszło, bo przed końcem roku została zesłana wraz z synem Herakleonem na Rodos. Ona - z odciętym językiem, on - z uciętym nosem. W stolicy zawrzało i chyba niewielu zwracało uwagę na atak, który dotknął najbogatszą prowincję cesarstwa.

Babilon poddał się 9 kwietnia 641 roku. Zaraz potem Amr Ibn al-As skierował się ku wielkiej metropolii założonej przez Aleksandra Wielkiego, która uchodziła za najważniejszy ośrodek hellenizmu w basenie Morza Śródziemnego. Niegdyś potężna Aleksandria nie miała obecnie wielkich szans na skuteczną obronę. Pochłonięty walkami o sukcesję dwór w Konstantynopolu nie był zdolny do podjęcia żadnej ważniejszej decyzji. Ten sam paraliż ogarnął oczywiście flotę. Swoje dodał też powrót Cyrusa, któremu wśród innych zasług pamiętano także to, że kazał kiedyś pojmać brata monofizyckiego biskupa i w zawiązanym worku wrzucić do morza. Na pewno nie był osobą zdolną zainspirować obrońców do bohaterских czynów. Amr zaś był nie tylko świetnym jeźdźcem, ale i utalentowanym dyplo-



matą. Jego długotrwałe negocjacje z Cyrusem mogły mieć tylko jeden skutek - kapitulację, zamieszkaną przez 600 tysięcy ludzi, stolicy Egiptu.

We wrześniu 642 roku Grecy odpłynęli i Amr wkroczył ze swoją armią przez otwarte bramy miasta. Nie napotkał żadnego oporu. Późniejsze naznaczone antymuzułmańskim podejściem zapiski oskarżają Amra o splądrowanie słynnej Biblioteki Aleksandryjskiej. Miało to być skutkiem typowej - podobno - dla Beduinów ignorancji i zawziętości. Rzetelniejsze badania nie potwierdzają tego faktu. Zbiory biblioteki zostały zniszczone lub rozkradzione podczas wewnętrznych sporów chrześcijan na długo przed przybyciem Arabów. Wiele mówi pewien koptyjski komentarz, spisany kilkadziesiąt lat po tych wypadkach: „Wszyscy wiedzą, że pokonanie Greków i podbój Egiptu przez muzułmanów był karą za tyranie Herakliusza i zło, które zaszczerpił [w Egipcie] poprzez patriarchę Cyrusa”. Jeszcze bardziej zdecydowany sąd wyraża pewna monofizycka praca historyczna powstała po kilku wiekach panowania islamu: „Bóg zemsty, (...) widząc złą wolę Greków, którzy okrutnie gnębili nasze kościoły i monastyny wszędzie tam, gdzie mieli władzę, a nas prześladowali bez litości, sprowadził z południa synów Izmaela, aby nas zbawili”.

Amr postanowił nie wtrącać się w spory chrześcijan, przynajmniej dopóki będą płacić podatki. Wedle jednego z przekazów, napisał do kalifa Umara o wielkim bogactwie, które przestanie wreszcie odpływać z Aleksandrii do Konstantynopola: „Wyślę do Medyny

karawanę wielbłądów tak długą, że pierwszy z nich dotrze do celu, zanim jeszcze ostatni wyruszy w drogę”. Miejscem odprawiania karawan miało się stać nowe miasto, Al-Fustat, wzniesione między Babilonem a Memfis, tam gdzie Nil rozwidła się w deltę. Razem z Al-Kufą i Al-Basrą, nowo założonymi miastami w Iraku, zostało zaplanowane jako amsar, zamknięta osada arabskich muzułmanów usytuowana w miejscu, gdzie ziemie uprawne spotykają się z pustynią. Wojownicy oraz imigranci mieli żyć w rządzącym się prawem plemiennym amsarze, korzystając z pracy miejscowej ludności, która nie była ani prześladowana za swą wiarę, ani nakłaniana do przejścia na islam. Powód był prosty - gdyby się nawróciła, musiałaby zostać zwolniona z podatku, co zmniejszyłoby sumę pozostającą do podziału w obrębie ummy. Instytucjonalna grabież praktykowana przez Bizancjum została zastąpiona nowym, mniej dotkliwym dla okradanych systemem.

Ledwie cztery lata po założeniu Al-Fustatu Amr musiał wracać do swej siedziby w Judei. Kalif Umar zginął z ręki perskiego niewolnika, jego następcą zaś, wybrany przez radę dostojników Medyny - Usman Ibn Affan, natychmiast pokazał, że nie ma ochoty hodować sobie w Egipcie rywala. Amr stracił stanowisko namiestnika na rzecz krewniaka nowego kalifa. Nie minęło wiele czasu, a niemal wszystkie ważne stanowiska w młodym państwie Arabów zajmowali członkowie rodziny Usmana. Fala podbojów owocowała bogactwami, bogactwa zaś rodziły niesnaski. Głodni i biedni jeszcze niedawno muzułmanie triumfowali nie tylko w Egipcie,

Syrii i Palestynie, ale także w Iraku i na pograniczu Persji. Napływające skarby podsycaly osobiste ambicje. Jakkolwiek pobożni byli naśladowcy Proroka, nie czyniło ich to odpornymi na zawiść i chciwość. Wyglądało na to, że pod rządami nowego kalifa jeden klan Kurajczytów przejmie cały interes. Na dodatek był to klan, który szczególnie długo wzdragał się przed przyjęciem nauk islamu. Wyznawcy z innych klanów pamiętali to aż za dobrze, co podsycalo z kolei dawne urazy i ożywiało walkę o władzę. Do Poitiers wciąż jeszcze było bardzo daleko, ale teraz droga wiodła już prosto do niego.

Ulica Prosta jest główną arterią przebiegającą przez historyczne centrum Damaszku, najstarszego zamieszkanego miasta na ziemi. Jej nazwę wymienia w Nowym Testamencie sam Bóg. Była świadkiem zmiennych losów bardzo wielu ludzi. Po Grekach przyszła tu kolej na arabskich muzułmanów. Wbrew oczekiwaniom, to właśnie dawny Damaszek, a nie Medyna czy Mekka, miał się stać punktem wyjścia do triumfalnej wędrówki islamu wzdłuż wybrzeży Morza Śródziemnego.

Łatwo zrozumieć, dlaczego miasto kusilo przez wieki aż tylu najeźdźców. Zbudowano je w żyznej i dobrze nawodnionej dolinie na skraju pustyni. Krzyżują się w nim wszystkie ważniejsze szlaki krainy Żyznego Półksiężyca, a wyrastająca na północy Dżabal Kasjun osłania je od wiatrów. Ta wysoka na tysiąc dwieście metrów góra, na której okryte kefijami kobiety proponują turystom wrózenie z dłoni, jest zawsze obec-

na na horyzoncie Damaszku. Widok z jej szczytu nie zmienił się wiele przez czterdzieści stuleci: wciąż można z niej podziwiać to samo zwarte, otoczone murem miasto pośrodku rozległej zielonej oazy. Dopiero w ostatnim wieku pojawiły się tutaj szarawe wieżowce udekorowane licznymi antenami satelitarnymi. Miejscowa tradycja podaje, że gdy Prorok ze szczytu Kasjun ujrzał Damaszek, zrezygnował z wchodzenia do miasta. Zdumionym przyjaciółom wyjaśnił, że woli raczej poczekać z wejściem do raju, aż zakończy życie.

Inni nie mieli podobnych skrupułów. Był wśród nich Mu'awija, dawny sekretarz Proroka, a po podbiciu Syrii - jej namiestnik. Spojrzał na miasto i spodobało mu się, co miało fatalne skutki dla śródziemnomorskiej historii. Mu'awija Ibn Abu Sufjan wywodził się z rodu Banu Umajja, tego samego, do którego należał też nowy kalif. Jego pełne imię zdradzało, że był synem Abu Sufjana i Hind. Ironia losu sprawiła, że to właśnie Kurajszyci, którzy najgłośniej i najdłużej opierali się prawdzie islamu, stali się założycielami pierwszej muzułmańskiej dynastii Umajjadów. Pechowy wuj Mahometa, Hamza, obrócił się zapewne w grobie, gdy syn Hind został najwyższym przywódcą ummy. To samo mogli uczynić inni męczennicy z wczesnych lat islamu, zwłaszcza po tym, jak Mu'awija ustanowił kalifat w Damaszku, skazując tym samym Medynę na los miasta prowincjonalnego.

Mu'awija potrzebował kilku obfitujących w wydarzenia lat, aby osiągnąć swój cel, zwłaszcza że ciężar walk przeniósł się na zachód. Po śmierci Umara kalif

Usman zezwolił na najazdy na Cyrenajkę, krainę leżącą w granicach dzisiejszej Libii. Gdy ofensywa rozwinęła się na dobre, gardłowe krzyki zdobywców rozlegały się wzdłuż wybrzeża całej bizantyjskiej, Afryki” - czyli arabskiej Ifrikiji (obecnie wschodnia Libia, Tunezja i wschodnia Algieria). Amr Ibn al-As też odegrał w tych wydarzeniach pewną rolę, został bowiem popiesznie wyrwany ze swojego wygnania w Beer Szewie, gdy bizantyjska flota pojawiła się na horyzoncie i nagłym atakiem odbiła w 645 roku Aleksandrię. Umiejętne dowodzenie Amra pozwoliło na szybkie zażegnanie niebezpieczeństwa i Grecy ponownie odpłynęli, tym razem na dobre.

Amr wykorzystał zmianę koniunktury i odzyskaną pozycję, aby także wziąć udział w wyprawach na zachód. Najbardziej obiecującym terenem była południowo-środkowa Ifrikija, gdzie ambitny grecki patrycjusz Grzegorz sprzeciwił się monoteletyzmowi Konstantynopola i oderwał prowincję od cesarstwa, mianując się basileusem. Arabska jazda położyła kres jego marzeniom o wielkości podczas bitwy pod Sufetulą (obecnie tunezyjska Sbeitla). Grzegorz został zabity, jego armia rozgromiona, skarbiec splądrowany, a poplecznicy sprzedani w niewolę. Nie wszyscy dotarli na targ. Piękna córka Grzegorza, Jamina, wolała rzucić się z wielbłąda, wybierając śmierć zamiast życia zniewolonej nałożnicy

Podczas gdy jego współwyznawcy penetrowali przez trzy lata północną Afrykę, Mu'awija opuścił Damaszek i przebył góry Taurus, aby zaatakować Anato-

lię. Poszedł w ten sposób w ślady Persów oraz wielu wcześniejszych wrogów Rzymian. Przerwał jednak ofensywę, gdy doszły go nowiny z Aleksandrii. Zrozumiał, na czym polegał błąd wszystkich niemal ludów, które nękały imperium rzymskie swoimi najazdami. Partowie, Wandalowie, Wizygoci, Ostrogoci, Awarowie, Burgundowie, Hunowie, Persowie i Bułgarzy skupiali swoje działania na wybrzeżach, z rzadka tylko myśląc o zdobyciu panowania na morzu. Mu'awija wyciągnął naukę z odbicia Aleksandrii przez Bizantyjczyków: dopóki muzułmanie nie będą dysponować własną flotą wojenną, dopóty będą musieli się liczyć z rzymską dominacją. Ta dalekowzroczność miała uczynić go wielkim.

Po uzyskaniu zgody swojego krewniaka, kalifa Usmana, Mu'awija przystąpił do budowy floty, która przez następne tysiąc lat miała walczyć o kontrolę nad szlakami handlowymi. Ludzie pustyni szykowali się do wyruszenia na morze. Przywiązany do ziemi Amr Ibn al-As sprzeciwiał się temu pomysłowi, ostrzegając: „Gdy statek spoczywa nieruchomo na wodzie, raduje serce; gdy płynie, budzi przerażające skojarzenia. Człowiek czuje się na nim słaby i wpada w panikę. Ci w środku są jako robaki w kłodzie drewna; gdy obróci się ona, wszyscy utoną”. Nieustraszony i wspierany przez kalifa Mu'awija odrzucił te wątpliwości. Do pustynnych portów Syrii (Damaszku, Homs, Hama i Aleppo) oraz amsarskich portów Egiptu (Al-Fustatu), Iraku (Al-Kufy i Al-Basry) oraz Tunezji (założony w 670 roku Al-Kajrawan) dołączyć miały porty mor-

skie - zwiastun muzułmańskiego imperium Morza Śródziemnego. To były inspirujące plany.

Flota powstała zdumiewająco szybko, bez wątplenia dzięki bogatemu doświadczeniu morskemu świeżo podbitych ludów, zarówno muzułmańskich, jak niemuzułmańskich (Jemeńczycy, syryjscy Grecy i Koptowie). Muzułmanie skorzystali też zapewne z pomocy swoich dawnych partnerów handlowych, marynarzy z Oceanu Indyjskiego, którzy zapoznali ich z tajnikami nawigacji na poziomie dorównującym bizantyjskiemu. Polegali oni nie tylko na obserwacji położenia gwiazd, ale z czasem odkryli też kompas, co pozwoliło im wypłynąć na otwarte wody. W 649 roku Mu'awija podniósł kotwicę, gotowy do podboju kolejnych wysp. Najpierw wylądował na Krecie, potem zajął Cypr. W roku 654 przyszła pora na Rodos, wyspę, która od początku historii żeglugi była symbolem grecko-rzymskiej dominacji na morzu. Słynny kolos, który od 224 roku p.n.e. leżał obalony przez trzęsienie ziemi i otoczony powszechnym szacunkiem rdzewiał nad zatoką, został potraktowany przez muzułmanów zgoła bezceremonialnie.

Sprzedano go jako złom żydowskiemu kupcowi z Edessy (obecnie turecka Sanliurfa). Do przetransportowania całego żelastwa potrzebnych było aż dziewięćset wielbłądów.

Potem flota Mu'awiji ruszyła wzdłuż wybrzeży Anatolii. Zajęła Kos, część wysp Dodekanezu na Morzu Egejskim, dobry punkt wypadowy blisko Hellepontu i samego Konstantynopola. Basileus Konstans II (wnuk Herakliusza i jego pierwszej żony, Eudoksji) po-

czuł się na tyle zaniepokojony, że w 655 roku wyruszył w morze z zamiarem zniszczenia rodzącej się potęgi. Wyszło jednak inaczej i ku powszechnemu zaskoczeniu to nowicjusze pokonali Bizantyjczyków. Konstans ledwie uszedł z życiem i musiał zamienić się na ubrania z pewnym odważnym ochotnikiem, aby nie zwrócić na siebie uwagi. Arabowie dowiedli już swej niezwyciężonej potęgi na lądzie i wiele wskazywało, że na morzu będzie tak samo. Żyźny Półksiężyc wydawał się gotowy do narzucenia swojego sposobu życia całemu Morzu Śródziemnemu.

Przeszkodziło w tym morderstwo. Następnego lata kalif Usman zginął w Medynie z rąk współwyznawców. Zły to był znak. Dar al-islam ogarnął chaos, umma długo nie mogła się otrząsnąć z szoku. Był to wszakże tylko najbardziej widoczny, ale nie jedyny znak niepokoju trawiących młode imperium. Spiskowcy pojechali z Medyny do Al-Fustatu, gdzie żałoba po oskarżanym o nepotyzm kalifie przerodziła się w otwartą rewoltę. Podobne niezadowolenie narastało w Iraku, gdzie niearabscy muzułmanie, muwalladowie, domagali się coraz głośniejszego udziału w podziale skarbów i wpływów zarezerwowanych dotąd dla Kurajszytów i sprzymierzonych z nimi plemion. Muzułmańscy dostojnicy, którzy krytykowali wcześniej Usmana, zdystansowali się wobec zbrodni. Amr, jak można było oczekiwać po człowieku, który przeżył już niejedną zawieruchę, spędził lato 656 roku w swoim majątku, daleko zarówno od Medyny, jak i Al-Fustatu. Aisza, niegdysiejsza młoda żona Proroka, obecnie wpływała



wdowa, wracała akurat do Medyny z pielgrzymki. Gdy usłyszała nowiny, czym prędzej zawróciła do Mekki. Najbardziej wpływowy dysydent, Ali Ibn Abu Talib, w dniu morderstwa przebywał właśnie w Medynie.

Podobnie jak decyzje, które zapadły na soborze chalcedońskim, odegrały kluczową rolę w rozpadzie chrześcijańskiego Wschodu, tak kariera i upadek Alego miały zaważyć na przyszłości islamu i odbić się głośnym echem na całym świecie. Po śmierci Usmana nowym kalifem został Ali, co wydawało się naturalnym wyborem. Był najbliższym krewnym Proroka - jego stryjecznym bratem, adoptowanym synem i zięciem po zaślubieniu Fatimy, najmłodszej córki Mahometa zrodzonej ze związku z Chadidżą. W dodatku był synem Abu Taliba, stryja i wychowawcy założyciela islamu, towarzyszem Proroka z najwcześniejszych lat życia i członkiem tego samego rodu Banu Haszim. Do dziś nie wygasły spory, czy był drugim czy trzecim nawróconym (pierwszą była Chadidża, drugim Abu Bakr albo właśnie Ali). Trudno byłoby sobie wyobrazić godniejszego kandydata na następcę Mahometa.

Gdyby Ali od razu został kalifem, nikt by tego wyboru nie kwestionował. Jednak rada starszych wskazała po kolei na Abu Bakra, Umara i Usmana, pomijając Alego. Trzeba też wiedzieć, że ćwierć wieku po śmierci Proroka umma była zmieniona nie do poznania. Nie chodziło o spory pomiędzy Kurajszytami, które nie były niczym nowym. Bractwo wiernych stanęło wobec nowego problemu związanego z pojawieniem się wielu tysięcy muwalladów, którzy domagali się duchowego

i materialnego równouprawnienia w ramach religii. Jedności muzułmańskiego świata zagrażał dodatkowo rozwój nowych ośrodków, które były o wiele bogatsze i lepiej rozwinięte niż osady Hidżazu. Namiestnik Syrii Mu'awija zażądał osądzenia mordercy kalifa, który był jego współplemieńcem. Alego uznał za uzurpatora i sam ogłosił się kalifem, wzniecając wojnę domową.

Ali nie zwlekał z odpowiedzią. Najpierw opuścił Medynę, gdzie aż roiło się od jego wrogów, i ustanowił nowe centrum władzy w Al-Kufie (dzisiejszym An-Nadżafie). W 658 rozgromił armię niezadowolonych z jego wyboru w pobliżu Al-Basry podczas tak zwanej „bitwy wielbłądziej”. Nazwa wzięła się stąd, że zagrzewająca do walki Aisza oglądała klęskę swoich wojsk z takiego właśnie wierzchowca. Do kolejnej konfrontacji Alego z Mu'awiją doszło rok później w irackim Siffin nad Eufratem. Bitwa zakończyła się nietypowo. Jak podają tradycyjne przekazy, dowódca syryjskiej jazdy Mu'awiji, wszędobylski Amr Ibn al-As, po kilku dniach krwawej walki kazał swoim wojownikom na ostrzach włóczni umieścić stronice Koranu. Gdy żołnierze Alego to ujrzeli, zachowali się jak pobożni muzułmanie i opuścili broń. Nastąpiło zamieszanie, które zaowocowało jednak pewnym porozumieniem. Postanowiono powołać dwuosobowy komitet, którego zadaniem miało być podjęcie decyzji, kto powinien zostać kalifem: Ali czy Mu'awija.

Po wielu miesiącach pertraktacji Amr, który ponownie był przedstawicielem Mu'awiji, zdołał przechylić szalę na rzecz namiestnika Syrii. Alemu nie spodo-

bało się to oczywiście i odrzucił tę decyzję, sam jednak został porzucony przez część dotychczasowych zwolenników. Znani jako charydźcy (wychodzący, secesjoniści), okazali się bezkompromisowymi fundamentalistami, którzy obwiniali Alego przede wszystkim o to, że stchórzył, godząc się na arbitraż. W 661 roku Ali został zamordowany w Al-Kufie przez dwóch odstępców. Mu'awija wygrał zatem ostatecznie walkowerem. Syn Abu Sufjana i Hind został kalifem, narażając się tym samym „stronnictwu Alego” (*sziatAli*, stąd: szyizm), którzy uważali synów zamordowanego, Hasana i Husajna, za naturalnych dziedziców najwyższego urzędu. Zaowocowało to długotrwałym sporem, który wyszedł z czasem poza kwestie dynastyczne i zdecydował o powstaniu kilku szkół prawa koranicznego, co w połączeniu z sunną - tradycyjnymi opowieściami o czynach i wypowiedziach Proroka, dało początek największemu odłamowi muzułmanów - sunnizmowi.

Jak można było oczekiwać, Bizantyjczycy z radością śledzili konflikty wybuchające w obozie przeciwników. Po raz pierwszy od dziesięcioleci mogli trochę odetchnąć. Konstans II, uwolniony od azjatyckiego zagrożenia i znowu majestatyczny jak na cesarza przystało, postanowił postąpić odwrotnie niż jego szanowany dziadek Herakliusz. Zamiast pożeglować na wschód, popłynął na zachód, przenosząc stolicę z Konstantynopola na Sycylię. Miał po temu kilka powodów. Chciał uwolnić się od toksycznej atmosfery intryg monoteleatów, które stały się nad Bosforem codziennością, a zarazem utrwalić swoje majątki w Italii i zapobiec

atakem na Kartaginę oraz północną Afrykę. Współczesne źródła sugerują także, iż jednym z powodów decyzji była ucieczka przed duchem własnego brata, którego oślepił i zamordował dwa lata wcześniej. Cokolwiek myślał, osiadł wraz z dworem w Syrakuzach - od czasów Peryklesa ważnym ośrodkiem Wielkiej Grecji (greckojęzycznej Sycylii i południowej Italii). Z zadowoleniem obserwował wewnętrzne konflikty muzułmanów i czuwał, aby nic nie zagroziło dziedzictwu Augusta, Justyniana i Herakliusza. Wschód mógł zostać utraczony, ale zachodnie dziedzictwo trwało.

Jednak i tutaj na przeszkodzie stanęło morderstwo. 15 września 668 roku Konstans zginął podczas kąpieli od ciosu marmurową mydelniczką. Sprawcą był jeden z niewolników. Nie wiemy, co nim kierowało, chociaż pewien historyk zasugerował ironicznie, że być może władca usychał z tęsknoty za Konstantynopolem. Jakkolwiek było, eksperyment Konstansa zakończył się wraz z nim. Nikt nie podjął planów odrodzenia zachodniego cesarstwa, co musiało oczywiście odbić się na przyszłości północnej Afryki. Kartagina ponownie znalazła się na peryferiach Bizancjum. Dwór powrócił do wygodnego Konstantynopola, co - jak pokazała przyszłość - było ze wszech miar słusznym posunięciem. W latach, które nastąpiły po zabójstwie Alego, Mu'awija wzmocnił swoją władzę jako kalif i gotowy był powrócić do przerwanej wcześniej dzieła. W miarę jak flota muzułmańska zajmowała kolejne wyspy Dodekanezu, a armie muzułmańskie maszerowały przez Anatolię, cel jego działań stał się bardziej niż

oczywisty. Splendor ulicy Prostej przestał mu wystarczać. Mu'awija zapragnął pałacu z widokiem na Złoty Róg. Nowy basileus, nieletni syn Konstansa - Konstantyn IV, musiał stanąć do obrony miasta, którego imię nosił.

Wiosną 674 olbrzymia flota galer przebyła morze Marmara i podpłynęła pod opadające do wody mury Konstantynopola. Uruchomiono katapulty. Muzułmanie mieli nadzieję, że ich pociski uczynią wyłomy w osławionych rzymskich fortyfikacjach i umożliwią wdarcie się do miasta. Nie spodziewali się, że przeciwnik zastosuje wobec nich nową broń - „ogień grecki”. Jakiś czas przed przybyciem floty Mu'awiji grecki architekt z Syrii, Kallinikos, przedstawił doradcom Konstantyna swój diabelski wynalazek: łatwopalną substancję, którą można było miotać przez metalowe rury i płonęła tak samo na lądzie, jak i w wodzie, nie dając się przy tym ugasić. Zalety tego „wczesnego napalmu” były oczywiste i chociaż nie znamy dokładnego składu tej substancji (jej sekret przepadł wraz z Bizantyjczykami), poddani Mu'awiji stali się pierwszymi ofiarami z całego szeregu nieszczęśników, którzy mieli poznać jego skuteczność. Ogień grecki był bezlitosny. Potrafił nie tylko zapalić okręt, ale także okryć płomieniami wodę dookoła, przez co marynarze nie mogli się ratować, skacząc za burtę.

Trzeba oddać napastnikom, że mimo braku obrony przed nową bronią oblegali Konstantynopol aż cztery lata. Nie mniej zdyscyplinowani byli obrońcy, którzy wreszcie zdołali oprzeć się niezwyciężonym do tej pory

muzułmanom. Jesienią 678 roku Mu'awija uznał swoją przegraną i w następnym roku zawarł pokój z Bizancjum. Było to pierwsze niepowodzenie muzułmańskich wojowników od czasu wyjścia poza Hidżaz. Opisując to wydarzenie, jeden z historyków, który chyba czytał Gibbona, napisał: „On [Konstantyn IV] zainspirował swoich poddanych, dając im moc wytrwania cztery lata pod naporem siły, którą dotąd uważano za niezwyciężoną, i czyniąc to, uratował zachodnią cywilizację. Gdyby Saraceni opanowali Konstantynopol już w siódmym wieku, a nie w piętnastym, cała Europa - a także Ameryka - byłyby obecnie muzułmańskie”.

„Ostatni Merowingowie zasnęli na swych wozach” - napisał pewien francuski historyk, podsumowując letarg, który ogarnął Europę Zachodnią w czasie katastrofalnych zmian w rejonie Morza Śródziemnego. Było to bardzo różne od tego, co działo się pod Konstantynopolem. Merowingowie - królewski ród Franków sprawujący władzę w pierwszej połowie stulecia muzułmańskich podbojów - nie byli prawie w ogóle świadomi zmian zachodzących na drugim końcu świata. Tamtejsi kronikarze, czyli Fredegar i jego następcy, słyszeli o Jarmuku. W kronice pojawia się lakoniczna informacja o klęsce Bizancjum, która pociągnęła za sobą śmierć 52 tysięcy chrześcijańskich żołnierzy. Niemniej, podobnie jak Herakliusz, który podczas pobytu w Jerozolimie w 630 roku uznał problemy z Arabami za niewart uwagi drobiazg, tak samo Merowingowie nie przypuszczali, aby te odległe problemy mogły kiedy-

kolwiek dotknąć Galii. Nawet dzisiaj wydawałoby się to nieprawdopodobne.

I bez tej krótkowzroczności Merowingowie nie zostawili po sobie najlepszego wrażenia. Francuskie źródła zgodnie określają ich jako *rois faineants*, czyli gnuśnych królów. Jeden z nich, Dagobert, zyskał sławę dzięki rymowance, w której wkładał spodnie tyłem do przodu. Mniej wesoło robi się na wspomnienie ich majordomów, którzy prowadzili frankijskich wojowników na niemal coroczne wyprawy łupieżcze znaczone mordami i gwałtami. Można powiedzieć, że ówczesna Europa była chrześcijańska głównie z nazwy. Wielu germańskich kuzynów Franków nadal kultywowało tradycyjne wierzenia, i nawet ci, którzy ulegli ewangelizacji, mieszały często nauki Kościoła z dawnymi zwyczajami.

W 678 roku, kiedy to poczerniałe od ognia okręty Mu'awiji odpływały spod Konstantynopola, majordom Pepin z Heristalu doszedł do władzy w Galii, w następstwie niejasnego zabójstwa dotychczasowego władcy z rodu Merowingów w lesie pod Paryżem. Jego pojawienie się było zbawieniem dla skłóconych Franków. Nie dość, że zerwał z gnuśnością poprzedników, to jeszcze przywrócił blask monarchii jako założyciel dynastii Pepinidów, która sporo później, jako dynastia Karolingów, wydała najbardziej znamienitego władcę tamtej epoki, Karola Wielkiego. Pepin rozpoczął trudne dzieło jednoczenia państwa, które mogło w przyszłości umożliwić Frankom odparcie muzułmanów.

Starania władcy uległy czasowemu spowolnieniu podczas wojen, które ogarnęły kraj po śmierci Pepina.

Nie wiadomo dokładnie, co się wtedy działo, niemniej jego synowie, których dat urodzin i śmierci nie znamy, wydawali się niezdolni do podjęcia dzieła ojca. Zastąpił ich syn Pepina z nieprawego łoża, poczęty z niejaką Alpaidą. Bardziej rozgarnięty od rodzeństwa, długi czas trzymany był przez swoją macochę Plektrudę (wdowę po Pepinie) pod kluczem w Kolonii, skąd uciekł jednak w 715 roku dzięki pomocy spiskowców, którym jego pośledniejsze pochodzenie zupełnie nie przeszkadzało.

Miał wówczas niespełna trzydzieści lat, co było idealnym wiekiem dla topornika, również takiego, który musiał wziąć się do polityki. I zaiste, zdołał wykuć królestwo, które obejmowało dzisiejszą Francję, zachodnie Niemcy i Niderlandy. Zwany był Martiaux, co wywodziło się od imienia Martin, a nie od słowa *mar-teau* (młot), i zasłynął z rozlicznych okrucieństw, które popełnił, podporządkowując sobie wschodnich i zachodnich Franków. Wprawdzie później był często przedstawiany jako zbawca chrześcijaństwa, to jednak miał także na sumieniu usunięcie biskupa Reims, uwięzienie biskupa Auxerre i wygnanie biskupa Orleanu. Urodzony i całkiem nieświęty wojownik okazał się jednak właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. W chwili, gdy przejmował władzę, arabskie stulecie podbojów minęło właśnie półmetek. Jakkolwiek wydawać się to mogło nieprawdopodobne, przeciwnik był coraz bliżej Pirenejów.

Kampanie w Afryce pokazały, że droga do Poitiers, jakkolwiek może prosta, na pewno nie będzie gładka. Wojny prowadzone na terenach znanych dzisiaj



jako kraje Maghrebu przebiegały inaczej niż dotychczas, kiedy to jedynie konflikty wewnętrzne albo wynalazki w rodzaju ognia greckiego potrafiły wstrzymać zwycięski pochód muzułmanów. Wcześniej wojska muzułmańskie mogły być śmiało porównywane z siłami natury, teraz, gdy znalazły się z dala od ojczystych stron, pojawiły się całkiem nowe problemy związane z lokalnymi powstaniem, długimi i niepewnymi liniami zaopatrzeniowymi oraz zwykłym brakiem szczęścia. Tym razem wojownicy Proroka nie kojarzyli się z burzą ani wichurą spadającą niespodziewanie na niewiernych, jak zwykle opisywano ich ataki.

Swój wpływ miały oczywiście także wydarzenia na Wschodzie. Zaraz po nieudanym oblężeniu Konstantynopola impet podbojów znacząco osłabł. Jednym z powodów była zmiana pokoleniowa. Zionący świętym ogniem towarzysze Mahometa starzeli się i umierali. Amr Ibn al-As zamknął oczy w 663 roku, Mu'awiję ten sam los spotkał w roku 680. Zmiana warty doprowadziła do drugiej wojny domowej, tym razem o sukcesję. Siły syna Mu'awiji pokonały pod Karbalą w Iraku wojska Husajna, syna Alego - szyici boleją nad tym do dziś. W tamtych latach doszło również do bratobójczych walk w Medynie oraz zniszczenia Al-Kaby w Mekce.

Dopiero gdy do władzy doszedł energiczny Abd al-Malik z bocznej linii Umajjadów, co stało się w 685 roku, zdołał zdławić wybuchające dotąd nieustannie rewolty. Wprawdzie zostało jeszcze kilka ognisk niepokojów w Iraku, Persji i Arabii, zostali też rywalizują-

cy z Kurajszytami charydźcy oraz pełni pretensji muwalladowie, jednak Abd al-Malik zdołał zapewnić mieszkańcom młodego imperium coś na kształt poczucia stabilizacji. Nakazał odbudowę jerozolimskiej Kopy na Skale. Wzniesiona przez chrześcijańskich architektów na świętej żydowskiej ziemi ku chwale islamu<sup>40</sup> świątynia świadczyła swą obecnością, że chociaż nowa monoteistyczna religia różni się od obu poprzednich, to jednak jest tak samo prawdziwa i godna szacunku. Podobne przesłanie niósł Wielki Meczet zbudowany w tamtych latach przez Umajjadów w Damaszku. Jego niezwykła mozaikowa fasada, arcydzieło bizantyjskiego rzemiosła, stała się dowodem na coraz szerszą wymianę kulturową z sąsiadami.

Wzmocniony przez Abd al-Malika i ponownie pewny siebie islam spojrział znowu ku najdalszym rubieżom. Na poły legendarne przekazy podają, że pod koniec siódmego wieku pewien podróżnik i poszukiwacz przygód, Ukba Ibn Nafi, miał przedsięwziąć odkrywczą ekspedycję przez Maghreb, która zawiodła go aż do wybrzeża Oceanu Atlantyckiego w okolicy marokańskiego Agadiru. Mimo przebycia dwóch tysięcy kilometrów i dokonania licznych grabieży Ukba nie miał jeszcze dość i wjechawszy konno w fale oceanu, miał krzyknąć: „Boże, wzywam cię na świadka, że gdyby to morze mi nie przeszkodziło, podążyłbym dalej!” Jak to bywa, gdy ktoś nazbyt głośno się przechwala, w drodze powrotnej do Al-Kajrawanu wpadł ze swoimi ludźmi w zasadzkę i zginął u stóp gór Auras we wschodniej Algierii. Jego grobowiec, Sidi Ukba, jest

obecnie świętym miejscem i celem pielgrzymek, głównie dla potomków tych, którzy niegdyś go zamordowali, jak zauważył rzeczowo pewien historyk.

Sprawcami całego nieszczęścia byli Berberowie, rdzenni mieszkańcy tej krainy - od nich pochodzi nazwa Wybrzeża Berberyjskiego, jak zwano czasem północny pas zachodniej Afryki. Sami nazywali się *Imazighen*, czyli wolni ludzie. W odróżnieniu od chrześcijańskich Arabów z Syrii i egipskich koptów potrafili wstrzymać pochód muzułmanów na całe pokolenie. Długa historia zmagania z różnymi najeźdźcami, począwszy od fenickich osadników z Kartaginy, przez Rzymian, Wandalów i Bizantyjczyków, uczyniła ich pragmatykami. Zależnie od okoliczności potrafili udawać uległość wobec cudzych zwyczajów i bogów, aby nagle powstać przeciwko intruzom, spaść na nich z gór Atlasu czy Auras i błyskawicznie przepędzić. Ustąpili w 698 roku, kiedy muzułmanie ostatecznie zburzyli bizantyjską Kartaginę i założyli na jej miejscu Tunis, jednak ich wiarygodność jako sojuszników oraz niespodziewanie chętnych do nawrócenia braci w wierze była wątpliwa. Jak zapisał największy historyk średniowiecza, Abd ar-Rahman Ibn Chaldun, rodowity Marokańczyk, który w czternastym wieku poznał dobrze Berberów, w ciągu siedemdziesięciu lat zanotowano nie mniej niż kilkanaście przypadków całkowitego odejścia Berberów od islamu.

Z punktu widzenia Damaszku, Berberowie po prostu kpili sobie z islamu. Co gorsza, ich okazyjne najazdy przerywały szlaki handlowe, przez co bogactwa pół-

nocnej Afryki, w tym i dostarczani z głębi kontynentu niewolnicy, nie zawsze docierały do miejsca przeznaczenia. Do największej rewolty przeciwko Arabom doszło na przełomie stuleci, a jej przywódcą była kobieta znana nam jedynie jako Kahina, co oznacza prorokinię.

Podobno była królową plemienia nomadów Dżerawa, grupy wędrownych berberyjskich Żydów zamieszkujących wschodnie rejony gór Auras. Legendy przedstawiają ją jako najbardziej znaczącą postać stulecia, które doprowadziło do Poitiers. Nieustraszona w walce, miała wielokrotnie schodzić z gór, aby zabijać nie dość czujnych nowych panów Ifrikiji i siać strach w ich sercach. Obdarzona temperamentem, który sprawiał, że jej rude włosy jeżyły się w walce, zjednoczyła podobno Berberów, albo też ich zastraszyła na tyle, że udało im się tymczasowo odpędzić najeźdźców aż do Libii. Arabskie kroniki odnotowują jej kampanię, która spustoszyła północną Tunezję i wschodnią Algierię. Zastosowanie taktyki spalonej ziemi sprawiło, że niektórzy podwładni zaczęli zwracać się przeciwko niej. Chociaż uznawana za dziewicę, bywała też przedstawiana jako kochająca matka. Zapewne nie mogło być inaczej. W 704 albo 705 roku jej armia ruszyła po raz ostatni do ataku w okolicy dzisiejszego pogranicza Algierii i Tunezji. Jako prorokini Kahina zdołała przewidzieć wynik bitwy. Dzień wcześniej kazała swoim dwóm dorosłym synom wymknąć się po ciemku z obozu i przejść na stronę przeciwnika. Uratowała im w ten sposób życie. Rankiem zginęła, a jej głowę wysłano kalifowi do Damaszku.

Po śmierci Kahiny opór Berberów stopniowo malał, aż w końcu ograniczył się do nieskutecznych, lokalnych buntów. Na początku ósmego wieku muzułmański marsz na zachód przyspieszył tak bardzo, że w ciągu paru stuleci wszystkie chrześcijańskie kościoły Maghrebu zmieniły się w ruiny, podobne tym, które można znaleźć w Anatolii. Chrześcijaństwo nigdy już nie miało odzyskać dominacji na południowym wybrzeżu Morza Śródziemnego. Ciekawe, co powiedziałby o tym najwybitniejszy afrykański chrześcijanin, Augustyn z Hippony. W piątym wieku, na wieść o złupieniu Rzymu, pisał w dziele *O Państwie Bożym* o przemijaniu antyku. Czy teraz ogłosiłby przemijanie chrześcijaństwa?

Nowy muzułmański namiestnik Al-Kajrawanu, Musa Ibn Nusajr, nie zadawał sobie najpewniej podobnych pytań. Jego problemem byli nieprzewidywalni Berberowie. Ostatecznie wpadł na pomysł, który gwarantował mu spokój w prowincji. Aby odwieść berberyjskich wojowników od myśli o zemście, zaproponował im nagrodę. I to nie w przyszłym życiu, ale doczesną i dość nieoczekiwaną: Hiszpanię. Nie wiadomo dokładnie, kiedy zaczął wysyłać pierwsze oddziały na północ, ale bez wątpienia to właśnie on zdecydował o zmianie kierunku ekspansji.

Nie dowiemy się także, czy jego pomysł wynikał wyłącznie z makiawelicznego planu poskromienia Berberów. Być może miał też ambicje, aby zbudować własne imperium. Nie znamy również odpowiedzi na pytanie, czy muzułmanie uzyskali pomoc z jeszcze jednej

strony. „Wedle różnych barwnych opowieści, Julian, namiestnik nowo ustanowionego bizantyjskiego garnizonu Septem (dzisiejsza Ceuta, hiszpańska enklawa na marokańskim wybrzeżu Morza Śródziemnego), miał przysłać Musie sondujące wieści, że zbiera okręty, aby dokonać inwazji na Półwysep Iberyjski. Julian zdecydowanie nie lubił króla Roderyka, wizygockiego władcy Hiszpanii. Jedna wersja podaje, że powodem był gwałt dokonany przez króla na córce Juliana. Nieszczęsna dziewczyna, goszcząca akurat w Toledo, miała przesłać ojcu symboliczną wiadomość pod postacią zepsutego jaja, co nasunęło Julianowi straszne przypuszczenie i rozwścieczyło go tak bardzo, że gotów był skierować muzułmańską armię na chrześcijański kraj. Jeśli tak, odegrał naprawdę ponurą rolę.

Jednak niezależnie od tego, jak naprawdę było, najeźdźcy nie czekali na specjalne zaproszenie. Ani tutaj, ani nigdzie indziej. W 711 roku jeden z berberyjskich dowódców, muzułmański namiestnik Tangeru Tarik Ibn Zijad, wyruszył w drogę. Gdy wraz z kilkoma tysiącami Arabów i Berberów przeprowadzał się przez najwęższe miejsce Morza Śródziemnego, za jego łodziami nadciągała nowa era. Dwie wielkie skały, znane w starożytności jako Słupy Herkulesa, miały zyskać całkiem nowe nazwy. Południowa to teraz góra Musy, od Dzabal al-Musa, północna zaś to Dzabal Tarik, góra Tarika albo - jak wymawiał to Gibbon - Gibraltar.

Pokonanie drogi z Gibraltaru do Poitiers zabrało najeźdźcom dwadzieścia jeden lat. Nikt nie kwestionuje, że to właśnie okolica Skały Gibraltarskiej była miej-

scem pierwszego lądowania muzułmanów w Europie, nie ma jednak pełnej zgody, gdzie zakończył się ich marsz. Najbardziej prawdopodobnym miejscem wydaje się osada leżąca dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Poitiers - Moussais-la-Bataille, chociaż biorąc pod uwagę, jak mało konkretnych danych geograficznych zawierają zwykle źródła historyczne, zapewne nigdy nie uda się rozstrzygnąć, gdzie naprawdę doszło do wielkiej bitwy. Nazwana została od miejscowości Poitiers, ale czasem wymienia się też niezbyt odległe Tours. Wspomniana wioska, której to lokalizacji bronią w opublikowanej w 1966 roku pracy dwaj francuscy historycy, pasowałaby z wielu powodów. Po pierwsze ma nazwę na pewno bardzo starą, która wskazuje na jakąś bitwę. Po drugie - w pobliżu przebiega rzymska droga z Poitiers do Tours (tuż na północ znajdują się ruiny gallo-romańskiego Vieux-Poitiers). Ponadto rozległy, równy teren znakomicie nadaje się na miejsce walki, kilka kilometrów na południe zaś znajdują się widły rzek Clain i Vienne, które każda zdążająca na północ armia musiałaby przejść w tej okolicy, aby dostać się do bogatej doliny Loary. Obrońcy mieli więc wszelkie powody, aby wybrać właśnie to miejsce.

Dzisiejsze Moussais, z zabudową w skromnym, podmiejskim stylu, nadal pełni rolę strażnika na przejściu. Tuż obok przebiega linia szybkiej kolei, która z sykiem przemyka tędy co jakiś czas między Bordeaux a Paryżem. Niekiedy rozlegający się zza zasłony starych drzew klakson podpowiada, że jest tu także lokal-

na droga wiodąca do cieszącego się powodzeniem parku tematycznego Futuroscope.

Wzniesienie na zachód od Moussais pokrywa gigantyczna szachownica umieszczona tam w 2000 roku przez stowarzyszenie, które chciało podkreślić znaczenie tego miejsca. Na jej sześćdziesięciu czterech polach umieszczono na zmianę ilustrowane objaśnienia na temat bitwy oraz cytaty z wypowiedzi dawnych artystów i myślicieli. Wybór szachownicy był genialnym posunięciem, ta wprowadzona do Europy przez muzułmanów gra charakteryzuje się bowiem niezliczonymi możliwościami rozgrywania partii, podczas której pionki i figury obu stron stoją przemieszane jedne obok drugich. Dokładnie tak samo wyglądały kontakty chrześcijaństwa i islamu w wiekach średnich. Gdy stanie się na tej szachownicy w jasnym słońcu południowej Francji, można uświadomić sobie jeszcze jedno: że odtwarzanie przeszłości też jest grą, którą każde pokolenie rozgrywa od nowa.

Spostrzeżenie to staje się wyjątkowo przydatne, zwłaszcza jeśli myślimy o tym, co poprzedziło bitwę - nagłym i całkowitym upadku wizygockiej Hiszpanii. W tym przypadku naprawdę można powiedzieć, że najeźdźcy spadli niczym burza albo trąba powietrzna. To, na co rzymskie legiony potrzebowały aż dwieście lat, muzułmanom zajęło ledwie pięć wiosen. Koniec historii Wizygotów okazał się równie melodramatyczny jak początek ich drogi.

Wizygoci byli barbarzyńskim ludem ze wschodniej Europy, który przeprowił się przez Dunaj, uciekając



przed depreczającymi mu po piętach Hunami. Jakimś sposobem zdołali nawet w 378 roku zwyciężyć rzymskie wojska w bitwie pod Adrianopolem (tureckie Edirne), zabijając na dokładkę cesarza Walensa. W 410 roku, ku rozpaczy wspomnianego wcześniej Augustyna, wizygocki król Alaryk zajął Rzym. Jego niespokojni następcy ruszyli dalej, docierając do Galii, gdzie zostali zatrzymani w 507 roku przez Chlodwiga pod Vouillé w pobliżu Poitiers. Skierowali się więc do Hiszpanii, gdzie ostatecznie osiedli. Stworzona przez nich cywilizacja, choć przywiedli Rzym do upadku, zdradzała znaczne podobieństwa do dawnego cesarstwa, zwłaszcza jeśli chodzi o wielkie majątki, w których wykorzystywano pracę niewolników. Pojawiło się też coś, co wracało później w historii półwyspu - nietolerancja wobec Żydów. Skierowane przeciwko nim wizygockie prawodawstwo mogłoby konkurować z tym, które w szesnastym wieku wymyśliła inkwizycja.

Gdy król Roderyk dowiedział się o lądowaniu Taryka w Gibraltarze, zawrócił czym prędzej z północy, gdzie walczył akurat z buntowniczymi Baskami, i przez cały półwysep podążył bronić swojego królestwa. Bitwa rozegrała się u ujścia rzeki Guadalete. Arabowie i Berberowie odnieśli w niej miażdżące zwycięstwo. Możliwe, że byli wspierani przez zdrajców spomiędzy Wizygotów, którzy także wiedli spory dynastyczne. Roderyk został zapewne zabity, po 711 roku bowiem nie pojawia się w żadnej kronice. Jakkolwiek się stało, był ostatnim wizygockim królem Hiszpanii. Tarik skierował się potem na północ, bez trudu zajmując kolejne

miasta w drodze do Toledo. Wielu twierdzi, że muzułmanie byli witani przez Żydów jako wyzwolicieli, ale nie ma na to żadnych dowodów. Z drugiej strony trudno, aby prześladowani przez Wizygotów Żydzi byli skłonni do obrony starego porządku, zwłaszcza jeśli wiedzieli, jak wygląda życie ich braci w Syrii, Palestynie czy Egipcie, gdzie tworzyli, chronione prawem, społeczności zimmich.

Do roku 716 cała Iberia, poza kilkoma skrawkami na północy, była już muzułmańska. Kilku schwytanych przedstawicieli wizygockiej rodziny królewskiej wysłano być może statkami do Damaszku w charakterze swoistych ciekawostek. Na pewno skończyli tam Tarik i Musa. Podobnie jak Amr Ibn al-As i Chalid Ibn al-Walid, narazili się kalifowi swoim wyczynem, który nieuchronnie musiał przysporzyć im wielkiej popularności. W tamtych latach Damaszek patrzył podejrzliwie na wszystkich, którzy mogliby podjąć rywalizację o władzę.

W czasie podboju Półwyspu Iberyjskiego na drugim krańcu Morza Śródziemnego podjęto kolejną próbę zdobycia Konstantynopola, jednak olbrzymiej flocie złożonej z tysiąca ośmiuset okrętów (ze 120 tysiącami wojska) nie udało się pokonać obrońców dowodzonych przez groźnego basileusa Leona III. Początek jego panowania oznaczał odrodzenie bizantyjskiego panowania nad Anatolią oraz rozpalenie na nowo dawnego sporu o miejsce wizerunków w chrześcijaństwie. W 718 roku flota kalifa, równie zmaltretowana jak ta poprzednia, opuściła Hellespont. Spotkał ją los znacz-

nie gorszy niż tylko przegrana bitwa: została niemal w całości zatopiona przez sztorm koło Rodos. Bez wątplenia Musa i Tarik nie trafili na dobrą chwilę, aby chwalić się swoimi osiągnięciami.

Sukces w ostatecznym rozrachunku nie był pisany ich przywódcom. Po zajęciu Barcelony i Girony Berberowie oraz ich arabscy władcy przekroczyli Pireneje. Szybko pokonali wizygockie królestwo Septymanii (dzisiejsza Langwedocja). Według pewnego kronikarza z późniejszych czasów, wkraczający do stolicy królestwa, Narbony, muzułmańscy jeźdźcy mieli ujrzeć na ruinach klasycznej świątyni wyrytą po arabsku inskrypcję: „Oto dotarliście do krańca swej drogi, synowie Izmaela! Zawróćcie!” Oczywiście nic takiego nie mogło się zdarzyć, a kronikarz chciał *postfactum* stworzyć odpowiedni nastrój przed coraz bliższą bitwą pod Poitiers. Możliwe też, że zainspirowały go wydarzenia w Tuluzie, gdzie muzułmanie spotkali się z najsilniejszą odpowiedzią od czasu łaźni, jaką sprawiła im Kahina. W 721 roku Odon Wielki, książę Akwitanii, pokonał najeźdźców w pobliżu swojej stolicy. Muzułmanie uniknęli całkowitego rozbicia tylko dzięki szybkiemu odwrotowi przeprowadzonemu przez przytomnego, młodego dowódcę imieniem Abd ar-Rahman al-Ghafiki. Jedna z papieskich kronik podaje, że zginąć tam miało 375 tysięcy wyznawców Proroka, co jest liczbą wyssaną z palca. Z drugiej strony, bitwa musiała być krwawa, skoro przez następne lata najeźdźcy omiatali Akwitanię z daleka, wypuszczając się raczej na wyprawy wzdłuż doliny Rodanu.

Po zwycięstwie Odon relacje między Berberami i Arabami, już wcześniej nie najlepsze, stały się jeszcze bardziej napięte. Powód nie był błahy: większa część łupów, większość kobiet i niewolników trafiała w ręce arabskiej mniejszości, chociaż to Berberowie stanowili trzon armii. Szczególnie niezadowolony z tej sytuacji berberyjski dowódca imieniem Munuza ustanowił ostatecznie własne północnoafrykańskie państewko u stóp Pirenejów, w miejscu, gdzie obecnie znajduje się Andora. Jeszcze dziwniej zrobiło się, gdy chrześcijański książę Odon oddał mu swoją córkę za żonę. Jakkolwiek kuszący wydawać się może scenariusz, w którym Otello spotyka Desdemonę i miłość doprowadza ostatecznie do sojuszu, powód był bardziej trywialny. Dalekowzroczny Odon chciał zabezpieczyć w ten sposób swoją południową granicę, bo za północną dość już miał kłopotów. A wszystkie wiązały się z jedną osobą: Karolem Młotem.

Od czasu zdobycia władzy w drugim dziesięcioleciu ósmego wieku Karol dążył tylko do jednego: chciał stworzyć wielkie królestwo, które mógłby przekazać synom. Na północy mu się udało, na południu jednak kwitła samodzielna Akwitania raniąca jego ambicje. Akwitania Odon, która już dawno wyzwoliła się spod wpływów Wizygotów, trwała niezłomna w swym uporze, pielęgnując na dodatek rzymskie zwyczaje, prawo i język. I nie kryła niechęci wobec prymitywnych uzurpatorów z północy, sprawujących władzę majordomów dworu królewskiego Merowingów. W latach dwudziestych frankijscy wojownicy bezustannie najeżdżali

Akwitanię. Wedle ich apologety (i następcy kronikarza Fredegara) czynili tak wzburzeni sojuszem Odon z muzułmaninem Munuzą. Jest to całkowicie niewiarygodne usprawiedliwienie, początkowo bowiem Karol Młot nie miał w sobie nic z obrońcy wiary. W tamtych czasach nikt nie szukał zresztą wyrafinowanych pretekstów do wojen, które toczono niemal na okrągło. Sytuacja była prosta - zjednoczeni Frankowie rośli w siłę, a ich słabsi sąsiedzi, jak Akwitania, stawali się zdobyczą.

W ten sposób wszystkie elementy układanki znalazły się na swoich miejscach i zachodnia Europa była prawie gotowa do bitwy pod Poitiers.

Najpierw jednak trzeba było usunąć Munuzę. Arabscy władcy Hiszpanii nie mogli patrzeć przyzwalając na Berbera zgarniającego łupy i podbijającego na własną rękę jakieś ziemie. Zarządzono oblężenie jego niezwyklego państewka, a potem wytropiono i zabito samego Munuzę. Lampegia, wdowa po nim, została zamknięta w domu kobiet na ulicy Prostej w Damaszku<sup>56</sup>. Książę Odon bez wątpienia opłakiwał utratę córki, jednak zniknięcie zięcia mogło dostarczyć mu znacznie więcej trosk. Nic już nie oddzielało jego Akwitanii od Arabów, co znaczyło, że Odon miał teraz wrogów zarówno na północy, jak i na południu.

W 731 roku kalif mianował Abd ar-Rahmana al-Ghafiki namiestnikiem, czyli emirem, Al-Andalus, jak muzułmanie nazwali podbitą Hiszpanię. To właśnie on uratował armię przed całkowitą klęską pod Tulużą. Uważany był za człowieka opanowanego i pobożnego,

cieszył się też sławą dobrego dowódcy oraz sprawiedliwego władcy. Początkowe lata rządów spędził na radzeniu sobie z różnymi pomniejszych wodzami, aż nareszcie w polu widzenia pojawiło się coś, co rozbudziło apetyty. Podobnie jak Musa w Afryce, tak i nowy emir postanowił poszerzyć wszystkim horyzonty. Zwołał co bardziej zawziętych awanturników z całego kraju do Pampeluny, aby wyruszyć wraz z nimi na Akwitanię. Oddziały, które wcześniej zapuszczały się w głąb Francji, wracały nie tylko z łupami, ale także opowieściami o bogatych klasztorach i pełnych pielgrzymów kościołach. Bez wątpienia perspektywy były na tyle kuszące, aby zdążający do Pampeluny Arabowie, Berberowie i wolni Wizygoci przyspieszali kroku.

Wielki oddział zebrany pod sztandarem emira wyruszył wiosną 732 roku. Abd ar-Rahman postanowił pokonać Pireneje w zachodniej części, na przełęczy Roncesvalles. Ten etap przemarszu przebiegł bez zakłóceń i niebawem trafili na wroga. Drugie spotkanie Abd ar-Rahmana z księciem Odonem miało zdecydowanie inny przebieg. Najeźdźcy opanowali Akwitanię, łupiąc kilka miast - Oloron, Auch i Dax. Wielka bitwa rozegrała się w pobliżu miejsca, gdzie rzeka Dordogne wpada do Garonny. Zakończyła się ucieczką Odon i spalaniem Bordeaux. Do kolejnego starcia doszło później tego samego lata, blisko bogatej osady Agen i ponownie Abd ar-Rahman zwyciężył. Tym razem Odon uciekł na północ. Muzułmanie ruszyli w pościg, wszelako z parodniowym opóźnieniem wynikłym z plądrowania i palenia biskupstwa w Angoulême. Najeźdźców

dobiegły już wówczas opowieści o relikwiarzach wysadzanych klejnotami, które przechowywano w Poitiers i Tours. Ten drugi miał być największym skarbem całej Galii. Książę Akwitanii zaś, straciwszy córkę i ziemię, pozbył się także dumy, a nie mając innego wyboru, zwrócił się do dotychczasowego wroga, Karola Młota, z prośbą o pomoc w stawieniu oporu najeźdźcom z południa.

Karol nie zwlekał, zapewniając sobie jednocześnie miejsce w historii. Gdy muzułmanie wyruszyli na północ spod Angoulême, Frankowie przeprawili się już byli przez Loarę w Orleanie i gnali na południe. W Cenon pokonali rzeki Clain i Vienne, przy czym bez wątpienia musieli zauważyć, że stojący wówczas pod murami Poitiers kościół Świętego Hilarego został doszczętnie obrabowany i spalony. Postępujący od stulecia pochod islamu dotarł na zielone Poitou. Zwiadowcy obu armii spotkali się na północ od miasta i zaraz zawrócili z meldunkami do swych dowódców. Abd ar-Rahman postanowił zostawić na razie drżące ze strachu, ale ufortyfikowane Poitiers i ruszył czym prędzej rzymską drogą w kierunku Tours. Karol Młot i Odon musieli domyślać się jego zamiarów i podobnie jak Chalid nad Jarmukiem, wybrali dogodne dla siebie miejsce bitwy i czym prędzej się wycofali. Muzułmańska armia obeszła miasto, które arabscy kronikarze mieli później nazwać Balad asz-szuhada - Miasto Męczenników za Wiarę. Frankowie czekali. Zapewne rozciągnęli się długim na kilkaset metrów frontem w poprzek drogi, między wzgórzami a rzeką. Tuż pod miej-

scem, gdzie dzisiaj znajduje się szachownica w Mous-sais.

Do głównej bitwy doszło w październikową sobotę, pierwszego dnia miesiąca ramadanu. Wedle jednych źródeł był to rok 732, inne podają rok 733. Poprzedziło ją tygodniowe wzajemne obserwowanie się i cała seria potyczek w okolicznych lasach. Niewiele pewnego wiadomo na temat bitwy, chociaż ogólny przebieg zdarzeń można odtworzyć głównie na podstawie *Kroniki mozarabskiej z roku 754*, której sam tytuł określa datę powstania dzieła. Jego autorem był zapewne mozarab, chrześcijanin żyjący w Al-Andalus pod muzułmańskim panowaniem. Uważa się, że pochodził z Kordoby, a fakt, że opisywane wydarzenia rozegrały się krótko przed jego narodzinami, pozwala sądzić, że opierał się na bezpośrednich relacjach. Istnieje też kilka frankijskich annałów, często mniej stronniczych niż produkcje następcy Fredegara, powstałych mniej więcej w tym samym czasie. Muzułmańskie źródła pochodzą z okresu późniejszego o dwa albo i trzy wieki. Dzięki nim wszystkim wiemy z grubsza, co zdarzyło się tej strasznej soboty i co zaskoczyło Franków zaraz następnego dnia, w niedzielę.

Pierwsi zaatakowali muzułmanie. Zaraz po porannej modlitwie tysiącami dosiedli swoich wypoczętych, napojonych wierzchowców i skierowali się galopem drogą na północ. Na otwartym terenie nabrali szybkości, wydając z siebie mrozące krew w żyłach okrzyki - wyznania wiary i zachęty do walki, aby zatrwożyć Franków pierwszy raz stających oko w oko z podob-



nym przeciwnikiem. Był to szczególny moment dla obu kultur - oto spotkały się dwie armie, które prawie nic nie wiedziały o sobie nawzajem. Myśl, że były jednak spokrewnione poprzez wyznawaną wiarę, wydawała się wówczas całkiem niedorzeczna. Pojawiła się dopiero wiele pokoleń później, gdy kontakty stały się bardziej zróżnicowane.

Zanim Berberowie i Arabowie pojawili się w polu widzenia Franków, można było usłyszeć tętent ich koni, granie rogów i zagrzewających do boju czyneli. Gdy powiewające nad jazdą proporce i jasne ostrza włóczni ukazały się wreszcie ich oczom, Frankowie zmówili zapewne własne modlitwy. Karol Młot rozkazał im stawać zwartą masą, ramię przy ramieniu, z tarczami wbitymi w ziemię na podobieństwo palisady, z bojowymi krzyżtoporami gotowymi do zadania ciosu.

Impet ataku był trudny do wyobrażenia. Arabska taktyka przewidywała zepchnięcie przeciwnika z pozycji obronnych i skuszenie go następnie fałszywym manewrem ucieczki do podjęcia bezładnego pościgu. Tak wyizolowane grupy należało następnie rozbić. W chaotycznej walce uwydatniała się w pełni przewaga lekkiej konnicy. Uzbrojeni w miecze, włócznie albo łuki jeźdźcy mogli sprawnie się przemieszczać, osłabiając przeciwnika szybkimi, rwanymi atakami aż do rozbicia jego szyku. Łatwo było im też podjąć pościg za uciekającymi w panice pojedynczymi żołnierzami.

Frankowie jednak nie ustąpili. Mogli zachwiać się pod nawałą, ale oparli się pokusie pościgu, gdy konnica się wycofała. Berberowie i Arabowie atakowali raz za

razem, jednak nie mogli przełamać linii przeciwnika. Według mozarabskiego kronikarza, nowi „Europenses” stali nieruchomo niczym „lodowy mur”. Z każdą chwilą przybywało rannych i umierających. Kolejne wysyłane przeciwko Frankom fale wojska rozbijały się o mur tarcz. Miasto Męczenników za Wiarę zasłużyło na swoją nazwę.

Ponura rzeź trwała przez cały jesienny dzień. W pewnej chwili oddział jazdy, prowadzony zapewne przez księcia Odon, wypadł z żółknących lasów i zaatakował arabski obóz na tyłach. Utrata łupów gromadzonych przez kilka miesięcy kampanii miałyby katastrofalny wpływ na morale muzułmanów. Wedle tradycyjnych przekazów sam Abd ar–Rahman poprowadził atak, który zażegnał to niebezpieczeństwo. Potem, aby dodać ducha swoim ludziom, zapewne bardziej tęskniącym już za odwrotem niż bitwą, wódz zarządził o zmroku kolejną serię ataków na pozycje przeciwnika. Podczas jednego z nich ciężka jazda Franków przysłała na pomoc piechocie i Abd ar–Rahman zginął pośród zgiełku bitwy.

Zapadła noc. Armie zerwały kontakt, unosząc z pobojuwiska rannych i zabitych. Gdy wstał niedzielny poranek, na polu walki panowała grobowa cisza. Karol Młot zebrał ludzi za murem tarcz, ale chociaż mijały minuty, przeciwnik się nie pojawiał. Nie było go nawet słychać. Wysłano zwiadowców. Wrócili po chwili galopem, donosząc, że złożony z setek kolorowych namiotów obóz wroga wydaje się całkiem pusty. Frankowie ruszyli ostrożnie w jego stronę, przeszukano też

okoliczne lasy w poszukiwaniu zasadzek i pułapek. Cały ranek upłynął na sprawdzaniu, gdzie mógł się ukryć przeciwnik, i domysłach, jaki podstęp obmyślił, zostawiając obóz na pastwę losu. Jednak to nie była pułapka. Żołnierze Al-Andalus zniknęli niczym duchy - po cichu, w środku nocy. Utrata dowódcy pozbawiła ich woli walki. Dość mieli wojny na obcej ziemi. Umknęli w panice, zostawiając większość łupów, które przypadły w ten sposób zwycięzcom.

Jakkolwiek dziwne to było zwycięstwo, pozostawało faktem, że Karolowi i Odonowi udało się to, czego nie zdołali dokonać ich poprzednicy, jak Cyrus, Grzegorz, Kahina czy Roderyk. Muzułmańskie podboje mogły tracić z wolna pierwotne tempo, ale dopiero „lodowy mur” Franków zatrzymał je w miejscu. Dotąd tylko dwóch bizantyjskich dowódców - młody Konstantyn IV i ikonoklasta Leon III - zadało Umajjadom podobną klęskę. Odon odzyskał Akwitanie, Karol Młot oraz jego syn, Pepin Krótki, mieli w ciągu jednego pokolenia odebrać muzułmanom Prowansję i Septymanie. Niedługo później Karol Wielki zajął się Katalonią, wypędzając najeźdźców z Barcelony i tworząc to, co znane było przez stulecia jako Marchia

Hiszpańska, chroniąca chrześcijańskie pogranicze przed Arabami. Mapa Europy została wyrysowana na nowo i chociaż miała się jeszcze zmieniać, obecny porządek okazał się o wiele trwalszy niż ten sprzed okresu podbojów. Być może nie tylko bitwa pod Poitiers o tym zadecydowała, ale na pewno odegrała ona swoją rolę w zapoczątkowaniu zmian.

Dzisiejsze Moussais-la-Bataille także nasuwa refleksje na temat specyficznych zakrętów historii. Imponujący pomnik uświadamia, że znaczenie przeszłych zdarzeń zależy od tego, kto zachowuje je w pamięci i kto o nich naucza. Pewnego lipcowego dnia pojawiła się tam nawet grupa chińskich studentów, uczestników letniej szkoły językowej uniwersytetu w Poitiers, przybyłych do Francji w ramach wymiany międzyuczelnianej. Uważnie krążyli po szachownicy, omijając puste pola i wczytując się w inskrypcje opisujące historię tego miejsca. Pobliskie zakole rzeki Clain otrzymało nazwę na cześć Maurów, którzy tam utonęli. Starsi mieszkańcy okolicy mogą pamiętać działający podczas drugiej wojny światowej oddział ruchu oporu o nazwie Karol Młot. Wielu potomków muzułmańskich imigrantów mieszkających w zorganizowanym dla nich osiedlu w Poitiers mogło słyszeć o rasistowskiej cybergrupie Martel (Młot). I nawet największe zakąły francuskiej polityki pamiętają, jak w erze Mitterranda wysyłano wszystkie przeznaczone na francuski rynek japońskie odtwarzacze wideo do komory celnej w Poitiers. Zarządzenie miało numer 732. Poitiers żyje dniem dzisiejszym, a wpływająca na zbiorową pamięć partia szachów nie została jeszcze zakończona.

# ROZDZIAŁ TRZECI

## KORDOBA

Złoty wiek współistnienia; *mare nostrum* jako mu-  
zułmańskie jezioro, 750–1030

*Convivencia* to hiszpańskie słowo określające „wspólne życie”, zwykle zgodne i pogodne. Odnoszono je zazwyczaj do chrześcijańskiej hegemonii nad islamem w średniowiecznej Hiszpanii, jednak w kontekście tej książki można skojarzyć je z każdym społeczeństwem, w którym wojownicze dążenia ustąpiły gotowości do świadomego współistnienia różnych wspólnot religijnych. Zdarzyło się tak w kilku rejonach śródziemnomorskiego świata półtora wieku po śmierci Proroka. Chrześcijanie, muzułmanie i żydzi próbowali ułożyć swoje relacje w nowej rzeczywistości i chociaż nie wykluczyło to wojen ani okrucieństw, z wolna zaczął się wyłaniać nowy porządek. *Mare nostrum* bezpowrotnie zniknęło.

Trwało chwilę, nim wszyscy to zrozumieli. Większość krain leżących na północnych wybrzeżach Morza Śródziemnego jeszcze się nie przebudziła. Poruszenie wywołane przez Karola Wielkiego, wnuka Karola Młota, było jeszcze bardzo świeże, a on sam miał własne kłopoty. Ponadto na północy Europy szaleli wikingowie, na południu grozę siali piraci. Nieliczni piśmienni tamtej epoki uznawali to za znak bliskiego końca starego świata, co utożsamiane bywało z końcem świata w ogóle. Coraz częściej wracano myślami do opisów

ostatnich dni z Apokalipsy św. Jana, jak zwykle zresztą w gorszych czasach. Listy i kroniki mnichów wspominały, że *mundus senescit*, świat się zestarzał. Szczególnie ponure wizje królowały w zachodnich krajach chrześcijaństwa. Pomysł, że zachodnia cywilizacja została „uratowana” przez Irlandczyków czy kogokolwiek innego, mógł się zrodzić tylko w głowach ludzi, którzy nie znają świata śródziemnomorskiego. Cały czas kwitł przecież handel i kultury mieszały się, wymieniając między sobą myśli. Cywilizacja miała się całkiem dobrze zarówno w ósmym, jak i dziewiątym czy dziesiątym wieku. Z mnichami i bez nich.

Na Wschodzie odrodzony Konstantynopol zwrócił tymczasem uwagę na Bałkany i tereny położone nad Dunajem. Nadal był największym miastem Europy, chociaż jego prestiż zmalał trochę wskutek utraty wpływów na Bliskim Wschodzie. W Anatolii, która wciąż była grecką ojczyzną chrześcijaństwa, armie *basilieusa* ścierały się z muzułmanami mniej więcej raz na pokolenie. Stara, wcześniejsza od islamu animozja między potęgami Wschodu i Zachodu też dawała niekiedy o sobie znać, jak chociażby w liście pewnego kalifa, który musiał chyba wzorować się na obelżywych pismach słanych przez Chosrowa do Herakliusza: „W imię boga miłosiernego, Harun ar-Raszid, Wódz Wiernych, do Nicefora, rzymskiego psa. Przeczytałem twój list, o synu niewiernej matki”. Mimo tych wątpliwych wyrazów uznania kolejni bizantyjscy władcy częściej szukali raczej porozumienia niż zwady ze swoimi wschodnimi sąsiadami. Bardziej zależało im zresztą na

ochronieniu bizantyjskiej części Italii przed Longobardami i Frankami niż na odbiciu Jerozolimy. To marzenie odeszło już do przeszłości.

Gdzie indziej też zachodziły zmiany. Islam zapanaował nad szerokim półksiężycem ziem rozciągających się od gór Taurus przez Syrię, Palestynę i północną Afrykę aż po Pireneje. Większość mieszkańców tych terenów stanowili zimmi, czyli chrześcijanie i żydzi chronieni przez muzułmańskich władców za cenę ograniczonych praw oraz wyższych podatków. Dla oszczędzenia uczuć muzułmańskiej mniejszości zakazywano używania kościelnych dzwonów, same zaś świątynie mogły być remontowane, nie wolno jednak było budować nowych. Żaden przedstawiciel „ludów Księgi” nie miał też prawa obrażać Proroka ani posiadać niewolnika, który byłby muzułmaninem. Pomijając te kwestie, niewierni mogli żyć i wyznawać swoją wiarę z pełnym błogosławieństwem ze strony kadich, religijnych zarządców we władzach islamskich miast. *Convivencia*, chociaż niedoskonała i nietrwała, dawała szansę spokoju. Paradoksalnie, jej początkiem były wydarzenia niemające nic wspólnego z pokojową koegzystencją. Działo się to w Kordobie, stolicy Al-Andalus. Tam właśnie raz jeszcze muzułmanin zwrócił się przeciwko muzułmaninowi.

W 750 roku w Damaszku tłum wdarł się do grobowca Mu'awiji, zmarłego siedemnaście lat wcześniej pierwszego umajjadzkiego kalifa, i zbezczeszczył jego szczątki. Podobny los spotkał zwłoki wszystkich jego następców, którzy przewodzili dotychczasowym pod-

bojom i stworzyli imperium rozciągające się od Indusu aż po Atlantyk. Zostały bezceremonialnie niczym padlina ciśnięte na ulicę. Ich potomkowie ledwie mieli czas zareagować na zniewagę. Po pierwszych zamieszkach ogłoszono rozejm, który miał ocalić jedność ummy. Pozostali dostojni Umajjadzi zostali zaproszeni na przyjęcie w Abu Futrus w Palestynie. Zjawilo się ich siedemdziesięciu, żaden jednak ucztę nie przeżył.

Sprawcami tej masakry byli członkowie klanu Kurajszytów wywodzącego się od Abbasa, jednego ze stryjów Mahometa. Od pozostałych Kurajszytów, zdegrustowanych umajjadzkim monopolem na władzę, odróżniało ich to, że potrafili wykorzystać urazy nawróconych na islam. W Persji i Iraku często dochodziło do buntów wzniecanych przez szyitów oraz, co nawet ważniejsze, przez cywilizowanych muwalladów ze staro imperium Sasanidów. Dość mieli już uprzywilejowanej pozycji, którą cieszyli się arabscy twórcy islamu. Swoją rolę mogły odgrywać też dawne animozje wobec pustynnych sąsiadów. Wprawdzie Persowie nie od razu dali się przekonać, Abbasydzi byli bowiem równie mocno przywiązani do swych przywilejów jak Umajjadzi, ale ostatecznie wsparli ich w walce o władzę. Miało to jeszcze jeden skutek - władztwo islamu przesunęło się dalej na wschód, aż po Sawad u zbiegu Eufratu i Tygrysu.

W 762 roku Abbasydzi założyli miasto Bagdad, czyli Madinat as-Salam (Miasto Pokoju). Powstało w pobliżu Ktezyfonu, dawnej stolicy Sasanidów. Zbudowane na planie gwiazdźście rozchodzących się alei



mogło kojarzyć się z centralnym punktem wszechświata. Będący prawdziwym kulturowym kameleonem wczesny islam błyskawicznie porzucił dawne, grecko-rzymskie prowincje w Syrii dla perskich splendorów. Damaszek popadł w zapomnienie, chociaż pamiętano o dorobku związanym

z dawnym dziedzictwem. W ciągu następnych stuleci uczeni z Bagdadu, chrześcijanie, żydzi i muzułmanie, przetłumaczyli na arabski (albo inaczej przyswoili arabskiej kulturze) wiele klasycznych greckich i rzymskich pism. Al-Kindi, bagdadzki myśliciel z dziewiątego stulecia, jednoznacznie wypowiedział się o otwartości intelektualnej swojego miasta: „Nie powinniśmy wstydzić się przyjmowania prawdy, skądkolwiek napływa, nawet jeśli pochodzi od minionych pokoleń całkiem obcych ludów. Dla kogoś, kto szuka prawdy, nie ma wyższej wartości niż prawda sama w sobie”. W czasie gdy Bagdad chłonał mądrości Zachodu, inni zwozili do niego bogactwa, wynalazki i pomysły z Indii i Chin. Miasto stało się wielkim targowiskiem oraz centrum cywilizacji.

Jego wpływy sięgały dalej, niż można by sądzić. Do dziś posługujemy się tym, co zostało wówczas stworzone, jak algebra, algorytm czy arabskie cyfry (choć w zasadzie zostały wcześniej zaimportowane z Indii). Uczeni z Bagdadu studiowali dawne księgi w poszukiwaniu wskazówek dla rozwoju medycyny, teologowie zmagali się z Arystotelesem i syrenim śpiewem antycznej epoki rozumu dużo wcześniej, zanim Zachód zainteresował się nimi ze swojego, chrze-

ścijańskiego, punktu widzenia. Inżynierowie i znawcy rolnictwa udoskonalili koło wodne; pracowano nad nawadnianiem pól, próbowano uprawy nowych gatunków zbóż. Geografowie rysowali nowe mapy świata, astronomowie nowe mapy nieba. Artyści rywalizowali z Konstantynopolitańczykami. Abbasydzcy kalifowie, obecni we współczesnej kulturze dzięki *Opowieściom tysiąca i jednej nocy*, obrastali w niebotyczne bogactwa, które zdumiałyby pierwszych następców Mahome-ta. Gdy w roku 802 kalif Harun ar-Raszid usłyszał o ambitnym królu z dalekiego kraju, który mógłby się stać pewnego dnia użytecznym sojusznikiem, wysłał mu podarunek mający świadczyć o życzliwości i wspa-niałości. Posłańcy przybywający z cennymi je-dwabiami i słoniem o imieniu Abul Abbas musieli być na dworze Karola Wielkiego w Akwizgranie sensacją porównywalną dzisiaj jedynie z lądowaniem kosmitów.

Dla historii kultury śródziemnomorskiej założenie Bagdadu miało takie samo znaczenie jak powstanie Konstantynopola. Wschód, a właściwie Daleki Wschód, znalazł się nagle o wiele bliżej, ponieważ du-żo łatwiej było tam teraz dotrzeć przez jedno muzuł-mańskie państwo. I tym samym właśnie do Bagdadu trafiało najpierw wszystko, co przybyło z głębi Azji.

Takie ludy z tamtych okolic, głównie stepowi no-madzi, którzy zaczęli nawiedzać krainy Żyznego Pół-księżycy. Niekiedy wędrowali jeszcze dalej, co będzie miało istotne konsekwencje dla regionu.

Chociaż Bagdad stał się wielką metropolią islamu, jego położenie geograficzne i tak nie pozwalało kali-

fom na pełne rozwinięcie wpływów politycznych. Krótko mówiąc, stolica znajdowała się zbyt daleko na wschodzie, aby dało się stamtąd zarządzać zachodnimi prowincjami imperium. Jak długo ośrodkiem władzy był Damaszek, tak długo napięcia tylko osłabiały państwo, gdy jednak arabskim imperium zaczęto rządzić z Bagdadu - rozpadło się. Nigdy więcej nie udało się go zjednoczyć. Promieniste ulice Bagdadu zadziały jak centryfuga.

Najbardziej spektakularnym zdarzeniem była ucieczka Abd ar-Rahmana Ibn Mu'awija ad-Dachila. Był syryjskim księciem i wnukiem umajjadzkiego kalifa. Udało mu się ukryć przed abbasydzkimi zamachowcami, potem zaś wykazał dość rozsądku, aby nie przyjmując zaproszenia do Abu Futrus. Schronił się wraz z bratem w górzystej okolicy Mezopotamii, jednak wysłannicy uzurpatorów odszukali ich i tam. Abd ar-Rahman uniknął pojmania, pokonując wpław rzekę Eufrat. Jego brat zawrócił w środku nurtu skuszony obietnicami prześladowców, że zostanie im okazana łaska. Bezpieczny na drugim brzegu Ar-Rahman widział, jak oprawcy poderżnęli jego bratu gardło.

Nie wiadomo dokładnie, jak zdołał potem umknąć łowcom nagród, niemniej w ciągu pięciu lat przebył Palestynę, Cyrenajkę, Ifrikiję, Maghreb i dotarł do Al-Andalus. Pozostając w obrębie Dar al-islam, starał się oddalić od prześladowców. Jedna z legend głosi, że jakiś czas przebywał u dalekich krewnych w Maroku (jego matka była berberyjską niewolnicą sprowadzoną do Syrii), aż w końcu wyczuł odpowiednią chwilę, prze-

prawił się przez Cieśninę Gibraltarską i dołączył do swoich andaluzyjskich zwolenników. Północą Afrykę i Iberię trawiły wówczas te same niepokoje, które wstrząsały Wschodem. Nawróceni na islam Berberowie buntowali się coraz bardziej, dość mieli bowiem przywilejów, którymi cieszyła się arabska mniejszość. W końcu zaczęli zakładać własne, niezależne od emirów księstwa, podobnie jak uczynił to kiedyś Munuza. Do tego dochodził jeszcze konflikt pomiędzy dwoma klanami, które obecne były w Iberii: Jemeńczykami, czyli „południowymi Arabami”, a klanem Kajs, „północnymi Arabami”, do którego należeli Kurajscy. Podobne konflikty były charakterystyczne dla całej ummy w siódmym i ósmym stuleciu, a ich uczestnicy traktowali rzecz bardzo poważnie: gdy jeden z pierwszych iberyjskich emirów, z klanu Kajs, wpadł w ręce swoich jemeńskich wrogów, zakończył rządy ukrzyżowany pomiędzy świnią a psem.

14 sierpnia 755 roku Abd ar-Rahman wylądował na europejskim brzegu i uzyskał oficjalny *lakab* - przydomek - Ad-Dachila, Imigrant. Oczekiwała go spora grupa umajjadzkich lojalistów, którzy pragnęli zakończyć wreszcie międzyklanowy konflikt. Abd ar-Rahman nie zmarnował okazji. Zdobył Kordobę, uczynił ją swoją stolicą, a sam ogłosił się emirem, zapewniając sobie tym samym zajęcie na resztę życia, bo rządził aż trzydzieści dwa lata. Zdołał zjednoczyć Al-Andalus, łamiąc bezlitośnie opór Berberów oraz arabskich rywali i chroniąc skutecznie swoje państwo przed intrygami Abbasydów i Franków. Tymi ostatnimi nie

musiał się zresztą wiele martwić, ponieważ władcy ważnego, północnego miasta Saragossa zrobili to za niego. Sami odparli Karola Wielkiego, aż musiał ucho-  
dzić w popłochu przez przełęcz Roncesvalles, i dopiero potem podporządkowali się emirowi. Wyja-  
śnia to zresztą przy okazji, dlaczego rywalizujący z Umajjadami Abbasydzi podarowali Karolowi Wiel-  
kiemu słonia z dostawą do drzwi. Jeśli chodzi o trady-  
cyjnych przeciwników, Abd ar-Rahman nie okazał się  
miłosierny. Już na początku rządów zadbał o dekapita-  
cję kilku ważnych zwolenników Abbasydów. Potem  
kazał zasolić ich głowy i wysłać przez pewnego kupca  
do Al-Kajrawanu, stolicy abbasydzkiej Ifrikiji. Tam  
zostały po cichu, w środku nocy, ustawione na głów-  
nym rynku miasta. Krzyki przerażenia sklepikarzy, któ-  
rzy ujrzeli je rano, dobiegły aż do uszu kalifa w Bagda-  
dzie. Ten miał powiedzieć wówczas: „Bogu niech będą  
dzięki, że oddzielił mnie morzem od tego demona!”

Mimo nieciekawych początków ostatecznie zjed-  
noczone umajjadzkie państwo stało się ważnym ośrod-  
kiem cywilizacyjnym. Nauka i wszelkie sztuki osiągnę-  
ły poziom porównywalny tylko z Konstantynopolem  
i Bagdadem. Oczywiście przyczyniło się to w istotny  
sposób do rozwoju *convivencia*. Imigrant, znany w hi-  
storii jako Abd ar-Rahman I, zapewnił swojemu pań-  
stwu stabilizację wewnętrzną i bezpieczeństwo granic.  
Po wielu konfliktach Umajjadowie zajęli dwie trzecie  
półwyspu z zachowaniem pasa ziemi niczyjej między  
wielkim emiratem a chrześcijańskimi królestwami na  
północy; granica przebiegała mniej więcej wzdłuż dolin

rzek Ebro i Duero. Dla kontrastu, nad rzeką Gwadalkiwir, przepływającą przez Kordobę, żyć mógł każdy.

Zimmi, którzy do roku 950 stanowili większość mieszkańców Al-Andalus, odgrywali ważną rolę w życiu stolicy. Mozarabowie, chociaż pozostawali obywatelami drugiej kategorii i spotykali się niekiedy z prześladowaniami, mieli pewien wpływ na sprawy państwa. Pracowali jako skrybowie, doradcy, administratorzy, dyplomaci i żołnierze. Chrześcijańskie święta, mające przecież pogańskie korzenie, urozmaicały życie stolicy. Letnia zabawa w noc Jana Chrzciciela stała się powszechną atrakcją. Inne chrześcijańskie zwyczaje też miały swoich zwolenników. Przyklasztorne winnice na przedmieściach przyciągały potajemnie także spragnionych muzułmańskich dostojników<sup>21</sup>. Takie i podobne spotkania przedstawicieli różnych wyznań, chociaż podszyte hedonizmem, stały się nader powszechne i z czasem wynikło z nich sporo dobrego.

Mało kto mógł mieć wówczas większe powody do zadowolenia z obrotu zdarzeń niż iberyjscy Żydzi. Po piekle wizygockich rządów zaznali pod muzułmanami trzech pełnych stuleci pokoju. Al-Andalus nazywali w swoim języku Sefarad, stąd wzięło się określenie Żydów sefardyjskich. Mając warunki do rozwoju, wydali wielu pisarzy i poetów, których dzieła konkurowały z dorobkiem chrześcijańskich i muzułmańskich twórców. W dziesiątym wieku odkurzyli święty, ale zapomniany język hebrajski, aby wykorzystywać go przy badaniach Talmudu oraz w sztuce, niekoniecznie związanej z religią. Przekształcili także Kabałę, nadając

jej tę postać, która miała być później typowa dla zachodniej diaspory w obszarze kultury śródziemnomorskiej. Jeśli chodzi o sprawy bardziej doczesne, sefardyjscy kupcy konsekwentnie umacniali kontakty ze swoimi pobratymcami rozrzuconymi po całym terenie Dar al-islam. Żydowscy uczeni, kupcy i lekarze stali się znającymi języki ambasadorami Al-Andalus. W dziesiątym wieku jeden z takich lekarzy, Chasdaj Ibn Szaprut, został *de facto* ministrem spraw zagranicznych umajjadzkiego państwa, negocjując traktaty pokojowe z niemuzułmańskimi krajami na północy półwyspu. Innym razem wykazał się podziwu godną medyczną dyplomacją, lecząc udanie Sancha Grubego, króla chrześcijańskiego Leónu, z otyłości. Utrzymując liczne kontakty w całym ówczesnym świecie, nawiązał nawet korespondencję z odległym żydowskim królestwem chazarskim, leżącym na północ od Morza Czarnego. Nawet po upadku Kordoby w roku 1031 i rozpadzie kalifatu na niezależne państewka tradycja tolerancji nie umarła. Jeszcze w jedenastym wieku Szmuel Hana-gid<sup>23</sup>, poeta, uczyony, żołnierz i przywódca żydowskiej społeczności, sprawował urząd wielkiego wezyra, czyli premiera, u emira Grenady.

Rozwój tak bogatej kultury był dziełem wielu pokoleń. Gdy Abd ar-Rahman postanowił przebudować wizygocki kościół w Kordobie na wspaniałą meczet, nikt nie mógł przewidzieć, jaki skok cywilizacyjny dokona się tu w ciągu kilku następnych wieków. Nawet własne pisma emira (albo i takie, które są związane z jego osobą) ukazują nam władcę żyjącego nostalgiczny-

mi wspomnieniami, tęskniącego za Syrią i oplakującego zamordowanych bliskich. Własny majątek pod Kordobą nazwał Ar-Rusafa, na cześć dawnej siedziby rodu w Syrii, i kazał sprowadzić do niego rośliny i szczepki z Bliskiego Wschodu. Bez wątpienia miał nadzieję stworzyć ogród, w którym mógłby wspominać dawne dzieje. Napisał nawet elegię, zapewne inspirowaną owym ogrodem i poświęconą wszystkim, którzy utracili krainę młodości. Tym samym pisał także o sobie:

Pośrodku Rusafy palma pojawiła się w zachodniej krainie, z dala od domu wszystkich palm. Powiedziałem więc: to ja - bo i ja też jestem na wygnaniu, daleko od rodziny i przyjaciół. Wysoko wyrosłaś na wygnaniu, i podobnie jesteśmy daleko od domu.

Jakkolwiek sugestywna jest melancholia wywołana poszukiwaniem straconego czasu, nie towarzyszą jej apokaliptyczne refleksje o upadku ani starzeniu się świata, typowe dla chrześcijańskiej Europy. Ale chrześcijanie przegrali w tym przypadku, muzułmanie zaś wygrali, co decydowało o barwach, w jakich widzieli swoją przyszłość. Ponadto muzułmańscy imigranci, a w dziewiątym i dziesiątym wieku było ich na Półwyspie Iberyjskim ponad milion, przywozili ze sobą części dziedzictwa starego kraju. Damaszek był dla nich tylko wspomnieniem, nadal jednak wpływał na tradycję i kierunki rozwoju. Jeśli dodać do tego jeszcze kulturowe wpływy Bagdadu, który był wprawdzie rządzony przez wrogów, przy tym jednak krewnych i dobrych partnerów handlowych (zwłaszcza dla sefardyjczyków), łatwiej zrozumieć, dlaczego w porównaniu



z Al–Andalus wizygocka Hiszpania wydaje się ponurym zaściankiem. Wystarczy wymienić niektóre rośliny uprawne sprowadzone przez Arabów na półwysep, aby zrozumieć, jak duża wiedza przenikała wówczas ze Wschodu: bawełna, ryż, pszenica twarda, sorgo, trzcina cukrowa, szafran, cytryny, limonki, pomarańcze, morele, figi, granatowce, banany, arbuzy, szpinak, karczochy, bakłażany. Można się zastanowić, co właściwie jadali Wizygoci.

Pod rządami Umajjadów powiększono zdecydowanie obszar ziemi uprawnej na półwyspie. Wtedy też powstała otaczająca Walencję huerta, która do dzisiaj jest jednym z najciekawszych przykładów rolniczego zagospodarowania żyznej doliny w delcie rzeki. Gość z Iraku, Ibn Haukal, który odwiedził al–Andalus w dziesiątym wieku, pisał o panującym tam dostatku:

*Spotyka się nieużytki, jednak większa część kraju oddana została pod uprawę i jest gęsto zamieszкана. (...) W każdej dziedzinie życia napotyka się świadectwa dostatku i zadowolenia. Dostęp do dóbr oraz środków bogacenia się jest powszechny i równy dla wszystkich grup. Niskie podatki ułatwiają życie także artystom i robotnikom. A że stan państwa jest dobry, tak i jego władca jest bogaty, więc nie musi nakładać wysokich opłat i podatków.*

Inny podróżnik, który trafił do Al–Andalus, odnotował obfitość *norias*, służących do nawadniania kół wodnych tego samego typu, jaki stosowano w sławnym z tego wynalazku syryjskim mieście Hama. Wedle jego

szacunków, w samej dolinie Gwadalkiwiru było ich około pięciu tysięcy.

Pełne żołądki i pokój wokoło sprawiały, że mieszkańcy Al-Andalus byli jakby w innym świecie, mocno różniącym się od tego, co charakteryzowało Europę przez większą część jej historii. W dziewiątym wieku, za rządów Abd ar-Rahmana II (wnuka Imigranta), Kordoba zyskała wiele dzięki temu, że emir objął swoim patronatem niejakiego Zirjaba, pieśniarza, który wedle legendy został wyrzucony z bagdadzkiego dworu kalifa przez nauczyciela zazdrosnego o głos młodzieńca. W Kordobie został godnie przyjęty, opłacony i ulokowany w starym majątku Ar-Rusafa, gdzie spędził trzydzieści pięć lat. Zirjab (Kos) stał się z czasem w człowiekiem-instytucją, wyrocznią w kwestiach mody, manier i wszystkiego, co mógł zaszcześcić w młodym mieście przybysz ze światowej metropolii. Uczył mieszkańców Kordoby, jak podawać obiad, sugerując dobór i kolejność dań, jak rozpoznać i przyrządzać dzikie szparagi, wprowadził zwyczaj noszenia latem białych strojów (choć biel była tradycyjnie kolorem żałoby), uczył, jak układać fryzurę, jak najlepiej wydobywać zalety własnej urody (to jemu przypisuje się powstanie pierwszych salonów piękności), jak używać perfum, pasty do zębów oraz dezodorantów i w ogóle - jak żyć w dostatnim mieście dziewiątego wieku. Największe jednak znaczenie miał jego główny talent. Powiadano, że repertuar Kosa obejmował dziesięć tysięcy pieśni. Wywarł wielki wpływ na muzykę Andaluzji, czego ślady można usłyszeć i w dzisiejszych utworach

flamenco. Ulubione pieśni ówczesnych elit, po równi nasączone nutami miłości, żalu i tęsknoty, przekroczyły zapewne w końcu Pireneje i wpłynęły na pojawienie się w Europie trubadurów opiewających wielkie miłości i rycerskie czyny. Jeśli tak było, nie powinno zdumiewać, że pierwszy z wielkich trubadurów, Wilhelm Akwitański (Wilhelm IX Trubadur), urodził się właśnie w Poitiers, a jego ojciec brał udział w ponownym poświęceniu tamtejszego kościoła Świętego Hilarego spalonego przez Saracenów. Znacząca staje się też forma pomnika wzniesionego w Moussais-la-Bataille, bo podobno to właśnie za sprawą Zirjaba w zachodniej Europie pojawiły się szachy.

Wraz ze zdrowym szacunkiem dla zmysłowych radości zaczęto doceniać też wartości duchowe. W apogeum militarnej i politycznej potęgi w dziesiątym wieku umajjadzka Kordoba była również miastem uczonych i ksiąg. Biblioteka władcy, która nie była jedynym takim przybytkiem w mieście, miała liczyć 400 tysięcy woluminów. W tym samym czasie największe biblioteki chrześcijańskiej Europy gromadziły zwykle do czterystu pozycji. Jeden z umajjadzkich książąt, Al-Hakam II, był prawdziwym mołem książkowym, rozsyłał bowiem swoich agentów po całym Dar al-islam w poszukiwaniu najnowszych manuskryptów i najlepszych kopistów. W mieście Jativa w pobliżu Walencji powstała wówczas pierwsza w Europie papiernia. Wieści o wszechstronności zainteresowań mieszkańców Kordoby docierały do najdalszych zakątków śródziemnomorskiego świata. Gdy basileus Konstantyn VII Porfi-

rogeneta wysłał w 949 roku ambasadora do miasta nad Gwadalkiwirem, przekazał w prezencji nie tylko płytki mozaikowe, które miały być wykorzystane przy budowie meczetu, ale także egzemplarz pracy Dioskorydesa, wielkiego botanika i medyka antycznego świata, czym bardzo zachwycił lekarza i dyplomatę Chasdaja Ibn Szapruta. Ponieważ jednak nikt na dworze nie potrafił poradzić sobie z grecką terminologią Dioskorydesa, trzeba było poprosić Konstantynopol o pomoc. Tym sposobem jakieś dwa lata później zjawił się w Kordobie mnich imieniem Mikołaj. Wraz z pewnym dwujęzycznym muzułmaninem z Sycylii i mając pomoc wielu miejscowych (z Chasdajem włącznie), zabrał się do pracy nad nowym i zrozumiałym dla arabskich mieszkańców Al-Andalus przekładem dzieła, które dotąd dostępne było w Kordobie jedynie w niekompletnym bagdadzkim tłumaczeniu.

Rozwój takich praktycznych dziedzin, jak medycyna, agronomia czy administracja doprowadził do ogólnego poszanowania wiedzy i stworzył podwaliny pod intelektualną i artystyczną rewolucję. Bogata materialnie i duchowo Al-Andalus pozwoliła zaistnieć na nowo jednostce - stała się ona wartością, której zabrakło we wcześniejszych wiekach *mare nostrum*, kiedy to ważniejsze były kwestie ideologii i pojedynczy człowiek niewiele znaczył wobec wspólnoty. Podczas gdy bibliotekarze Kordoby opracowywali to, co otrzymali z Bagdadu, arabscy poeci Al-Andalus modyfikowali klasyczną poezję odziedziczoną z Mezopotamii i pisali nowe dzieła, które chociaż mniej wyrafinowane niż to,

co powstawało na Wschodzie, okazywały się bardziej emocjonalne, bezpośrednie i przemawiały silniej. Częstym tematem ich twórczości była przyroda, w tym opisy rolniczego krajobrazu i pragnień, jakie rozbudzała. Pojawiły się też nowe formy poetyckie, w pewnym stopniu inspirowane pieśniami miłosnymi, które Arabowie słyszeli wszędzie wkoło. Jeden z historyków nazwał te osiągnięcia „ostatnim rozkwitem oryginalnej i osobistej poezji lirycznej przed czasami współczesnymi”. To było wydarzenie, na dodatek miało przynieść owoce w muzułmańskiej Hiszpanii także po upadku Umajjadów. Zamieszkujące półwysep społeczności niemuzułmańskie w różnym stopniu zarażały się pędem do innowacji. Jeden z tłumaczy poezji z tego okresu, który niemal zawsze bywa nazywany Złotym Wiekiem, stwierdził: „Po raz pierwszy od czasów starotestamentowych żydowscy poeci pisali z zaangażowaniem o tak różnorodnych sprawach, jak wino, wojna, erotyczne pożądanie, mądrość, los, żal i metafizyczne oraz religijne tajemnice”. Muzułmanie, chrześcijanie i żydzi zdołali wówczas, w okresie znanym gdzie indziej jako ciemne wieki, rozpalic na półwyspie coś, co jaśniało przez lata prawdziwym blaskiem.

Bez wątpienia Kordoba była wówczas największym miastem zachodniej Europy. Nie była jednak Kamelotem. Mimo szerokich horyzontów jej mieszkańców bywała świadkiem drobniejszych lub powszechniejszych aktów przemocy. Zwykle wiązały się one z jakimś buntem mozarabów, którzy podobnie jak wcześniej Berberowie, protestowali przeciwko ograni-

czaniu ich praw w obrębie ummy. W 818 roku na murach miasta zawisły dziesiątki ukrzyżowanych przywódców jednej z takich rebelii, a przedmieście zamieszkane przez ich zwolenników - mieszczące się na lewym brzegu Gwadalkiwiru, naprzeciwko stojącego do dziś rzymskiego mostu, zostało kompletnie zburzone. Zdarzały się też bunty całych prowincji, które zdają się zaprzeczać tezie o jedności Al-Andalus. Najbardziej udany doprowadził do blisko pięćdziesięcioletniej niezależności państewka położonego w górach na północ od Malagi i był dziełem muzułmańskiego wodza Umara Ibn Hafsuna, który oportunistycznie przeszedł na chrześcijaństwo.

Takie religijne w podtekście bunty z dziesiątego wieku, podobnie jak i wcześniejsze o trzy pokolenia niepokoje kordobańskich mozarabów, brały się z wciąż żywych uraz. Regułą było, że najwięksi wrogowie pokojowego współżycia na półwyspie różnych kultur wywodzili się spośród tych, którzy najpoważniej traktowali swoją religię. Odmawianie innym religiom prawa do istnienia miało tradycję literacką sięgającą półtora tysiąca lat, ale postać dojrzałą osiągnęło właśnie w Iberii, podsycane na dodatek biadaniem, że przecież tak dalej być nie może. Wielu muzułmańskich przywódców religijnych oburzało się głośno, nazywając zdradą wiary obsadzanie niemuzułmanów na ważnych urządach. Ich chrześcijańscy odpowiednicy głosili podobne tezy, z inną wszakże konkluzją: że jeszcze trochę, a odrębne do tej pory społeczności ulegną kompletnej arabizacji i islamizacji. Co więcej, każda ze

stron miała tę drugą za źródło zepsucia. Najbardziej pobożnym muzułmanom chrześcijanie, z ich winem i nieskromnie ubierającymi się kobietami, jawili się jako bezpośrednie zagrożenie dla wzorów dobrego życia przedstawionych w Koranie i ujętych w szarłacie - prawie wywiedzionym z czynów i słów Proroka. W rzeczy samej, Umajjadzi wykazywali tak wielką skłonność do jasnowłosych niewolnic sprowadzanych z krain Północy, że w wielu rodach panujących zaczęły pojawiać się dzieci z niekoniecznie czarnymi włosami i z niebieskimi oczami. Oczywiście nie pozostało to niezauważone przez współczesnych. Wielki wódz z dziesiątego wieku, Abd ar-Rahman III, farbował podobno włosy, aby bardziej wyglądać na Araba i tym samym na członka semickiej rasy panów.

Dla skrajnie pobożnych chrześcijan asymilacja była prawdziwą zmorą. W połowie dziewiątego stulecia Paweł Alvarus (Albar), andaluzyjski Żyd, który przeszedł na chrześcijaństwo, grzmiał przeciwko wszystkim tym młodym chrześcijanom, którzy podchwytywali wprowadzane przez Zirjaba nowinki. Narzekał przy tym na zapomnienie, w które popadła stara wizygocka kultura:

*Moi chrześcijańscy pobratymcy rozczytują się w arabskich wierszach i romansach; studiują arabskich teologów i filozofów nie po to, aby wykazać fałszywość ich słów, ale dla podszlifowania swojej znajomości arabskiego. Czy ktokolwiek czyta jeszcze łacińskie komentarze do Pisma Świętego, czy ktokolwiek studiuje Ewangelię, słowa proroków lub apostołów? Niestety!*

*Wszyscy utalentowani młodzi chrześcijanie rozczytują się entuzjastycznie w arabskich księgach; nie szczędząc kosztów, gromadzą wielkie biblioteki, ale odrzucają chrześcijańską literaturę jako niewartą ich uwagi. Zapomnieli swego języka. Na jednego, który potrafi napisać po łacinie list do przyjaciela, przypada tysiąc zdolnych wyrazić się elegancko po arabsku i umiejących niekiedy pisać w tym języku lepsze wiersze, niż czynią to sami Arabowie.*

Wprawdzie brzmi to podobnie jak dzisiejsze wieczne narzekania na temat kryzysu wartości, niemniej Alvarus nie był jedynym, który ostrzegał przed uleganiem muzułmańskiej retoryce. Po roku 850 religijne zawieszenie broni zostało złamane w Kordobie przez gorliwych chrześcijan, którzy publicznie urągali naukom islamu i podważali szczerłość Proroka. Czyni to głównie w nadziei na szybką, męczeńską śmierć. Wprawdzie chrześcijański biskup Kordoby robił, co mógł, aby uspokoić atmosferę, ale podobne zdarzenia powtarzały się przez całe dziesięciolecie. Do kulminacji doszło przy okazji sprawy Eulogiusza, uczonego i poety podziwianego także przez muzułmanów. Po kilku wystąpieniach, w których nie krył się z niechęcią wobec islamu, został wreszcie wezwany przez kadiego. Jeden z jego doradców próbował życzliwie przemówić poecie do rozumu: „Jakie szaleństwo cię opętało, że tak nisko upadłeś”, zapominając o naturalnym umiłowaniu życia? Posłuchaj mnie, proszę, i nie podążaj ścieżką zagłady. Powiedz tylko to, co trzeba teraz powiedzieć, a potem praktykuj swą wiarę, gdzie będziesz chciał.



Obiecujemy, że nie będziemy cię szukać”. Stary chrześcijanin powtórzył jednak swe obelgi i został ścięty, chociaż uczyniono to całkiem bez entuzjazmu. Władze pozwoliły wywieźć szczątki „świętego z Kordoby” do jednego z chrześcijańskich królestw na północy Półwyspu Iberyjskiego, gdzie szybko stały się obiektem kultu i, zważywszy ówczesne nastroje, swoistym dowodem na bliskość Apokalipsy. *Convivencia* miała swoje granice.

W tamtych dniach, tysiąc lat temu, Morze Śródziemne niebieszczało spokojnie w jasnych promieniach słońca tak samo kuszące i groźne, jak za czasów Homera. Każdej wiosny przepływały przez Cieśninę Gibraltarską wielkie ławice tuńczyków dziesiątkowane z pogańskim zapalem przez mieszkańców wysp tego wewnętrznego morza. Życiem milionów żeglujących po nim ludzi, których losów nigdy nie poznamy, rządziły sezonowe i nieregularnie pojawiające się wiatry - tramontana, mistral, bora, gregale, meltemi, sirocco. Kto jednak chciał żyć spokojnie, osiedlał się z dala od morza, w ufortyfikowanych górskich osadach i warowniach. Tam docierało niewiele nowinek i tylko ludy mieszkające nad brzegami miały szansę pojąć, że nadchodzi czas przemian i nowych panów.

Na horyzoncie pojawiło się ożaglowanie łacińskie. Trójkątny żagiel, który okazał się idealny do manewrowania na morzu niemal pozbawionym pływów, a za to słynącym z kapryśnych wiatrów, jest zapewne wynalazkiem marynarzy Oceanu Indyjskiego. Jego pojawienie się znaczyło, że zbliżają się muzułmańscy kupcy

albo piraci. Wiele zmieniło się od czasów, gdy Mu'awija pierwszy raz zapędził ludzi pustyni na pokład. To, co zwali kiedyś Bahr az-Zulumat (Morzem Ciemności) albo Bahr ar-Rumi (Morzem Rzymian), przestało ich przerażać. Wraz z Berberami pływali teraz, gdzie chcieli, szukając niewolników, bogactw i miejsc na zakładanie kolonii. Mieszkańcy Al-Andalus znaleźli się w awangardzie: stulecie podbojów dobiegało końca na lądzie, miało jednak znaleźć swój dalszy ciąg na morzu.

Wyspy padały niczym kostki domina. W zachodniej części basenu muzułmanie z Al-Andalus opanowali Baleary i Sycylię, co otworzyło im drogę do mórz Tyrreńskiego i Liguryjskiego. Korsyka bywała najeżdżana, ale wedle miejscowych legend nigdy nie pogodziła się z okupacją. We wschodniej części morza, bronionej przez bizantyjską flotę, mieszkańcy wysp stawili żarliwy opór, jednak najeźdźcy byli zdesperowani. Mieli po temu powody. Chodziło o tych samych muwalladów, których bunt zakończył się wielkim krzyżowaniem przywódców na murach Kordoby. Wielu z nich uciekło, ale nie byli mile widziani w Aleksandrii, więc musieli szukać nowego domu. Ostatecznie ich spojrzenia padły na bogatą Krete, którą opanowali w 825 roku. Podobno zaraz po wylądowaniu ich wódz dał wszystkim dwanaście dni na grabieżę. Gdy wrócili z łupami na plażę, ujrzeli tylko szczątki spalonych statków. Dopiero wtedy kordobański admirał powiedział im, że przybyli tu nie dla rozbojów, ale jako osadnicy.

W środkowej części Morza Śródziemnego, w wąskim przejściu między Tunezją a Italią, łaciński żagiel obrał kurs na północ. Po opanowaniu Dżerby, home-ryckiej wyspy zjadaczy lotosu i oazy zieleni u pustynnych brzegów Libii, przyszła pora na rybacki archipelag Karkanna, który nie stawiał większego oporu, podobnie jak Pantelleria i Malta. Od tej drugiej był już tylko dzień żeglugi w silnym sirocco do najbardziej pożądaney spośród wszystkich wysp - Sycylii.

Pocięta rzymskimi drogami i przyozdobiona greckimi świątyniami, które pozamieniano na kościoły, pokryta gajami oliwnymi i winnicami, wielkimi majątkami, ufortyfikowanymi portami, bogatymi złożami minerałów i pełnymi zwierzyny lasami - nawet wówczas, w kiepskim dla niej dziewiątym wieku, nie była czymś, co chciałoby się oddać byle napastnikowi. Niemniej tak to właśnie przebiegło. Kraina, z którą rywalizować mogły jedynie takie oazy żyzności, jak dolina Orontesu w Syrii, delta Nilu czy huerta wokół Walencji, została zdradzona przez bizantyjskiego uzurpatora. Był nim dowódca floty wojennej, który chcąc uniknąć kary za romans z zakonnicą, zabił prawowitego namiestnika wyspy i ogłosił się basileusem całego imperium. Musiał jednak zdobyć potężnych sojuszników, zatem podobnie jak Julian z Ceuty, który pomógł Tarikowi dostać się na kontynent, ambitny władca pożegłował do Al-Kajrawanu, aby zachęcić muzułmanów do krótkiej morskiej wycieczki. Uradowani takim zaproszeniem Arabowie z Ifrikiji wylądowali w połowie czerwca 827 roku w Mazara del Vallo. Wprawdzie trwało trochę,

zanim opanowali całą wyspę, Palermo bowiem poddało się w roku 831, a doświadczone wielką rzezią Syrakuzy dopiero w 878 roku. Tak oto zniknął z mapy ostatni skrawek Wielkiej Grecji. Kilka wieków później Sycylia na powrót stała się chrześcijańska, ale nigdy już bizantyjska.

Przechwyciwszy wszystkie wyspy, muzułmanie zwrócili spojrzenie na kontynent. Trudno byłoby wyliczyć wszystkie wyprawy podjęte przez muzułmanów z Al-Andalus i Ifrikiji. Zdarzały się tak często, że całe pokolenia mieszkańców wybrzeży przywykły do życia w stanie ciągłej gotowości. Muzułmanie opanowali spore tereny w Kalabrii i Apulii (odpowiednio w „palcach” i „pięcie” włoskiego „buta”) i udało im się nawet założyć tymczasowo emirat ze stolicą w adriatyckim porcie Bari. Ponieważ południowa Italia była sceną nieustannych wojen pomiędzy różnymi longobardzkimi władcami, muzułmanie zostali potraktowani jako jeszcze jeden element lokalnego kolorytu. Co więcej, strony sporów zaczęły wynajmować ich jako zaciężnych wojowników, sięgając przy tym po ifrikijskich Sycylijczyków albo andaluzyjskich Kreteńczyków.

Najwięcej zamieszania pośród chrześcijan wywołał najazd na Rzym. Doszło do niego w roku 846, kiedy to Wieczne Miasto dawno już przestało udawać, że jest odporne na upływ czasu, i ogólnie wiodło mu się bardzo źle. Niegdyś wspaniałe budowle zarastały roślinnością, akwedukty popadły w ruinę, a ociosane w antycznych czasach kamienie służyły do budowy chlewików. Rzym nadal był miastem ze wszech miar chrześcijań-

skim, jednak nie darzono go większym szacunkiem, zwłaszcza że ówczesni namiestnicy Piotrowi służyli z niekompetencji albo zepsucia, a niektórzy nawet z obu tych wad naraz. W czasie muzułmańskiego najeźdu papieżem był wiekowy rzymski arystokrata Sergiusz II, znany z praktykowania symonii, czyli handlu urzędami i godnościami kościelnymi, w czym pomagał mu zresztą wydatnie jego rodzony brat. Żaden nie zrobił zapewne nic, aby przygotować miasto do odparcia agresorów, chociaż po upadku

Palermo wszyscy spodziewali się, że Rzym będzie następny. W sierpniu najeźdźcy wylądowali w pobliżu Ostii i nie napotykając oporu, ruszyli na miasto. Okoliczni mieszkańcy wycofali się przytomnie za mury obronne, tak zwany Mur Aureliana zbudowany sześć wieków wcześniej. Jakkolwiek nadal użyteczne, dawne fortyfikacje miały jeden minus - nie obejmowały tego, co stało się nowym centrum Rzymu, czyli Watykanu. Najeźdźcy metodycznie odarli Bazylikę Świętego Piotra ze wszystkiego, co miało jakąś wartość (to samo zrobili z pozostałymi budynkami Watykanu). Potem opróżnili jeszcze skarbiec i wycofali się wraz z łupami na pokłady okrętów. Następny papież, Leon IV, ponieważ nakazał budowę pasa umocnień. Fortyfikacje wzniesione na prawym brzegu Tybru dawały jakąś ochronę Watykanowi i wzgórzu Janikulum. Pewną pociechą dla obrabowanych mogła być świadomość, że najeźdźcy stracili wszystkie łupy podczas sztormu, który zaskoczył ich w drodze powrotnej.

Krótko mówiąc, Kordoba była wówczas nieporównanie potężniejsza od swoich chrześcijańskich sąsiadów, którzy nie dysponowali możliwościami obrony przystającymi do ich dumy. Morskie republiki tak sławne w następnych wiekach - Genua, Piza, Amalfi i Wenecja - były dopiero u progu rozwoju i w dziewiątym czy dziesiątym stuleciu mało kto jeszcze o nich słyszał. Nie były żadnym przeciwnikiem dla Arabów z Al-Andalus ani Ifrikiji. W 933 roku genueńskie kobiety i dzieci wpadły w ręce andaluzyjskich handlarzy niewolników, którzy najechali na miasto, gdy wszyscy zdolni do noszenia broni mężczyźni byli na wojnie (legenda powiada, że gdy wrócili, wyprawili się po rodziny aż na Sycylię). Nawet wielcy nie byli bezpieczni. W 972 roku wpływowy zakonnik Mayeul, przywódca burgundzkiego ruchu reformatorskiego z ośrodkiem w Cluny, trafił do muzułmańskiej niewoli podczas przekraczania Alp w drodze do Rzymu. Zwolniony został, dopiero gdy zapłacono za niego olbrzymi okup. Był to tylko jeden z wielu występków przypisywanych andaluzyjskiej bandzie, która znalazła schronienie na wybrzeżu Prowansji, w pobliżu obecnego La Garde-Freinet, wówczas zwanego Fraxinetum. Owa banda przetrwała tam wiele lat dzięki umiejętnemu maskowaniu kryjówek bujną śródziemnomorską roślinnością. Od strony lądu można było dotrzeć do niej tylko wąską i nieustannie strzeżoną ścieżką. Był to dosłownie cień w boku chrześcijańskiej Europy.

By zapobiec dalszym upokorzeniom, władcy i kupcy europejscy zaczęli słać posłów do Kordoby.

Ludy Północy prowadziły udane interesy z Al–Andalus i zależało im na uwolnieniu szlaków handlowych od piratów. Arabskim odbiorcom dostarczano głównie materiały budowlane, wełnę, surowce mineralne i niewolników, z których część przerabiano w Verdun i Walencji na eunuchów. Posłowanie do muzułmanów wymagało jednak sporego taktu. Delegacja Ottona I Wielkiego, króla Niemiec, który zapoczątkował w 962 roku Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego, miała problemy z powodu oficjalnych listów, w których napotkano zwroty obrażające Proroka. Listy były dziełem Brunona, brata Ottona i arcybiskupa Kolonii. Posłujący mnisi przesiedzieli trzy lata w areszcie domowym, aż odesłane do nadawcy listy zostały poprawione i wróciły w takim stanie, że można było przedstawić je bezpiecznie Abd ar–Rahmanowi III. Biorąc pod uwagę ducha tamtych czasów, posłańcy mieli szczęście, że w ogóle wyszli z tego żywi.

Większość ambasadorów i posłów wolała przytomnie nie brać niczego, co z daleka pachniało wyrokiem śmierci. Bizantyjska delegacja została zaopatrzona w dziesiątki klasycznych kolumn wydartych z różnych, chociaż wcale już nie tak licznych, ruin antycznego świata. Było to przemyślane posunięcie, jeśli zwazyć, że Abd ar–Rahman III poświęcił życie budowie kompleksu pałacowego Madinat az–Zahara na północny zachód od Kordoby i potrzebował wiele setek takich kolumn. Sam też przetrząsał w ich poszukiwaniu całą Iberię. W Madinat az–Zahara sztuka i architektura Al–Andalus sięgnęły wyżyn. Sala audiencyjna emira,

gdzie przyjmowane były wszystkie kłaniające się uniżenie delegacje z Północy, została zbudowana z półprzezroczystego marmuru, z posadzką w arabskie wzory geometryczne i basenem wypełnionym rtęcią. Na dyskretny sygnał władcy niewolnik burzył powierzchnię rtęciowego stawu i całe pomieszczenie wypełniało się odbitym od płynnego metalu blaskiem pochodni. Ta bajkowa iluzja oszałamiała zapewne gości, dla których szczytem wykwintu był tryskający tłuszczem dzik pieczony nad jako tako skleconym paleniskiem.

Władca Al-Andalus musiał jednak pokazywać się godnie. Zwłaszcza gdy 16 stycznia 929 roku, podczas piątkowej modlitwy, Abd ar-Rahman III ogłosił się kalifem. Sprawa była jednak problematyczna. Wszyscy wiedzieli, że islam ma już jednego następcę Proroka, Abbasydę władającego w dalekim

Bagdadzie, a tradycja powiadała, że dwóch kalifów być nie może. Jednak ambicje Al-Andalus wybujały w dziesiątym wieku na tyle wysoko, że miano emira wydawało się dalece niewystarczające. Dodatkowym powodem były niepokoje w Ifrikiji, gdzie już dziewiętnaście lat wcześniej pojawił się inny samozwańczy kalif. Mesjanistyczny odłam szyitów z Syrii, ismailici, przejął władzę od rządzących w Afryce rodów i dumnie obwieścił swoje pochodzenie od córki Proroka, Fatimy. Fatymidzi wierzyli, że to ich kalifat jest tym prawdziwym, ponieważ oni właśnie, dzięki boskiemu przewodnictwu, przechowali skrzętnie ukryte prawowite dziedzictwo islamu w czasie kryzysów, które wyniosły do władzy sunnitów. Kalifat fatymidzki, nagle wyrosły po-



śród pustyni, zagroził metodycznie budowanemu umajjadzkiemu państwu oraz handlowi złotem i zbożem w zachodnim Maghrebie.

Do wojny jednak nie doszło, Fatymidzi bowiem odwrócili się plecami do Zachodu i ruszyli na i tak niepokojną abbasydzką prowincję nad Nilem. Zwyciężywszy, założyli w 973 roku w pobliżu Al-Fustatu, amsaru Amra Ibn al-Asa, konkurencyjne miasto nazwane Al-Kahira (Triumfujący albo Zdobywca). Zachodowi znane jako Kair, z czasem miało przerosnąć rozmiarami Kordobę, a po upadku Al-Andalus stało się centrum muzułmańskiego świata i rolę tę pełni do dziś. Potężny Abd ar-Rahman III i jego następcy, książkolubny Al-Hakam, mieliby podobny rozwój wypadków za niedorzeczną fantazję.

Niemniej Umajjadzi z Al-Andalus upadli, i to niemal w ciągu jednej nocy. Sześćdziesiąt lat po ukończeniu budowy najbardziej luksusowy majątek w Europie, przepyszny Madinat az-Zahara, był już tylko ruiną odwiedzaną czasem przez ciekawskich.

Chodząc tam dzisiaj wśród cyprysów, zwirowymi ścieżkami, których układ wytyczali archeolodzy próbujący odtworzyć choćby część niegdysiejszego pałacu, trudno wyobrazić sobie te wspaniałe budowle sprzed tysiąca lat. A przecież były. Były złote fontanny i szumiące palmy daktyłowe, jedwabne draperie kołyszące się przy nocnym wietrze, pełne poduszek komnaty kobiet i zdobiony klejnotami meczet. I piekarnia, która dostarczała codziennie dwanaście tysięcy bochenków chleba dla ryb we wszystkich ogrodowych stawach. Je-

śli zaś chodzi o bibliotekę Al-Hakama, przepadła bezpowrotnie zniszczona przez berberyjskich fundamentalistów i późniejszą inkwizycję, która bała się trującego wpływu arabskich manuskryptów na ludzkie dusze i wolała powierzyć resztę zbiorów płomieniom. Spośród 400 tysięcy woluminów do dziś ocalał tylko jeden, odnaleziony w 1938 roku w bibliotece w marokańskim Fezie.

Jeśli można wyróżnić jedno konkretne miejsce, gdzie rozegrał się akt upadku Umajjadów, było nim miasto Medinaceli. Wprawdzie wedle mapy znajduje się w połowie drogi między Toledo a Saragossą, w rzeczywistości stoi jakby na dachu świata. Ulokowało się ono na najwyższej części wyżyny oddzielającej zlewiska rzek Duero i Ebro. Gdziekolwiek spojrzeć, widać rozciągające się w dole brunatne płaskowyże. Kiedy trochę wysilimy wzrok, dostrzeżemy stada owiec, które pobekując, wędrują antycznymi *cañadas*, uczepionymi do urwisk ścieżkami dawnych pasterzy. Nie widać ich w blasku reflektorów przemykających autostradą w dole samochodów. Łatwiej już zauważyć rzymski łuk triumfalny. Postawiony tuż nad przepaścią, ostro rysuje się na tle nieba jak milcząca wymówka pod adresem budowniczych autostrady, którzy zmienili ten historyczny zakątek w jedną z wielu mijanych na trasie miejscowości.

Mniej rzuca się w oczy tutejszy zamek warowny, zamknięty obecnie i nieodwiedzany. Też stoi na skraju urwiska, a jego dwie wieże, jedna kwadratowa, druga cylindryczna, nie noszą żadnych ozdób. Dzisiaj strzegą

tylko miejscowego cmentarza wyrosłego na trawiastym frontowym dziedzińcu. Medinaceli, którego nazwa wywodzi się od arabskiego Madinat Salim (Miasto Salima), było najdalej wysuniętym posterunkiem Al-Andalus. Stąd wyruszały każdej wiosny wyprawy przeciwko chrześcijańskim królestwom na Północy. Tutaj też, po jednej z takich kampanii, zmarł w 1002 roku Abu Amir Muhammad Ibn Abu Amir al-Maafari, ówczesny władca absolutny Al-Andalus. Na Zachodzie znany jest bardziej jako Almanzor (od jego oficjalnego przydomka Al-Mansur, Zwycięski). Nie wiadomo, aby został pochowany gdzieś w zamku. Nigdzie nie ma żadnego śladu jego grobu, brak nawet jakiegokolwiek materialnego świadectwa, że kiedykolwiek tu był, nie-mniej jego życie, a jeszcze bardziej śmierć, były tym, co zakończyło istnienie Al-Andalus.

To właśnie uzurpator Almanzor powiększył dwukrotnie sławny meczet i zmienił dzwony z Santiago de Compostela w osobliwe lampy. Był swego rodzaju Napoleonem Al-Andalus; nuworyszem, który szybko dotarł na sam szczyt. Już na samym początku kariery, kiedy był tylko skromnym skrybą (wywodził się ze staro-arabskiego rodu z Algeciras), wrodzona błyskotliwość, żelazna samodyscyplina i makiaweliczna wręcz troska o pielęgnowanie przyjaźni zwróciły nań uwagę dworu kalifa. Szybko awansował, choć wielu jego protektorów ginęło nagłą i okrutną śmiercią. Wyjątkiem była Subh, piękna chrześcijańska konkubina kalifa Al-Hakama II, która po jego śmierci w 976 roku została królową-matką jedenastoletniego następcy tro-

nu, Al-Hiszama II. Almanzor, który niemal na pewno był jej kochankiem, postarał się, aby chłopiec został trwale odizolowany od świata. Sprawami stanu zajęli się kanclerze zmarłego kalifa. Tak zaczął się długi upadek Al-Hiszama pędzącego smutne i z roku na rok gorsze życie za murami Madinat az-Zahara.

W ciągu kilku następnych lat Almanzor wyeliminował wszystkich konkurentów do tronu, przy czym zawsze oficjalnie głosił obronę dynastycznych interesów młodego kalifa, który władcą był już tylko z nazwy. Almanzor rządził strachem i przemocą, posługując się całą siecią szpiegów, informatorów i wszelkiej maści specjalistów od mokrej roboty. Jego okrucieństwo przeszło do legendy. Przykładem może być sposób, w jaki potraktował pewnego nierozważnego w słowach poetę z Kordoby. Skazał go na dożywotni ostracyzm - nikt i nigdy nie mógł się do niego odezwać pod groźbą okrutnej śmierci. Nieszczęsny poeta, zwany później „trupem”, przeżył w ten sposób dwadzieścia lat, samotny i coraz bardziej szalony, w mieście, które go niegdyś podziwiało. Nakazanie egzekucji byłoby już czynem bardziej humanitarnym, ale bez wątpienia dlatego właśnie Almanzor kazał mu żyć.

Folgowanie sadystycznym skłonnościom nie było jedynym sposobem, w jaki Almanzor wykorzystywał władzę absolutną. Za jego rządów Kordoba stała się jednym placem budowy. Nie chcąc pozostawać w cieniu wielkiego Abd ar-Rahmana III, postanowił wznieść na przedmieściach własny pałac. Nazwany, nieco myląco, Madinat az-Zahira (Widoczne Miasto), miał

przyćmić nieco starsze Madinat az-Zahara. Nie dowiemy się nigdy, czy zamysł mu się udał, budowla została bowiem doszczętnie zburzona podczas wojny domowej. Dziś nie ma tam nawet kamieni, które mogłyby zaświadczyć o jej istnieniu.

Almanzor naśladował Abd ar-Rahmana III także na inne sposoby. Rozmiłowany w księgach Al-Hakam nie był zainteresowany zbrojnymi wyprawami przeciwko chrześcijańskim królestwom na Północy. Almanzor odkurzył tę tradycję, zmieniając to, co wcześniej było okazjonalnymi wyprawami po łupy i niewolników, w prawie nieustanną rzeź. Chociaż nieszkolony na dowódcę, wykazywał się wielkim naturalnym talentem. Królestwa, które rodziły się na północy - León, Nawarra, Kastylia, Aragonia-Katalonia - przez długi czas nie zaznały spokoju, a imię Almanzora upowszechniło się w łacińskiej formie, która dzięki spisywanym wówczas kronikom zachowała się do dnia dzisiejszego. Wedle jednej z nich przedsięwziął aż pięćdziesiąt dwie kampanie przeciwko północnym sąsiadom, nigdy nie doznając przy tym poważniejszej porażki i niszcząc przy różnych okazjach Coimbrę, León, Barcelonę i Valladolid oraz dziesiątki mniejszych miast, zamków i klasztorów. Almanzor naprawdę zasłużył na swój przydomek. Podczas najazdu na Santiago de Compostela, największe centrum chrześcijańskich pielgrzymek na zachód od Rzymu, zrównał praktycznie miasto z ziemią, zostawiając tylko grobowiec apostoła Jakuba. Ten ekumeniczny gest może w pierwszej chwili zdumiewać, należy jednak pamiętać, że w armii Almanzora było też wielu

chrześcijan oraz że Jezusa i Jego apostołów obdarzał głębokim szacunkiem sam twórca islamu.

Skład armii był tym, co w pewien sposób przepełniło czarę goryczy, chociaż mieszkańcy Kordo by już wcześniej nie darzyli despoty miłością. Umajjadzi z dawna zwykli zatrudniać chrześcijan w roli swojej gwardii przybocznej. Nie sięgali przy tym po mozarabów, ale sprowadzali najemników z Północy. Nieuwielkani w wewnętrzne konflikty Arabów i obojętnie traktujący wszystkie frakcje, wydawali się najlepszym wyborem. Oczekiwano, że jako nieznający języka arabskiego i tym samym wyobcowani z lokalnej społeczności, pozostaną lojalni wobec tego, kto ich opłacał. W mieście zwano ich „milczącymi” i traktowano podobnie jak skazanego na ostracyzm poetę. Almanzor chętnie witał w armii wszelkich awanturników z całej Europy, czym wywoływał oburzenie przywódców religijnych uważających, że wojna jest wskazana jedynie w postaci dżihadu - błogosławionych wypraw przeciwko niewiernym. Almanzor jednak, nawet jeśli czasem udawał pobożnego (na przykład podczas palenia niektórych ksiąg z biblioteki Al-Hakama), nie zwracał uwagi na niewiernych biorących po jego stronie udział w tym, co miało być muzułmańską świętą wojną. Przypuszcza się, iż chrześcijańscy żołnierze byli w jego armii tak liczni, że przez wzgląd na nich właśnie całe wojsko otrzymało niedzielę jako dzień wolny.

Gorsza sprawa była z Berberami. Al-Andalus narodziła się w atmosferze konfliktu między Arabami a Berberami i ten sam konflikt miał doprowadzić do jej

końca. Almanzor, którego poddani przywykli do wygodnego życia nie pałali miłością do wojny, zaczął sprowadzać całe berberyjskie plemiona żyjące dotąd po swojemu w północnej Afryce. Zdawał się działać w myśl zasady: im więcej barbarzyńców, tym lepiej. Nie byli to cywilizowani Berberowie kultury *conviven-  
cia*, ale niepiśmienni, ledwie znający islam dzicy wojownicy, dla których więzy plemienne były ważniejsze niż przynależność do regularnej armii. Arabska arystokracja, mozarabowie i obywatele Kordoby patrzyli zbulwersowani na hordy niedomytych dzikusów kłębiące się u bram miasta. Berberowie odpłacali się im podobną monetą, uważając, że wypachnieni i przystrojeni Arabowie ze stolicy są jeszcze bardziej godni pogardy niż wojowniczy chrześcijańscy baronowie, z którymi przychodziło walczyć na Północy. Nie ulegało wątpliwości, że przybysze pozostawali lojalni wyłącznie wobec Almanzora, Kordobę i Umajjadów mając za nic.

Wszystko działało należycie, jak długo sam uzurpator, albo ktoś z podobnym do niego podejściem, był w pobliżu. Berberowie okazali się użyteczni w tłumieniu buntów. Jeden z nich skończył się ścięciem najstarszego syna Almanzora; drugi, znacznie skromniejszy, odesłaniem Subh do klasztoru, po tym jak próbowała uwolnić swojego syna z męki odosobnienia. Berberowie byli prawdziwie dzikimi wojownikami, godnymi następcami legendarnej Kahiny. Żaden z nich nawet nie mrugnął, otrzymawszy rozkaz wypełnienia sakw odciętymi głowami wrogów władcy. Jednak w 1002 roku,

dręczony podagrą i do końca kłótlivy Almanzor doszedł kresu swojej drogi. Miał wtedy sześćdziesiąt trzy lata. „Umarł w Medinaceli - stwierdza lapidarnie jedna z chrześcijańskich kronik - i smaży się w piekle”. Umierając, zostawił Al-Andalus w nie najlepszej sytuacji. Pełen dzikich najemników, nabrzmiały tłumionymi sporami i wyniszczony moralnie nieustanną wojną kalifat kordobański nie był w stanie obronić *conviven-  
cia*. Trwające ćwierć wieku rządy uzurpatora doprowadziły Al-Andalus do ruiny, w pierwszym rzędzie obnażając niezdolność Umajjadów do sprawowania władzy. Szlachta z wielkich miast kalifatu zrozumiała, że jej długo tłumione ambicje mają wreszcie szansę na realizację.

Nie wiadomo dokładnie, jak wiele krwi popłynęło w latach zaraz po śmierci Almanzora. Pretendenci do tronu wyrastali jak grzyby po deszczu, armie najemników co rusz staczały gdzieś kolejne bitwy, aż ostatecznie w 1009 roku doszło w Kordobie do czegoś w rodzaju rewolucji ludowej. Następny rok zyskał miano roku Katalończyków, a to za sprawą wielkiego kontyngentu chrześcijańskich najemników z Katalonii, oferujących swe usługi kolejnym pretendantom. Potem, w 1013 roku, Berberowie pokazali, że mają już wszystkiego dość i sami siebie przeszli w dzikości, przez dwa miesiące łupiąc Kordobę i proporcjonalnie do tego mordując. Do 1031 roku kalifat Umajjadów przeszedł już bezpowrotnie do historii. Madinat az-Zahara i Madinat az-Zahira legły w gruzach. W połowie stulecia na miejscu Al-Andalus funkcjonowało kilka dziesiątek niepodległych



państwem, spośród których Kordoba nie była nawet największym. Śmierć jednego człowieka spowodowała, że cała machina rozpadła się bez najmniejszych szans na naprawę.

Jak można się domyślić, koniec epoki dobrobytu wywołał wielkie przygnębienie. Trudno zresztą, aby zniknięcie podobnej sumy piękna i dobra nie wpędziło mieszkańców w melancholię. Nie opłakiwano już odległego Damaszku, jak w czasach imigranta Abd ar-Rahmana, ale kres tego, co przez wieki istniało nad Gwadalkiwirem. Pewien mieszkaniec Kordoby imieniem Ibn Hazm, autor ponad czterystu dzieł prozą, zostawił po sobie również pamiętnik, którego treść nawet po tysiącu lat może chwycić za serce. W *Naszyjniku gołębiczy* wspomina dawną miłość do pięknej niewolnicy, która mieszkała w jego domu w czasach świetności Kordoby. Zmuszony udać się na wygnanie, wrócił w końcu do miasta i ujrzał swą ukochaną po długim rozstaniu. Ale czy to ją opisuje, czy może raczej Kordobę?

*Przeminęła jej promienna uroda, zniknął cudowny czar, poszarzała jasna cera i zmatowiała ta skóra, która kiedyś była niczym wypolerowana stal miecza albo indyjskie zwierciadło; zwiędło to, co w kwitnieniu przyciągało spojrzenie, które pragnęło nasycić się oślepiającym urokiem i odwracało się zaraz w onieśmieleniu. Tylko część z całości pozostała, aby opowiedzieć historię i zaświadczyć, jaki był ten dawny obraz.*

# ROZDZIAŁ CZWARTY

## MANZIKERT 1071

Upadek chrześcijańskiej Anatolii; pojawienie się Normanów i Turków; Wielka Schizma

Pewnego wczesnego sierpniowego ranka w 1071 roku grecki arystokrata imieniem Roman poczuł na karku napór skózanego buta. Mężczyzna leżał twarzą do ziemi i chociaż często widywał innych w tej pozycji, nigdy nie przypuszczał, że sam się w niej znajdzie. Roman IV Diogenes nie był zwykłym arystokratą. Jako równy apostołom, namiestnik Boga na ziemi i półbóg, który odziedziczył szatę noszoną kiedyś przez Augusta i Justyniana, władał największym imperium śródziemnomorskiego świata. A jednak leżał tutaj, równie bezradny jak najmarniejszy z korzających się przed nim pententów. Upadek był niemożliwy wręcz do ogarnięcia.

Wojłokowe ściany namiotu nomady, gdzie dokonywał się akt prostracji basileusa, nie przepuszczały promieni słońca, ale podsycany tysiącletnią tradycją cesarskiej godności wstyd palił i oślepiał. Sytuacja nie pozostawiała złudzeń. Wiedział, co się stało. To tutaj, pośród złocistych traw armeńskiego płaskowyżu, stracił właśnie Anatolię. Azję Mniejszą grecko-rzymskiego świata, od czasów Aten stawiającą czoło Persom, świętą prowincję, którą starożytni podbili u zarania swoich dni. Stracił ją na rzecz nowej wiary, która miała zastąpić chrześcijaństwo. Anatolia, bogate i dzikie serce cesarstwa bizantyjskiego, wymykała się na dobre z grec-

kich rąk. Roman leżał na ziemi, a jego świat rozpadał się na kawałki.

Usłyszał pytanie: „Co byś zrobił, gdybyś był na moim miejscu i to ja leżałbym na ziemi zamiast ciebie?” „Kazałbym wybatożyć cię na śmierć” - odparł Roman. Szczera odpowiedź zyskała uznanie. But uwolnił kark i kazano mu wstać.

Nigdy nie poznamy wyrazu twarzy tego, przed kim stanął basileus. Możemy się jednak domyślać, że ów ktoś trzymał w prawej dłoni symbol sprawowanej władzy: drzewce z owiniętym utwardzaną skórą włosiem końskiego ogona. Przeciwnikami Bizantyjczyków byli jeźdźcy przybyli ze stepów Azji, zwyciężający ze wszystkimi na swojej drodze. Wcześniej pokonali Abbasydów z Bagdadu, po nich kolejni prowincjonalni gubernatorzy podawali się władzy łuczników ze Wschodu. Co prawda przeszli na islam, ale nadal lepiej im było w siodle niż w meczecie. Teraz oni mieli przejąć główny ciężar konfliktów z chrześcijaństwem. Panowali nad większością muzułmańskich ziem, od rzeki Oksus po wschodnie marchie basenu Morza Śródziemnego. Zwali się Turkami. Ich wódz, Alp Arslan, pozwolił Romanowi wstać. Bez szczególnej przesady można powiedzieć, że tego właśnie dnia narodziła się Turcja, a dla morza wiary zaczęła się nowa epoka. Chrześcijaństwo i muzułmanie, wcale już nie obcy dla siebie wzajem, mieli przez dwa najbliższe stulecia stoczyć całą serię okrutnych wojen o panowanie w basenie Morza Śródziemnego.

Pierwszy z wielu konfliktów zdarzył się, można powiedzieć, na skrzyżowaniu. Garnizonowe miasto Manzikert (dzisiejsze Malazgirt) we wschodniej Turcji leży na najdogodniejszym szlaku wiodącym z gór Kaukazu i północnego Iranu do Azji Mniejszej. Wzniesiono je między meandrami rzeki Murat, która wraz z Karasu tworzy Eufrat. Położony na wysokości około 1600 m step był sceną najróżniejszych wydarzeń od samego zarania cywilizacji. Starożytne królestwa Asyrii, Urartu czy państwo hetyckie nieraz toczyły bitwy pośród tych wulkanicznych skał, w cieniu górującego nad wschodnim horyzontem, okrytego wiecznym śniegiem szczytu góry Ararat. Od południa rozciąga się błękitny przestwór jeziora Wan. W 400 roku przed naszą erą przechodził tędy Ksenofont wraz z dziesięcioma tysiącami greckich najemników. Zmykając do domu po nieudanej wyprawie do Mezopotamii, zaryzykowali zimową przeprawę przez tę zdradliwą krainę. Relacja z tego zdarzenia, *Anabaza*, unieśmiertelniła mieszkańców krainy, chociaż przedstawiła ich jako lud nieokrzesany i pamiętliwy. Ale też niewiele jest rejonów, gdzie żyłoby się równie ciężko. Rola strefy buforowej między Europą a Azją nie dawała tubylcom nigdy szans na pokój, swoją miarę nieszczęść dokładały powtarzające się trzęsienia ziemi. Trudno by zliczyć wszystkie tragedie i okrucieństwa, które zdarzyły się w tej surowej okolicy, także w naszych czasach.

Przez większą część naszej ery mieszkał tu chrześcijański lud znany jako Ormianie. W 1915 roku spędzono ich tysiącami w pobliże miast Malazgirt, Wan,

Mus i Bitlis, skąd wyruszyli w wyniszczający marsz w kierunku Kaukazu. Obecnie na omiatanej wiatrami równinie spotyka się głównie Kurdów, biedny rolniczy naród, którego los we współczesnej Turcji budzi wiele kontrowersji. Tu i ówdzie można dojrzeć setki białych głazów ułożonych starannie na zboczach wzgórz i mających dawać świadectwo tureckiego patriotyzmu - widoczny skutek wyszukiwania ogłupiających zajęć dla żołnierzy, którzy stacjonują we wschodniej Anatolii, aby mieć oko na Kurdów. Śladów Bizancjum zostało już niewiele. Trochę więcej świadectw zachowało się po Ormianach, włącznie z opuszczonym średnio-wiecznym kościołem stojącym na wyspie Akdamar omywanej cichymi wodami jeziora Wan.

Jedynym wspomnianym dziś wydarzeniem z bogatej historii tych ziem jest zwycięstwo Alp Arslana nad Romanem IV Diogenesem. Przy zachodnim wjeździe do Malazgirtu stoi pośrodku ronda wielki pomnik Alp Arslana. Władca siedzi na ogierze, który unosi wysoko przednie kopyta i ukazuje przy tej okazji wyraźnie i szczegółowo odtworzone cechy płciowe. Zapewne ma to podkreślać męskość Turków. Rzeźbiarz najpewniej przejęty intencją dzieła zapomniał, że Turcy, podobnie jak wszyscy nomadzi z azjatyckich stepów, ruszali do walki tylko na klaczach i wałachach. Inskrypcja na cokole jest cytatem z zebranych myśli Atatürka i powtarza niezweryfikowane do dzisiaj, ale dumnie brzmiące stwierdzenie, że Alp Arslan prowadził tylko 15 tysięcy ludzi, podczas gdy armia przeciwnika liczyła aż 210 tysięcy.

Na wschód od miasta, gdzie znajdowało się zapewne pole bitwy, wyrastają ku niebu dwa wysokie na ponad czterdzieści metrów monolity. Przypominają olbrzymi kamerton i zwane są Bramą Anatolii. Otacza je starannie utrzymany park, rzadkość w tym biednym regionie, z amfiteatrem ożywającym corocznie podczas sierpniowych obchodów kolejnej rocznicy wielkiej bitwy. Przewodnik z miejscowego domu kultury wyjaśnia, że podczas święta przebrana odpowiednio młodzież odtwarza fragmenty walki.

Oczywiście zgodnie z historyczną prawdą Turcy zawsze pokonują Rzymian, otrzymując głośnie oklaski od rodziców aktorów oraz przybyłych delegacji polityków. W 2003 roku przyjechał tu z Ankary nawet sam premier Recep Tayyip Erdoğan. „Alp Arslana gra co roku ten sam chłopiec - dodaje przewodnik. - Jest do niego naprawdę łudzaco podobny”.

Turcy pojawili się na scenie dziejów około 1000 roku. I już na niej zostali. Długo po tym, jak inni, współcześni im chrześcijańscy zdobywcy - Normanowie - popadli w zapomnienie, spadkobiercy Alp Arslana nadal mają się dobrze. Gdy pierwszy raz wychynęli nieśmiało ze swej kolebki położonej między dwoma morzami, Kaspijskim i Aralskim, nikt się nie domyślał, że niebawem awansują do roli pogromców, a zaraz potem - obrońców islamu. Najpierw odebrali Grekom Anatolię, później zagrodzili drogę na Bliski Wschód kolejnym europejskim wyprawom krzyżowym. Z drugiej strony, zapewne nie mieli wielkiego wyboru. Taka rola była im pisana, skoro ruszyli na za-

chód w czasie wielkich zmian zachodzących wkoło dawnego *mare nostrum*.

Rozdarty wewnętrznymi konfliktami kalifat kordobański rozpadł się w 1002 roku na dziesiątki słabych, muzułmańskich państewek nękanych bratobójczymi wojnami i najazdami coraz silniejszych sąsiadów zza rzeki Duero. Zachodnie chrześcijaństwo budziło się z wolna, przy czym za cezurę historiografia uznaje zwykle rok 1000. Podobnie widzieli to zapewne niektórzy świadkowie tamtych czasów. Jedenastowieczny kronikarz Radulf Glaber pisał o „białej szacie kościołów” okrywającej Europę po roku 1000. Chrześcijaństwo przyjęli wówczas Skandynawowie (pod Haraldem Sinozębym) oraz Węgrzy (pod księciem Gejzą i jego synem, przyszłym królem Stefanem) - dwa najbardziej zatwardziałe dotąd w pogaństwie ludy. Bez wątpienia musiało to cieszyć serca nielicznych wykształconych elit skupionych w klasztorach oraz mieszkańców nowo odrodzonej Stolicy Piotrowej.

W miarę upływu lat bierny dotąd Kościół zaczął podejmować coraz bardziej energiczne wysiłki, by ucywilizować swoje ciągle na wpół dzikie owieczki. Tu i ówdzie zaprowadzał Pokój Boży, zabraniał użycia oręża w takiej czy innej porze, nade wszystko zaś zachęcał walczące strony do oszczędzania majątku kościelnego i życia osób duchownych. Pod koniec stulecia Kościół zmienił wszakże taktykę, znajdując sposób na skanalizowanie wszelkiej negatywnej energii. Odgrzał to, co dawno popadło już w zapomnienie: pragnienie odzyskania Jerozolimy i Bliskiego Wschodu. Tym sa-

mym łacińska Europa ruszyła w pewnej chwili na Turków.

Ponieważ brakuje obszerniejszych kronik opisujących dzieje Turków sprzed wejścia do Dar al-islam, niewiele wiadomo o ich wcześniejszych dziejach. Spośród trzech wielkich grup nomadów Azji Środkowej - Mongołów, ludów irańskich i Turków - właśnie ci ostatni dokonali największej ekspansji. Każdy z tworzących grupę ludów (Hunowie, Połowcy, Ujgurzy, Kazachowie i Uzbegy) znalazł własną niszę w euroazjatyckiej historii. Co ciekawe, chociaż większość z nich przyjęła w pewnej chwili islam, uważa się, że wyznający judaizm Chazarowie byli tureckiego pochodzenia. Ich królestwo - to samo, z którym kontaktował się sefardyjczyk Chasdaj Ibn Szaprut - zniknęło około roku 1000 podbite przez niedawno ochrzczone Słowian z Rusi Kijowskiej. W tym samym czasie wędrowni Turcy pojawili się w Iranie i Afganistanie. Prowadzeni przez wojownika imieniem Seldżuk mieli odmienić Bliski Wschód i islam.

Najpierw podbili królestwa graniczące z ich tradycyjnymi pastwiskami. Seldżuk i jego ludzie wyodrębniłi się z większego plemienia Oguz, które żyło nad Morzem Aralskim, i mniej więcej na przełomie tysiącleci weszli do Transoksanii i wschodniej Persji. Niegdyś zjednoczona umma, obejmująca za rządów kalifa Al-Walida I (705-715) tereny od Indii po Portugalię, rozpadła się już na rozmaite państwa i państewka. Władza centralna nie była dość silna, aby zapanować nad dynastycznymi ambicjami namiestników (hiszpańscy Umaj



jadzi i egipcscy Fatymidzi ogłosili się kalifami). Nawet w sercu islamu trwały wyniszczające wojny, obniżające znacznie pozycję bagdadzkich Abbasydów. Gdy w polu widzenia pojawił się nowy, ale twardy lud nomadów, skłócone strony skorzystały z okazji, aby pozyskać najemników. Turcy przyjmowali propozycje, po czym zwracali się przeciwko pracodawcom i przejmowali władzę nad ich krajami. Seldżuk, który przeszedł z czasem na sunnicką odmianę islamu, podporządkował sobie Afganistan i Iran, a w 1055 roku stanął pod bramami Bagdadu.

Jego przeciwnikami nie byli już Abbasydzi, ale Bujjidzi, ród irańskich oportunistów z południowego wybrzeża Morza Kaspijskiego, którzy doszli do władzy jako protektorzy kalifów po opanowaniu Bagdadu w 945 roku. Byli szyitami, co prowadziło do nieustannych konfliktów z ich abbasydzkimi marionetkami. Jak wiadomo, stronnicy Alego niezmiennie kwestionowali prawowitość rządów kalifów, zwłaszcza tych, które nastąpiły po śmierci Husajna, syna Alego. Bujjidzi powrócili do tradycji, ustanawiając święto Aszura - dzień opłakiwania męczeńskiej śmierci Husajna. Uważa się też, że to oni wprowadzili szyicką tradycję masowych pielgrzymek do grobów Alego i jego krewnych w Karbali oraz Al-Kufle, a także przeklinania pamięci pierwszych trzech kalifów. Jednak gorliwa pobożność nie zaburzała ich dalekowzroczności. W odróżnieniu od Fatymidów nie robili zamachów na urząd kalifa. Podobnie jak Almanzor, woleli sprawować rządy z drugiego szeregu. Tym sposobem Abbasydzi nadal władali

sunnitami, chociaż rzeczywisty zakres ich władzy malał z roku na rok, zależnie od kaprysów okupantów oraz toczących ich wewnętrznych konfliktów.

Gdy Turcy dotarli do wielkiego miasta nad Tygrysem, niewolnicze armie Bujjidów nie wykazały większej chęci do walki. Przybysze wyglądali na silnych, zdeterminowanych i gotowych zmasakrować obrońców. W tej sytuacji ucieczka wydawała się atrakcyjniejszym rozwiązaniem. Sam Bagdad też nie był zwarty ani gotowy. Niemal stuletni okres waśni religijnych podzielił jego mieszkańców i spowodował, że każda grupa - sunnici, szyici, żydzi i chrześcijanie - pędziła w nim osobne życie. Wnuk legendarnego Seldzuka, Togrul Beg, wysłuchał ich głosów i wypędził Bujjidów. Potem ruszył tłumić bunty w żyznej prowincji Al-Dżazira między Tygrysem i Eufratem w północnym Iraku. Gdy wrócił w 1058 roku do Bagdadu, wdzięczny sunnicki kalif nadał mu tytuł „króla Wschodu i Zachodu”. Niegdyś pogardzani nomadzi, których perscy i arabscy władcy znali tylko jako niewolników albo żołnierzy zaciężnych, zyskali praktyczną władzę nad olbrzymią połacią centralnego Dar al-islam. Abbasydzki kalif zachował wpływ na sprawy duchowe, całą resztą jednak zarządzał od tej pory sułtan („trzymający władzę”).

Po śmierci Togrula Begaw 1063 roku urząd sułtana objął jego trzydziesto trzyletni bratanek, Alp Arslan. Podobno miał wąsy tak długie, że musiał przed walką wiązać je plecach. Podczas trwających dziesięć lat rządów przyszło mu czynić to wiele razy, był bowiem nie

mniejszym zabijaką niż jego stryj. Miał najpewniej dwa powody, aby ruszyć na zachód: żyjących w herezji Fattymidów oraz własnych współbraci, nad którymi trudno było zapanować. Pierwsi drażnili go na gruncie wiary - wprawdzie Seldżycy od niedawna należeli do wspólnoty islamu, ale wykazywali się olbrzymim zaangażowaniem. Jak to bywa często z neofitami, skłonni byli widzieć każde odstępstwo od sunnickiej „normy” jako plamę na honorze całej ummy. Co więcej, szyicy Fattymidzi władali nie tylko bogatym Egiptem, ale kontrolowali za pośrednictwem sojuszników także Syrię i Palestynę. W tej sytuacji pokonanie ich mogło opłacić się w dwójnasób. Nie był to pierwszy przypadek, gdy sprawy wiary splatały się z najzwyklejszą chciwością.

Do ważącego dla losów świata konfliktu z chrześcijańskim Konstantynopolem pchnęło go jednak coś innego. Chodziło o drugi motyw. Turecka wędrówka na zachód była procesem chaotycznym, nad którym nikt praktycznie nie panował. O ile Seldżycy zaznali już nieco życia osiadłego i przestali tęsknić za nowymi państwiskami, o tyle ich bracia hołowali ciągle dawniejszym tradycjom. Kolejne fale migracji napływające do Persji, Mezopotamii i Anatolii przypominały powolną ludzką rzekę wykorzystującą fakt, że akurat nie było zorganizowanej siły, która mogłaby ją zatrzymać. Dalecy krewni Arslana, zwani Turkmenami, nie wykazywali najmniejszego zainteresowania islamem ani bagdadzkimi mądrościami. Pociągały ich tylko nowe państwiska dla koni i owiec. Łagodniejszy klimat Azerbejdżanu, Armenii i Anatolii wydał im się wręcz idealny,

co jest zrozumiałe, zważywszy na to, że chodzi o lud mieszkający w namiotach. Jeśli Alp chciał nad nimi zapanować, musiał skusić ich jakimś atrakcyjnym celem, którego realizacja skłoniłaby ich do posłuchu. Na przykład porządną kampanią podbojów. Z drugiej strony, chaos na zachodniej granicy utrudniłby mu realizację zasadniczego celu, czyli odebranie Syrii i Egiptu Fatymidom. Zamierzał pomóc Turkmenom opanować państwa na południe od Kaukazu, a potem skierować ich uwagę gdzie indziej. Pech chciał, że na tych innych terenach ktoś już mieszkał. Ormianie nie mieli ochoty oddać swoich ziem bez walki, podobnie myśleli też ich okazyjni przyjaciele z Konstantynopola. Należało zatem pokonać chrześcijan. Szczęśliwie dla wojowniczego sułtana Bizancjum przeżywało akurat jeden ze swoich najgłębszych kryzysów.

Ledwie parę pokoleń przed nadejściem Alp Arslana Konstantynopol był jeszcze u szczytu swej potęgi i chwały. Wielki basileus Bazyli II metodycznie i bezlitośnie zwalczał wszystko, co mogło stworzyć zagrożenie dla cesarstwa, zyskując przydomek Bułgarobójcy po tym, jak kazał oślepić czternaście tysięcy pokonanych wrogów i odesłać w takim stanie do domu, jako ostrzeżenie dla wszystkich, którym zachciałoby się z nim zadzierać. Ukrócił poczynania muzułmańskich piratów nawiedzających wschodnią część Morza Śródziemnego, odzyskał Krete i część Italii, zaplanował ofensywę dla odbicia Sycylii. Skarbiec dobrze zarządzanego państwa pękał w szwach. Bazyli ograniczył także samowolę wielkich posiadaczy ziemskich w Ana-

tologii i poprawił los drobnych rolników i rzemieślników. Zamieszkujący dalej na wschód Ormianie zostali po raz pierwszy od dwustu lat zmuszeni do ukorzenia się przed Bizancjum. Nawet bogacze z Damaszku i Aleppo, których mocno zaniepokoiła utrata Antiochii na rzecz Bazylego, zgodzili się płacić mu daninę. Cesarstwo nie było tak rozległe od czasów poprzedzających narodziny Mahometa.

Największą wadą Bazylego był brak potomstwa. No i to, że był śmiertelny. Jego odejście w 1025 roku, po czterdziestu dziewięciu latach rządów (najdłuższych w całej historii Bizancjum), dało sygnał do długiej tragifarsy spisków i pokazów głupoty na najwyższych szczeblach władzy. Po półwieczu tych ponurych zabaw imperium już nigdy nie doszło do siebie. Chociaż dobrze naoliwiona machina biurokracji sprawiła, że państwo nie rozsypało się od razu, to jednak czterdzieści lat po śmierci Bazylego Bizancjum bliskie było bankructwa. Armia nic już właściwie nie znaczyła, a liczne frakcje arystokracji, urzędników, dowódców wojskowych i duchownych, z których każda ciągnęła w swoją stronę, jeszcze bardziej pogarszały sytuację.

Pierwszym w kolejce do sukcesji był brat Bazylego, ponadsześćdziesięcioletni sybaryta - Konstantyn. Za nim następowali mężowie i adoptowani dorośli synowie jego dwóch córek, Zoe i Teodory. Na skutek ich fatalnych intryg tron dostał się ostatecznie rodzinie przebiegłego pałacowego eunucha i tym samym arystokracji (rodów Monomachów i Dukasów), którą interesowało tylko drenujące szkatułę dworskie życie. Wiel-

kie bogactwa zgromadzone przez Bazylego zniknęły jak sen złoty, a możnowładcy z Anatolii, którym już nikt nie zabraniał odbierać ziemi biedniejszym od siebie, stali się jeszcze możniejsi z niewielkim, jeśli jakimkolwiek, pożytkiem dla państwa. To, co decydowało przez wieki o militarnej potędze Bizancjum, czyli polityczny i wojskowy podział państwa na temy, odeszło do przeszłości. Wraz z pauperyzacją ludności zaczęło brakować rekruta, który mógłby wypełniać obowiązki wobec państwa. Miejsce obywateli zajmowali coraz częściej niewiele różniący się od niewolników chłopci pańszczyźniani pracujący w pocie czoła w wielkich majątkach bogaczy.

Wszystko to wystarczyłoby jako podręcznikowy przykład fatalnej polityki społecznej, gdyby nie ostateczne dobiecie armii w chwili, gdy była najbardziej potrzebna. Właśnie wtedy, gdy cesarstwu zaczęło zagrażać niebezpieczeństwo równie wielkie jak pojawienie się floty kalifa Mu'awiji na morzu Marmara, basileus Konstantyn IX Monomach (rządził w latach 1042–1055), król filozof, którego erudycja i wyrafinowany gust przyczyniły się do artystycznego i naukowego rozwoju stolicy, okazał się całkowitym ignorantem w kwestiach obronnych. W połowie stulecia nakazał rozwiązanie armii właśnie w Armenii, która była głównym celem turkmeńskich najazdów. Zrobił to w ramach cięć budżetowych - potrzebował więcej środków na swoje dworskie rozrywki. Poborowi, którzy winni bronić granic państwa, zostali odesłani do domów, a pie-

niądze przeznaczone na ich utrzymanie powędrowały do Konstantynopola.

Najlepszym źródłem historycznym opisującym ten polityczny błąd jest *Kronika czyli historia jednego stulecia Bizancjum* Michała Psellosa, wartościowe, chociaż osobiste zapiski urzędnika cesarstwa wyższego szczebla, który jako szara eminencja stał za całym korowodem żalosnych kandydatów do tronu i amatorskiej zabawy w rządzenie. Dzięki ich wysiłkom po dziele Bazylego II rychło nie został nawet ślad. Zwarte niegdyś i potężne imperium musiało polegać w kwestiach obronnych na zbieraniu najemnych rzezimieszków, buntujących się za każdym razem, gdy w skarbcu brakowało pieniędzy na żołd.

W 1059 roku, również za sprawą Psellosa, władzę objął kolejny i jeszcze mniej kompetentny Konstantyn, przy którym poprzednik mógłby uchodzić niemalże za władcę doskonałego. Konstantyn X Dukas rozpuścił kolejne temy i jeszcze bardziej zmniejszył wydatki na wojsko, zwiększając za to budżet pałacu i administracji państwowej, przez co już kompletnie ogołocił skarbiec. Zażegnał tym samym groźbę puczu wojskowego, ponieważ nawet najbardziej popularny dowódca nie miał szans zebrać sensownej armii. Jak zanotował z rozbarwieniem pewien historyk: „Niewiele znamy równie ja-skrawych przypadków wylania dziecka z kąpielą. Pod koniec tego procesu władza cywilna nie musiała już lękać się armii. Podobnie jak i Seldżucy”.

Upadające na własne życzenie państwo spotkał jeszcze jeden pech: kolejny spór religijny, który miał

się okazać brzemienny w skutki. 16 lipca 1054 roku chrześcijaństwo definitywnie rozpadło się na dwa nurty - zachodni i wschodni. Trzech legatów papieskich wkroczyło do Hagia Sophia i z zaskoczenia, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, złożyło bulę papieską ekskomunikującą patriarchę Konstantynopola. Zaowocowało to schizmą, która trwa do dziś, chociaż sama ekskomunika została cofnięta w 1965 roku. Kościoły Rzymu i Konstantynopola oddalały się od siebie przez kolejne niespokojne wieki, aż w końcu Zachód nabrał wojowniczości i zaczął nadawać ton. Jednym z legatów, który zrobiwszy swoje, czym prędzej wyszedł ze świątyni, był Humbert z Moyenmoutier (zanim opuścił świątynię, zdążył jeszcze nazwać jednego z greckich prałatów „zapowietrzonym stręczycielem”). Wojowniczy kardynał z Lotaryngii był też inicjatorem osadzenia na tronie Piotrowym Grzegorza VII, który roztoczył wizję Europy jako wspólnoty królów i książąt poddanych woli jednego człowieka - noszącego tiarę lokatora Watykanu. Dla Bizancjum podobna propozycja była wręcz obraźliwa, jako że basileus już wcześniej zapewnił sobie bezpośrednią łączność z wszechmogącym.

Oczywiście były jeszcze inne powody schizmy. Niektóre wynikały ze sporów o szczegóły liturgii (na przykład, czy używać podczas Eucharystii praśnego chleba, czy zwykłego), inne wiązały się ze złożonymi dogmatami wiary. Zamieszanie wokół ludzko-boskiej natury Jezusa z Nazaretu mocno popsuło kontakty ortodoksów z monofizytami, istniała jednak jeszcze jedna pułapka związana z dyskusją o naturze Trójcy Świętej.



To było już prawdziwe pole minowe. Najbardziej znanym przykładem wynikłym z tego sporu problemów był arianizm związany z wczesną wersją chrześcijaństwa przyjętego przez Wizygotów oraz inne plemiona germańskie i uznany później za herezję, jako że miał Jezusa za istotę stworzoną, a tym samym niewieczną. Dla kontrastu, spór między ortodoksami a łacinnikami (jak nazywano w Bizancjum chrześcijan zachodnich) dotyczył trzeciej osoby w Trójcy, czyli Ducha Świętego (albo Parakletu).

W spornym dylemacie znanym jako „podwójna procesja Ducha Świętego” ujawniła się drobna, ale krytyczna różnica między podejściem łacinników i ortodoksów Grecy utrzymywali, że Duch Święty został poprzedzony jedynie przez Boga (jako zeń wyemanowany). Łacinnicy zaś, że Duch Święty nastąpił po Bogu Ojcu i Synu. Rozróżnienie wiązało się z użyciem łacińskiego słowa *filioque* w wyznaniu wiary („od Ojca i Syna pochodzi”). Spór ten mocno zaważył na kontaktach między Kościołami, zwłaszcza w dziewiątym wieku, kiedy decydowało się, kto będzie ewangelizował wschodnią Europę. Grecy wygrali o tyle, że większość Słowian przyjęła wiarę z rąk ortodoksów, jednak sam spór nie został nigdy zażegnany. Jego ślady można odszukać w zażartych dysputach teologicznych pochodzących z dowolnej epoki. W 1054 roku trafił po prostu w swoją chwilę.

Coś musiało zresztą wisieć chyba w powietrzu tamtej epoki, około połowy stulecia doszło bowiem do podobnego rozłamu w islamie. Gdy w 1055 Seldżuci

zdobyli Bagdad, odłam sunnicki umocnił się pod rządami tureckich sułtanów, co często uważa się za czynnik, który utrwalił rozłam między obydwoma nurtami. Późniejsze spory doktrynalne przyćmiły wcześniejsze kontrowersje związane z genealogią kalifów i ostatecznie każda z tradycji zaczęła podążać swoją drogą, pogłębiając jeszcze podział.

Fakt, że podobny rozłam zaszedł w tym samym czasie w chrześcijaństwie, wydaje się nader znaczącym zbiegiem okoliczności. Wielka Schizma z 1054 roku sprawiła, że chrześcijaństwo nigdy już nie miało przemawiać jednym głosem. W trzynastym wieku ortodoksyjny biskup Aten dał upust związanym ze sporem animozjom, pisząc, że „prędzej osioł doceni grę na lirze, niż [łacinnicy] piękno i harmonię języka greckiego albo żuki gnojowe zapach perfum”. Na skutek rozłamu, który nastąpił w latach pięćdziesiątych jedenastego wieku, Morze Śródziemne stanie się świadkiem jeszcze większej liczby spotkań między coraz bardziej zróżnicowanymi wyznaniem.

Schizma nie wzmocniła oczywiście Bizancjum ani nie poprawiła jego sytuacji wobec nadciągającego najeźdźcy seldżuckiego. Nie było szansy, by stworzyć wielki sojusz chrześcijan, zdolny przeciwstawić się Turkom. Co więcej, nadchodził kolejny splot zdarzeń, który miał odciągnąć uwagę Konstantynopola od zbliżającej się burzy. Dokładnie w tym czasie, gdy Turcy zagarniali Bliski Wschód, na Zachodzie to samo dzieło rozpoczęli Normanie - potomkowie Skandynawów, którzy podbiwszy tereny dzisiejszej północno-

zachodniej Francji, założyli tu silne i rozległe państwo. Nie usiedzieli jednak w miejscu i w 1066 cała armia przerażających wojowników przeprawiła się przez Kanał i zajęła Anglię. W Konstantynopolu zapewne wzruszono by ramionami na wieść o awanturze wywołanej gdzieś daleko przez jakichś tam barbarzyńców, gdyby nie to, że ci sami Normanowie pojawili się nagle, jakby całkiem znikąd, także na Morzu Śródziemnym. Najpierw zagościli w południowej Italii, na spornych terenach, do których prawa rościli sobie równocześnie longobardzcy możnowładcy, cesarze niemieccy, agenci papieża oraz sycylijscy muzułmanie. Najpierw dali się poznać jako najemnicy, potem jako zdobywcy, dziwnym trafem dokonując niemal tego samego co Seldżycy na Wyżynie Irańskiej.

Coś jednak odróżniało podboje normańskie od tureckich. Nie była to bowiem masowa i bezładna migracja ludów Północy, ale celowe peregrynacje żądnych przygód wojowników, spośród których na czoło wysunął się jeden szczególnie ekspansywny ród. Byli to Hauteville z normandzkiego półwyspu Cotentin. Jego założyciel, Tankred, około roku 1000 znalazł się w ciężkiej sytuacji: jakkolwiek udało mu się w dwóch małżeństwach spłodzić aż dwunastu synów (i na koniec jedną córkę), nie był jednak dość bogaty, aby obdzielić ich wszystkich, o upilnowaniu nie wspominając. Starsi synowie, którzy rozumieli mizериę sytuacji, dostrzegli szansę gdzie indziej i opuścili spowite mgłami atlantyckie wybrzeże Europy, aby zdobyć coś dla siebie pod słonecznym niebem Italii. Pierwsi z wielu przedstawi-

cieli rodu Hauteville - Wilhelm Bras-de-Fer (Żelaznoręki), Drogon i Gotfryd - zostaliby zapewne po wsze czasy największą chlubą rodziny, gdyby nie najstarszy z ich przyrodnych braci z drugiego małżeństwa Tankreda. Robert Guiscard przybył to Italii z pustymi rękami, jednak niewielu w średniowieczu odniosło tak wielki sukces jak on. Gdy wylądował na Południu w 1046 roku, miał trzydzieści jeden lat, wielki apetyt na życie i wytarty mocno przyodziewek; umierając w 1085, był kimś, kto dał się we znaki cesarzom i papieżom, położył podwaliny pod Królestwo Obojga Sycylii (obejmujące Sycylię oraz południową część Półwyspu Apenińskiego) oraz stał się legendą całego śródziemnomorskiego świata.

Wszystko to osiągnął walką, zdradą i zastraszeniem. Nawet papież Grzegorz VII, przy całym papieskim zwierzchnictwie, został zmuszony do uznania legalności działań Guiscarda (jego przydomek w starofrancuskim oznacza: sprytny, chytry). Powód był prosty - nadzieja na usunięcie siadów bizantyjskiej obecności na półwyspie. Gdy wspomagany przez swą wojowniczą żonę, Sigelgajtę, Guiscard wziął się do roboty, wywarł wielkie wrażenie na niezdolnych do zbrojnej reakcji Grekach. Anna Komnena, której kronika (*Aleksjada*) daje bogaty obraz tamtych czasów oraz elit Konstantynopola, chociaż niechętnie, nie mogła się oprzeć podziwowi dla barbarzyńcy z dzikich krain. Dobrze urodzona Anna musiała odnotować, że Guiscard był osobą „niewiadomego pochodzenia, arogancki i zły do szpiku kości”, jednak z fascynacją dodała, że był też „imponu-

jącej postury, rośniejszy niż inni mężczyźni, z ciemną cerą, jasnymi włosami, szerokimi ramionami i oczami, w których płonął ogień (...) Homer wspominał, że krzyk Achillesa brzmiał ludziom w uszach niczym zwielokrotniona wrzawa, gdy Robert krzyknął, dziesiątki tysięcy ludzi zrywały się do ucieczki”.

Możliwe, że słyszany z oddali krzyk Roberta, który zdecydował się ostatecznie na zaatakowanie Bizantyjców po drugiej stronie Adriatyku, przyprawił i tak słabowitych władców Konstantynopola o całkowitą głuchotę na wieści o zagrożeniu czającym się u bram Anatolii. Poniekąd przyłożył też Robert rękę do Wielkiej Schizmy, przedsięwzięta bowiem w 1054 roku i katastrofalna w skutkach wymiana ambasadorów między papieżem a Konstantynem Monomachem wynikała właśnie z normańskiego zagrożenia. Co więcej, Normanowie nie byli podówczas jedynymi sprawcami kłopotów: pół wieku po śmierci Bazylego na Dunajem pojawiły się nowe agresywne plemiona, które zajęły miejsce oślepionych Bułgarów i też oczywiście zaczęły nękać Bałkany najazdami.

Krótko mówiąc, Zachód rozsypywał się pośród mało budujących zdarzeń, Wschód zaś znajdował się o krok od katastrofy. Plemiona turkmeńskie, nie czekając na Seldżuków, wdzierały się do Anatolii i rabowały, co popadło, oblegały miasta i kusily najemników przeciwnika większym żołdem. Strach przed nimi docierał do Kapadocji i dalej. Alp Arslan wiedział, że musi poradzić sobie z tą bandą dzikusów, zanim ruszy przeciwko kalifatowi Fatymidów. Nowy basileus, Roman

Diogenes, również postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Pojął wreszcie, że w żaden inny sposób nie ocali swojego zranionego głęboko cesarstwa przed całkowitym wykrwawieniem.

O ile decyzję Romana Diogenesa można określić jako wyraz otrzeźwienia, które spłynęło na aparat państwowy (nic, że prawie w ostatniej chwili), o tyle sam jego wybór na następcę tronu nie miał nic wspólnego z rozsądkiem. Przyszły basileus pochodził z bogatej rodziny mieszkającej w Kapadocji (środkowa Anatolia). Jako żołnierz służył dobrze Bizancjum, obejmując stanowisko namiestnika Sofii. Popadł jednak w niełaskę podejrzany o spiskowanie przeciwko Konstantynowi X Dukasowi.

Po nieudanym zamachu stanu Konstantyn zdecydował, że żaden uzurpator nie odbierze władzy jego rodzinie. Swego brata, Jana, mianował cezarem (zastępcą cesarza), w roli następcy widząc zaś jednego ze swoich synów, co pozwoliłoby na utrwalenie dynastii. Gdy zachorował śmiertelnie w 1067 roku, postanowił zamknąć swój plan decyzją, która pozwoliłaby mu na sterowanie biegiem wydarzeń także zza grobu. Zebrawszy grupę notabli i senatorów, zmusił swoją żonę, Eudoksję Makrembolitissę, do złożenia przysięgi, że nigdy więcej nie wyjdzie za mąż. Zdarzało się bowiem, że kiedy wdowa po cesarzu brała kogoś do łóża, to jej amant, kimkolwiek był, odbierał tron męskiemu potomkowi zmarłego władcy. Tak więc Konstantyn zabezpieczał się, aby żona, którą w kwestiach łóża raczej ignorował,

nie odebrała Dukasom praw do tronu, romansując z którymś z jego licznych wrogów.

Eudoksja widziała to trochę inaczej. Była młoda, pochodziła z potężnej rodziny (jej wuj był patriarchą w czasie Wielkiej Schizmy), no i była cesarzową. To ostatnie mogło być najważniejsze, ponieważ imperium znalazło się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie można już było dłużej ignorować Turków; w ostatniej ze swoich licznych wypraw złupili wielkie kapadockie miasto Cezareę (tureckie Kayseri). Dokonał tego turkmeński wódz Afsin, którego powtarzające się najazdy mogły sprowokować pytanie, czy ktokolwiek w ogóle jeszcze broni rdzennych ziem Bizancjum. Nawet cywile, odpowiedzialni za wcześniejsze osłabienie armii, zaczęli przebąkiwać, że przydałby się jakiś sensowny wojownik w purpurze. Eudoksja nie mogła się z nimi nie zgodzić.

I tak, gdy męscy przedstawiciele rodu Dukasów, równie nieudolni jak zgasły Konstantyn, szykowali się do przejęcia schedy, Eudoksja ogłosiła nieoczekiwane, że ma ochotę na kolejne zamążpójście. Oficjalnie nie mogła tego zrobić, chyba że przekonałaby patriarchę Konstantynopola, aby zwolnił ją z przysięgi i skłonił senatorów do tego samego. Szanse miała niewielkie, patriarcha Jan Ksifilinos był bowiem sojusznikiem Dukasów, a na dodatek Kościół ortodoksyjny nie patrzył przychylnie na powtórne małżeństwa. Niemniej Ksifilinos, potężny i tym samym przewidywalny, nie był wolny od grzechu pychy. Gdy eunuch ze świty wielkiej damy doniósł mu, że serce Eudoksji skłania się ku bratu

patriarchy, Ksifilinos zmienił front. Czy mogłoby się zdarzyć coś wspanialszego, niż gdyby jedna jego rodzina opanowała zarówno patriarchat, jak i tron? Nie ogłaszając niczego oficjalnie, odbył całą serię prywatnych spotkań z senatorami, przekonując ich albo przekupując, aby uznali przysięgę wdowy za nieważną i niebyłą.

Wtedy Eudoksja wyciągnęła królika z kapelusza. Sama nigdy wcześniej nie wyjawiała, kto jest obiektem jej westchnień, i patriarcha poczuł się oszukany, gdy stanął przed nią wezwany z odległego garnizonu Roman Diogenes. Jak opisał go przyjaciel, ów młody arystokrata „nie tylko przewyższał innych dobrym charakterem, ale i pod każdym innym względem dobrze się prezentował. Szeroka pierś i także plecy przydawały mu postawy, a każdy oddech zdawał się zaświadczać o szlachetnym urodzeniu, jeśli nie boskości. Był przystojny, co podkreślały jeszcze jego jasne oczy”. Czy Eudoksja zakochała się wówczas, tego nigdy nie wyjawiała. To samo źródło sugerowało, że żywiła wstręt do kontaktów fizycznych, jednak ujrawszy go, podobno „poczuła przyływ nieopanowanego miłosierdzia i łzy pociekły auguście [Eudoksji] strumieniami z oczu”. Roman był bez wątpienia przeciwieństwem nieświętej pamięci Konstantyna. Na dodatek był wojownikiem, czyli kimś w danej chwili naprawdę potrzebnym. W dzień Nowego Roku 1068 Eudoksja poślubiła Romana. Grecy mieli nowego basileusa.

Roman był zdolnym przywódcą, znalazł się jednak w sytuacji, której trudno mu zazdrościć. Większość dworu czuła wobec niego nienawiść, zwłaszcza wciąż



potężna rodzina Dukasów, w którą się wżenił. Patriarcha, rzecz jasna, ciągle bolał nad tym, jak łatwo dał się wyprowadzić w pole. Roman zaś nie miał dość zwolenników, aby przeprowadzić wskazaną w takiej sytuacji czystkę i pozbyć się całej niezycziwej rodziny. Nawet gwardia wareska, banda brutalnych barbarzyńców z różnych zakątków świata najmowana do chronienia basileusa, trzymała z cezarem, Janem Dukasem. Michał Psellos też nie oszczędzał Romana w swojej kronice. Przedstawiając nowego władcę, zarzucał mu, że „całkowicie lekceważy wyższych urzędników, odrzuca rady i - co jest nieuleczalną chorobą cesarza - niezależnie od okoliczności nie polega nigdy na niczyjej opinii ani sugestii, jak tylko na swojej własnej. Jeśli o mnie chodzi, przysięgam na Boga, tego Boga, którego czczą filozofowie, że próbowałem odwieść go od jego ambicji”.

Podczas kampanii w latach 1068 i 1069 pełen życia Roman wyruszył w pole na czele formacji rozwydrzonych, ale i tak groźnych nieregularnie opłacanych najemników. Krążył tam i z powrotem po Anatolii w poszukiwaniu jakichś tureckich oddziałów, z którymi mógłby nawiązać walkę. Alp Arslan, po wstrzymaniu Afsina, dał Seldżukom oficjalne przyzwolenie na wyprawę, atakując osobiście kilka przygranicznych warowni. Złupił Ani, stolicę Armenii, gdzie spalił doszczętnie dziesiątki kościołów, a mieszkańców wybił albo uwiózł w niewolę. Wśród innych doświadczonych ciężko miast granicznych znalazła się też Edessa. Doszło do kilku pomniejszych bitew, w których Roman poradził sobie z seldżuckimi intruzami. Mimo nieu-

stannych problemów nękających jego armię, mógł uważać, że robi postępy.

Konstantynopol miał na ten temat własne zdanie. Krytycy basileusa zwracali uwagę, że jest jeszcze Guiscard, który wówczas akurat anektował bizantyjską Italię, i nie rozumieli, dlaczego Roman nic nie robi w tej sprawie. Jego długie przemarsze przez Anatolię mieli za zabawę w kotka i myszkę, skoro ani razu nawet nie zagroził głównej armii przeciwnika. Ich zdaniem był arogancki, niekompetentny i, co gorsza, zdecydowany puścić ich wszystkich z torbami. Basileus potrzebował pilnie sporych pieniędzy na opłacenie najemników, ale Kościół i arystokracja ani myśleli się dzielić bogactwem, które udało im się zgromadzić dzięki korupcji kwitnącej w cesarstwie przez poprzednie pół wieku.

Przez cały rok 1070 Roman pozostawał w Konstantynopolu, przygotowując wielką ofensywę i, jak można sądzić, starając się zapobiec stworzeniu przez wszystkich nieżyczliwych zwartego stronnictwa, które mogłoby wysadzić go z siodła. Gdy w 1071 był już gotów ruszać na Turków, zabrał ze sobą jednego z Dukasów. Trochę w roli zakładnika, trochę zaś na wszelki wypadek. Najpewniej nie chciał ryzykować, że pozostawiony w stolicy przeciwnik coś jednak wymyśli. Andronik Dukas został mianowany dowódcą tylnej straży armii. Niestety, obrócenie się do niego plecami miało mieć dla basileusa fatalne skutki.

Co ciekawe, ta ostatnia kampania była całkiem niepotrzebna. Alp Arslan i Roman doszli już do poro-

zumienia w sprawie podziału Armenii i zasadniczo obaj mogli czuć się bezpiecznie w swoich granicach. To, czy sułtan zdołałby powstrzymać Turkmenów, skoro przekonali się już, jak słabe jest Bizancjum, to druga sprawa. Podobnie jak trudno orzec, czy otoczony przez niechętny mu dwór Roman przetrwałby oddanie kawałka kraju - tych samych ziem, które Bazyli II zdobył śmiałą akcją dla cesarstwa i które jego następcy tak skwapliwie wyniszczyli. Żadna ze stron nie skorzystała jednak z szansy na pokój.

W marcu 1071 roku basileus wyprawił przez Bosfor wielką siłę, szacowaną na 60–100 tysięcy żołnierzy. Była to dość barwna zbieranina. Poza ocalałymi jeszcze regularnymi oddziałami zwołanymi z całego imperium tworzyły ją bandy najemników - Franków, Niemców, Normanów, Ormian, Pieczyngów (ludów tureckich z bałkańskich granic) i różnych wątpliwej lojalności nieseldzuckich Turków. Co gorsza, Roman nie mógł też w pełni ufać niektórym dowódcom, którzy sympatyzowali z odsuniętą rodziną Dukasów.

Alp Arslan nie miał takich zmartwień. Wiedział, że czeka go niebawem bogata w łupy wyprawa na Egipt Fatymidów, i starannie się do niej przygotowywał. Zgrupowani w Persji Seldzucy przeszli przez zachodnią Armenię, zdobywając przy okazji Manzikert i Chilat (placówkę na północnym brzegu jeziora Wan), potem ruszyli dalej na południowy zachód, w głąb górnej Mezopotamii. Alp zajął albo zmusił do opłacenia okupu graniczne miasta (Edesę, Aleppo, Antiochię), obsadzone przez bizantyjskie załogi podczas wcześniej-

szych kampanii. Krótko mówiąc, zajął się sprzątaniem i zabezpieczaniem granic przed zasadniczą operacją w Egipcie. Możliwe, że nie wiedział nawet o armii, która człapała wiosną 1071 od Bosforu.

Romanowi wiodło się ze zmiennym szczęściem. Plany, aby uzupełnić szeregi podczas przejścia przez górzystą centralną Anatolię, dały się zrealizować tylko częściowo. Na dodatek armii wyraźnie brakowało dyscypliny. Podczas powolnego marszu na wschód doszło nawet do kilku otwartych buntów. Przyjaciel i towarzysz broni basileusa Michał Attaliates (który opisał go w swojej historii jako wzór męskiej urody) narzekał na narastający brak opanowania władcy. Jego naturalna pewność siebie zaczynała się przeradzać w arogancję i niechęć do wszelkiego działania, co przejawiało się tym, że „zaczął dystansować się od własnej armii, rozbijając zawsze własny obóz i ostentacyjnie dbając w nim o wygody”.

W czerwcu albo lipcu 1071 roku zwołano w Erzerumie naradę wojenną. Do Romana dotarły wieści o Turkach, którzy pojawili się pod Antiochią, można było zatem oczekiwać, że tereny na wschód od Erzerumu będą wolne od nieprzyjaciela. Wbrew radom dwóch wodzów, Nicefora Bryenniosa i Józefa Tarchaniotesa, Roman rozdzielił swoje wojsko. Sam zamierzał z połową armii pomaszerować na Manzikert. Tarchaniotes zaś i dowódca normañskich najemników Roussel z Bailleul, mieli wziąć pozostałych żołnierzy i odbić Chilat nad jeziorem Wan. Potem obie grupy miały się

spotkać dla przeprowadzenia kolejnych operacji, zapewne marszu w głąb terytorium Seldżuków.

Nie wiadomo, kiedy Alp Arslan usłyszał pierwszy raz o wielkiej bizantyjskiej armii. Faktem jest, że wycofał się pospiesznie ze stepów, porzucił obleganą Antiochię wraz z planami podbojów na południu, aby jak najszybciej uporać się z nowym zagrożeniem, które pojawiło się na północy. Zonę i zdolnego perskiego wezyra, Nizama al-Mulka, wysłał przodem, kazał im zebrać w Azerbejdżanie jak najwięcej jazdy, która miała się przydać w nadchodzącym starciu. Na początku sierpnia armia Alp Arslana znalazła się gdzieś w pobliżu Wan. Jezioro obesza zapewne od południa, w zasięgu wzroku ormiańskich mnichów z klasztoru na wyspie Akdamar. Potem skręciła ku Manzikertowi. Taką właśnie trasę sugerują historycy próbujący znaleźć odpowiedź na pytanie, gdzie zniknęła aż połowa bizantyjskiej armii.

Brak w tej sprawie zgody, podobnie jak konkretnych informacji. Tarchaniotes był zdolnym wodzem, Roussel budził strach. Trudno podejrzewać ich o tchórzostwo. Piszący o tym kilka wieków później muzułmańscy kronikarze skłaniali się ku twierdzeniu, że wysłane ku miastu Chilat wojsko zostało po prostu rozbite przez Arslana. Wedle drugiej wersji, samo ruszyło w drogę powrotną na skutek zdrady, niesubordynacji albo zniechęcenia do walki, które wzięło się ze sposobu traktowania przez basileusa. Lecz ani Attaliates, ani inni bizantyjscy i ormiańscy kronikarze, których zapiski powstały ledwie kilkadziesiąt lat po opisywanych wy-

darzeniach, nie wspominają o żadnej bitwie. Różnią się w kwestii motywów, które mogły stać za nagłą ucieczką, wszyscy jednak zgodnie stwierdzają, że nikt nie powiedział basileusowi, co się stało. Żaden posłaniec nie pogalopował na północ z wiadomością, że połowa tej wielkiej i z takim wysiłkiem zbieranej armii wraca już rączo tam, skąd przyszła. Odbierając Manzikert i świętując bezkrwawe zwycięstwo, Roman nie miał pojęcia, że odległy o dzień jazdy Chilat nadal pozostaje w tureckich rękach i nikt nawet nie zaatakował tego miasta. Nie wiedział też, że na wzgórzach opodal Manzikertu czekają już na sygnał do ataku dziesiątki tysięcy jeźdźców Alp Arslana.

Wielkie bitwy nie decydują same w sobie o losie narodów, stwarzają jednak warunki, gdy wiele może się zdarzyć. Taką bitwą był Manzikert. To, co nastąpiło tamtego sierpniowego dnia 1071 roku w odległym zakątku Armenii, zapoczątkowało proces całkowitej odmiany północno-wschodniego rejonu Morza Śródziemnego. Chrześcijaństwo zaczęło powoli, ale nieubłaganie ustępować islamowi, a dotychczasowi mieszkańcy Anatolii mieli w ciągu następnych stuleci całkiem zmienić tożsamość. Ówczesni przeciwnicy nie dostrzegali tego oczywiście. Oni mieli dość kłopotów z reagowaniem na wyzwania, jakie rzucały ich własne czasy.

W końcu do uszu basileusa dobiegły dziwne meldunki o tureckich grasantach skubiących jednostki furazowe na południe od Manzikertu. Normalnie Turcy preferowali szybkie i niespodziewane ataki, po których

zaraz się wycofywali, ci jednak przeciwnicy wykazywali się nadspodziewaną odwagą. Zaniepokojony informacjami i pozbawiony jednocześnie wieści o oddziałach Tarchaniotesa i Roussela, basileus wezwał do siebie Nicefora Bryenniosa i kazał mu ruszać z niewielkim oddziałem i sprawdzić, co właściwie się dzieje. Miał też nadzieję, że patrol połączy się z drugą połową armii, która nie powinna znajdować się w odległości większej niż pięćdziesiąt kilometrów.

Bryennios zorientował się, że sytuacja jest poważna, zanim jeszcze dotarł do wzgórz. Przeciwnik był bardzo liczny. Po paru potyczkach Bryennios wezwał posiłki, jednak Roman, oddzielając przyjaźń od służby, publicznie oskarżył swojego wodza o tchórzostwo. Na to odezwał się ormiański dowódca Basilakios. Poparł pospieszny osąd basileusa i począł udowadniać, że ci jeźdźcy na wzgórzach to tylko jacyś turkmeńscy grascanci. Zaraz potem wypadł z obozu na czele oddziału podobnie myślących wojowników. Tajemnicze sylwetki uciekły przed nimi, odciągając patrol coraz dalej od sił Bryenniosa. Gdy byli już całkiem sami, przeciwnicy wyłonili się z ukrycia i tysiącami otoczyli oddział Basilakiosa. Mało kto uszedł z życiem.

Gdy pogłoski o tej walce dotarły do Manzikertu, Roman nakazał Bryenniosowi całym lewym skrzydłem armii sprawdzić, co się dzieje. Wódz zrobił, co było w jego mocy, ale szybko został odparty przez znacznie liczniejszego przeciwnika. Tak jak stwierdził wcześniej - to nie były luźne oddziały, ale trzon armii sułtana, sama śmietanka jego jazdy. Wojownicy, którzy wyrosli

w siodłach, słynęli z tego, że nawet w galopie potrafili wypuszczać z kompozytowych łuków jedną celną strzałę za drugą. Turcy zgrupowali się na południowych wzgórzach od pozycji Bizantyjczyków. Bryennios przeprowadził udany odwrót i dotarł do Manzikertu z dwoma strzałami w plecach i rannym ramieniem.

Bezksiężycowa noc, która zapadła wkrótce potem, była dla Bizantyjczyków prawdziwym koszmarem. Jakaś grupa tureckich najemników została przyłapana tuż pod cytadelą. Gdy przeciwnik wypadł z zasadzki, trudno było odróżnić swoich od wrogów. Ciemność rozdzierały alarmujące okrzyki z obu stron oraz widmowe sylwetki jeźdźców gnających wzdłuż palisady i wypuszczających płonące strzały. Po obozie krążyły przerażające pogłoski, że brama została wyłamana, cytadela padła, a większość tureckich najemników zdezerterowała. Rankiem wyjaśniło się, że tylko ostatnia wiadomość była prawdą.

Krótko po wschodzie słońca do namiotu Romana przybyli posłowie od samego abbasydzkiego kalifa. Oczywiście sułtan musiał wiedzieć o ich misji. Po obowiązkowym padnięciu na twarz przed władcą wstali, otrzepali się i zaproponowali cesarstwu traktat pokojowy. Roman odprawił ich, żądając niemożliwych do spełnienia ustępstw. Wiedział, że gdyby po przedsięwzięciu podobnej wyprawy i znalezieniu przeciwnika odstąpił od bitwy, po czym wrócił do Konstantynopola jedynie z mglistą obietnicą pokoju, jego polityczni rywale dostaliby piany na ustach. Jednak czy to było dla niego najważniejsze, czy też może raczej kierował się



zranioną dumą wojownika, nigdy się nie dowiemy. Tak czy tak, postanowił walczyć.

W obozie odprawiono mszę, procesja ze świętymi ikonami przeszła w polu widzenia około trzydziestu tysięcy pieszych i konnych wojowników tureckich, którzy sposobili się do bitwy. Rozległy się nawoływania do wypełnienia chrześcijańskiego obowiązku przemieszane z wezwaniami, aby zmiażdżyć wrogą horde. Na pobliskich wzgórzach Alp Arslan zsiadł z wierzchowca i zwrócił się do swoich podkomendnych. Jego przemowa została zapewne mocno przeredagowana przez późniejszych muzułmańskich kronikarzy, ale jej sens i zawarte w niej emocje wydają się dość charakterystyczne:

*Albo odniosę zwycięstwo i osiągnę mój cel, albo jako męczennik wejdę do raju. Kto chce, niech idzie za mną. Kto chce odejść, może to uczynić teraz. Nie jestem tutaj sułtanem, ale żołnierzem. Nie rozkazuję, tylko wykonuję rozkaz. Dzisiaj jestem tylko jednym z was (...) Kto poszedłszy za mną, odda życie w Bożej sprawie, wejdzie do raju. Ci, co przeżyją, zdobędą wielkie bogactwo. Wieczny ogień i potępienie czeka tych, którzy nas opuszczą.*

To, co zaczęło się jako spór graniczny o kilka armeńskich prowincji, zostało podbarwione retoryką dżihadu i na dodatek obrosło jeszcze w legendę wielkiego zwycięstwa. Tak samo jak chrześcijańscy autorzy przeinaczyli historię Rolanda, czyniąc zeń ofiarę nie Basków, ale muzułmanów, islamscy historycy przedstawili Alp Arslana, który dbał tylko o bezpieczeństwo swoich granic, jako bojownika świętej sprawy i pogromcę

niewiernych. Cokolwiek w istocie chodziło mu po głowie, przesądził swoimi działaniami o islamizacji Azji Mniejszej.

Roman ustawił swoich ludzi w prostej linii, głębokiej zapewne na cztery do pięciu szeregów, i pomaszerował z nimi na równinę na południe od Manzikertu. Sam dowodził centrum, Bryenniosa ustawiwszy na lewym skrzydle, a kapadockiego wodza Aljattesa - na prawym. W sporej odległości za nimi znajdowały się prywatne armie anatolijskich wielmożów dowodzone przez Andronika Dukasa. Tylne straż miała wkroczyć do akcji, gdyby sytuacja tego wymagała. Chociaż była to tylko połowa armii, widok ciężkozbrojnych i umiejętnie dowodzonych żołnierzy mógł wzbudzić szacunek.

Turcy na pozór tak właśnie zareagowali. Przez cały ranek i popołudnie cofali się przed bizantyjskim walcem, tworząc ostatecznie formację przypominającą półksiężyc, znak, który miał niebawem przeważać w islamskiej ikonografii. Tworzący jego końce Seldżuci nie okazywali jednak strachu. Ich jeźdźcy nieustannie popisywali się kunsztem łuczniczym, zbliżając się do greckich linii i drażniąc poszczególne oddziały w nadziei, że przeciwnik rozerwie szyk i rzuci się w pościg za śmiałkami. Turcy uciekali potem w stronę wzgórz, znacząc swój szlak kolejnymi strzałami, wystrzeliwanymi tym razem w stronę przeciwną do kierunku jazdy<sup>28</sup>, i tym bardziej drażniąc goniących. Była to sztuka, która miała niebawem przynieść im sławę. Gdy już taki oddział znajdował się z dala od głównej formacji, za-

czajeni jeźdźcy dopadali Greków. Scenariusz ten powtarzał się raz za razem, zbierając ponure żniwo i umniejszając liczebność Bizantyjczyków, niemniej armia postępowała dalej. Dowodzone przez Romana centrum nie ucierpiało dotąd prawie wcale, ale i nie weszło jeszcze w ogóle w kontakt z przeciwnikiem.

Gdy wojsko zbliżyło się do skraju równiny, gdzie dalej ku południowi ciągnęły się pasma wzgórz, Roman zauważył, jak bardzo wydłużyły się rzucane przez konie i ludzi cienie. Jeden rzut oka na zachód uświadomił mu, że słońce jest już niebezpiecznie nisko i nie zostało wiele czasu, aby zawrócić do znacznie bezpieczniejszego jednak obozu. Bitwa musiała poczekać do następnego dnia. Basileus wydał standardowe rozkazy przeformowania i odwrotu.

Alp Arslan czekał na tę chwilę przez cały dzień. Wydał rozkaz ataku. Główna siła jego armii w środkowej części półksiężyca zawróciła i ruszyła pełnym galopem w stronę wykonujących właśnie zwrot bizantyjskich żołnierzy. Spomiędzy wzgórz wysypały się kolejne tysiące konnych łuczników. Dalej na północ, z kryjówek po obu stronach pola bitwy, wyłoniły się czekające tam oddziały strzelców mające odciąć Grekom drogę powrotną do Manzikertu. Spotkały się i ruszyły na nieprzyjaciela, który został nagle zaatakowany ze wszystkich stron.

W tej właśnie chwili straż tylna powinna nadciągnąć na ratunek i przerwać pierścień wrogów. Nigdy do tego nie doszło. Andronik Dukas rozpuścił pogłoskę, że basileus zginął. To właśnie, jego zdaniem, miały ozna-

czać odwrócone cesarskie chorągwie (w rzeczywistości był to sygnał do odwrotu). Nieznający prawdy najemnicy uwierzyli w jego kłamstwo. Dworskie intrygi ostatniego półwiecza zebrały ostatecznie fatalny plon pośród stepu zachodniej Armenii. Gdy tylna straż oddalała się aż za Manzikert, z dowódcami zachwyconymi zapewne, że mieli szansę zostawić Romana na lodzie, otoczona bizantyjska armia wpadła w panikę. Każdy próbował ratować się na własną rękę. Krzyki wściekłego Romana ginęły w ogłuszającym zgiełku. Attaliates, który był świadkiem tej sceny, tak ją opisał:

*To było jak trzęsienie ziemi: krzyki, woń potu, nagłe uderzenia strachu, tumany pyłu i przede wszystkim hordy Turków galopujące wkoło nas. Każdy sam szukał ratunku, polegając na swojej szybkości, sile i desperacji. Nieprzyjaciel ścigał uciekających, niektórych zabijając, innych chwytając w niewolę albo tratując końskimi kopytami. To był tragiczny widok, poza płaczem i rozpaczą. Bo i cóż może być żałośniejszego niż obraz całej cesarskiej armii pokonanej, umykającej i ściganej przez okrutnych i nieludzkich barbarzyńców; cesarza bezbronnego pośród tak jak on bezradnych; cesarskich namiotów, symboli wojskowej potęgi i władzy monarszej, przechwyconych przez im podobnych, całego Rzymu pobitego, gdy się wie jeszcze, że cesarstwo stoi na krawędzi upadku?*

Gdy tumult stopniowo minął, kilkuset szczęśliwców trafiło do niewoli. Trzymano ich pod strażą całą noc, podczas gdy ich ranni towarzysze konali na polu bitwy, czekając na cios sztyletu hien cmentarnych

odzierających trupy z broni i pancerzy. Bizantyjski obóz w Manzikercie, opustoszały, ograbiony został ze wszystkiego, co cenne. Rano jakiś handlarz niewolników przywiódł przed oblicze Alp Arslana rannego wojownika, utrzymując, że to nie kto inny, tylko sam król Rumich. Niedowierzający sułtan kazał przyprowadzić Basilakiosa, wziętego kilka dni wcześniej do niewoli dowódcę jazdy. Widząc swego basileusa, Ormianin krzyknął i padł na kolana. Tak stanęli naprzeciwko siebie: sułtan i basileus, Turek i Grek, muzułmanin i chrześcijanin, i najpewniej spojrzeli sobie w oczy, pojmując znaczenie tej chwili. W końcu Alp Arslan, z buńczukiem w dłoni, kazał Romanowi IV Diogenesowi paść na ziemię.

Na południe i na wschód od monumentalnej Bramy Anatolii w Manzikercie rozciąga się ciemnobrązowy step dobiegający aż do podnóża góry Suphan, dawnego wulkanu z wierzchołkiem okrytym wiecznym śniegiem, wyrastającym na wysokość 4058 metrów. Dalej na południe rozciąga się jezioro Wan. Przez zaorane pole jedzie wolno kilku jeźdźców niczym goście z przeszłości. Po chwili znikają za słabo widocznym wzniesieniem. Ich turbany pojawiają się niespodziewanie na kolejnym stoku. Przez chwilę widać jeszcze sylwetki jeźdźców rysujące się ostro na tle nieba, aż wszyscy chowają się za granią. Niebo jest intensywnie błękitne, powietrze nieruchome i tylko przejeżdżający samochód wzbija czasem tuman kurzu.

Dziesięć kilometrów na południowy wschód zaczyna się pasmo wzgórz, urwiste świadectwo dawnej

aktywności wulkanicznej. Ich stoki pozbawione drzew porasta sztywna i żółtawa trawa, której źdźbła trwają nieruchomo w ciszy słonecznego południa. Wszędzie otwierają się parowy i ślepe doliny - idealny teren, aby zastawić na kogoś zasadzkę. Tam, gdzie dolina łagodnie przechodzi we wzgórze, rozciągnęła się samotna kurdyjska wioska - gromada domów z pustaków przykrytych pordzewiałą blachą. Obok dwóch dziesiątków budynków wznosi się wysoka piramida schnącego nawozu, paliwa mającego dać trochę ciepła podczas mroźnej zimy. Starszy mężczyzna wspina się po zboczu, aby sprawdzić, co to za obcy kręcą się w pobliżu. Uśmiecha się złotymi zębami i twarz mu pogodnieje, gdy słyszy, dlaczego goście stoją nieruchomo i wpatrują się w równinę. Opowiada o amatorskich wykopaliskach, bo wszyscy tutaj szukają legendarnego skarbu Alp Arslana, i o tym, jak niewiele udało się dotąd znaleźć, więc nie ma nic do sprzedania. Nikt nie wie, gdzie dokładnie rozegrała się bitwa.

Ma rację. Mimo pewnej obfitości materiałów źródłowych, nie uda się nigdy precyzyjnie ustalić, w którym miejscu doszło do walki. Na pewno wiadomo tylko tyle, że było to gdzieś tutaj, w rozległej i płaskiej dolinie, zapewne blisko zamykającego ją półkola wzgórz. Szerokim i niemal gospodarskim machnięciem ręki Kurd ogarnia kilka odległych pasm. Niektóre zagradzają drogę na zachód, inne przecinają szlak na północ, do Erzerumu i dalej, w stronę Morza Czarnego. Gdziekolwiek spojrzeć, horyzont osłaniają górskie szczyty - niemi świadkowie historii.

Gdzieś w ich pobliżu Roman Diogenes padł na ziemię przed Alp Arslanem. Równinę zaścielały ciała tysiący, może nawet dziesiątków tysięcy poległych. I wdeptany w ziemię dwugłowy bizantyjski orzeł. Wprawdzie Arslan po mistrzowsku wykorzystał swoich konnych, to jednak ostatecznie własni ludzie doprowadzili Romana do klęski. Zdrada odebrała Grekom Anatolię.

W Chilacie (obecnie zwanym Ahlat), skąd Roussel i Tarchaniotes uciekli wraz z wojskiem do bezpiecznej środkowej Anatolii, zaczyna się jeszcze jedna opowieść. W małej, kurdyjskiej wiosce nad północnym brzegiem jeziora Wan nie ma pomnika Alp Arslana. Na wyżynnej i mocno zarośniętej łące setki rzeźbionych nagrobków z rdzawej wulkanicznej skały świadczą, że jesteśmy na wielkim cmentarzu. Zaniedbany obecnie i zapomniany, od jedenastego do piętnastego stulecia był świętym miejscem Seldżuków. Chowano na nim władców i władczynie, podkreślając ich zasługi starannie wykaligrafowanymi epitafiami biegnącymi przez całą długość wysokich na człowieka nagrobków. Dziś jest tylko widmowym zakątkiem wywołującym wspomnienie zaginionej cywilizacji. Zaginionej i zapomnianej przez samych Turków, którzy poza tym mają skłonność do ostentacyjnego wręcz przywoływania przeszłości. To tutaj właśnie historia Seldżuków dobiegła końca, podczas gdy Manzikert mówi o jej początku. Na wschodzie wyrasta góra Suphan, majestatyczna i obojętna, ze szczytem odbijającym się w wodach jeziora. Cmentarz zaś nawiedzają tylko koty, wśród któ-

rych trafiają się także oryginalne wany, śnieżnobiałe stworzenia z jednym okiem zielonym, drugim niebieskim.

Zwycięska bitwa powołała do życia nowy świat. Rozkwitłe w jedenastym wieku i rządzone twardą ręką sułtana imperium Wielkich Seldżuków stało się zaczynem intelektualnego i religijnego fermentu. Nizam al-Mulk, wielki wezyr z czasów Alp Arslana oraz Malik Szacha, jego syna, który objął tron w 1072 roku, przyłożył znacząco rękę do ewolucji islamu. Podbój Egiptu Fatymidów został odłożony na później. Nizam ustanowił madrasy, miejsca nauki, będące ważnymi ośrodkami myśli sunnickiej. Jako centra religijne ustępowały znaczeniem tylko meczetom. Rozpowszechnione na całym Bliskim Wschodzie zdołały, poprzez promowanie pobożności i edukacji, umocnić podstawy muzułmańskiego państwa. Nizam uchodził też za patrona sztuk pięknych. Uważa się go za mecenasa innego Persa, wielkiego Omara Chajjama, którego rubajaty (czterowiersze) były łagodną drwiną z pędu do władzy i ostentacyjnej pobożności.

Rywalizacja między chrześcijanami a muzułmanami na terenie obecnej Turcji miała zrodzić zdumiewający owoc. Wprawdzie imperium Seldżuków rozpadło się krótko po śmierci Malik Szacha, przy czym w obu przypadkach fatalną rolę odegrały częste u nomadów spory o dziedzictwo, to jednak mniejsze państwa rozmaitych tureckich atabegów (namiestników), które powstały na tym miejscu, okazały się równie dynamiczne.



W Anatolii, gdzie powstał pod osobliwą nazwą Sułtanat Rum (czyli Rumich, Rzymian), współegzystencja Turkmenów, Seldżuków, zislamizowanych Greków i separatystycznych chrześcijan doprowadziła do powstania nowej jakości, którą był turecki islam. Bizantyjski monastycyzm i ekstrawaganci w swym mistycyzmie bizantyjscy święci mężowie, wszystko to znalazło swój ślad w rozwoju nowych muzułmańskich bractw. Perska i turecka tradycja oraz grecka praktyka zrodziły zakony derwiszów, w tym i wirujących, oraz inne sekty sufich (nazwa pochodzi zapewne od słowa *suf* oznaczającego noszone przez nich wełniane okrycie). Reprezentowali oni konglomerat religijny właściwy jaśniejszym kartom historii basenu Morza Śródziemnego w okresie średniowiecza. Największy mistyk sułtanatu, czczony zarówno przez chrześcijan, jak i muzułmanów Dżalal ad-Din ar-Rumi, był Persem żyjącym w przybranym, grecko-tureckim kraju. „Muzułmanów, chrześcijan, żydów i zoroastrian należy postrzegać tak samo” - nauczał. To przesłanie tolerancji, świadczące o wysublimowanej duchowości, głoszone barwnemu tłumowi trzynastowiecznej Konyi, stolicy sułtanatu, było wówczas równie rewolucyjne i pełne humanizmu jak słowa współczesnego mu chrześcijanina, Franciszka z Asyżu.

Niemniej w roku bitwy pod Manzikertem podobna *convivencia* jeszcze nie istniała i chyba nikt jej nie przewidywał. Grecy żyli goryczą klęski i kładła się ona cieniem na ich ocenie sytuacji. Jakby nie dość było zdrady, która zaważyła na przegranej, krótko potem

Konstantynopol odrzucił w całości warunki rozejmu zaproponowane przez pojednawczo nastawionego Alp Arslana. Roman był skłonny je przyjąć, zwłaszcza że po zakończeniu poniżającego rytuału był już traktowany z pełnym szacunkiem. Sułtan chciał zezwolić na jego powrót do stolicy w zamian za kilka nadgranicznych miast i ogromną coroczną daninę. Oferował pokój. Roman, uwierzywszy w jego słowa, postanowił odzyskać swoje miejsce w Konstantynopolu. Chociaż pokonany, nadal był przecież cesarzem.

Dukasowie nie mogli na to pozwolić. Andronik, zdrajca spod Manzikertu, pociągnął swoje armie i stanął na drodze powracającemu basileusowi. Jego oczekiwania były jednoznaczne: cesarz miał abdykować i dożyć spokojnie swoich dni, zarządzając majątkiem w Kapadocji. Roman raz jeszcze nie docenił przebiegłości młodego zdrajcy. Poddał się Andronikowi i został oślepiony. Przeprowadzono to tak brutalnie, że nie mogło obyć się bez poważnej i śmiertelnie groźnej infekcji. Gdy był basileus leżał niewidomy w klasztorze na wyspie Prinkipo na morzu Marmara, tradycyjnym miejscu wygnania upadłych półbogów, obłudny Michał Psellos słał mu jeszcze listy, w których nazywał jego kalectwo błogosławieństwem pozwalającym dostrzegać jedynie światło Zbawiciela. Roman zmarł w 1072 roku. Zasadniczo od zadanych mu ran, w rzeczywistości stał się ofiarą warunków zaproponowanych przez Alp Arslana.

Turkmeńskie plemiona przelały się przez granice. Środkowa Anatolia z wolna upadała. Wprawdzie intry-

gi Dukasów pozwoliły im zdobyć tron, ale nie uratowały państwa. Dopiero po kilkunastu tragicznych latach coraz wyraźniejszego upadku purpura przeszła w ręce rodu, który rozumiał potrzebę zahamowania tego procesu. Dynastia Komnenów, do której należała też kronikarka Anna Komnena, przywróciła w jakimś stopniu ład w zdemoralizowanym i pomniejszonym znacznie państwie. Rządziła przez cały wiek, dbając o utrzymanie okrojonej Anatolii, a głównie jej wybrzeży oraz bałkańskich włości Bizancjum. Bez wątpienia było to spore osiągnięcie, zwłaszcza wobec skali ówczesnych problemów.

Dla reszty śródziemnomorskiego świata dojście Komnenów do władzy zwiastowało początek największej pożogi, jaka ogarnęła Bliski Wschód oraz zaważyła na przyszłych relacjach chrześcijaństwa i islamu. Basileus Aleksy I Komnen (ojciec Anny) wysłał w 1090 roku list, w którym błagał chrześcijańskich kuzynów z Zachodu o pomoc dla obleganego Bizancjum, a odpowiedź przerosła jego oczekiwania. Można powiedzieć, że odniósł sukces. W 1095 roku papież Urban II wezwał zgromadzoną w Clermont szlachtę do chwycenia za broń i zapoczątkował tym samym epokę krucjat. Pomędzy tradycyjnymi bliskowschodnimi przeciwnikami pojawiła się nowa siła: Frankowie. Można powiedzieć, że tureckie zwycięstwo pod Manzikertem miało swój prawdziwie grecki wymiar: otworzyło puszkę Pandory.

# ROZDZIAŁ PIĄTY

## PALERMO I TOLEDO

Intelektualna i kulturowa *convivencia* w epoce krucjat; Sycylia, Kastylia i walki o Jerozolimę; jedenasty i dwunasty wiek

W styczniu 1072 roku obserwator stojący na wysokim brzegu w pobliżu Palermo na Sycylii dostrzegłby cały las żagli wyrastający nad północnym horyzontem. Gdyby spojrzeć nieco na wschód, ujrzałby tumany kurzu wzbijane przez muły zaprzężone do machin oblężniczych oraz odbłyśki słońca na zbrojach atakującej miasto armii. W gorączce bitwy zapewne nie zrozumiałby wagi tego, co niebawem miało się zdarzyć. Otaaczający Palermo górski pejzaż, podobny trochę w swym majestacie do stepów zachodniej Armenii, miał się stać areną aktu zemsty za Manzikert, bitwy, która zdarzyła się ledwie pół roku wcześniej.

Gdy zimowe słońce znalazło się w zenicie, płynące z Morza Tyrreńskiego okręty minęły wyniosły cypel, który miał otrzymać nową nazwę - Monte Pellegrino. Wiosła galer poruszały się miarowo. Jednostki przebiły się przez zatokę i wyładowały setki żołnierzy, którzy rzucili się z halabardami i pikami na przerażony portowy garnizon. Armia Roberta Guiscarda i jego młodszego brata Rogera dopełniała dzieła podbijania Sycylii. W tym samym czasie, gdy chrześcijańska Anatolia przeżywała najazd Turków, metropolia sycylijskiego islamu doświadczała inwazji Normanów. Ród Hauteville

dokonał tego, co wykraczało poza możliwości Bizancjum.

Nadzieje na odrodzenie cesarskiej obecności na Sycylii upadły już pokolenie wcześniej. Krótco po roku 1040 armia pod wodzą rosnącego i zapalczywego Jerzego Maniakesa wywalczyła sobie drogę z położonego na wschodnim wybrzeżu portu Messyna aż do centrum wyspy. Wśród jej dowódców znajdował się młody Harald Hardrada, bohater skandynawskich sag, który wracał akurat do domu z pielgrzymki do Jerozolimy, a także trzech starsi bracia Hauteville - Wilhelm, Drogon i Gotfryd - oraz, przynajmniej z początku, młody Rousel de Bailleul, najemnik i przyszły uczestnik bitwy pod Manzikertem. Mimo tak doborowego towarzystwa Maniakes nie zdołał osiągnąć swego celu. Powodem była kampania oszczerstw toczona nad Bosforem. Wielki dowódca padł ofiarą szeptanej propagandy dworskich wrogów i wbrew zdrowemu rozsądkowi został w pewnej chwili odwołany. Na jego miejsce przysłano kogoś, kto szybko rozłożył całą ofensywę. Normanowie nie mieli skłonności do podejmowania równie samobójczych decyzji.

Swoją szansę dojrzeli w 1061 roku, kiedy to wyjątkowo naiwny i pozbawiony wyobraźni emir Katanii i Syrakuz poprosił Guiscarda i Rogera o pomoc w sporze z muzułmańskim władcą Palermo. Była to sytuacja łudzaco podobna do tej z dziesiątego wieku, kiedy pewien zakochany w zakonniczy uzurpator zaprosił na wyspę muzułmanów. Dziesięć lat po wielkiej pomyłce emira Normanowie stukali już do bram Palermo. Led-

wie miesiąc wcześniej Robert Guiscard podbił ostatnią grecką placówkę w Apulii - miasto twierdzę Bari nad Adriatykiem. Wielka Grecja odeszła cicho do przeszłości w tym samym roku, kiedy doszło do klęski pod Manzikertem.

Palermo uległo braciom de Hauteville w styczniu 1072 roku. W ciągu dwudziestu lat cała Sycylia, bogate centrum handlowe muzułmańskiego Morza Śródziemnego, powróciła pod chrześcijańskie panowanie, wszelako z osobliwym skutkiem. Gdy normańscy wojownicy schowali miecze, aby nacieszyć oczy zdobyczą, ujrzeli społeczność składającą się w przeważającej części z muzułmanów (Arabów, Berberów, Persów), licznych nadal greckich chrześcijan i całkiem znaczącej żydowskiej mniejszości. A najbardziej zdziwiło ich, że wszystkie te ludy żyły we względnej przyjaźni.

Palermo liczyło wtedy około 300 tysięcy dusz i były w nim, jak podawał żyjący w dziesiątym wieku iracki podróżnik Ibn Haukal (ten sam, który wychwalał Al-Andalus), ze trzy setki meczetów. Mnogość strumieni i strug sprawiała, że miasto było jednym wielkim ogrodem, który zaskakiwał i zachwycał gości bogactwem śródziemnomorskiej zieleni. Na pastwiskach Val de Mazara, poza okalającym miasto półkolem gór, arabscy rolnicy stosowali te same techniki nawadniania, które z tak dobrym skutkiem odmieniły Hiszpanię. Na polach uprawiano między innymi bawełnę, konopie, papirus, trzcinę cukrową, pomarańcze, cytryny i twardy owies, który zrodził włoski smak na wszelakie makarony (zwane *pasta*). Dwunastowieczny arabski geograf Al-

Idrisi odnotował istnienie w Palermo fabryki pasty, którą nazwał dziełem sztuki, prawdziwym „sycylijskim jedwabiem” na eksport. Normanowie podbili społeczność, która znacznie wyprzedzała ich w rozwoju. Trzeba im oddać, że zrozumieli swą sytuację i zezwolili na powstanie chrześcijańskiego odpowiednika upadłej niedawno Kordoby Umajjadów.

Ich działania są tym bardziej godne uwagi, że czasy nie były spokojne. Jedenasty i dwunasty wiek to okres szczególnie zażartych konfliktów między chrześcijaństwem a islamem, początek ery krucjat, które nadawały ton tamtej epoce. Niemniej w Palermo oraz w Toledo, mieście zdobytych przez kastylijskiego króla Alfonsa VI, chrześcijańska święta wojna nie znalazła pożywki. Ciekawość innych kultur oraz zwykły pragmatyzm okazały się silniejsze.

Współczesne Palermo jest oczywiście inne, z licznymi szramami pozostawionymi przez nasze czasy. W Conca d’Oro, niegdyś rajskiej dolinie między miastem a wapiennymi wzgórzami, gęsty las ustąpił miejsca tandetnym blokowiskom. Za część z tych zmian odpowiedzialna jest pospieszna odbudowa miasta po zniszczeniach drugiej wojny światowej, jednak wielu zniszczeń dokonano także w ostatnim trzydziestoleciu dwudziestego wieku, kiedy Palermo zostało opanowane przez zorganizowaną przestępczość. Niemniej w starej części miasta widać jeszcze ślady minionej chwały - głównie w bocznych alejkach, podwórkach, w kościołach, pałacach i na placach. Razem splatają się w jeden z najbarwniejszych kompleksów architektonicznych

Europy, który, chociaż miejscami zniszczony i zaniedbany, daje świadectwo tego, jak wielu cudzoziemskich gospodarzy władało miastem. Cała ich lista byłaby długa i imponująca: Hiszpanie, Austriacy, Aragończycy, Francuzi, Niemcy, Normanowie, Arabowie z Ifrikiji, Bizantyjczycy, Rzymianie, Kartagińczycy i Grecy. Nie brak tu świadectw historii, chociaż dopiero teraz przywraca się im przynajmniej częściowo niegdyśjszy blask, hamując z dawna zachodzący proces rozkładu, tak zachwycający niekiedy dla żądnych estetycznych wrażeń gości.

Wiek normańskiego panowania wywarł swoje piętno na mieście i jego otoczeniu. Pośrodku niepozornej dzielnicy Calatafimi znajduje się Zisa (od *al-aziza*: wspaniała, cudowna), letni pałacyk normańskich królów<sup>7</sup>, który nawet w obecnej, mocno zredukowanej postaci zaświadcza o spotkaniu całkiem odmiennych tradycji. Wysoki centralny łuk trzykondygnacyjnej fasady przypomina wdzięczne sklepienia, jakimi w Al-Andalus osłaniano fontanny. Wewnętrzny labirynt dyskretnych komnat i wnęk został zwieńczony stalaktytowym sklepieniem, jakie widuje się często w Dar al-islam.

Chrześcijańscy monarchowie, którzy wypoczywali tu ze swoimi haremami, mogli wyjść z Zisy albo przylegającego doń pałacyku Cuba (*kaba*, sześcian) do najpiękniejszego ogrodu całej chrześcijańskiej Europy, z palmami, jeziorkami i przechadzającymi się po trawie pawiami. Normanowie zwali go Genoard (od *dżannat al-ard*, raj na ziemi), a sławę zyskał tak wielką, że



Boccaccio uczynił go miejscem akcji opowiadania o nieszczęśliwych kochankach z piątego dnia *Dekameronu*.

Niestrudzony dwunastowieczny sefardyjski podróżnik Benjamin z Tuswdeli, który odwiedzał żydowskie wspólnoty podczas wędrówki ze swej rodzinnej Nawarry do zachodniej Azji i z powrotem, poczuł się poruszony widokiem Zisy i Genoarda: „W parku wznosi się ponadto wielki pałac o malowanych ścianach wyłożonych złotem i srebrem; z marmurowymi posadzkami ułożonymi w mozaiki o różnych wzorach łączonych złotem i srebrem. Nigdzie indziej nie ma takiego budynku”.

To, co podziwiał niegdyś Benjamin, współczesny turysta może ujrzeć tylko oczami wyobraźni. Szczęśliwie zwiedzanie innych pozostałości normañskiej Sycylii nie wymaga aż takiego wysiłku. Jedno z interesujących miejsc znajduje się na wzgórzu ponad południową częścią Palermo. Stąd właśnie, z wioski Balhara, przypadkowy obserwator miałby wspaniały, wspomniany wcześniej, widok na szturm muzułmańskiej stolicy. Wzgórze nazwane przez zwycięzców Monreale (Góra Królewska) nosi na swym grzbiecie katedrę zbudowaną na rozkaz normañskiego króla, który miał nadzieję przyćmić w ten sposób blask miejskiej katedry i dokuć przy okazji miejscowemu arcybiskupowi. Nie trudno go zrozumieć - biskupi Palermo trzymali stronę możnowładców wyspy i podobnie jak oni lekceważyli władzę królewską, a także namawiali kolejnych papieży, aby położyli kres normañskiemu flirtowi z islamem.

Niezależnie od motywów, które kierowały budowniczymi, kościół Santa Maria la Nuova w Monreale jest jedną z najciekawszych budowli w całym basenie Morza Śródziemnego. Łączy w sobie cechy wielkiego meczetu Kordoby i Aja Sofia. Cały kompleks wraz z klasztorem stanowi świadectwo przenikania się konkurujących ze sobą kultur, podobnie jak meczet Umajjadów w Damaszku - oba tak samo unikną wyznaniowych rewolucji, które zamieniły w chrześcijańską świątynię meczet Abd ar-Rahmana w Kordobie, a justyniański kościół w Stambule w meczet. Santa Maria la Nuova była i jest świątynią chrześcijańską.

Mury nawy i absydy pokrywają złote mozaiki, prawie dwa akry połyskliwego tła dla dziesiątków biblijnych i ogólnie religijnych scen, które greccy twórcy dostosowali stylem do łacińskiego gustu odbiorców. Wraz z widocznymi tu i ówdzie wpływami islamu malowidła przyciągają i cieszą oko niezależnie od treści, która nie odbiega od przekazów tradycji judeochrześcijańskiej. W przyległym klasztorze, godnym uwagi ze względu na ponad dwieście rzeźbionych kolumn wspierających inspirowane wyraźnie islamskimi wzorami łuki, szemrze nawet fontanna, jawne świadectwo kulturowej różnorodności normańskiej Sycylii. Znajduje się w południowo-zachodniej części terenów klasztornych, jest otoczona własną kolumnadą; na środku basenu umiejscowiono obrotowy postument, który projektem i wykonaniem przypomina jako żywo to, co znajduje się na dziedzińcach umajjadzkich czy fatymidzkich meczetów. Żyjący w niemal idealnej pustelni klasztoru

benedyktyni wykorzystywali fontannę jako miejsce kąpieli, przypominając w tym muzułmanów dokonujących rytualnych ablucji przed modlitwą.

Niektórzy utrzymują, że nawet liturgia normańskiej Sycylii różniła się od tej z kontynentu, ponieważ msze bywały odprawiane po arabsku. Mniej dyskusyjna jest kwestia świeckich wpływów, jakie zwyciężeni wywarli na zwycięzcach. Ibn Dżubajr, hiszpański muzułmanin, który odwiedził Palermo jakieś dziesięć lat po swoim żydowskim sąsiedzie, Beniaminie z Tudeli, zanotował, że chrześcijańskie kobiety „nosiły szaty z obszywanego złotem jedwabiu, obszerne płaszcze, kolorowe woalki i połyskliwe pantofelki. Tak chodziły do kościoła (...), całkiem jak muzułmańskie kobiety, włącznie z podobną biżuterią, henną na palcach i perfumami”. Chrześcijańscy emigranci z Normandii, Anglii i Półwyspu Apenińskiego, którzy odwiedzali w następnych latach Sycylię, musieli chyba czuć się mocno zdezorientowani, gdzie właściwie trafili. Albo wręcz odwrotnie - ani na chwilę nie mieli szansy o tym zapomnieć.

Siłą sprawczą owego przenikania się kultur byli normańscy królowie. Pierwszym i największym z nich był rządzący w połowie dwunastego stulecia Roger II, syn tego Rogera, który podbił wyspę, i tym samym bratanek Roberta Guiscarda. Wychowany na władcę kosmopolitycznego Palermo, władający greką i arabskim, robił, co mógł, aby jego stolica dorównała w splendorze i rozwoju nauki Kairovi i Konstantynopolowi. Muzułmańscy uczeni byli zapraszani do osiedlania się na wyspie albo przynajmniej częstych powrotów do Palermo.

Bito dwujęzyczne, a czasem nawet trójjęzyczne monety z napisem: „Król Roger, potężny z łaski Allaha”. Zarabizowany Grek, Jerzy z Antiochii, został zaufanym *amir al-umara* (stąd nasz admirał) władcy albo inaczej - emirem emirów. Jako taki doprowadził do zmiany sojuszków, skłaniając Sycylię do walki z sąsiadami Ifrikiji. Bronił włości Rogera przed Bizantyjczykami i Niemcami, układał się dyplomatycznie z Amalfi, Pizą i Genuą, morskimi republikami Morza Tyrreńskiego. Wszystkie one były bardzo zainteresowane handlowym dostępem do Cieśniny Messyńskiej. Ten, kto panował nad tym wąskim przesmykiem, gdzie Homer ulokował Scyllę i Charybdę, panował nad żeglugą między wschodnią a zachodnią częścią Morza Śródziemnego.

Czując się pewnie na wyspie, Roger przelicytował muzułmańskich emirów w talencie czerpania korzyści ze strategicznego położenia Sycylii. Był w tym lepszy nawet od swoich pobratymców, Normanów. Już na początku rządów skłonił papieża do oficjalnego uznania jego królewskiej władzy, chociaż nie istniały po temu żadne genealogiczne ani historyczne powody (uczynił to, wspierając nowego kandydata do tronu Piotrowego). Królem koronował się sam, na rodzinnej uroczystości w 1130 roku. Władał jako „król Sycylii, księstwa Apulii i księstwa Kapui”. Lukratywne dodatki do swego państwa pozyskał, rozbijając w puch pretensje swoich kuzynów do południowej Italii. Robert Guiscard nie żył już od czterdziestu z górą lat i tym samym nie widział, jak jego potomkowie zostali pozbawieni dziedzictwa. Bez wątpienia byłby wściekły.

Pałacowa kaplica Rogera II w Palermo może uchodzić za dowód bogactwa nowego normańskiego królestwa oraz - podobnie jak Monreale i Zisa - swojego synkretyzmu kultur śródziemnomorskich. Bizantyjskie mozaiki mieniają się tam wszystkimi barwami tęczy pośród rzymskich kolumn z barwnego marmuru. Na stalaktytowym sklepieniu widnieją utrzymane w stylu islamskim malunki przedstawiające sceny polowań i innych nader ziemskich przyjemności. Święte miejsce, pełne skarbów niczym Sainte Chapelle w Paryżu, zaświadcza nie tylko o powodzeniu władcy (oraz zawartości jego skarbca), ale także zgoła nieparyskich gustach króla.

Muzułmańscy poddani mogli mieć go za następcę władców z dawnych czasów i nawet rozbrzmiewające codziennie kościelne dzwony niewiele znaczyły. Owszem, pewne rzeczy zmieniły się niczym w lustrzanym odbiciu - wyznawcy islamu byli teraz obywatelami drugiej kategorii, płacili wyższe podatki, a ich główny meczet przekształcono w katedrę. Sama jednak władza zachowała wiele z dawnych praktyk i symboli. Przetrwał do naszych czasów ceremonialny płaszcz przekazany około 1133 roku Rogerowi w prezencie przez zamieszkujących miasto wyznawców Proroka. Widnieją na nim dwa lwy atakujące parę pechowych wielbłądów oraz palma - wyraźne nawiązanie do arabskiego wyobrażenia drzewa życia. Skrajem biegnie napis kuficzny: „Wykonano w królewskiej szwalni w imię powodzenia, najwyższego szacunku, doskonałości i potęgi, wiecznej poprawy, obfitości, dobrobytu,

majestatu, chwały, piękna, większego bezpieczeństwa, spełnienia nadziei, dni i nocy jego spokojnych i bez końca, jego władzy i straży, obrony i ochrony, powodzenia, zbawienia, zwycięstwa i wspaniałości. W stolicy Sycylii, 528 rok [hidżry]”. Chrześcijańscy władcy z tamtych wieków nie nosili zwykle podobnych strojów.

Wedle różnych relacji, Roger rzeczywiście nie był do nich podobny. Nad wyraz inteligentny, skrupulatny w zarządzaniu państwem (wiele spraw powierzał pracującym dla władcy Arabom), biegły w bizantyjskiej strategii wygrywania wojen przekupstwem, był do tego wszystkiego człowiekiem ciekawym świata i głodnym wiedzy. Fascynowała go arabska sztuka i dorobek naukowy krajów islamu. „Jego znajomość matematyki i nauk stosowanych trudna była do przecenienia - pisał pewien podziwiający władcę muzułmański uczonec. - Znał do głębi każde zagadnienie tych dyscyplin, studiował je ze zrozumieniem i sam czynił nowe odkrycia i wspaniałe wynalazki, jak żaden inny książę przed nim”.

Uważa się, że wspomógł finansowo słynną szkołę medyczną w Salerno, założoną jeszcze w dziewiątym wieku przez Longobardów. Tamtejsi tłumacze przyswoili chrześcijańskiemu Zachodowi traktaty o sztuce uzdrawiania praktykowanej przez muzułmanów i żydów w Dar al-islam. To na kontynencie. Na wyspie jego dwór stał się ważnym ośrodkiem sztuki i nauk. Sprawy wyznaniowe pozostawały w cieniu. Roger jako władca absolutny nie dopuszczał, aby Rzym dyktował

mu swoje reguły i hamował wymianę wiedzy niezależnie od jej arabskiego, greckiego czy łacińskiego pochodzenia. Albo decydował o tym, kto przybywał do Palermo.

Spośród tych, którzy zaszczylili miasto swoją obecnością, z najgorętszym powitaniem spotkał się Abu Abd Allah Muhammad Ibn Muhammad Ibn Abd Allah Ibn Idris al-Kurtubi al-Hasani, znany bardziej pod miłosiernie krótszym mianem Al-Idrisi. Wprawdzie jego pochodzenie pozostaje kwestią sporną, to jednak uważa się, że wysoce szanowany przez Rogera polihistor studiował wcześniej w Kordobie. Udając się na Sycylię, zyskał wśród muzułmańskich uczonych status odszczepieńca. Spośród wielu jego dzieł najbardziej zdumiewającym pozostaje bez wątpienia: *Radość tego, który pragnie podróżować po świecie*, lepiej znane jako *Księga Rogera (Al-Kitab ar-rudżari)*, z tytułem nadanym na cześć patrona. Jest to powstały w ciągu piętnastu lat słownik geograficzny i atlas obejmujący Azję, Afrykę i Europę. Materiałów do niego dostarczyli wypytywani przez autora marynarze, kupcy i wędrowcy, którzy odwiedzali ruchliwe porty Sycylii. Był to także hołd złożony Rogerowi, który współpracował z Al-Idrisim przy tworzeniu księgi. Poza mapami zawiera ona także portret władcy przedstawionego ze srebrną, czyli zaiste wartą monarszego spojrzenia planisferą.

Było jeszcze coś, co wyróżniało Rogera spośród władców ówczesnej Europy: z tego, co wiemy, naprawdę kochał swoją żonę. Jego pierwsze małżeństwo było po prostu szczęśliwym związkiem, a nie typowym

dla monarchów użytecznym mariażem. Gdy żona Rogera zmarła, mając trzydzieści kilka lat, władcę ogarnęła tak głęboka żalność, że dwór zaczął się obawiać o stan jego umysłu. Odizolował się na długo od świata, z czego próbowali skorzystać jego krajanie mieszkający w południowej Italii i nadal mający

Rogera za uzurpatora. Licząc na to, że i król odepdzie rychło z tego padołu, wszczęli rewoltę i wezwali nawet na pomoc Niemców oraz papieża.

Ową damą, której odejście Roger tak przeżył, że zagroziło to całości jego państwa (ostatecznie jednak przywrócił porządek), była Elwira Kastylijska. Biorąc pod uwagę jej urodzenie, trudno byłoby znaleźć lepszą partię dla normañskiego władcy Palermo. Była córką Alfonsa VI, kastylijskiego monarchy, który odebrał muzułmanom Toledo i uczynił je swoją stolicą. Palermo nie było zapewne dla Elwiry miejscem egzotycznym, jako że Toledo słynęło wówczas z podobnego naukowego i artystycznego kosmopolityzmu. Niestety, niewiele wiadomo o ukochanej Rogera poza tym, że w ciągu dziesięciu lat dała mu pięciu synów i jedną córkę. Musiała jednak być kobietą wykształconą i światową. Może nawet drażniła ją bigoteria łacińskiej Europy spotykana niemal wszędzie poza Toledo i Palermo. Oba te miasta, jakkolwiek opanowane przez chrześcijan, pokazały, że i pod nowymi panami ludzie różnej wiary mogą żyć obok siebie. Zainicjowana przez muzułmanów tradycja tolerancji nie przepadła ze szczętem.



W 1072 roku, kiedy Normanowie zdobyli Palermo, zdarzyło się jeszcze coś, co nabrało z czasem epokowego znaczenia. Alfons z Leónu, przyszły Alfons VI, spędził wówczas dziewięć miesięcy na wygnaniu jako gość władcy miasta Toledo, Al-Mamuna. Nazywał przy tym gospodarza *caballero aunque moro* (rycerzem, chociaż Maurem), co było raczej wątpliwym komplementem. Jedno z późniejszych źródeł sugeruje, że Alfons chciał po prostu poznać dobrze miejscowe fortyfikacje w poszukiwaniu słabych miejsc, naprawdę jednak spędzał zapewne dni na polowaniach i biesiadach, korzystając wraz z władcą miasta ze wszystkich uroków, które wiązały się z dworskim życiem. Toledo było wówczas wybitnie cywilizowanym zakątkiem, ze sztuką i nauką na poziomie, o którym chrześcijańska Hiszpania mogła tylko marzyć. W całej Al-Andalus znane było z cudownej klepsydry (zegara wodnego) zbudowanej przez pewnego astronoma i mieszczącej się w pawilonie na zboczu wzgórza naprzeciwko miasta. Toledo mogło pochwalić się też wspaniałymi królewskimi ogrodami, nad którymi sprawowali pieczę najlepsi agronomowie tamtej epoki.

Alfons trafił tam wygnany przez swego brata, Sanche, który odmówił zastosowania się do poleceń zmarłego ojca w sprawie podziału królestwa. W jedenastym stuleciu wczesne chrześcijańskie państewka zaczęły wreszcie przypominać coś, o co warto było rywalizować. W końcu 1072 roku Sancho zginął jednak z ręki zabójcy podczas oblężenia fortecy należącej do siostry obu braci i Alfons mógł wrócić z Toledo, aby

zrealizować swój plan zjednoczenia pod jedną koroną królestw Leónu, Kastylii i położonej bardziej na zachód Galicji (gdzie pozbawił dziedzictwa kolejnego brata). Do kompletu brakowało mu jeszcze Nawarry, Aragonii i Katalonii, ale i tak panował nad połową chrześcijańskiej północy Półwyspu Iberyjskiego.

Według krytycznie nastawionych wobec niego kronikarzy zaraz po powrocie do Toledo został spostonowany przez wasala zamordowanego brata. Zapewne zdarzyło się to w kościele w Burgos, gdzie monarcha musiał złożyć publiczną przysięgę przed świętymi relikwiami, że nie miał nic wspólnego z zabójstwem Sancha. Jakkolwiek było naprawdę, rzeczony wasal i oczyszczony z podejrzeń król mieli ostatecznie się pogodzić, dając przekonujące świadectwo, że w krajach graniczących z Al-Andalus nastąpiła nowa epoka. Chrześcijańskie królestwa nie miały już ochoty pozostawać na łasce muzułmańskich zwycięzców. Wręcz przeciwnie - teraz to oni chcieli dyktować warunki.

Rodrigo Díaz de Vivar, wasal, który miał nalegać na publiczną spowiedź króla, znany jest lepiej jako Cyd, El Cid (od *sajjid*, dostojnik). Zrobił karierę, pozbawiając miejscowych wielmożów ziemi i pieniędzy w okresie bezprawia, które nastąpiło po upadku kalifatu kordobańskiego w 1031 roku. Był walecznym rycerzem urodzonym niedaleko Burgos i przywódcą, który pilnie uprawiał się na różnych politycznych polach bitew. Uważa się go często za osobę, która dała sygnał do rekonkwisty, czyli odebrania całej Hiszpanii muzułmanom, i w konsekwencji zaprowadzenia chrześcijańskich

porządków na przeważającym obszarze basenu Morza Śródziemnego. Obecnie uważa się raczej, iż owa sława nie jest niczym innym jak legendą sfabrykowaną w znacznie późniejszym okresie przez duchownych oraz historyków ogarniętych obsesją od zawsze i na wieki chrześcijańskiej Hiszpanii.

To, co wiemy, o Cydzie z jednej z kronik oraz prześwietnego eposu z dwunastego wieku, rysuje portret osoby znacznie zwyczajniejszej niż domniemany święty rycerz czy natchniony wizją ojciec przyszłego narodu hiszpańskiego. Podobnie jak Robert Guiscard był oportunistą, jednym z wielu awanturników z XI wieku, którzy dostrzegli swoją szansę w ogólnym zamęcie. Ogarnięta wówczas chaosem Iberia była rajem dla podobnych ludzi, którzy po prostu szukali sobie miejsca. Cyd nie był inny. Gdy pokłócił się pewnego razu z Alfonssem, po prostu przeszedł na drugą stronę, zostając dowódcą wojsk muzułmańskiego emiratu Saragossy. Po pięciu latach powrócił na służbę chrześcijańskiego monarchy, dając tym samym dowód dużej płynności kadr obserwowanej wówczas na półwyspie.

Zasadniczą przyczyną, która wydobyla Cyda i innych na powierzchnię wydarzeń, był upadek Umajjadów w 1031 roku. Nikomu nie udało się już poskładać szczątków kalifatu, przez co Al-Andalus zmieniła się z mozaikę małych miast-państw. Każde miało oczywiście swoją dynastię panującą, która chciała zaspokoić własne, niebagatelne ambicje. Znane jako taify (od *muluk at-tawaif*, czyli władcy frakcji), przypominały miasta z epoki włoskiego renesansu. Było ich ponad trzy-

dzieści. Rywalizowały na każdym polu - sztuki, handlu, podbojów. Jeśli chodzi przy tym o sztukę, okazały się nad wyraz twórcze, czego przykłady można dziś odnaleźć w muzeach Europy i Ameryki. Słynęły z obróbki kości słoniowej, rzeźby w drewnie i marmurze, ceramiki, metaloplastyki i pięknych tkanin. Równie wielkie wrażenie wywiera powstała wówczas poezja, która nawiązywała do kordobańskiej tradycji opiewania radości życia. Szczególnie wyróżnił się na tym polu dwór w Sewilli, gdzie władcy-sybaryci z dynastii Abbadydów nieraz sami sięgali z dobrym skutkiem po pióro. Wysiłki, aby przyćmić sukcesy sąsiadów, zaowocowały prawdziwym złotym wiekiem sztuki i nauki.

Cyd i podobni mu poszukiwacze przygód świetnie wiedzieli, że owe państwa uwikłane były także w inną śmiertelnie groźną walkę i każde z nich potrzebowało gotowych na wszystko i zdolnych ludzi, skądkolwiek by się takowi zjawili. To właśnie zdecydowało o karierach takich osób, jak żydowski wielki wezyr Grenady, dowódca, poeta i rabin Szmuel Hanagid, czy późniejszy Abu al-Fadl Chasdaj Ibn Chasdaj, żydowski wielki wezyr Saragossy w czasie, kiedy przebywał tam Cyd. Złoto z handlu z Afryką płynęło do skarbców sześciu największych miast - Grenady, Sewilli, Badajoz, Walencji, Toledo i Saragossy. Służyło między innymi do opłacania armii najemników wykorzystywanych w krwawych wojnach o dominację. Jakkolwiek dwory taif preferowały zwykle grę intryg, nie zapomniano też o barbarzyńskich metodach. Przykładem może być to, co zdarzyło się w 1053 roku, kiedy poeta i władca Sewilli za-

prosił panujących z sąsiednich Arcos, Jerezu, Morón i Rondy na rozmowy pokojowe. Podczas poprzedzającej oficjalną część spotkania kąpieli w łaźni parowej gospodarz wymknął się po cichu na zewnątrz i rozkazał swoim ludziom zamknąć drzwi oraz zatkać wszystkie otwory wentylacyjne. Jego goście szybko pomarli z braku powietrza i gorąca. Potem opisał jeszcze całe zdarzenie w wierszu, którego fragment brzmi: „Jak wielu rywali zabiłem, /Kolejno, jednego po drugim, /Z ich głów zrobiłem wieniec,/ Zdobiący skraj boczne-go muru!”

Takie to dzikie pomysły ułatwiały zadanie chrześcijanom z Północy. Choć podzielone, królestwa zza Ebro i Duero czerpały znaczące korzyści z większego jeszcze poróżnienia charakteryzującego państwa islamskiego Południa. Zatrudniani z początku jako najemnicy mieszkańcy Kastylii, Aragonii i Katalonii urosli z czasem tak bardzo, że zaczęli praktykować coś łądząco podobnego do mafijnego wymuszania haraczy. W zamian za ochronę przed atakiem chrześcijan taify płaciły coroczną daninę zwaną *paria*. Pieniądze zbierał oczywiście ten, kto w danej chwili stanowił największe zagrożenie. W połowie stulecia zdarzyło się, że León otrzymywało zapłatę z Toledo, Sewilli, Saragossy i Grenady, przy czym chodziło o sumy rzędu dwudziestu do trzydziestu tysięcy złotych monet rocznie (od każdego z klientów, rzecz jasna). Płynący na północ strumień gotówki zasilał królewskie skarbcce, szkatuły dworzan i wojowników. Służył do fundowania kościołów i klasztorów nawet w dalekim Cluny. Postawione

wobec takiego zagrożenia muzułmańskie państewka musiały wprowadzić dodatkowe podatki, naruszając niekiedy uświęcone ich religią zwyczaje. Budziło to opór mieszkańców taify, niezależnie od ich wyznania, co w jeszcze większym stopniu osłabiało i tak już mało stabilną Al-Andalus. Taki był właśnie świat, w którym działali król Alfons VI i Cyd.

Do upadku Toledo doszło ostatecznie w 1085 roku, po całej serii najazdów na podległe mu ziemie, ogołoceniu jego skarbcza przez opłacanie się królestwu Leónu, wojnach z muzułmańską Walencją i oblężeniu, które zakończyło się wielkim głodem. Wcześniej Alfons postarał się o objęcie tronu Toledo przez wnuka jego gospodarza sprzed lat, który był jednak osobą niepopularną i okazał się nader kiepskim władcą. Najpewniej była to część planu mającego osłabić przeciwnika od wewnątrz. Ostatecznie skłócenie ojcowie miasta pogodzili się z losem i sami zaprosili chrześcijańskiego władcę, aby przywitać go tym razem nie jak gościa i wygnańca, ale jako zdobywcę. Wcześniej uzyskali obietnicę poszanowania praw różnych grup mieszkańców oraz nieodbierania muzułmanom głównego meczetu. I tak 25 maja 1085 roku, w tym samym dniu, kiedy zmarł w Salerno papież Grzegorz VII, Alfons VI wkroczył do miasta, które niemal cztery wieki wcześniej było stolicą wizygockiej Hiszpanii. Jego następcy, świadomi dziedzictwa, ale także zmieniających się czasów, zwali się odtąd „cesarzami trzech religii”.

Czy Alfons VI również przyjął oficjalnie ten tytuł, dokładnie nie wiadomo. Wiadomo za to, że zaraz po

objęciu rządów złamał obietnicę dotyczącą meczetu. Pod naciskiem nowego biskupa miasta, pochodzącego z Cluny mnicha, który nie krył niechętnego nastawienia do mozarabów i muzułmanów, Alfons pozwolił zmienić meczet na katedrę. Inny mnich zza Pirenejów, niejaki Odo z Châtillon, który został tymczasem papieżem Urbanem II, szybko mianował bezkompromisowego biskupa prymasem całego Półwyspu Iberyjskiego. Zaraz też złożył na jego barki zadanie narzucenia ortodoksyjnego katolicyzmu różnym chrześcijańskim wspólnotom na tamtych ziemiach, gdzie często spotykało się jeszcze ślady dawnych wizygockich praktyk. Przyszłość mozarabów oraz muzułmanów nie rysowała się różowo.

Paradoksalnie rozwój spraw w Al-Andalus sprzyjał stopniowemu cywilizowaniu się chrześcijańskiej Hiszpanii. Jej granice przesunęły się znacząco na południe, co pozwoliło na zasiedlenie ziemi niczyjej wokół dawnych miast granicznych, jak Medinaceli. Jednak mimo ogromnej chęci zapanowania nad całą Iberią wielki król ledwie posunął się za rzekę Tag, wijącą się pomiędzy kamienistymi wzniesieniami, na których zbudowano Toledo. Powód był prosty: na pogrążonym jeszcze niedawno w chaosie Południu pojawiła się nowa siła, która nie dawała się zastraszyć ani łatwo pokonać. Krótko po upadku Toledo reszta Al-Andalus znalazła się pod władaniem grupy religijnych entuzjastów - przybyłych z Afryki Almorawidów. Zaprawiony w pustynnych wędrówkach lud zahamował postępy Leónu i Kastylii oraz położył kres systematycznym wymusze-

niom haraczy Alfons mógł tylko patrzeć, jak Al-Andalus na nowo staje się jednością.

Tajemniczy Almorawidzi zrodzili się i doszli do wielkości z dala od Iberii, na południowo-zachodnim skraju Sahary. W trzecim dziesięcioleciu jedenastego wieku jeden z tamtejszych wodzów, świeżo utwierdzony w wierze po pielgrzymce do Mekki, napotkał charyzmatycznego misjonarza - Abd Allah Ibn Jasina. Święty mąż został zaproszony w celu nawrócenia Berberów z plemion Sanhadza żyjących na terenie obecnej Mauretanii, spotkał się jednak z tak wrogim przyjęciem, że musiał uciekać aż na wybrzeże Atlantyku, gdzie założył ufortyfikowaną placówkę religijną zwaną ribat. Działo się to gdzieś u ujścia rzeki Senegal. Tam szczęście się odmieniło i jego pobożność przyciągnęła tysiące rekrutów, którzy stworzyli „lud ribatu” (Al-Murabitun, stąd Almorawidzi). Ruszyli na południe; pokonali wielkie, subsaharyjskie królestwo Ghany i rozciągnęli swoje panowanie aż do dolnego biegu rzeki Niger. Na północy, gdzie wpływy słabnącej Al-Andalus były już prawie niewidoczne, wypełnili po prostu pustkę, podbijając całą saharyjską Afrykę Zachodnią i pokonując góry Atlasu, aż dotarli do żyznej krainy w pobliżu Cieśniny Gibraltarskiej. Gdy spojrzeli za wodę na drugi brzeg, osłupieli na widok rozkładu, rozpadu i pijaństwa braci cierpiących w niewoli chrześcijan i żydów. Jako odrodzeni w wierze zapalali żywą niechęcią do swych zaniedbujących religię współwyznawców i zaczęli się zastanawiać się nad świętą wojną dla nawrócenia ich na słuszną drogę.



Wszystko to sprawiło, że taify znalazły się w jeszcze trudniejszym dwuznacznym położeniu. Chrześcijańskie z Północy byli dotąd jedynie dokuczliwi. Starczyło trochę złota, aby odprawić ich nie do końca ucywilizowane bandy. Wszystko jednak zmieniło się po upadku Toledo. Muzułmański emir Grenady tak odnotował w swoich pamiętnikach zniknięcie największego z miast: „Wstrząsnęło to całą Al-Andalus i wypełniło jej mieszkańców strachem i rozpaczą”. Postawieni wobec groźby zagarnięcia ich ziem przez niezliczonych niewiernych, władcy państewek zaczęli się zastanawiać nad wezwaniem innych muzułmanów na pomoc. Chrześcijańskie były pomiotem szatana, niemniej to samo można było powiedzieć o Almorawidach. Wrośli w cywilizację Andaluzyjczycy widzieli w pustynnych fanatykach dawnych wrogów, Berberów, którzy tak mocno dali im się we znaki za czasów kolonizacji półwyspu. I tak, otoczeni z obu stron przez wrogów, muzułmanie musieli zdecydować, z kim chcą związać swój los. Ostatecznie podjęto decyzję, która znalazła swe uzasadnienie w słynnej wypowiedzi władcy Sewilli, Al-Mutamida, syna tego od mordowania gości w łaźni: „Nie chcę być potępiany przez moich potomków jako ten, który oddał Al-Andalus na łup niewiernym (...) Wolę już zostać poganiaczem wielbłądów w Maroku niż świniopasem w Kastylii”.

Almorawidzi zostali zaproszeni do przebycia cieśniny. W 1086 roku, w rok po opanowaniu przez chrześcijan Toledo, pokonali ciężką jazdę Alfonsa VI pod wioską Sagrajas, w pobliżu zachodniej taify Badajoz.

Kastylijczycy przez życie całego pokolenia nie posunęli się ani krok dalej, jeśli nie liczyć wyczynów Cyda, który podbił bogatą Walencję i aż do śmierci w 1099 roku odpierał wytrwale ataki Almorawidów. Taify jednak i tak zniknęły, gdy wybawcy postanowili pozostać w Al-Andalus i zaczęli przejmować władzę.

Podczas tych dni chaosu owdowiała synowa Al-Mutamida, Zaida, uciekła na Północ, unikając w ten sposób wywiezienia całej rodziny panującej z Sewilli do Afryki, gdzie dawnemu władcy tego miasta przyszło ostatecznie klepać biedę - dokładnie tak, jak przewidywał. Zaida wszelako nie skończyła przy wypasaniu świń. Gdy przybyła do Toledo, Alfons natychmiast uczynił ją swą kochanką. Gdy nawróciła się na chrześcijaństwo i przybrała imię Izabela, została jego żoną. W ten sposób król skoligacił się z Maurami. Z ich związku zrodziła się Elwira Kastylijska, księżniczka Toledo i późniejsza królowa Palermo. Niewiele europejskich dwunastowiecznych genealogii równie dobitnie dawało świadectwo przenikania się kultur.

Wieki dominacji chrześcijaństwa zatarły ślady wielowyznaniowości Toledo z czasów Elwiry. Ze stromego wzgórza, na którym znajduje się klepsydra, roztańczają się widoki, jakie utrwalił na swoich obrazach w szesnastym wieku El Greco: ufortyfikowane miasto pośród granitowych wzniesień, brunatne cegły i terakota wyrastające ku niespokojnemu niebu La Manchy. Iglice zmienionego w katedrę meczetu, wielkiej gotyckiej budowli z przełomu dwunastego i trzynastego wieku, wyrastają ponad wzgórze, którego szczyt wieńczy

cztery szare wieże Alkazaru, niegdysiejszej rezydencji królów, odbudowanej po hiszpańskiej wojnie domowej, która zrównała pałac z ziemią.

Toledo ma za sobą bujną historię, ale tylko w dwunastym i trzynastym wieku było godnym rywalem innym europejskich stolic. Wtedy też dorównywało Palermo jako wielojęzyczny ośrodek naukowy. Obecne władze miasta starają się wygrywać tą kartą, przedstawiając Toledo jako pomnik tolerancji i ignorując milcząco nieco późniejszy czas, gdy stąd właśnie wyruszali w świat inkwizytorzy. *Convivencia*, nie rekonkwista, to jest wybór współczesnej Hiszpanii, może w reakcji na wielowiekowe mitologizowanie tutejszych chrześcijańskich bohaterów. Tak czy tak, wiele zrobiono dla uczczenia pamięci społeczności, które wieki temu zniknęły z miasta: żydów i muzułmanów, albo jak z czasem zaczęto ich nazywać - mudejarów, hiszpańskich muzułmanów pod rządami chrześcijan.

Obie te wspólnoty (wraz z mozarabami) pomogły w dokonaniu rewolucji intelektualnej. Chrześcijański Zachód mógł zapomnieć sporo z dziedzictwa *mare nostrum*, ono jednak nie przepadło. Wspaniałe biblioteki muzułmańskie, od Kordoby po Bagdad, przechowały wiele filozoficznych i naukowych traktatów antyku - przetłumaczonych na arabski i opatrzonych komentarzami takich erudytów, jak Awicenna (Ibn Sina), Pers, który żył w X wieku, czy Awerroes (Ibn Ruszd), Andaluzyjczyk, który żył w XII wieku. To obszerny i różnorodny materiał literacki o trudnej do oszacowania wartości intelektualnej. Gdy Alfons opanował Toledo, mi-

mowolnie uchylił okno na śródziemnomorską przeszłość, czas przed pojawieniem się chrześcijańskiego i muzułmańskiego Boga. Pozwoliło to na wpuszczenie odrobiny świeżego powietrza. Dla ludzi średniowiecza dorobek antyku był równie nośny jak dla nas, współczesnych. W XII wieku, za czasów biskupa Rajmunda, miejscowi i przyjezdni uczeni z całego niemal ówczesnego świata pracowali nad przekładami arabskich dokumentów na hebrajski, łacinę i dialekty romańskie, które rozwinęły się w języki współczesnej Europy

Największą wagę przywiązywano do Arystotelesa. Przed odkryciami poczynionymi w bibliotece w Toledo odczytani intelektualiści zachodniego świata znali tylko sześć jego rozpraw o logice, które przetłumaczono na łacinę jeszcze w szóstym wieku naszej ery. Dzięki biskupowi Rajmundowi, który okazał się człowiekiem wyjątkowo światłym i nie widział żadnego powodu, aby cenzurować czy okrawać te prace w imię chrześcijańskiej ortodoksji, do obiegu trafiły kolejne prace Arystotelesa - *Fizyka*, *Metafizyka*, *O duszy* oraz teksty poświęcone naukom przyrodniczym, polityce i etyce, znane muzułmańskim uczonym i podziwiane od wieków.

Europa Zachodnia ożywiła się intelektualnie w najlepszym z możliwych czasów. Przebudzenie, które nastąpiło około roku 1000, zaowocowało prawdziwą eksplozją aktywności. Do połowy dwunastego wieku pojawiło się wiele nowych i coraz większych miast, zwiększono tereny upraw, wzbogacono dietę, handel i bankowość znalazły sobie stałe miejsce, uczyniono

wiele dla bezpieczeństwa szlaków pielgrzymek, zaczęto budowę wielkich katedr. Wśród niepiśmiennych, którzy też czuli, że świat wkoło się zmienia i poprawia się jakość ich życia, zrodziła się tęsknota za bardziej konkretnym, spersonalizowanym bogiem - szczerą i warta pochwały, chociaż w mroczniejszych czasach miała dać początek także prześladowaniom i pogromom. Wyedukowane elity podobnie szukały czegoś nowego, chociaż czyniły to inaczej. Dwunasty wiek to całe tłumy studentów ciągnących do Paryża, Bolonii i Oksfordu, gdzie ówczesni myśliciele i nauczyciele poszukiwali rozumowych ścieżek prowadzących dalej niż wyznanie wiary.

Pośród tego myślowego fermentu manuskrypty z Dar al-islam odegrały rolę prawdziwego daru niebios. Nie minęło wiele dziesięcioleci od pierwszych przekładów Arystotelesa (około 1130 roku), a jego myśl pojawiła się w rozważaniach scholastyków. Dzieła Awicenny, Awerroesa czy wielkiego myśliciela Mojżesza Majmonidesa, sefardyjczyka z Kairu, zmusiły umysły chrześcijaństwa do podjęcia prób godzenia prawd objawionych z prawdami rozumu. Można powiedzieć, że było to poniekąd ponowne wynalezienie koła, pozostałe dwie wielkie religie bowiem już dawno próbowały zmierzyć się z ideami starożytnych. Żyjący w XIII wieku Tomasz z Akwinu, którego *Suma teologiczna* jest świadectwem kulminacji tego procesu, miał Arystotelesa po prostu za filozofa. Awerroesa, którego Tomasz cytował kilkaset razy, uważał za komentatora. Dzięki takim ośrodkom, jak Toledo, Palermo i kilka in-

nych jeszcze miast, Europa zyskała dar bezcenny - samowiedzę.

Arystoteles nie był jedynym Grekiem przywróconym do życia w Toledo. Dzięki Gerardowi z Cremony i Adelardowi z Bath, najbardziej pracowitym tłumaczom tamtych czasów, na Zachodzie pojawiły się wreszcie takie dzieła, jak *Elementy* Euklidesa czy prezentujący astronomię matematyczną *Almagest* Ptolemeusza (Gerard przetłumaczył tę pracę z arabskiego, nieco później miał jeszcze powstać w Palermo przekład z greki na łacinę). To, że pochodząca z drugiego wieku praca Ptolemeusza ponownie ujrzała światło dzienne właśnie w Toledo, wydaje się całkiem zrozumiałe, jeśli weźmiemy pod uwagę wieloletnie związki tego miasta z astronomią. W latach taify dokonano tam wielu obserwacji, które pozwoliły na sporządzenie map nieba zwanych *Tablicami toledańskimi*. Ich głównym autorem był Abu Ishak Ibrahim Ibn Jahja an-Nakkasz az-Zarkali, znany na Zachodzie jako Arzachel. Ten wielki astronom i wynalazca (zegar wodny też był jego dziełem) udoskonalił astrolabium, instrument służący między innymi do wyznaczania przewidywanych pozycji ciał niebieskich, pory dnia i nawigacji. Zwie się go czasem suwakiem logarytmicznym i zegarem kieszonkowym średniowiecza. Zasługa Arzachela nie umknęła uwadze tłumaczy, którzy zadbali o należną mu sławę. Gdy Piotr Abelard, francuski mistrz sylogizmu Arystotelesa, został przez ukochaną Heloizę obdarowany synem, wybrane przez nich imię było hołdem dla Toledo,

krynicy nowego myślenia. Chłopiec został nazwany Astrolabiusz.

Historia rozpowszechnienia dzieła Arzachela pozwala zrozumieć, jak bardzo mylą się ci badacze intelektualnych zdobyczy Zachodu w tamtej epoce, którzy zwracają uwagę przede wszystkim na przyswajane za pośrednictwem kultury arabskiej dziedzictwo greckie, pomijając to, co pochodziło wprost z dorobku świata islamu oraz innych jeszcze źródeł. To wtedy zostały przetłumaczone także indyjskie prace poświęcone matematyce oraz perskie, traktujące o medycynie. Udostępniony został dorobek pokoleń tworzących na dworach Al-Andalus. Można powiedzieć, że chrześcijanie z Półwyspu Iberyjskiego awansowali ze zwykłych kieszonkowców sięgających po sakiewki muzułmańskich państw na wielkich włamywaczy sięgających poprzez tłumaczenia do źródła mądrości. Arabskie traktaty o astrologii i naukach przyrodniczych przewędrowały przez Tag i pokonały Pireneje, by w językach europejskich pojawiły się tak dziwne słowa, jak algebra, algorytm czy alchemia. Oprócz dzieł hołdujących racjonalizmowi rozpowszechniły się też arabskie pisma na temat nekromancji, przez co łacińscy adepci magii zaczęli zgłębiać to, co szybko stało się znane jako *ars toledana*.

Toledo, które wówczas już od ponad dwóch stuleci było swoistym tygłem kulturowym, miało istotny wpływ także na inne, bardziej przyziemne dziedziny życia. Tamtejsza społeczność mudejarów składała się głównie z robotników, rzemieślników i niewolników.

Sztuka dekoratywna średniowiecznej Hiszpanii zdradza wyraźne mudejarskie wpływy, podobnie jak wznoszone z cegły kościoły budowane na terenach znajdujących się wcześniej pod panowaniem muzułmanów. W tym samym czasie, gdy kosmopolityczna gromada lingwistów studiowała w Toledo manuskrypty, potomkowie Alfonsa VI zerkali na Południe, skąd z dawna nie płynęło już żadne złoto, co jednoznacznie skłaniało do wznowienia podbojów. Wtedy też, w dwunastym wieku, powołano do życia zakon Calatrava (kalatrawensów), którego zasadniczym zadaniem stało się rozszerzenie chrześcijańskiej hegemonii na całą Hiszpanię.

Historia Toledo spleta w sobie dwa wątki średniowiecznych doświadczeń Hiszpanii, które rywalizują o miejsce w narodowej pamięci: tolerancję i podboje. Tolerancja ówczesna nie miała wiele wspólnego ze współczesną wielokulturową różnorodnością, którą podsuwa nam wyobraźnia. Mudejarowie (oraz Żydzi) mieli mniej praw i płacili wyższe podatki niż chrześcijanie, a poszczególne społeczności zamieszkiwały osobne dzielnice. Miejscem wspólnym było tylko targowisko, plac Zocodover (od arabskiego *suk addawabb*, targ zwierząt jucznych), gdzie toczyło się życie towarzyskie. Niemniej, w łacińskiej Europie (Sycylię wykluczając) brakło wielu przykładów podobnego przejścia tolerancji wyznaniowej praktykowanej z dawna w krajach muzułmańskich. Dziwnym trafem chrześcijanie przyjęli ten wzorzec dokładnie wtedy, gdy Almorawidzi zaczęli go zwalczać, wypędzając wielu chrześcijan i Żydów z Al-Andalus. Kultury po-



niekąd zamieniły się miejscami, co było wówczas najbardziej znaczącą zmianą w zachodniej części śródziemnomorskiego świata. Wschód czekały przemiany o wiele gwałtowniejsze.

Manzikert: 1071. Palermo: 1072. Toledo: 1085. Zmiany zachodziły w szybkim tempie, jedna za drugą. Za życia jednego pokolenia wyznaniowa geografia basenu Morza Śródziemnego zyskała całkiem nową postać. *Convivencia* zatriumfowała w Palermo i Toledo, a później także w Konyi (stolicy seldzuckiego Sułtanatu Rum), jednak kolejne stulecia nie miały dać jej szansy. Historia szykowała się na pochód nietolerancji i praktyk dyskryminacyjnych, które miały uczynić poszczególne regiony zdecydowanie jednowyznaniowymi. Skutki zmian zapoczątkowanych w siedemdziesiątych i osiemdziesiątych latach jedenastego wieku odczuwamy do dziś: Anatolia jest krainą muzułmańską, Sycylia i Kastylia są chrześcijańskie.

Jakkolwiek brzemienne w skutki były wspomniane wydarzenia, należy pamiętać jeszcze o jednym, którego skutki okazały się najdonioślejsze dla wspólnej historii islamu i chrześcijaństwa. W 1095 roku, niecałe dziesięć lat po upadku Toledo, pochodzący z Cluny zakonnik Odo z Châtillon, już jako papież Urban II, wygłosił podczas synodu w Clermont oświadczenie skierowane do zgromadzonych za bramą miasta tłumów. Wprawdzie sam tekst wystąpienia zaginął, jednak późniejsze kroniki zachowały to, co najważniejsze. Papież stwierdził, że trzeba odbić Jerozolimę, niepodobny bowiem do ludzkiego stworzenia wróg, czyli muzułmanie, zbyt

długo już panoszy się w świętym miejscu, gdzie jest Grób Pański, do którego Chrystus został złożony po męczeńskiej śmierci i z którego zmartwychwstał. Pielgrzymi z Europy doznawali w Jerozolimie skandalicznych szykan i, zdaniem Urbana, traktowani byli tam nieludzko, a ich bracia w wierze, chrześcijanie ze Wschodu, stali się ofiarami prześladowań i groziła im turecka inwazja. Nadszedł więc czas na nowy całkiem rodzaj pielgrzymki, takiej, która łączyłaby w sobie czystość intencji Kościoła rzymskiego z siłą europejskiego rycerstwa. Wszyscy pielgrzymi, którzy sięgną w służbie świętej sprawy po oręż, uzyskają pełne rozgrzeszenie. Trzeba wzniecić wojnę i odzyskać Palestynę: Bóg tak chce.

Tydzień po tym, jak Cyd zamknął oczy w Walencji, armia pielgrzymów wzięła się do wykonywania woli Bożej. 15 lipca 1099 roku rycerze krucjaty wdarli się do Jerozolimy przez Bramę św. Szczepana i wpadli w szal. Spędzili mieszkańców miasta do meczetu oraz synagogi na Wzgórzu Świątynnym, po którym patriarcha Sofroniusz oprowadzał 450 lat wcześniej kalifa Umara, i dokonali masowego mordu. Jak opisał to jeden ze świadków: „Obrońcy uciekali po murach i przez miasto. Nasi ludzie ścigali ich, zabijając wszystkich nawet w Świątyni Salomona, gdzie rzeź była tak wielka, aż nasi ludzie brodzili po kostki we krwi”. Żydzi zostali spędzeni do wielkiej synagogi, którą następnie podpalone. Podobny los czekał każdego, kto nie podzielał wyznania chrześcijańskich zdobywców. „Po wielkiej i okrutnej rzezi Saracenów, których padło w tym miej-

scu 10 tysięcy, potraktowali żelazem wielką liczbę bezbronnych ludzi, którzy miotali się po mieście, uciekając w przerażeniu przed wszechobecną śmiercią: zabijali kobiety, które chowały się w pałacach i domach; wyrwali za nogi niemowlęta z objęć matek albo z kołyszek i uderzali nimi o mury, łamiąc dzieciom karki; niektórych zabijali orężem, w innych ciskali kamieniami; nie oszczędzali absolutnie nikogo i w żadnym miejscu”. Niewielu mieszkańców Jerozolimy przetrwało to „wyzwolenie”. W następnych dniach, gdy odór zwycięstwa stał się nie do zniesienia, wywieziono tysiące ciał zabitych poza mury, ułożono je w wysokie na dwie, trzy kondygnacje stosy i spalono. Kulminacyjny epizod pierwszej krucjaty dobiegł końca.

Po rzezi w Jerozolimie doszło do kolejnych, i to nie tylko na Bliskim Wschodzie. Osiągnięcie celu zabrało krzyżowcom trzy lata, podczas których zaznali wielu niewysłowionych trudów i popełnili równie wiele jeżących włosy na głowie okrucieństw. Cała ekspedycja była zasadniczo pokłosiem błagalnej prośby basileusa Aleksego Komnena, ojca kronikarki Anny i założyciela dynastii sprawnych władców, którzy przeprowadzili Konstantynopol przez trudny czas po klęsce Manzikertu. Aleksy wysłał do papieża Urbana list, w którym prosił o wsparcie zbrojne w walce z Turkami. Pismo to zostało odczytane podczas spotkania w Piacenzy latem 1095 roku. Ostatecznie Bizantyjczycy dostali o wiele więcej, niż oczekiwali. Wygłoszone w Clermont wezwanie papieża zostało podjęte także przez charyzmatycznych kaznodziejów, jak Piotr Pu-

stelnik. Poza rycerstwem odpowiedziały na nie również dziesiątki tysięcy prostych ludzi, którzy aż palili się do wzięcia udziału w świętej i oczyszczającej wyprawie do Jerozolimy. Lawina krzyżowców ruszyła przez Europę. Po drodze nabierali kondycji bitewnej, masakrując napotkane społeczności żydowskie. Do takich pogromów doszło w maju 1096 roku w Moguncji i Wormacji. Gdy Aleksy ujrzał tę bezładną zbieraninę u bram Konstantynopola, czym prędzej uciekł przez Bosfor do Bitynii, krainy leżącej na południe od morza Marmara. Tam osiemnastoletni sułtan Rum, Kilidż Arslan, prakuczyn Alp Arslana, rozbił doszczętnie falangę krucjaty liczącą około 20 tysięcy ludzi. Zapewne doszło do tego pod Civetot nad brzegami zatoki Izmit.

W końcu do Konstantynopola dotarło także rycerstwo, zaprawieni w bojach i zakuci w pancerze mężowie z północnej Francji, Prowansji, Flandrii, Niemiec i normañskiej Italii. Tworzyli siłę znacznie przerastającą liczebność pokonanej już, tak zwanej ludowej krucjaty. Aleksy zdawał sobie dobrze sprawę, z kim ma do czynienia - dziesięć lat wcześniej ledwie zdołał powstrzymać bałkański pochód Roberta Guiscarda. Jako zdolny dyplomata dysponował poza tym świetną siatką szpiegowską, dzięki której potrafił lepiej od nowo przybyłych ocenić rzeczywiste szanse muzułmańskiego świata na stawienie skutecznego oporu. Za środkową Anatolią, w której Turcy uwikłali się właśnie w wojnę domową, leżało rozdrobnione imperium Seldżuków. Obejmowało całą Syrię i Mezopotamię, jednak lokalni władcy takich miast, jak Aleppo, Antiochia, Mosul

i Damaszek serdecznie nie cierpieli się nawzajem. Krótko mówiąc, Syria i Al-Dżazira stworzyły własną wersję podziału na taify. W Palestynie nie było lepiej, od kiedy dworskie intrygi wyeliminowały sojuszników Fatymidów. Basileus wyczuwał potęgę drzemiącą w nieobliczalnych chrześcijańskich sojusznikach i słabość dobrze znanych mu muzułmańskich przeciwników, wymusił więc na wodzach krucjaty przysięgę, że nie zagarną żadnego skrawka bizantyjskiej ziemi, gdyby zdarzyło im się odzyskać ją po drodze do Jerozolimy.

Był przy tym zbyt rozsądny, aby wierzyć, że podobne przysięgi mogą mieć jakąkolwiek wartość. Religijny zapał, który wiódł krzyżowców, nie pozbawiał ich zwykłych, ziemskich ambicji. Mógł nawet je wzmocnić dzięki przekonaniu, że bogacenie się podczas świętej wyprawy również będzie poniekąd działaniem ku chwale Bożej. W tym akurat nie różnili się od Alp Arslana, kalifa Mu'awiji oraz całego szeregu innych śródziemnomorskich wodzów, którzy łączyli pobożność z zachłannością. Pierwszy raz dowiedli tego w Edessie, w górnej Mezopotamii, która znajdowała się niegdyś na granicy między Bizancjum i państwem Seldżuków.

Rycerz Baldwin z Boulogne usłyszał o problemach władcy Edessy, ormiańskiego wielmoży, który mimo zaawansowanego wieku nie doczekał się dziedzica. Odłączył zatem od głównego pochodu krzyżowców i skierował się w głąb lądu, aby zaoferować pomoc władcy, jeśli ten go usynowi. W ten oto sposób Baldwin odzie-

dziczyłby tron w razie pechowego zgonu władcy. Nie musiał czekać długo. Zaraz po osobliwej ceremonii adopcyjnej, podczas której obaj szlachetnie urodzeni rozdiali się publicznie do pasa, Toros zginął zlinczowany przez tłum, który jego wiarołomny syn wpuścił do cytadeli. Baldwin z Boulogne został władcą pierwszego państwa krzyżowego. Przysięga nienaruszania własności Bizancjum poszła w zapomnienie.

Podobnie zdarzyło się w Antiochii, mieście zajętym przez muzułmanów zaraz po tym, jak Jerzy Maniakes udał się na pechową wyprawę przeciwko Sycylii. Atakiem na Antiochię dowodził syn Roberta Guiscarda z pierwszego małżeństwa, niejaki Boemund z Tarentu. Zaprawiony w walce Norman został wydziedziczony przez swą macochę, wojowniczą Sigelgajtę, miał zatem powody, by pielgrzymowanie połączyć z poszukiwaniem jakiegoś majątku. W 1098 roku, po miesiącach oblężenia i narastającej wrogości, miasto zostało zdobyte, a jego mieszkańcy zmasakrowani. Przy okazji krzyżowcy znaleźli włócznię, która miała ich zdaniem przebić niegdyś bok Jezusa. W trakcie rozgorzałego później sporu między wodzami krucjaty Boemund zdołał pokonać rywali i ogłosił się księciem Antiochii. Porozumienie z Konstantynopolem zostało po raz kolejny naruszone.

W następnych miesiącach i latach Lewant zaczął nabierać nowego, łacińskiego kształtu. Potężny ród Saint-Gilles z Tuluzy przejął Trypolis, od czasów Fenicjan największy port wschodniego wybrzeża Morza Śródziemnego. Do dziś można tam podziwiać ruiny

fortecy krzyżowców, od rodu władców zwanej Kalat-sindzil. Jerozolima została po prostu kolejnym takim królestwem, chociaż duchowni próbowali uchronić ją przed podobnym losem. Około 1110 roku cały rejon opanowany przez łacinników - od Edessy przez Antiochię i Trypolis po Jerozolimę - stał się poważną siłą, chociaż jeszcze piętnaście lat wcześniej nikt nie uwierzyłby w możliwość powstania podobnej chrześcijańskiej federacji. Zwano ją Outremer (Zamorze). Bizantyjczycy patrzyli na to wszystko z rosnącym niepokojem i ani im w głowie było cieszyć się z pomszczenia porażki Herakliusza.

Co ciekawe, muzułmańska ocena nowych sąsiadów była również niejednoznaczna. Władcy Aleppo, Damaszku i Mosulu nie potrafili przewyciężyć wzajemnej wrogości i zjednoczyć się w obliczu wspólnego zagrożenia. W zdumiewająco krótkim czasie doszli jednak do wniosku, że ci obcy i potężni Frankowie są całkiem użytecznymi najemnikami i warto korzystać z ich usług podczas własnych walk o dominację w Syrii. Wprawdzie łacinnicy i muzułmanie co rusz najeżdżali się tam nawzajem, porywali i wymuszali różne okupy, ale kilka razy doszło także do nawiązania oficjalnych sojuszy między władcami Outremer a możliwymi muzułmańskiego świata. Już w 1108 roku frankijski władca Edessy zjednoczył się z emirem Mosulu w walce z łacińskim księciem Antiochii i muzułmańskim władcą Aleppo. Jakkolwiek dziwne, podobne przykłady współpracy przy rozlewie krwi nie były wcale rzadkie.

W obrębie samego Zamorza łacinnicy musieli czym prędzej znaleźć wspólny język ze swoimi poddanymi. Był to warunek konieczny dla czerpania jakichś zysków z tego, co podbili w tej swojej ziemi obiecanej. Ilukolwiek tubylców by zabili i wygnali, zawsze mieli pozostawać mniejszością otoczoną przez zróżnicowane etnicznie i religijnie ludy. Ówczesny Lewant był prawdziwą mozaiką wyznaniową. Poza rdzenną ludnością żydowską mieszkali tam też zoroastrianie, druzowie, niełacińscy chrześcijanie (Ormianie, ortodoksyjni Grecy, jakobici, maronici i nestorianie) oraz różnorodne społeczności szyickich i sunnickich muzułmanów. Jeśli Zamorze miało przetrwać, chłopci winni pozostać na ziemi, a kupcy w miastach, niezależnie od wyznania. Naciski na osiągnięcie jakiejś równowagi płynęły również z zewnątrz. Kupcy Genui, Pizy oraz Wenecji domagali się koncesji na handel z nowymi krajami i stawiali jasne warunki - jeśli Outremer chce, aby zapewnił mu połączenie morskie z Zachodem, musi zadbać o bezpieczeństwo szlaków żeglugowych oraz, co nawet istotniejsze, zadbać o swobodny dostęp do portów w Trypolisie, Tyrze, Sydonie, Akce i Askalonie. Krzyżowcom mogło się to nie podobać, ale jedynie miejscowi wiedzieli, jak zabrać się do rzeczy i spełnić warunki kupców. Nieliczni i niewiele poza wojaczką umiejący chrześcijańscy rycerze musieli przejąć nieco z muzułmańskiej tradycji tolerancji.

W odróżnieniu od Palermo czy Toledo tutejsza *convivencia* była raczej słabej próby. Korzystające z zasobów całej Kastylii Toledo było w stanie obronić



się przed zakusami Almorawidów. Palermo, stolica bogatej wyspy, która przyciągała nieustannie chrześcijańskich imigrantów, nie musiało obawiać się najazdu z Ifrikiji. Tymczasem łacinnicy z Zamorza byli osamotnieni na skraju rozległej krainy Dar al-islam, za plecami zaś mieli morze. Opowieści o ich wyczynach towarzyszących przybyciu na Wschód powtarzane z ust do ust przez wzburzonych wiernych ummy zataczały coraz szersze kręgi.

Rzeź, której dokonali w Jerozolimie i Antiochii, jakkolwiek okrutna, nie wykraczała specjalnie poza to, co w tej burzliwej epoce uważano za normę. Niemniej nie zawsze tak było. Zimą 1097/1098 armia wygłodzonych krzyżowców zaatakowała Maarrat an-Numan, miasto nad rzeką Orontes na południe od Aleppo. Jak podają zgodnie chrześcijańscy i muzułmańscy kronikarze, zdobywcy dokonali rzezi wszystkich mieszkańców, a następnie upiekli ich ciała i zjedli, za szczególny delikates mając ciała dzieci. Nawet dla ludzi średniowiecza było to wyjątkowo odrażające. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy poruszeni do żywego muzułmanie zjednoczą się dla dokonania aktu zemsty i nie będzie wtedy istotne, na ile łacinnicy nasiąkną miejscową tradycją tolerancji. Jak pokazała historia, do eksmisji niechcianych lokatorów zostało niecałe stulecie.

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

## HITTIN 1187

Dżihad i wyprawy krzyżowe; zagłada Outremer

Syria nadal nosi ślady czasów, gdy była Zamo-  
rzem. Śródziemnomorskie wybrzeże na południe od  
Latakii, głównego portu Syryjskiej Republiki Arab-  
skiej, to wąski pas lądu przytulony do porośniętych la-  
sami gór pasma Dżabal an-Nusajrijja. Tam i dalej jesz-  
cze na południe, w Libanie, krzyżowcy urządzili krainę  
po swojemu, stawiając zamki, warowne kościoły i odi-  
zowane reduty, które miały być pomocne w podpo-  
rządkowaniu sobie nowych ziem. Zaniepokojeni bie-  
giem zdarzeń muzułmanie robili to samo w głębi lądu.  
Niewiele jest na świecie miejsc, gdzie wzniesiono  
w średniowieczu tyle zamków. Kto żyw, szukał schro-  
nienia za grubymi murami, a narzędzia murarskie stały  
się chwilowo ważniejsze niż miecze.

Nie trzeba wielkiej wyobraźni, aby uzmysłwić  
sobie, jak wyglądał niegdyś ten skrawek Syrii, i nawet  
wszechobecne w dzisiejszych czasach hotele i kryte  
plastikowymi płachtami cieplarnie nie są żadną prze-  
szkodą. Gdy spojrzeć z uliczek nadmorskiego miasta  
Banijas w głąb lądu, jako pierwsze rzuci się w oczy  
wyrastające na 360 metrów wzgórze zwieńczone ponu-  
rą fortecą z wieżami bez okien. Zwie się ona Al-  
Markab i powstała 1062 roku, aby na początku dwuna-  
stego wieku trafić w ręce łacinników. Stała się gniaz-  
dem jednego z krzyżowych bractw rycerskich, który

miał dbać o bezpieczeństwo przemierzających te ziemie pielgrzymów. Zbudowany z czarnego bazaltu masyw świetnie oddaje pesymizm krzyżowców ledwie kilkadziesiąt lat po wielkim sukcesie, którym było zdobycie Jerozolimy.

Kolejny dowód narastających lęków, a także pobożności, znajduje się ponad dziesięć kilometrów na południe od Al-Markab, w porcie Tartus. Kilka przecznic od porządnego mola, w otoczonej ruchliwymi ulicami wysepce parku, stoi kościół pod wezwaniem Naszej Pani z Tortosy (Tartus). Katedra nie zmieniła swego świątynnego wyglądu. W klasycznych czasach była zapewne pierwszym sanktuarium Najświętszej Marii Panny. W dwunastym i trzynastym wieku Maryja ustąpiła nieco przed Marsem, budynek bowiem, będący najlepiej zachowanym spośród wszystkich kościołów krzyżowych na Bliskim Wschodzie, jest równocześnie na tyle solidny, że nie różni się wiele pod tym względem od warowni. Otaczający go obecnie park nie jest w stanie zamaskować militarnego pokrewieństwa. Wprawdzie dwie boczne wieże dawno już popadły w ruinę, a na ich miejscu pojawił się samotny minaret, jednak widać wyraźnie, że świątynia miała w razie potrzeby pełnić rolę obronną. Mimo to cechuje ją szczególne piękno, zwłaszcza gdy spojrzeć na jej piaskowe sklepienie. Poniekąd sama jest też krzyżowcem - łącząc w sobie cechy romańskie i wczesnogotyckie, wygląda, jakby przywędrowała tutaj z pielgrzymką, gdzieś z Ile-de-France. Obecnie mieści się w niej muzeum archeologiczne pełne fenickich sarkofagów, wizerunków Baa-

la i rzymskich mozaik - materialnych dowodów na to, jak dawna i bogata jest historia tych okolic. W zestawieniu z nią działania krzyżowców były tylko epizodem, chociaż trwał on od 1099 do 1219.

Wyruszając z Tartusu w głąb lądu, opuszcza się łaćcińskie terytorium. Zaraz na północ od miasta, tuż przy autostradzie, stoi obecnie wielki posąg zmarłego syryjskiego prezydenta Hafeza al-Asada. Stoi odwrócony plecami do morza, ze złocistymi rękami rozłożonymi szeroko, jakby chciał objąć wznoszącą się naprzeciwko wytwórnię cementu. Odchodzi stąd wąska, lokalna droga wiodąca na wschód. Zbocza wzgórz są tu strome, z licznymi „letnimi” domami bogatych i ustosunkowanych mieszkańców Homs i Damaszku. Za granią morze znika z pola widzenia, ustępując miejsca skałom i urwiskom Dżabal an-Nusajrija, które oddzielają interior od wybrzeża. Geologia często bywa tutaj przekorna, tym razem wszakże jakby odzwierciedlała podziały z epoki krucjat.

Droga wije się ponad bezdennymi przepaściami, mija pionowe ściany skalne, gęszcze mirtowych krzewów, dębowe zagajniki i gdzieniegdzie gaje oliwne, którym udało się wyrosnąć na tej kamienistej glebie. Mimo surowości krajobrazu co kawałek pojawia się jakaś wioska z betonowymi zabudowaniami, a każda z nich wydaje się zamieszкана przede wszystkim przez młode dziewczyny bez czarczafów, ubrane w proste stroje sportowe i chadzające na dodatek całymi radosnymi gromadami w poprzek drogi. Potem osady pojawiają się coraz rzadziej, aż znikają całkiem za miastem

Szajch Badr. Droga nurkuje tutaj w dolinę tak głęboką, że na jej dnie zalega wieczny cień. Potem wspina się porośniętym z rzadka krzewami zboczem, całym z ułożonych pasami warstw wapiennych skał, z powrotem ku słońcu. Kolejna grań, jak zwykle wietrzna i gorąca, ciągnie się niczym palec wskazujący ku dolinie otoczonej z trzech stron skalnymi ścianami z ciemnymi punktami oznaczającymi wejścia do jaskiń. Na samym końcu tego lądowego półwyspu znajdują się ruiny Kalat al-Kahf (zamku jaskini), niegdysiejszej siedziby Sinana Ibn Salmana Ibn Muhammada, którego krzyżowcy zwali Starcem z Gór. W dwunastym i trzynastym wieku ta niegościnna okolica była miejscem rozwoju sekty zwanej przez chrześcijan asasynami.

Wejście pomiędzy ruiny budowli oznacza niemal fizyczny kontakt z legendą. To z tych blanków, obecnie trudnych do odróżnienia od skały, niektórzy wyznawcy Sinana rzucali się podobno w przepaść, potwierdzając gotowość wykonania każdego rozkazu swego pana. Coś takiego podobno zdarzyło się podczas wizyty jednego z wysoko postawionych krzyżowców, Henryka z Szampanii. Przerażony rycerz poprosił gospodarza o powstrzymanie podwładnych. Jeszcze osobliwsze były opowieści o tym, jak wywołane haszyszem wizje raju miały kształtować przyszłych asasynów (stąd zresztą zapewne i ich nazwa: *hasziszijjun*, czyli asasyni). Oduurzony akolita trafiał do ogrodu cielesnych przyjemności, co miało dać mu przedsmak rozkoszy czekających na niego w raju. Tam tracił w pewnej chwili przytomność i budził się w zwykłym otoczeniu. Dzięki tej wizji

był skłonny wypełnić gorliwie każdą straceńczą misję, byle tylko powrócić do krainy, gdzie zawsze dość było ambrozji i gotowych spełnić każdą zachciankę kobiet. Te opowieści, popularne na Zachodzie (jednym z tych, którzy mitologizowali asasynów, był sam Marco Polo), są bardziej wytworem fantazji niż opisem rzeczywistych praktyk, jednak mijając bramy i cysterny Al-Kahf trudno o nich nie wspomnieć. Na ścianie jednej z pozbawionych dachu komnat widnieją zrobione heną odciski dłoni, obecnie wyblakłe już, niemal pomarańczowe. Drobną historię, który przetrwał nieustanne ataki wichury. Zabójcy? Piękne kobiety? Skąpa odpowiada milczeniem.

Obecność Sinana i jego asasynów wprowadziła coś nowego do życia politycznego Outremer. Sama sekta powstała w jedenastym wieku w Persji. Jej członkowie uważali, że idee islamu zostały wypaczone przez heretyckich samozwańców. Ich zdaniem jedynymi uprawnionymi do władzy nad ummą byli, do siódmego pokolenia, potomkowie Husajna, zabitego w 680 roku w Karbali syna Alego. Ich dalekimi duchowymi spadkobiercami mieli być egipscy Fatymidzi. Gdy legalny dziedzic tronu, Nizar, zginął zamordowany w 1095 roku przez swojego młodszego brata, członkowie sekty uznali, że prawo do rządzenia ummą przeszło cudownym sposobem na kolejnych przywódców asasynów, mieszkających wówczas w górskiej kryjówce Alamut na południe od Morza Kaspijskiego.

Zależnie od wymogów chwili asasyni - a dokładniej nizaryccy ismailici - potrafili sprzymierzać się

z krzyżowcami albo z równie nielubianymi przez siebie sunnitami z doliny Orontesu. Dawali się wynajmować do różnych zadań specjalnych. Podczas trzeciej krucjaty (1189–1192) zdolny król Jerozolimy, Konrad z Montferratu, padł ofiarą ich sztyletów. Tożsamość zleceńodawcy pozostała tajemnicą, chociaż uważa się, że mógł nim być zazdrosny o wpływy Konrada król Ryszard Lwie Serce albo sułtan Saladyn, którego niepokoiły żołnierskie umiejętności ofiary. Albo żaden z nich. Podobny los spotkał hrabiego Rajmunda z Trypolisu, dziedzica Antiochii, który został zakłuty przez morderców przebranych za mnichów w chwili, gdy wychodził po bożonarodzeniowej mszy ze znanej nam już katedry w Tortosie. Warownia Kalat al–Kahf leżała tylko jedną noc jazdy od tej świątyni. Al–Markab w odległości dziesięciu kilometrów.

Jakkolwiek irytujące musiało być takie sąsiedztwo dla łacińskich rycerzy, sunnici mieli chyba większe powody do strachu. Asasyni zajmowali w górach Dżabal an–Nusajrijja co najmniej dziesięć różnych zamków i w gruncie rzeczy tworzyli całkiem niezależne państwo, a na dodatek ich wyznanie wiary zawierało zdanie: „Rozlać krew jednego heretyka to więcej, niż gdyby zabić siedemdziesięciu greckich niewiernych”. Przekonani całkowicie o słuszności swoich racji i prawie do sprawowania władzy, postawili sobie za cel destabilizację sunnickiego państwa. Ich pierwszą ofiarą był Nizam al–Mulk, potężny wezyr Alp Arslana i Malik Szacha, który zrobił tak wiele dla umocnienia sunnickiej ortodoksji. Potem sztylety zabójców dosięgły

jeszcze wielu innych, w tym dwóch abbasydzkich kalifów. Do ataków dochodziło zwykle po piątkowych modlitwach na dziedzińcu któregoś ze znaczniejszych meczetów, tak aby nigdy nie brakowało świadków. Podobne postępowanie zwiększało też grozę towarzyszącą zamachom oraz gwarantowało sprawcy natychmiastową męczeńską śmierć. Widzowie nie marnowali czasu, tylko rozdzierali asasyna na strzępy.

Udana ekspansja sekty na Syrię zbiegła się z przybyciem krzyżowców. Podzielony muzułmański Wschód był wówczas idealnym miejscem dla wszystkich, którzy mieli ochotę wykroić jakieś państewko dla siebie. To, czy kierowała nimi głęboka wiara czy chciwość, nie miało żadnego znaczenia. Można powiedzieć, że pierwsza krucjata ruszyła w dobrej chwili: władcy Aleppo i Damaszku, chociaż bracia, byli bliscy skoczenia sobie do gardeł. Turcy z Anatolii toczyli własne krwawe wojny i nawet potężny Egipt, z dawna rządony przez charyzmatycznych Fatymidów, stracił wiele ze swej potęgi po tym, jak kilku kolejnych wezyrów odebrało tam władzę szyickim kalifom. Krucjata wpadła na to wszystko czystym przypadkiem. Asasyni zaś, wyczuwając zmianę wiatru, czym prędzej dostroili się do okoliczności.

Obie grupy najeźdźców pożyły tych samych bogatych syryjskich miast w głębi lądu i tych samych pustynnych portów, które Herakliusz musiał oddać w siódmym stuleciu. Spośród nich żadne nie jest bardziej wonne niż Aleppo, obecnie milionowa metropolia, której historyczne serce jednak specjalnie się nie



zmieniło. Szpieg asasynów albo łaciński ambasador uj-  
rzałyby znajomy widok. Na suku kurz ciągle tak samo  
wiruje w promieniach słońca, tak samo handluje się  
tam ormiańskim złotem i kurdyjskimi pistacjami. Jakiś  
Arab zdejmuje hakiem rzeźnickim tuszę świeżo zabite-  
go cielaka przywiezioną tu na grzbiecie osła. W głów-  
nym meczecie, odbudowanym w dwunastym wieku po  
pożarze, który zniszczył oryginalną umajjadzką budow-  
lę, tłumy dzieci biegają po marmurowych płytach dzie-  
dzińca, podczas gdy ich rodzice tłoczą się w środku,  
wokół nagrobka Zachariasza, ojca Jana Chrzciciela. Po  
drugiej stronie ulicy ślepi żebracy blokują niemal drzwi  
do madrasy Halawija, sunnickiego ośrodka nauczania  
powstałego jeszcze w czasach Nizama al-Mulka. Ucz-  
niowie siedzą na dywanach ułożonych w holu pod spo-  
rą kopułą i witają gościa szczerym uśmiechem. Za ich  
plecami widnieje półkole sześciu kolumn ozdobionych  
gąszczem rzeźbionych liści akantu. To nieco mroczne  
pomieszczenie to wszystko, co zostało po katedrze  
Świętej Heleny, bizantyjskiej jeszcze świątyni (Helena  
była matką Konstantyna). Miejscowi chrześcijanie ko-  
rzystali z niej bez przeszkód aż do 1120 roku, kiedy to  
krzyżowcy wyruszyli z Al-Markab i innych nadmor-  
skich fortec, aby wygrać po swojemu miejscowe ani-  
mozje. W odwecie chrześcijanie z Aleppo zostali po-  
zbawieni świątyni, którą oddano uczonym na madrasę.  
I tak już jest do dzisiaj.

We wszystkich tych miejscach - na targu, w me-  
czecie i w madrasie - średniowieczni mieszkańcy  
Aleppo musieli słyszeć pogłoski o najazdach krzyżow-

ców i kolejnych spiskach asasynów. Perska sekta zwerbowała dość miejscowych, aby mieć nieskrępowany dostęp do miasta i tu działać. Jeden z emirów Aleppo, Ridwan, krewniak Malik Szacha, był nawet podejrzewany o paranie się czarną magią, co miało wyjaśniać, dlaczego jego wrogowie zdumiewająco często przenosili się do wieczności. Tak naprawdę było to zasługą asasynów, których wykorzystał również przeciwko własnemu bratu, Dukakowi, władcy Damaszku.

Krzyżowcy w przeciwieństwie do asasynów byli zagrożeniem przychodzącym z otwartej przestrzeni. Bezustannie wypuszczali się w teren, poszukując łupów i okazji do wymuszeń oraz by zdobyć dla siebie wielkie miasta Syrii. W Aleppo ich głównym przeciwnikiem była cytadela, arcydzieło sztuki fortyfikacyjnej wzniesione na wzgórzu w kształcie rombu. Wysoka na 55 metrów, otoczona fosą skutecznie odpierała ataki i oblężenia. Rok po kolejnej próbie w 1118 łacińskie siły z Antiochii wpadły niespodziewanie na aleppańczyków w pobliżu Al-Balat, nieco na południe od ruin bazyliki pod wezwaniem Szymona Słupnika. Forteca w Aleppo nie wypełniła się jednak jeńcami czekającymi na zapłacenie okupu. Dowodzący wówczas garnizonem Turkmen Al-Ghazi nie dozwolił na dawanie pardonu. „W niecałą godzinę wszyscy Frankowie padli martwi - zanotował pewien muzułmański kronikarz. - Jazda i piechota z końmi i pancerzami i nikt nie uszedł, aby zanieść wieści”.

Zachód zapamiętał bitwę pod Al-Balat jako bitwę na Krwawym Polu. Była to jedna z pierwszych poważ-

nych porażek krzyżowców. Muzułmanie jednak nie wykorzystali sukcesu, chociaż Antiochia pozostała chwilowo bezbronna. Miast atakować, Al-Ghazi zadbał o podział łupów, rozpuścił wojsko i wrócił do swojej fortecy, aby uczcić zwycięstwo<sup>10</sup>. Gdy wytrzeźwiał trzy tygodnie później, obrona Antiochii była już odtworzona z pomocą władców sąsiednich państw krzyżowych. Muzułmańska Syria musiała nadal czekać na swojego mściciela.

Krzyżowcy wiedzieli, że utrzymanie władzy nad Syrią ma decydujące znaczenie dla ich przetrwania. Dałi temu dowód, budując coś, co przetrwało do dzisiaj w odległości około dwustu kilometrów na południowy zachód od Aleppo. Chodzi o godną podziwu fortecę Krak des Chevaliers, prawdziwy Brobdingnag wszystkich średniowiecznych zamków, dominujący nad południowymi stokami pasma Dżabal an-Nusajrijja. Na północ od niego rozciągała się górską krainą opanowaną przez asasynów, na południu Dolina Homs, pas żyznej ziemi łączący Orontes z wybrzeżem Morza Śródziemnego pomiędzy Dżabal an-Nusajrijja a znacznie wyższym masywem gór Libanu. Była to nader dogodna droga w głąb lądu i tym samym ważny strategicznie punkt Żyźnego Półksiężycy. Już w 1275 roku p.n.e. armia faraona starła się tutaj z Hetytami (w okolicach twierdzy Kadesz).

Dla ówczesnych muzulmanów, którzy pracowali przy budowie, sama skala rozbudowy fortecy była jednoznaczny dowodem na to, że ci dziwni i potężni ludzie, którzy przybyli z za morza, zamierzają na dobre

zostać w Lewancie (nazwa Krak pochodzi od znacznie mniejszej fortecy, która powstała w tym miejscu w 1031 roku: Hisn al-Akrad, Fortecy Kurdów). Przez blisko dwieście lat krzyżowcy dodawali umocnienia i nowe budynki, więc forteca rosła coraz większa. Kolejne pokolenia sprowadzanych z Europy znawców dzieł fortecznych robiły, co mogły, aby zadbać należycie o „klucz do chrześcijaństwa”, jak nazywano to miejsce. Doskonalona na Zachodzie sztuka budowy zamków przerosła w pewnej chwili potrzeby (i nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę niską kulturę militarną feudalnych władców), siłą rzeczy skorzystała więc ze sposobności i przeniosła się wraz z krucjatami na Wschód.

Główne wejście do Krak des Chevaliers, długa i wznosząca się pochylnia, szeroka na tyle, aby trzech ciężkozbrojnych mogło przejechać nią równocześnie, przenika bramami przez kilka osobnych murów, zanim zniknie w centralnej esplanadzie otoczonej blankami. Wszystko ma tu prawdziwie cyklopowe rozmiary: wielkie okrągłe wieże wyrastają ponad linię i tak wysokich już murów, wewnętrzny mur, oddzielony od zewnętrznego głęboką fosą, otacza skupisko budynków mieszczących ogromną i po gotycku stateczną salę z długą na 120 metrów kuchnią i refektarzem (oraz bez wątplenia spiżarnią). Dość miejsca, aby pożywiało się jednocześnie kilka setek ludzi. Z daleka zamek robi równie wielkie wrażenie. Widać go praktycznie z każdego miejsca doliny Zależnie od pory dnia zdaje się

zmieniać barwę. Swoisty pomnik trwania i przemijania jednocześnie.

Tak jak w przypadku Al-Markab, również obsada Krak des Chevaliers składała się z braci jednego z licznych zakonów rycerskich powołanych w Outremer. Byli to szpitalnicy z podstawowym zadaniem opieki nad pielgrzymami, którym szwankowało zdrowie w tej dalekiej krainie. Siedziba zakonu mieściła się w Jerozolimie, blisko Bazyliki Grobu Pańskiego. Samo zgromadzenie powstało jeszcze za panowania muzułmanów, w ósmym dziesięcioleciu jedenastego wieku z inicjatywy amalfijskich kupców, którzy mieli wówczas monopol na handel z portami islamu. Po opanowaniu miasta przez chrześcijan szpitalnicy przeobrazili się w zakon rycerski, chociaż nadal utrzymywali hospicja w większych ośrodkach Zamorza oraz tych europejskich miastach, z których pielgrzymi wyruszali w drogę. Znani później również jako joannici (ich patronem był Jan Chrzciciel) albo kawalerowie maltańscy brali żywy udział we wszystkich ważniejszych wydarzeniach w obrębie morza wiary aż do szesnastego stulecia.

Pokrewnym zakonem byli templariusze - w rzeczywistości zawzięci rywale szpitalników. Ich nazwa pochodziła od lokalizacji domu zakonnego w Jerozolimie, w pobliżu miejsca uważanego za pozostałości świątyni Salomona (*temple*). Założony na początku dwunastego wieku, miał dbać o bezpieczeństwo pielgrzymów i trzymać w szachu wszelkich łotrzyków, którzy byli plagą świętych miejsc w Palestynie. Po pierwszej krucjacie pielgrzymów znacznie przybyło, armie

krzyżowców zaś wróciły z czasem do domu, zostawiając jedynie szkieletowe garnizony mające bronić zamków i miast. Nieznający terenu ani realiów pielgrzymi łatwo mogli wpaść w zasadzkę i skończyć na targu niewolników w Damaszku albo Kairze. Templariusze, pierwsi z całego szeregu im podobnych, mieli ukrócić te praktyki.

Mimo szlachetnych w gruncie rzeczy intencji założycielskich, oba zakony stały się ostatecznie sprawnymi organizacjami wojskowymi, a ich skarbce wypełniły się ponad miarę. Utrzymywana w klasztorach dyscyplina oparta na czystości, ascezie, skromności i milczeniu błyskawicznie wzbudziła szacunek w całej Europie, gdzie narastała właśnie fala pobożności wzorowanej na regule zreformowanego i coraz popularniejszego zakonu cystersów, którym kierował potężny Bernard z Clairvaux. Ten najbardziej wpływowy prałat dwunastego wieku wykorzystał swój wielki autorytet i wspomógł odzianych w stal i udręczających się braci, wprowadzając nową całkiem koncepcję chrześcijańskiego sposobu prowadzenia wojny. Wyłożył ją w dziele zatytułowanym *De laude novae militiae* („Pochwała nowego rycerstwa”). Stwierdzał, że gwałtowność charakteru cechująca feudalne rycerstwo, szkodliwa tak dla sprawy zbawienia, jak i dla kościelnego majątku, może zostać wykorzystana z powodzeniem w służbie na Ziemi Świętej. Dla zakonów rycerskich był to prawdziwy dar Boży. Donacje, darowizny i ofiary popłynęły szerokim strumieniem, podobnie jak kandydaci do zakonu. U szczytu swej potęgi templariusze mieli na Zachodzie

dziewięć tysięcy majątków i jeszcze za czasów Bernarda zaczęli poboczną wprawdzie, ale głośną działalność: lichwiarstwo. Unikając kościelnej klątwy, którą obciążone było pożyczanie pieniędzy na procent, zwykli zachęcać pielgrzymów, aby zdeponowali u nich swoje pieniądze przed podróżą w zamian za listy kredytowe, które można było zrealizować na miejscu, w Outremer. Zbudowali też własną flotę do odpłatnego przewozu pasażerów, utrzymującą regularne połączenia z portami Syrii i Palestyny. Oczywiście ze szkodą dla włoskich republik kupieckich. Templariusze, którzy znani byli z początku jako Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa, doszli w ten sposób do niewiarygodnych majątków.

Zakony szpitalników i templariuszy były czymś całkiem nowym również dlatego, że jako bractwa rycerskie odpowiadały jedynie przed papieżem. Królowie Europy o władcy Jerozolimy nie wspominając, nie mogli tknąć ich palcem ani niczego im nakazać. Niemniej fanatyczne pragnienie utrzymania Outremer czyniło z tych wojowników idealnych kandydatów do obsadzenia samotnych zamków, zwłaszcza gdy do łacinników dotarła prosta prawda, że zawsze pozostaną tu mniejszością i najlepiej zrobią, jeśli jak największą liczbą zaludnią nadmorskie miasta. Wiele palców, w tym Krak des Chevaliers, trafiło wówczas w ręce zaślubionych obrońców tej ziemi, którzy mieczem i ogniem mieli prowadzić tę walkę niezależnie od widoków na zwycięstwo. W razie dostania się do niewoli templa-

riusz winien uczynić wszystko, aby nie dało się uzyskać za niego okupu.

Z pozostałymi łacinnikami sprawy miały się nieco inaczej. Po kilkudziesięciu latach pobytu na Zamorzu zaaklimatyzowali się w obcej krainie. Elity władzy składały się głównie z potomków tych, którzy zostali na Bliskim Wschodzie po zakończeniu pierwszej krwawej krucjaty. Przywykli do klimatu, diety i nowego stylu życia, przy czym nie okazali się wcale tak bardzo odporni na niektóre muzułmańskie zwyczaje. W tym akurat byli podobni do Normanów z Palermo. Królowie Jerozolimy nosili burnusy i kafije, nie bali się mydła ani ciepłej wody, dawali się zabawiać tańczącym dziewczętom i zamawiali zawodowe płaczki na pogrzeby. Domy urządzali kolorowo, z licznymi mozaikami i fontannami w centrum dziedzińców, czym upodabniali je do klasycznych syryjskich siedzib.

Wiemy nieco na ten temat dzięki Usamie Ibn Munkizowi, szlachcicowi i dyplomacie z Szajzar, zamku w dolinie Orontesu nieopodal terenów asasynów. Autobiografia Usamy, spisana po 1180 roku, gdy autor miał ponad dziewięćdziesiąt lat, rzuca wiele światła na niełatwe współistnienie miejscowych Arabów i przybyśców z obcych stron. Wprawdzie autor nie zawsze zachowuje powagę i wtrąca niekiedy historyjki o zdradach małżeńskich, akcentuje jednak problemy, które najbardziej psuły krew wśród osadników Zamorza. Były to tarcia między „starymi” łacinnikami a tymi, którzy świeżo przybyli z kolejnymi krucjatami albo po prostu w poszukiwaniu przygód. „Nowi” przeżywali szok, wi-



dząc, na ile wcześniejsza emigracja zdołała się „znaturalizować”. Nazywali ich *poulains* (dzieciakami), czyli swoistymi epigonami, niegodnymi dziedzictwa i podupadłymi potomkami bohaterów pierwszej krucjaty. Co więcej, gdy pełni entuzjazmu przybysze schodzili z pokładów gotowi natychmiast rzucić się do walki, spotykał ich zimny prysznic pod postacią zaleceń polityki „żyj i pozwól żyć” uprawianej przez zasiedziały osadników, którzy świetnie wiedzieli, że ich bogactwo zależy od miejscowych chłopów i kupców oraz że Outremer jest zbyt słabe, aby pozwalać sobie na pokazy gwałtu czy grabieży. Nawet templariusze i szpitalnicy chociaż nie przyjmowali miejscowych zwyczajów, nie przesadzali z bojowością. Jeśli wszczynali walkę, to po rozsądnym rozważeniu wszystkich za i przeciw. Jeden raptus, a takich podziwiano wówczas w Europie, mógł ściągnąć na Zamorze nieszczęście pod postacią skoncentrowanej muzułmańskiej riposty na krzyżową okupację.

Jeśli chodzi o konflikty pomiędzy nowicjuszami i starymi krzyżowcami, Usama zawarł w swojej autobiografii opis pewnej przykrej przygody, która spotkała go w Jerozolimie około roku 1140:

*Każdy, kto przybył świeżo z kraju Franków, cechuje się swoistym brakiem manier, czym różni się od tych, co zaaklimatyzowali się i nawykli z dawna do kontaktów z muzułmanami. Oto przykład takiego właśnie braku wychowania.*

*Ile razy odwiedzałem Jerozolimę, zawsze zachodziłem do meczetu Al-Aksa, obok którego stoi mniejszy*

*meczet, który Frankowie zmienili w kościół. Gdy przychodziłem, templariusze, którzy byli moimi przyjaciółmi, opróżniali mniejszą świątynię, abym mógł się pomodlić. Pewnego dnia wszedłem do meczetu, powtórzyłem pierwsze zdanie „Allah jest wielki” i wstałem w trakcie modlitwy, gdy jakiś Frank przypadł do mnie, złapał mnie i obrócił twarzą na wschód, mówiąc: „W tym kierunku powinieneś się modlić!” Grupa templariuszy podbiegła do niego, złapała i odciągnęła go ode mnie. Wznowiłem modlitwę. Chwilę później, gdy inni byli zajęci, ten sam człowiek znowu dopadł mnie i obrócił ku wschodowi ze słowami: „Tak powinieneś się modlić!” Templariusze ponownie go zabrali. Przeprasili mnie, mówiąc: „To obcy, który dopiero co przybył z kraju Franków i nigdy nie widział nikogo modlącego się inaczej niż twarzą ku wschodowi”. Wtedy powiedziałem sobie: „Dość mam modlitwy”. Wyszedłem, ale na zawsze zapamiętam zachowanie tego diabła w ludzkiej skórze i zmianę barwy jego twarzy, to jak się trząsł i jaki był wściekły na widok kogoś, kto się modlił przodem do kibli.*

Jakkolwiek pozytywnie wypadają w świetle tej opowieści przyjaciele Usamy, nie oznacza to, aby łacinnicy byli gorliwymi obrońcami tolerancji. Żyli w czasach, kiedy koncepcja chrześcijańskiej świętej wojny została już w pełni ukształtowana i etos krucjat musiał wywierać na nich silny wpływ. Nie tylko z przekonania o świętości tej ziemi, którą zamieszkiwali, ale też za sprawą obecności w Outremer takich nieobliczalnych typów, jak opisany przez Usamę, Ów

„diabeł w ludzkiej skórze” nie był osamotnionym socjopata. Przybywające z Zachodu statki regularnie wysadzały na ląd uzbrojonych

Podobne myśli nie nawiedzały raczej dwustu szpitalników stanowiących obsadę Krak des Chevaliers. Podczas posiłków, które w milczeniu spożywano w wielkim refektarzu, jeden z braci czytał głośno ustępy z ksiąg: Machabejskich, Jozuego, i inne, odpowiednio zionące ogniem fragmenty Starego Testamentu. Słowa psalmu 18: „Jak proch na wietrze ich rozrzucę, zdepczę jak błoto uliczne” - pasowałyby jako pieśń zagrzewająca do boju podczas przejazdu przez dolinę Orontesu na spotkanie z wrogiem. Jeśli zabiją, nie zgrzeszą. W swoim dziele Bernard z Clairvaux stworzył na ich użytek rozróżnienie między „zabiciem zła” a „zabójstwem”. To pierwsze zachodziło wtedy, gdy uderzali na niewiernych, zabijali bowiem wówczas zło wcielone, a nie ludzi. Gdyby ich sąsiedzi, asasyni, znali tę księgę, na pewno by się z nią zgodzili. Inni duchowni, skłonni raczej podzielać poglądy Izaaka ze Stella, twierdzili jednak, że podobna dyspensa - uwalniająca od grzechu - winna być udzielana rycerzom zakonnym, tylko jeśli oni sami, jako wykonawcy woli Bożej, byli by czyści: „Nie ma sensu, abyśmy zwalczali wrogów zewnętrznych - pisał do templariuszy przeor klasztoru La Grande Chartreuse - jeśli sami najpierw nie pokonamy tych, którzy są w nas”. Gdyby wiedział, czemu miały posłużyć założenia, które w ten sposób opisał, nie posiadałby się z przerażenia. Od podobnego stwier-

dzenia narodziła się największa zhora Outremer: dżihad.

Idea wkroczenia na świętą wojnę na ścieżce Boga - *dżihad fi sabil Allah* - należy do kanonu myśli islamskiej. W Koranie znaleźć można trzydzieści pięć wersów, w których jest o tym mowa. Zarówno niejednoznacznie, w konwencji literackiej, ale też wprost, w znaczeniu bitewnym. W mrocznych dniach wygnania do Medyny Mahomet zwracał uwagę swoim zwolennikom, że powinni być gotowi do walki z wrogami ummy w Mekce, czego wyrazem jest czternasty wiersz dziewiątej sury: „Zwalczajcie ich! Bóg ukarze ich przez wasze ręce i okryje ich wstydem, i dopomoże wam zwyciężyć ich”. W jednym z hadisów - opowieści o życiu Proroka, które zyskały po wnikliwych badaniach arabskich uczonych status prawdziwych - Mahomet powiedział: „Poranna albo wieczorna wyprawa na drogę Boga lepsza jest niżli świat i wszystko, co on zawiera, a dla każdego z was stanięcie w szeregu walczących lepszym jest niżli sześćdziesiąt lat modlitwy”. Stworzone później prawo islamiczne, szariat, wyniosło dżihad do rangi szóstego filaru wiary, równego pielgrzymce (hadżdż) oraz jałmużnie, czyli obowiązkowi świadczenia na rzecz potrzebujących przez każdego zdrowego na ciele wyznawcę wiary.

Cytowany powyżej fragment listu przeora La Grand Chartreuse trudno byłoby uznać za islamski w duchu, gdyby nie następujące po nim wyjaśnienie, na czym polega szlachetna walka. Koran i tradycyjne przekazy opisują jeszcze drugi dżihad, który jest waż-

niejszy od pierwszego i oznacza wewnętrzne zmagania, aby wyjść ponad własne ograniczenia w celu prowadzenia pobożnego i godnego życia. Ten „większy dżihad” jest też trudniejszy do podjęcia, wymaga bowiem świadomości, dyscypliny i pokory, cech których brakuje również współczesnym ludziom. Według niektórych uczonych nie można przystąpić do mniejszego dżihadu (obejmującego także wojnę), dopóki nie przejdzie się drogi większego dżihadu pracy nad sobą. Zgodnie z tymi zasadami, świętą wojnę powinni prowadzić jedynie święci wojownicy, co zgadza się dokładnie z tezą postawioną w liście do templariuszy.

W praktyce znalezienie tyłu świętych było zadaniem niewykonalnym. Jeszcze trudniej byłoby oddzielić wojnę, nawet najświętszą, od walki z przyziemnych motywów, które zawsze przyświecały konfliktom. Ludzka niedoskonałość nie umniejsza jednak w żadnej mierze samej idei dżihadu. W sprzyjających okolicznościach i przy właściwych głosicielach mogłaby ona zapoczątkować odrodzenie moralne. Wykształcony mieszkaniec Syrii z epoki wypraw krzyżowych mógł postrzegać dawne arabskie podboje - Jarmuk, Egipt, Al-Andalus - jako część dżihadu i miałby rację o tyle, że przynajmniej niektórzy uczestnicy tamtych zdarzeń na pewno uważali, iż chodzi o dzieło Boże. W czasach Abbasydów, w ósmym i dziewiątym wieku, gdy granice były już ustalone, dżihad przybrał bardziej rytualną postać — regularnych wypraw podejmowanych przez kalifów dla szarpania Bizancjum. Harun ar-Raszid w jednym roku ruszał na wojnę, w kolejnym na piel-

grzymkę. Podobnie postępował największy kalif umajjadzkiej Hiszpanii, Abd ar-Rahman III, który organizował coroczny dżihad przeciwko chrześcijanom z Północy, przy okazji zaglądając też z wizytą do niepokornych emirów w przygranicznych krainach. Pokolenie później Almanzor nazywał dżihadem swoje częste wyprawy do Aragonii oraz Kastylii, i tylko na wszelki wypadek nie wspominał przy tym głośno, że znaczną część jego armii tworzą chrześcijanie.

Wraz z rozpadem Dar al-islam inicjatywa przeszła w ręce lokalnych władców. W dziesiątym wieku krótko panująca dynastia z Aleppo regularnie przeprowadzała ofensywy przeciwko Bizantyjczykom, przy czym nazywanie ich dżihadem ściągało ochotników - mudżahedinów albo ghazich - z całego Bliskiego Wschodu. Z latami zanikło nawet to, a wzajemne wojny udaremniły jakiegokolwiek wspólne działania poza sporadycznymi, krótkimi aliansami, które były w danej chwili dogodne.

Pojawienie się Franków i ustanowienie Outremer zrazu nie zmieniło wiele. Jedynymi, którzy poczuli się naprawdę zaniepokojeni, byli przywódcy religijni. Sukces niewiernych był, ich zdaniem, skutkiem zaniechania praktyk związanych zarówno z mniejszym, jak i większym dżihadem. Podobnie jak Bizantyjczy po Jarmuku, teraz święci mężowie islamu uznali utratę Jerozolimy za karę Bożą. Na początku epoki krucjat dwaj rzecznicy wskrzeszenia tradycji, jeden z Damaszku, drugi z Aleppo, podróżowali niezależnie od siebie do Bagdadu, aby wyrwać formalnych przywódców mu-

zułmańskich z odrętwienia. Jednak wszystko, co udawało się osiągnąć, i tak obracało się wniwecz wobec trudnych realiów ogarniętej sporami i skłóconej Syrii. Ridwan, emir Aleppo, zamknął bramy miasta przed potencjalnie sojuszniczą armią wysłaną z Al-Dżaziry, ta zaś zrewanżowała się, pustosząc okolice miasta. W 1115 roku większa jeszcze siła, tym razem złożona z najlepszych wojowników seldżuckich z Iraku, przybyła do Syrii, aby odkryć, że władcy różnych miast zjednoczyli się wreszcie, tyle że dla obrony swoich ziem przed Seldżukami. Obraza była tym większa, że wśród wojowników zebranych dla odparcia ewentualnego ataku na Damaszek była też ciężka jazda króla Baldwina z Jerozolimy - oczywisty dowód na to, jak niewiele znaczył dżihad dla muzułmańskich elit Syrii. Nawet po pierwszej klęsce zadanej Frankom na Krwawym Polu w 1119 roku władca Aleppo - ten sam, który wcześniej wędrował do Bagdadu - nie zdołał ruszyć współwyznawców i wezwanie do dżihadu przeszło bez echa. Na domiar wszystkiego zginął ostatecznie z ręki asasynów. Ten sam los spotkał zresztą wysłannika Damaszku.

Ostatecznie dopiero militarny sukces przyniósł upragniony skutek i zachęcił do dżihadu. Około 1120 roku Mosul i Aleppo zjednoczyły się w jedno państwo, któremu brakowało tylko silnego władcy gotowego poprawić jakoś los muzułmanów w Syrii (wielu z nich było wówczas zmuszonych oddawać hołd, i tym samym daniny, chrześcijańskim panom Zamorza). No i władca się znalazł. Był nim Imad ad-Din Zanki, zabijaka i pijanica, który zakończył życie jako bohater islamu.

Z początku był namiestnikiem Al-Basry (skąd pochodził Sinan, Starzec z Gór), zdołał jednak awansować dzięki uratowaniu seldżuckiego sułtana podczas przewrotu pałacowego wywołanego przez abbasydzkiego kalifa, któremu znudziło się być ledwie figurantem. Była to jedna z ostatnich abbasydzkich prób odzyskania arabskiej kontroli nad tureckim wojskiem. W 1127 roku Zanki zmusił kalifa do powrotu na pozycję wyjściową, wdzięczny sułtan zaś dał mu w nagrodę Mosul i Aleppo. Była to ważna chwila zarówno dla Outremer, jak i muzułmańskiej Syrii. W trakcie panowania, które trwało dwadzieścia lat, bezlitosny Zanki stworzył zdyscyplinowaną armię i wchłonął wiele mniejszych miast w dolinie Orontesu, cały czas zabezpieczając się przed atakiem z Mezopotamii, gdzie kotłowało się ciągle po nieudanym powstaniu Al-Mustarszida. Podczas jednej z takich prewencyjnych wypraw, przeprowadzonej w 1132 roku przeciwko miastu Tikrit nad Tygrysem, Zanki omal nie zginął - uratował go miejscowy Kurd, Nadzm ad-Din Ajjub. Władca nagroził go lennem w Dolinie Bekaa w Libanie. Tam też urodził się i wychował syn Ajjuba, znany w historii jako Saladyn.

Czyny Zankiego sprawiły, że zaczęto się go bać i szanować na Bliskim Wschodzie, chociaż największy zaszczyt, o którym marzył, tytuł władcy Damaszku, wymknął mu się z rąk. Usama Ibn Munkiz, wpatrzony we Franków rzecznik pokoju między chrześcijańską Jerozolimą a muzułmańskim Damaszkiem, został władcą tego ostatniego. Odprawiony w ten sposób Zanki zdecydował się na ruch, który przyniósł mu sławę: zaata-



kował Edesę, pierwsze krzyżowe państwo założone w 1098 roku przez Baldwina z Boulogne po niby przypadkowej śmierci przybranego ojca. Edessa padła w 1144 roku. Dla muzułmańskiego Wschodu był to sygnał do zjednoczenia. Dla chrześcijańskiego Zachodu - zwiastun klęski.

Dowiedziawszy się o upadku Edessy, Bernard z Clairvaux wziął się natychmiast do działania. Okazał się bardziej przekonujący niż kaznodzieje z Damaszku i Aleppo. Wykorzystując swój wielki talent oratorski, zaczął wzywać do nowej krucjaty. Po wzruszającym przemówieniu, które wygłosił w Vézelay we Francji, Europę ogarnął ten sam entuzjazm co pięćdziesiąt lat wcześniej. „Miasta i wioski wyludniły się - pisał później z satysfakcją. - Na każde siedem kobiet przypada w nich teraz jeden mężczyzna. Wszędzie widać wdowy po mężach, którzy przecież żyją”. Nawet dwaj monarchowie, francuski i niemiecki, postanowili dźwignąć krzyż i poprowadzić dziesiątki tysięcy uzbrojonych pielgrzymów po zwycięstwo. W 1147 roku druga krucjata wyruszyła w drogę.

Zakończyła się całkowitą klęską. Bizantyjczycy prowadzili wówczas wojnę z Rogerem II z Sycylii i niezbyt mogli pomóc łacińskim kuzynom, ich rozsądne rady zostały zaś zignorowane jako świadectwo tchórzostwa. Niemiecki król Konrad III uznał, że nie ma powodu obawiać się seldzuckich Turków, i pozostał głuchy na supliki, aby trzymać się wybrzeża Anatolii. Ruszył przez sam środek półwyspu. W pobliżu Doryleum, w połowie drogi między Konstantynopolem

a Ankarą, jego armia została zmasakrowana. Sam władca ledwie uszedł z życiem i wrócił za Bosfor lizać rany. Na wszelki wypadek starannie unikał spojrzeń greckich dowódców. Król Ludwik VII posłuchał dobrej rady, jednak jego przemarsz nadbrzeżnymi krainami rychło zmienił się w koszmar za sprawą niezliczonych zasadzek i pomniejszych starć z przeciwnikiem. Ludwik nie należał do szczególnie odważnych mężów i w ataku paniki najpierw scedował dowodzenie swoim wojskiem na templariuszy, a następnie załadował się ze świtą na statek i popłynął bezpiecznym szlakiem wprost do Antiochii. Armia musiała sama wywalczyć sobie drogę, król zaś dał publicznie świadectwo bezprecedensowej wprost niekompetencji.

W Antiochii nie było wcale lepiej. Najpierw francuski król wdał się w długie spory z zebranymi tam, świeżo przybyłymi zastępami rycerstwa, co właściwie należałoby teraz uczynić. Potem Eleonora Akwitańska, młoda, piękna i bogata królowa, która uparła się towarzyszyć mężowi podczas krucjaty, poruszyła całe miasto, biorąc się do romansowania ze swoim zuchowatym stryjem, Rajmundem z Poitiers, księciem Antiochii. Niezbyt odporny na wdzięki młódki Rajmund, którego ojciec, Wilhelm Akwitański, był pierwszym trubadurem, odwzajemnił afekt Eleonory. Podbudowana w ten sposób królowa spojrzała na męża jeszcze bardziej krytycznie (po porażce w Anatolii nie było to zresztą specjalnie trudne) i oznajmiła, że zamierza wystąpić o unieważnienie ich małżeństwa. Ponizony Ludwik zabrał ją ze sobą siłą. Nie pod Edessę jednak czy chociaż

Aleppo, które Rajmund rozsądnie radził zaatakować, tylko do Tyru i Jerozolimy, gdzie całe towarzystwo miało naradzić się nad kolejnymi posunięciami.

W ten sposób krzyżowcy utracili chwilową, jakkolwiek dość przypadkową, przewagę. W 1146 roku Zanki zginął zasztyletowany w nocy przez eunucha, który obawiał się kary mogącej spotkać go rano (pijany i na wpół śpiący Zanki zagroził owemu słudze konsekwencjami, ujrzawszy, jak napił się ukradkiem wina z jego pucharu). W oczywisty sposób musiało wywołać to spore zamieszanie, zwłaszcza że pod nieobecność silnego władcy różni lokalni wielmoże zaczęli podejmować kroki w celu odzyskania odebranej im nie tak dawno niezależności. Ostatecznie drugi syn Zankiego, Nur ad-Din, zdołał opanować ruchawki i ocalić dzieło ojca. Mosul, Aleppo i Edessa uznały z czasem jego zwierzchnictwo, chociaż sojusz nadal był kruchy i tym samym podatny na naciski. Rajmund rozumiał, że jeśli krzyżowcom uda się naruszyć strukturę w jednym miejscu, cała muzułmańska Syria, a nawet górna Mezopotamia mogą na powrót pogrążyć się w chaosie, który ocaliłby Outremer.

Konrad przyплыł z Konstantynopola z pozostałą mu garstką wojska i dołączył do Ludwika. Rycerstwo ponownie zaczęło domagać się ataku na Aleppo albo Edesę, aby rozbić stworzoną przez Zankiego konfederację. Monarchowie postanowili jednak uderzyć na Damaszek - jedyne wielkie miasto w Syrii, będące sojusznikiem chrześcijańskich najeźdźców przeciwko Zankiemu. Trudno zrozumieć, co zdecydowało o podjęciu

tak absurdalnej decyzji, chociaż zapewne bliskość miasta, jego sława i bogactwo miały tu znaczenie - oraz nadzieja, że może być słabo bronione. Głusi na wątpliwości, czy dobrze jest atakować wroga własnego wroga, krzyżowcy - oraz miejscowi łacinnicy, którzy zaczęli zdradzać oznaki zniechęcenia wobec świętej sprawy - rozbili w lipcu 1148 roku obóz pod wschodnimi murami Damaszku.

Mieszkańcy miasta wiedzieli, że należy się bać Franków, którzy dopiero co przybyli na Wschód. Wszyscy pamiętali masakrę w Jerozolimie oraz akty kanibalizmu w Maarrat an-Numan. Stawiając przez kilka dni zdecydowany opór, obrońcy poprosili Nur ad-Dina o pomoc, a tym samym zakopali topór wojenny i pojednali się z Aleppo. W ten sposób Ludwik i Konrad przyczynili się do czegoś, czego Zanki nie zdołał dokonać przez dwadzieścia lat: Damaszek przyłączył się do konfederacji Aleppo, Mosulu i Edessy. Krzyżowcy usłyszeli niebawem o wielkiej armii maszerującej z Aleppo na ratunek obleżonemu Damaszkowi. Zaraz stracili ducha do zdobywania miasta i uszli przez wulkaniczny płaskowyż Jarmuku, aby przegrupować się w Galilei, w pobliżu Rogów Hittinu. Wszystkie te manewry trwały kilka miesięcy, a po ich upływie obaj władcy wsiedli z podkulonymi ogonami na okręty i pożeglowali do Europy.

Poza doprowadzeniem do zjednoczenia muzułmańskiej Syrii uczestnicy drugiej krucjaty zdołali także wykreować wielkiego bohatera, który gdyby był europejskiego pochodzenia, mógłby uchodzić na wzorzec

cnót praktykowanych przez templariuszy. Nur ad-Din przyjął hołd Damaszku w 1154 roku. Jego imię, które znaczyło Światło Religii, sugeruje, że miał się za sługę większego dżihadu. Zaiste, prowadził pobożne i asceetyczne życie, co kontrastowało mocno ze zwyczajami panującymi wówczas na muzułmańskich dworach w Syrii, gdzie wino lało się strumieniami, a obyczajowość kulała. Oburzone ogólnym upadkiem moralnym władze religijne były nim wprost zachwycone, zwłaszcza gdy zaczął hojnie dawać spore środki na budowę i remonty meczetów w swoich krainach. Wiele z nich stoi do dzisiaj, ozdabiając masywnymi sylwetkami Aleppo, Ma'arrat an-Numan, Hamę i Homs. Wprawdzie był wytrwałym wrogiem Zamorza, zawarł jednak kilka paktów z łacinnikami. Swoje działania poprzedzał rozsyłaniem pism, które miały być czytane publicznie w świątyniach. Pisał je zawsze w zrozumiałym języku dżihadu, odbierając w ten sposób broń krytykom i rywalom. Bez wątpienia wiedział, na czym polega propaganda. Gdy jego popularność i reputacja urosły znacząco, kazał zbudować dla siebie specjalną i nader kosztowną kazalnicę z drewna i kości słoniowej. Nie krył przy tym, że ostatecznym miejscem, w którym pragnie ją umieścić, jest meczet Al-Aksa w Jerozolimie.

Kair, miasto założone przez Fatymidów w 973 roku, dawno wchłonał już pobliskie osiedle warowne Al-Fustat, ufundowane wcześniej przez Amra Ibn al-Asa. Stał się jedną z największych aglomeracji basenu Morza Śródziemnego. Mieszczącą się w nim uczelnię Al-Azhar uważa się za najstarszy spośród światowych

uniwersytetów. Od chwili założenia w końcu dziesiątego wieku Al–Azhar wypuszczał ze swoich murów liczne zastępy wykształconych teologów. Dzięki archiwum genizy kairskiej synagogi (odkrytemu w 1864 roku zbiorowi żydowskich dokumentów handlowych) wiemy, że tamtejsi kupcy utrzymywali bardzo szerokie kontakty, od Malagi po Samarkandę. Na początku dwunastego stulecia Kair ostatecznie przyćmił inne muzułmańskie miasta, stając się czołową metropolią Dar al–islam.

Miastem rządili Fatymidzi, utrzymujący, że ich ród wywodzi się w prostej linii od Alego, przez co byli uwikłani w nieustanną walkę o przywództwo z sunnickimi Abbasydami i ich seldzuckimi panami. Podobnie jak Alp Arslan marzył o usunięciu szyitów, tak samo szyitom marzyło się, że opanują pewnego dnia Żyzny Półksiężyc i zdobędą sunnicki Bagdad. Około roku 1000 pewien charyzmatyczny i zapewne szalony kalif imieniem Al–Hakim posunął się tak daleko, że wszedł w kompetencje samego Proroka. Nie dość, że nadał sobie boski status, który przetrwał do dzisiaj w wierzeniach druzów, to jeszcze zaprzeczył szczególnej randze pozostałych „ludów Księgi”. Czas jego panowania był krótkim, ale bolesnym odstępstwem od praktyki tolerancji. Żydzi i koptyjscy katolicy padali ofiarami prześladowań przypominających zaciekłość dokonania Herakliusza i bizantyjskich patriarchów. W 1009 roku zrównano nawet z ziemią jerozolimską Bazylikę Grobu Świętego (trzydzieści lat później basileus Konstantyn IX wyasygnował środki na jej odbudowę).

Po śmierci Al-Hakima powrócono do praktykowania dawnych zwyczajów, jednak instytucja kalifatu została poważnie osłabiona. Kolejni wezyrowie, wielu tureckiego albo ormiańskiego pochodzenia, dysponowali całkiem realną władzą, jednak ich nieoficjalne, dynastyczne zapędy nie były mile widziane przez lojalnych kalifowi oficerów armii mameluków (niewolników) i wrogich im frakcji dworskich. Gdy chrześcijańscy rycerze pierwszej krucjaty zjawili się w fatymidzkiej Palestynie, spadając tam niczym nieteoroidy ze słabo rozpoznanej galaktyki rozciągającej się gdzieś za Bizancjum, władcy Kairu dali się zaskoczyć. Mimo posiadania wielkiej floty Egipt nie umiał odzyskać inicjatywy i stracił na rzecz łacinników porty na wybrzeżu lewantyńskim. Jerozolima (wówczas fatymidzka) upadła w 1099 roku. Ostatni port palestyński, Askalon, upadł w 1144.

Do czasu, gdy Nur ad-Din zdołał zjednoczyć Syrię, rozłamy pośród elit rządzących Kairem osiągnęły poziom, od którego nie było już odwrotu. Nie zmieniło się tylko jedno: bogactwo państwa. Gdy ambasadorzy krzyżowców przybyli tam około połowy stulecia, „zostali poprowadzeni wzdłuż kolumnad i fontann przez ogrody, w których znajdowały się królewskie menażerie i ptaszarnie, przez kolejne sale, których ściany obwieszono jedwabiami ciężkimi od złota i klejnotów, aż w końcu za uniesioną złotą kurtyną ujrzeli młodego kalifa, jeszcze chłopca, siedzącego na złotym tronie”. I te nieprzebrane bogactwa czekały, aż ktoś je sobie weźmie. Dwaj wrogowie, Nur ad-Din z Aleppo i Amalryk,

nowy rzutki król Jerozolimy, spoglądali już w tę stronę, bacząc jednocześnie na siebie wzajem.

Trzeba im jednak oddać, że nie tylko chciwość grała tu rolę. Obaj mieli też inne powody, aby ruszyć na Egipt. Outremer przeżywało jeszcze klęskę drugiej krucjaty i niespokojnie nasłuchiwało wezwania do dżihadu dobiegającego z sąsiedniej Syrii. Gdyby Nur ad-Din włączył jeszcze Egipt do swojego państwa, łacinnicy znaleźliby się w kleszczach potężnego muzułmańskiego przeciwnika. Ów przeciwnik zaś widział jasno korzyści podobnego manewru i miał wielką ochotę otoczyć w ten sposób paskudnych Franków. Nie trwało długo, a szpiedzy i informatorzy donieśli synowi Zankiego o trapiących Outremer kłopotach - o braku ludzi oraz o tym, jak baronowie i rycerze zakonni skaczą sobie do gardeł. Gdyby pozwolić Frankom na zagarnięcie daru Nilu, a tym samym dać im szansę na wystawienie znacznie liczniejszej armii, wypełnienie świętej powinności zniszczenia intruzów byłoby mocno utrudnione, jeśli w ogóle możliwe. O Fatymidach Nur ad-Din nie myślał wcale ciepłej. Jako sunnita uważał ich za herezyków, którzy zasłużyli na usunięcie z powierzchni ziemi. Jego ścieżka do Boga nieuchronnie musiała prowadzić przez Egipt.

To właśnie sprawiło, że do wielkiej konfrontacji w kwestii Outremer nie doszło ani w Palestynie, ani w Syrii, tylko właśnie w Egipcie. W latach 1163–1169 obie strony przedsięwzięły trzy wielkie kampanie na tym terenie. Przemarsze armii na te wojny wyglądały dość dziwnie. Łacinnicy wędrowali na Gazę i przez



północny Synaj, ich przeciwnicy doliną Jordanu i wzdłuż wybrzeża Morza Martwego, aby nieco dalej wkroczyć na ten sam południowy szlak. Ostatecznie łacinnicy uzyskali przychylność Kairu, który zaczął poważnie obawiać się Aleppo. Jako wieloletni sojusznicy Bizancjum w zwalczaniu piractwa na szlakach morskich, fatymidzcy wezyrowie mieli duże doświadczenie w uprawianiu pragmatycznej polityki i nie widzieli nic zdrożnego w dogadywaniu się z chrześcijanami. Ale ich dyplomacja nie była do niczego przydatna w zetknięciu z łacińskim zdziczeniem. W roku 1168 armia Outremer zdobyła Bilbajs w delcie Nilu i wymordowała wszystkich mieszkańców miasta, tak koptów, jak i muzułmanów. Kair nie miał wyboru. Chcąc uniknąć podobnego losu, zdecydowano się zastosować taktykę spalonej ziemi. Z dymem poszło zarówno stare Al-Fustat, jak i reszta okolicznych miejscowości. Jak podają kronikarze - akcja trwała dwa miesiące. Łacinnicy nie byli już wyczekiwanyymi gośćmi.

Ostatecznie zyskali na tym oczywiście Syryjczycy, prowadzeni przez Szirkuha, brata Ajjuba, Kurda, który uratował Zankiego w Tikricie. Jako główny dowódca Nur ad-Dina przeprowadził w Syrii całą serią najazdów i oblężeń, które miały uszczuplić siły łacinników. W 1149 roku podczas szturm na antiocheńską twierdzę Szirkuh zabił Rajmunda z Poitiers, kochliwego stryja Eleonory Akwitańskiej (Eleonora, która wypooczywała na Sycylii po trudach drugiej krucjaty, dowiedziała się wkrótce, że głowa Rajmunda została w srebrnej szkatule wysłana kalifowi do Bagdadu). Podczas

syryjskiego podboju Egiptu do głosu doszli kolejni krewniacy, przede wszystkim syn Ajjuba, Salah ad-Din Jusuf Ibn Ajjub, czyli Saladyn. Stary wojownik powierzył swojemu bratankowi prowadzenie skoordynowanych operacji obejmujących różne pola walki. Co ciekawe, muzułmanie często korzystali z gołębi pocztowych, sposobu przekazywania informacji zupełnie nieznanego łacinnikom, którzy miotali się bezradnie, co rusz trafiając w próżnię. Gdy Szirkuh wygnał ich wreszcie w 1169 roku z delty Nilu, wymusił uległość Kairu i ujrzał zdobyte bogactwa, zadławił się na śmierć podczas wielkiej uczty.

Trzydziestoletni Saladyn po śmierci stryja został władcą Egiptu. Już w młodości, którą spędził w Baalbeku w Dolinie Bekaa, muzułmańskiej warowni wzniesionej w cieniu gigantycznych ruin z dawnych, pogańskich czasów, pokazał się jako pilny adept zarówno sztuki, jak i wojaczki oraz osoba nad wyraz pobożna. Jego siła wynikała z połączenia militarnych talentów Zankiego i czystego trybu życia Nur ad-Dina. Słabą stroną było zaś to, że w jego żyłach nie płynęła ani kropla ich krwi. Był Kurdem, kimś obcym, kto nie miał nic wspólnego ani z tureckimi elitami władzy, ani miejscową, arabską ludnością. Jego władca z Aleppo zaczął niebawem podejrzewać, że młody człowiek próbuje sięgać wyżej, niż jest mu to pisane. Saladyn osobiście dostarczył mu argumentów, już bowiem po upadku Egiptu dwa razy zdarzyło się, że gdy Nur ad-Din ruszał na wyprawy zbrojne do Palestyny, Saladyn nie chciał do niego dołączyć. W jednym przypadku zawrócił na-

wet swoje oddziały i pognął z powrotem przez Synaj, chociaż od armii syryjskiej dzielił go niecały dzień marszu. Wprawdzie po każdym takim incydencie przychodziły do Aleppo pełne pokory listy, w których Saladin wyjaśniał dokładnie, co nim kierowało i że nie była to wcale niesubordynacja, ale Nur ad-Din nabierał coraz głębszego przekonania, że jego sługa coś kombinuje.

Baronowie Zamorza mogli tylko patrzeć z nadzieją na narastające rozdźwięki między Aleppo i Kairem. Zebrali nad Nilem tęgie baty, ich odważny, ale pechowy przywódca, Amalryk z Jerozolimy, zmarł na dyzenterię, jego następcą zaś, bystry trzynastoletni Baldwin IV, był chory na trąd. Łacinnicy nie mieli żadnej szansy na przeprowadzenie ofensywy. Na dodatek zniknęła przeciwwaga dla syryjskiego dżihadu: w 1171 roku Saladin zniósł kalifat fatymidzki i urzeczywistnił tym samym wielkie marzenie szytów o odtworzeniu islamskiej ummy. Co gorsza, Bizantyjczycy, okazjonalni sojusznicy łacinników, w 1178 roku wypadli z gry. Po latach ostrożnych rządów dynastii Komnenów armie Konstantynopola doznały druzgocącej klęski, pobite przez Seldżuków z Sułtanatu Rum pod Myriokefalonem w pobliżu Ankary. Pokonany Manuel Komnen przyrównywał tę klęskę do Manzikertu. W rzeczy samej była to ostatnia bizantyjska próba wypędzenia Turków z Anatolii.

Można powiedzieć, że lata siedemdziesiąte dwunastego wieku przyniosły łacinnikom same nieszczęścia i pogłębiły izolację Zamorza. Należało przy tym ocze-

kiwać, że Saladyn i rządzący w Aleppo Nur ad-Din dojdą do zgody i że muzułmanie zwrócą się przeciwko Outremer. Nie czekając dłużej, zaprzęgnięto do pracy murarzy W pozostałych jeszcze łacinnikom trzech państwach - Jerozolimie, Trypolisie i Antiochii - wyrosły niezliczone fortece, mające ochronić ich przed nadchodzącą burzą.

Zyskali w ten sposób na czasie. Gdy Nur ad-Dun zmarł niespodziewanie w 1174 roku w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat (zapewne na dusznicę), kontakty między Saladynem a Zankidami jeszcze się pogorszyły. Poszło o to, kto powinien zostać regentem aleppańskiego dziedzica As-Saliha, wówczas jedenastoletniego chłopca otoczonego przez rodzinę szczególnie wrażliwą na wszelkie przejawy ambicji Saladyna. Wielki Kurd opuścił Kair, aby objąć władzę nad Damaszkiem, co dołało poniekąd oliwy do ognia, ponieważ teraz był bliżej swoich rywali. Obie strony zaczęły słać listy do Bagdadu, gdzie zasiadał tytułarny władca sunnitów, domagając się uznania swoich racji. W Al-Dżazirze władca Mosulu (wraz z lennikami) opowiedział się przeciwko Saladynowi, mając go za uzurpatora niewartego objęcia dziedzictwa wywalzonego przez Zankiego i Nur ad-Dina. Wojownicy prowadzący partyzancką walkę z niewiernymi też kręcili głowami nad Saladynem, który ciągle toczył wojny w Mezopotamii i Anatolii, z dala od największego wroga, czyli Outremer. Ponownie muzułmanin stawał przeciwko muzułmaninowi, z barbarzyńskimi Frankami zaś tylko negocjowano. Nic oprócz poważnej prowokacji nie mogło

zmusić władców, aby powrócili do świętej sprawy dżihadu.

Renald z Châtillon był pomniejszym rycerzem, który przybył do Lewantu z drugą krucjatą. Po jej fiasku postanowił raczej zostać w Outremer, niż wracać do Francji, gdzie jako młodszy brat właściciela małego majątku w dolinie Loary nie mógł oczekiwać zbyt wiele od życia. Wysoki i przystojny, z rudawymi włosami i imponującą brodą, młody Renald zawrócił ostatecznie w głowie księżnej Antiochii, wdowie po Rajmundzie z Poitiers. W Outremer aż się zagotowało. Księżna Konstancja była jedną z największych dam tej krainy, prawnuczką Roberta Guiscarda na dodatek. Wedle zwyczaju winna szukać męża jedynie pośród najlepiej urodzonych. Obdarzona silną wolą i zakochana w tym jedynym, Konstancja odrzuciła rady biskupa, króla i basileusa, aby poszukała może innego kandydata, i w 1153 roku poślubiła swego kochanka niskiego stanu, wynosząc zwykłego parweniusza do godności księcia Outremer. To był prawdziwy skandal, co zaznaczył w swej kronice Wilhelm z Tyru: „Kobieta tak wspaniała, niezwykła i potężna, że mogłaby być żoną każdego szlachtetnego męża, postanowiła poślubić zwykłego rycerza”.

Nowy książę Antiochii nie zwlekał z wyrobieniem sobie marki. Ignorując protesty swego suzerena, basileusa Manuela Komnena, postanowił zająć bogaty i spokojny Cypr, który należał wówczas do Bizancjum. Wyprawę miał sfinansować łaciński patriarcha Antiochii, który jako pierwszy sprzeciwił się matrymonial-

nym planom Konstancji i nie ukrywał pogardy dla księcia z awansu. Jak można było oczekiwać - odmówił. Renald zemścił się, nakazując rozdziać duchownego, zbić na kwaśne jabłko, wysmarować miodem i wystawić w południe na blask słońca, jako żer dla owadów. Patriarcha wykorzystał ten czas jako okazję do głębszego namysłu i otworzył skarbiec. Nie potrwało długo, a Renald popłynął na Cypr w towarzystwie chrześcijańskiego króla Armenii Cylicyjskiej.

Na miejscu Renald pokazał, że jest krzyżowcem w starym stylu: jego armia łupiła, gwałciła i mordowała kogo popadło, nie zważając ani trochę na fakt, że mieszkańcy wyspy byli chrześcijanami. Renald kazał spędzić razem wszystkich ortodoksyjnych księży z Cypru, poobcinał im nosy i tak okaleczonych odesłał do Konstantynopola jako wyraźne wyzwanie wobec basileusa. W krótkim czasie udało mu się obrazić łacinników, którzy nie pochwalili torturowania patriarchy Antiochii, oraz rozwścieczyć Bizantyjczyków, którzy nie pogodzili się ze spustoszeniem Cypru. Muzułmanie musieli poczekać na swoją kolej. I doczekali się: w 1160 roku patrol łudzi Nur ad-Dina napotkał Renalda z dala od Antiochii, gdy ten rabował bydło syryjskim chrześcijanom. Pojmał go i zabrał do Aleppo. Wrzucony do celi w wielkiej fortecy księżę przesiedział pod kluczem szesnaście lat i nikt nie zaproponował za niego okupu.

Uwięzienie Renalda zbiegło się w czasie z egipskimi wojnami Amalryka i wzrostem znaczenia Saladyna. Za murami fortecy narastał z wolna chór głosów

wzywających do podjęcia dżihadu. Jeniec rozumiał go, bo nauczył się mówić płynnie po arabsku. Poznał swego przeciwnika i wiedział, jak najgłębiej zranić muzułmanów. Zwolniono go w 1175 albo 1176 roku, w niepokojnym okresie po śmierci Nur ad-Dina, kiedy Zankidzi z Aleppo szukali wśród łacinników pomocy w walce przeciwko Saladynowi.

Żona Renalda, księżna Konstancja, zmarła dwa lata po jego uwięzieniu, zostawiając Antiochię swemu synowi z poprzedniego małżeństwa. Renald musiał szukać sobie miejsca gdzie indziej. W późnych latach siedemdziesiątych udało mu się zdobyć serce kolejnej wpływowej wdowy, Stefanii z Milly, dziedziczki lenna Outrejourdain (Zajordanii frankijskiej), którego stolicą była twierdza Kerak (Moabski). Była to prowincjonalna okolica, wszelako o kluczowym znaczeniu komunikacyjnym, przebiegały przez nią bowiem główne szlaki karawan łączące Syrię z Egiptem. Corocznie przechodziły też przez nią tysiące pielgrzymów zmierzających do Mekki. Dwa strzegące kraju zamki, Kerak i Montreal, mogły śmiało konkurować wielkością i grubością murów z Krak des Chevaliers i Al-Markab. Renald z Châtillon zyskał kontrolę nad doliną, którą regularnie przemierzali obładowani skarbami podróżni. Pokusa była aż nazbyt silna.

Ibn Dżubajr, andaluzyjski podróżnik, który podziwiał już w swoim czasie chrześcijanki z Palermo, zanotował, że mimo wrogości panującej między Outremer a Syrią, karawany były nietykalne: „Chrześcijanie każą muzułmanom płacić na swej ziemi podatek, który gwa-

rantuje podróżnym bezpieczeństwo; tak samo jak chrześcijańscy kupcy opłacają podatek od przewożonych dóbr na ziemiach muzułmanów. Obie strony zgadzają się pod tym względem i stosują wzajemnie te same zasady. Żołnierze walczą, podczas gdy lud żyje w pokoju”. Należy dodać, że między łacinnikami i muzułmanami po raz pierwszy zapanował wówczas pokój. Susza i spowodowany nią głód w 1180 roku skłonił rycerzy Zamorza do przedłużenia ważności traktatu pokojowego z Saladynem, który przyjął propozycję z radością, dawała mu bowiem czas na zajęcie się przeciwnikami w Mezopotamii. Wszystko to jednak niewiele znaczyło dla nowego władcy Keraku, który nie mógł usiedzieć w miejscu. W 1181 roku Renald zaatakował kolumnę pielgrzymów, rabując im cały dobytek i wielu biorąc w niewolę. Było to jawne naruszenie warunków traktatu, jak wytknął szybko łacinnikom Saladyn, jednak król Jerozolimy, coraz bardziej nękany trędem Baldwin, nie śmiał skarcić wasala za samowolę.

W następnym roku Renald przeszedł sam siebie. Zbudował flotę pięciu okrętów. Zwodowane w Ajli, jak Frankowie nazywali Ejlat, w Zatoce Akabańskiej, wzięły kurs, którego nikt by się po nich nie spodziewał - na Mekkę. Ta piracka flotylla zaczęła się panoszyć na Morzu Czerwonym, napadając na niespodziewające się niczego statki kupieckie i z pielgrzymami, najeżdżając po równo arabskie i afrykańskie brzegi; czasem na ląd wychodziły oddziały, które zapuszczały się w głąb, aby napadać i gwałcić grupy pielgrzymów. Wszystko to działo się ledwie dzień drogi od Medyny. Ostatecznie



przybyła z Egiptu flota wysłana przez brata Saladyna i rozprawiła się z piratami, którzy zostali ścięci. Renald, inicjator całej operacji, dalej tkwił bezpieczny w Keraku.

W meczetach i madrasach Dar al-islam zaczęto powtarzać coraz głośniej i z coraz większym oburzeniem, że ci sami Frankowie, którzy najpierw zabrali muzułmanom Jerozolimę, teraz chcą zbrukać najświętsze miasta Hidżazu. Świadom pogarszających się nastrojów Saladyn zostawił w końcu Syrię oraz Al-Dżazirę i w roku 1183 pomaszerował na Palestynę. Łacinnicy posłuchali mądrej rady Rajmunda z Trypolisu (z tuluskiego rodu Saint-Gilles) i nie wystawili przeciwko Saladynowi wielkiej armii. Skryci za fortyfikacjami oparli się pokusie ataku, chociaż wielu w gorącej wodzie kąpanych rycerzy żywo do tego namawiało. Rozczarowany Saladyn ruszył ze swoim wojskiem na południe, do Zajordanii, i obiegnął Kerak w nadziei, że uda mu się wyłuskać stamtąd najbardziej znienawidzonego spośród Franków w Outremer. Górskie gniazdo nie było jednak łatwe do zdobycia, a Renald nie przebywał w nim sam. Uroczystości weselne jego pasierbicy, wychodzącej za pewnego barona z Palestyny, przyciągnęły cały tłum szlachetnie urodzonych gości. Zabawy nie przerwano nawet wtedy, gdy forteca znalazła się pod ostrzałem machin oblężniczych Saladyna. Ten zaś, przy całej wrogości wobec gospodarza, wykazał się daleko idącą wrażliwością, która zapewniła mu godne miejsce w annałach *fair play*. Dowiedziawszy się o weselu, spytał, w której części zamku mają nocować

państwo młodzi, i konsekwentnie unikał ostrzeliwania z katapult tego fragmentu budowli. Gdy w końcu zjawiła się wysłana z Jerozolimy odsiecz, dał sygnał do odwrotu.

Niemniej i tak konflikt wisiał w powietrzu. Muzułmanie coraz głośniejszy nawoływali do położenia kresu tej dziwnej sytuacji i jeszcze dziwniejszej, chociaż morderczej wojnie. Co rusz dawali też o sobie znać asasyni, zagrażając jedności regionu. W latach sześćdziesiątych zniknęli chwilowo z widnokręgu, dając się ponieść radykalnemu millenaryzmowi propagowanemu przez perskiego przywódcę sekty, Hasana z Alamutu. Ogłosił się on imamem, zapowiadał kres czasu i wezwał postawionych wobec wieczności do porzucenia zwyczajów islamu na rzecz tych wszystkich przyjemności, które dotąd były wiernym zakazane. Jego posłanie spotkało się w Syrii z entuzjastycznym przyjęciem i wedle pewnego miejscowego historyka na jakiś czas „ludzie ci (...) pofolgowali grzechowi i rozpuście, zwać siebie przy tym Czystymi. Mężczyźni i kobiety spotykali się na pijaństwach [i] żaden mężczyzna nie wahał się zlec ze swoją siostrą albo córką”.

Ostatecznie twarde rządy Sinana przywołały asasynów do porządku i mogli wznowić swą świętą działalność siania terroru. Saladyn, jako nowy przywódca sunnitów, był ich oczywistym celem. Po tym, jak ledwie uniknął zamachów w latach 1175 i 1176, cały czas nosił pancerz, sypiał zaś w łożu ustawionym na wysokiej drewnianej wieży. Uważa się, że nawiązał w końcu porozumienie z Sinanem, o czym może świadczyć na-

głę odstąpienie od oblężenia Masjafu, zamku asasynów, który wciąż strzeże wschodniego podejścia do pasma An–Nusajrija. O powodach jego pojednania z nie- ortodoksyjną sektą opowiada słynna trzynastowieczna *Kronika Aleppo*. Jej autor, Kamal ad–Din, podaje, że pewnego dnia u Saladyna zjawił się gość utrzymujący, iż przynosi wiadomość od Sinana, musi ją jednak przekazać na osobności. Gdy przybysz został już przeszukany, Saladyn odprawił wszystkich dworzan oprócz dwóch wojowników, którzy stanowili jego ochronę. Mężczyzna wciąż nalegał, że chce rozmawiać z sułtanem sam na sam, Saladyn jednak odmówił jego prośbie:

*Ten [wysłannik] zapytał: „Dlaczego nie odeślesz tych dwóch, tak jak odesłałeś pozostałych?” Saladyn odpowiedział: „Są dla mnie jak synowie i oni i ja jesteśmy jednym”. Wówczas wysłannik obrócił się do dwóch mameluków i powiedział: „Czy jeśli w imieniu mego pana rozkażę wam zabić sułtana, uczynicie to?” Odpowiedzieli: „Tak” i wyciągnęli miecze, i rzekli: „Rozkazu nam wedle swej woli”. Sułtan Saladyn (niech Bóg się nad nim ulituje) zdumiał się, a wysłannik wyszedł, zabierając strażników ze sobą. A wówczas Saladyn (niech Bóg się nad nim zlituje) postanowił zawrzeć pokój z nim [Sinanem] i nawiązać przyjazne stosunki”.*

Jakkolwiek było naprawdę, w latach osiemdziesiątych asasyni dali spokój Saladynowi i zajęli się jego wrogami. Co więcej, udręczeni Zankidzi przychylni się wreszcie do powszechnego wśród sunnitów przekonania, że to właśnie Saladyn powinien poprowadzić do

walki z chrześcijanami. Po śmierci As-Saliha, syna Nur ad-Dina, Aleppo poddało się Saladynowi, w 1186 roku to samo uczynił Mosul. Seldzucy z Rum już wcześniej zadali Bizantyjczykom miazdzącą klęskę pod Myriokefalonem, Saladynowi pozostało więc uczynić to samo z łacinnikami w Outremer.

Jako sułtan Al-Dżaziry, Syrii, Egiptu, Hidżazu i Jemenu musiał rozważyć, czy opłaca mu się ryzykować ciężko wywalczony pokój i ruszać na wielką wojnę z Frankami, z którymi zawarł zresztą kolejny, czteroletni rozejm. Renald z Châtillon przeważył sprawę. Pod koniec 1186 roku dał się skusić wielkiej karawanie, która wędrując z Kairu do Damaszku, przechodziła dokładnie pod jego oknami. Mimo obowiązującego rozejmu i praktyki opłacania się w zamian za bezpieczny przejazd, władca Keraku spadł jak jastrząb na słabo uzbrojonych kupców i uwolnił ich od brzemienia cennych towarów. Sami podróżnicy zostali uwięzieni w lochach Keraku, skąd mieli trafić na targi niewolników w Outremer. Gdy zaczęli protestować, dowodząc swej niewinności, Renald miał powiedzieć: „Niech wasz Mahomet przyjdzie i was oswobodzi!” Miarka się przebrała. Gdy Saladyn dowiedział się o tym występku, poprzysiągł zabić Renalda własnymi rękami. Następnej wiosny zewsząd zaczęły ścigać oddziały wezwane na dżihad. Spotkać się miały w południowo-zachodniej Syrii, na płaskowyżu w pobliżu rzeki Jarmuk.

Galilea. Jasne wzgórza i doliny w tej części ziemi obiecanej mają spokojnymi wioskami i spalonymi od słońca pastwiskami. Wbrew pozorom okolica od tysię-

cy lat była miejscem zażartych walk. Ruiny palestyńskich osiedli, opuszczonych w 1948 roku, to tylko najnowszy z wielu podobnych śladów. Stanowisko archeologiczne Megiddo w Dolnej Galilei to miejsce, od którego pochodzi biblijne określenie Armagedonu (Har-Magedon, miejsce ostatniej bitwy między siłami dobra i zła). Dalej na północ ciągnie się Dolina Bet Netofa, najbardziej charakterystyczna formacja regionu, łącząca nadmorską równinę w pobliżu Hajfy i Akki z okolicami Jeziora Tyberiadzkiego. Tam również panuje spokój i wiejska cisza. Złudne wszakże, bo skrywające rwetes dawnych wojen. Również ten, który towarzyszył kolejnemu przełomowemu starciu chrześcijaństwa i islamu.

U stóp wzgórza zwanego Rogami Hittinu nastąpił Armagedon Outremer. Na tych samych stokach, z których widać mieniące się wody Jeziora Tyberiadzkiego, najwięksi rycerze łacińskiej Europy ulegli nie tylko Saladynowi, ale też pragnieniu. Musieli chyba czuć się opuszczeni przez Boga, skoro całe otoczenie przypominało im szyderczo o kontekstach ich wiary. Niemal w zasięgu głosu od Hittin, na południe od Doliny Bet Netofa, leży miasto Nazaret, gdzie Zbawiciel miał dorosnąć wieku męskiego. Nieco dalej, obecnie na przedmieściach Nazaretu, wznoszą się dzwonnice i minarety Kany, znanej chrześcijanom jako miejsce, gdzie Jezus dokonał swego pierwszego cudu zamiany wody w wino dla weselników. W strasznie upalny dzień 4 lipca 1187 roku cud przydarzył się jednak muzułmanom i chrześcijanie nie zaspokoili pragnienia.

Władcą Galilei był wówczas Rajmund z Trypolisu, prawnuk hrabiego Rajmunda z Tuluzy, zdobywcy Jerozolimy z 1099 roku. Szanowany za mądrość (to on doradził bierną strategię podczas ataku Saladyna w 1183 roku), był jednak solą w oku nowo przybyłego rycerstwa, ponieważ wrósł w miejscową kulturę i pozostawał w dobrych kontaktach z sułtanem, z którym potrafił rozmawiać swobodnie po arabsku. Jego stosunki z pobratymcami trudno byłoby nazwać choćby poprawnymi. W miesiącach poprzedzających bitwę pod Hittinem nastąpiło takie zaognienie sporów, że niewiele brakowało do wybuchu wojny domowej - dokładnie w chwili pojawienia się wielkiego zagrożenia z zewnątrz.

Zasadniczym powodem kłótni było, niezmiennie, obsadzenie tronu Jerozolimy. Po śmierci Baldwina IV w 1185 roku, którego trąd zabił w wieku ledwie dwudziestu czterech lat, aprobatę rycerstwa jako prawowity monarcha zyskał jego siedmioletni siostrzeniec, Baldwin V. W teorii baronowie Outremer nadal wybierali swojego władcę, chociaż coraz silniej zaznaczała się również tradycja dziedziczenia tronu. Niestety, chory Baldwin V zmarł w następnym roku. Piastujący urząd regenta Rajmund z Trypolisu oczekiwał, że wszyscy zaakceptują wcześniejsze porozumienie, osiągnięte przed osadzeniem chłopca na tronie, później jednak porzucone. Kolejny monarcha miał zostać wybrany przez radę arbitrów powołaną przez papieża. W jej skład winni wejść: niemiecki cesarz oraz królowie Anglii i Francji. Rajmund niewątpliwie miał nadzieję, że najlepiej będzie, jeśli władza trafi w jego ręce. Łacinni-

cy z Outremer znaleźli się w fatalnej sytuacji: klęska pod Myriokefalonem wyeliminowała ostatniego sojusznika, cesarstwo bizantyjskie; bizantyjscy chrześcijańscy ortodoksi mieli serdecznie dość osiemdziesięciu lat dyskryminacji oraz sporów i trudno było oczekiwać, że przyjdą łacinnikom z pomocą. Wszystko to - muzułmańska jedność, bizantyjska niemoc i wrogość ze strony ortodoksów - wskazywało na konieczność znalezienia dla Outremer władcy mądrego i doświadczonego. Rajmund z Trypolisu byłby właśnie kimś takim.

Podobne rozważania były obce Sybilli, siostrze Baldwina IV i matce zmarłego Baldwina V. Pochodziła z rodu, który wydał wiele energicznych kobiet gotowych wpływać na losy Outremer. Skoro zarówno jej brat, jak i syn byli monarchami, nie powinno dziwić, że zapragnęła opuszczonego tronu dla siebie i swego męża, Gwidona z Lusignan, mimo że był krańcowym przykładem odporności na obyczaje i kulturę kraju, w którym się znalazł. Przybył do Lewantu za namową swego brata, kochanka matki Sybilli. Ów hałaśliwy syn pośledniego nobila szybko zdobył serce Sybilli i poślubił ją w 1180 roku. Mniej zauroczeni przybyszem okazali się miejscowi, zasiedziani łacinnicy którzy widzieli w nim słabego duchem przedstawiciela kultury Zachodu, pozbawionego elastyczności myślenia koniecznej do jakichkolwiek kontaktów z muzułmańskimi sąsiadami. Mimo braku popularności ukochanego Gwidona jego małżonka okazała się na tyle obrotna, że postawiła na swoim. Wykorzystała czas, gdy Rajmund wyjechał

akurat do Samarii, aby zorganizować w Jerozolimie uroczystą koronację.

Jej zwolennicy tworzyli zaiste barwą zbieraninę. Koronę podawał przekupny Herakliusz. Pochodził z Owernii i kilka lat wcześniej został łacińskim patriarchą Jerozolimy, co było nagrodą za męstwo okazane w łożu matki Sybilli (był jej kochankiem przed bratem Gwidona). Sam był wówczas jeszcze związany z pewną zamężną damą z Nabulusu, znaną w królestwie jako Madame la Patriarchesse (Pani Patriarchowa). Kolejny poplecznik Gwidona, Gerard z Ridefort, był wielkim mistrzem templariuszy i miał powody, aby nie lubić Rajmunda. Gdy przybył w 1173 roku do Outremer, poszedł na służbę do władcy Trypolisu w nadziei, że ten znajdzie mu na rynku wtórnym jakąś ciepłą i bogatą wdówkę. Jednak Rajmund nie dotrzymał słowa. Nie wiadomo właściwie, dlaczego. Dość, że przekazał niejaką Lucię, owdowiałą spadkobierczynię Botrunu (czyli obecnego Libanu), pewnemu brzęczącemu złotem kupcowi z Pizy. Rozwścieczony Gerard wstąpił do zakonu templariuszy, gdzie szybko awansował, zostając wielkim mistrzem. Jego nienawiść do dawnego pana była tym gorętsza, że został wyeliminowany przez zwykłego kupca. Gdy Gwidon pokłonił mu się, podstawiając głowę pod regalia, Gerard miał powiedzieć: „Ta korona to wystarczające zadośćuczynienie za Botrun”. Tuż obok przeżywał radosne chwile Renald de Châtillon, którego cała afera oczywiście bardzo cieszyła. Nowy władca spełniał wszystkie oczekiwania pana na Keraku. Król Gwidon nie wyglądał na skłonnego do mieszania



się w antymuzułmańskie awantury Renalda. Cała elita „jastrzębi” Outremer, ludzi chciwych i w wielu kwestiach nadgorliwych, przeżywała swój wielki dzień.

Rajmund patrzył z niesmakiem na baronów spieszących do Jerozolimy, aby oddać hołd królowi Gwidonowi i królowej Sybilli. Wielki władca Trypolisu udał się w przeciwnym kierunku, w górę Jordanu, do Tyberiady, stolicy lenna swojej żony nad Jeziorem Tyberiadzkim. Obawiając się dalszych knowań wrogów, wdał się w negocjacje z Saladynem. Chciał zbudować sojusz na wypadek ataku ze strony Jerozolimy. Było to działanie może nie zdradzieckie, ale z całą pewnością niezwykle. Saladyn odebrał je jako podnoszący na duchu dowód, że dobrze zamyślił, planując atak na Franków w tymże roku. Najwyraźniej spory i podziały, które tak długo trapiły muzułmanów, dawały teraz do wiwatu drugiej stronie. Odpowiadając Rajmundowi, Saladyn wysunął równie niezwykle oczekiwanie: poprosił o zgodę na przemarsz swojej armii przez włości hrabiego w Dolnej Galilei, aby mógł się zapoznać z ich topografią. Uzgodniwszy w ciągu kilku dni szczegóły, Rajmund dał swoje pozwolenie, stawiając tylko jeden warunek: muzułmańska jazda zjawi się po wschodzie słońca i opuści jego ziemie przed zachodem oraz nie będzie rabować ani gwałcić. Ustalono, że przejście odbędzie się 1 maja 1187 roku. Wysłannicy Rajmunda rozpowszechnili wieść o mającym nastąpić wydarzeniu, uprzedzając wszystkich razem i każdego z osobna, że należy tego dnia siedzieć w domu.

Gdyby „jastrzębie” z Jerozolimy okazały się konsekwentne w ignorowaniu Rajmunda, dzień upłynąłby bez incydentów. Ale Gwidon i Sybilla doszli do wniosku, że z kimś tak potężnym trzeba jednak spróbować jakoś się dogadać, i wysłali na północ odpowiednio szlachetną delegację mającą nieco przygłodzić jego nastroszone piórka. Ledwie posłowie wjechali w granice Galilei, posłaniec z Tyberiady przyniósł wiadomość o dziwnej, jednodniowej inwazji i zaleceniu Rajmunda, aby nie pchać się gościom w oczy. Część z posłów skłonna była uznać, że takie układanie się z wrogiem w wykonaniu mówiącego biegle po arabsku i mocno zasymilowanego hrabiego jest dowodem na odstępstwo od wiary Inni, w tym i Gerard z Rideford, zareagowali mniej więcej tak samo, jak byk na widok czerwonej płachty. Wraz ze swoim towarzyszem, mistrzem zakonu szpitalników, Gerard ściągnął tylu rycerzy zakonnych, ilu było ich w okolicznych majątkach. W południe 1 maja oddział około 130 zbrojnych ruszył na północ, w kierunku Nazaretu, aby szukać zwady.

Oddział muzułmański, dowodzony przez Kukburiego, doświadczonego emira Harranu, liczył siedem tysięcy ludzi, konnych łuczników i lekkiej jazdy. Nawet, jeśli kronikarze przesadzili, siły gości z pewnością znacznie przewyższały potencjał samozwańczych obrońców Galilei. Zgodnie ze słowem danym Rajmundowi, oddział Saladyna sforsował bród na Jordanie dokładnie o wschodzie słońca i ruszył wyciągniętym kłusem przez Galileę, uważając przy tym, aby nie trącać upraw i nie niszczyć niczyjej własności. Bez wątplenia

chodziło przede wszystkim o rozpoznanie terenu przyszłych walk. Późnym popołudniem zatrzymali się, aby napoić konie w strumieniu Cresson, tuż poniżej Kany. Dopiero wówczas templariusze i szpitalnicy, którzy dotarli właśnie na wzgórze za Nazaretem, ujrzeli, jak liczny jest ich przeciwnik. Mistrz szpitalników zasugerował, aby w tej sytuacji postawić może raczej na cnotę rozsądku. Podobnego zdania był marszałek zakonu templariuszy, Jakub z Mailly. W odpowiedzi wielki mistrz Ridefort zakpił sobie: „Tak miłujesz swoją blond głowę, że nie chcesz jej stracić!” Zawstydzeni, jedyni dwaj rozsądni ludzie w całym oddziale przystali do większości i wraz z nią pognali po zboczu na masę muzułmańskiej jazdy. Był to samobójczy atak, godny raczej asasynów, i jego wynik łatwy był do przewidzenia. Tylko trzech rycerzy, w tym Gerard z Ridefort, uszło z życiem z tej walki.

Rajmund przebywał wówczas w swojej fortecy w Trypolisie i wypatrywał w gasnącym świetle dnia oddziału Kukburiego, który powinien przejeżdżać w pobliżu, w drodze do granicy Galilei. Gdy ujrzął ich wreszcie, ulga szybko zamieniła się w konsternację wywołaną widokiem dziesiątków głów templariuszy i szpitalników zatkniętych na ostrzach włóczni. Nowiny o masakrze rozeszły się lotem ptaka, skłaniając króla Gwidona do powołania pod broń wszystkich, którzy byli zdolni do jej noszenia. Wielkie sumy przekazane przez angielskiego króla Henryka II (w ramach zadłużenia za zamordowanie Tomasza Becketa) zostały spożytkowane na zakup pancerzy i opłacenie

najemników. Przerażony skutkami swojego flirtu z Saladynem Rajmund dołączył do króla w Akce, wielkim ufortyfikowanym porcie, który został zamieniony w miejsce koncentracji największej armii wystawionej kiedykolwiek przez Outremer. Przygotowania trwały do końca czerwca. Następnie łacinnicy skierowali się przez Dolinę Bet Netofa na wschód. Było wśród nich około tysiąca dwustu pancernych, sporo lżejszej jazdy i około dziesięciu tysięcy pieszych, wspomaganych przez kuszników italskiej floty handlowej. Biskup Akki zabrał ze sobą relikwię zwaną Prawdziwym Krzyżem (kawałek drewna, wedle powszechnego przekonania będący fragmentem tego samego krzyża, na którym umarł Jezus). Zasadniczo na miejscu biskupa powinien znaleźć się patriarcha Jerozolimy, Herakliusz, ten jednak w charakterystyczny dla siebie sposób wykręcił się od wyprawy.

1 lipca 1187 roku Saladyn przeszedł Jordan z siłą znacznie potężniejszą od armii łacinników, szacowaną na dwanaście tysięcy jazdy i trzydzieści tysięcy piechoty. I to też była największa formacja, jaką kiedykolwiek dowodził, złożona z oddziałów przybyłych ze wszystkich zakątków imperium. Byli w niej Kurdowie, Turcy, Egipcjanie, Jemeńczycy, wojownicy z Damaszku, Aleppo, Mezopotamii. Towarzyszyły im tysiące religijnych zapaleńców, którzy zgłaszali się jako ochotnicy na każde starcie z chrześcijanami. Jedna armia maszerowała od wybrzeża Morza Śródziemnego na wschód, druga od Jeziora Tyberiadzkiego na zachód. Te surowe

ziemie mogły utrzymać tak wielkie masy wojska ledwie przez kilka dni.

Seforis, miasto z rzymskich i bizantyjskich czasów, którego ruiny znaleziono na terenie obecnego moszawu Zippori, znajdowało się nad południową krawędzią Doliny Bet Netofa. Pośród ruin odkryto niedawno mozaikową podłogę ze scenami pogańskich bachanaliów. Za czasów rzymskich było stolicą Galilei i domem Anny i Joachima, rodziców Maryi. W latach tuż przed narodzeniem Chrystusa mocno się rozbudowywało, co nasuwa przypuszczenie, że właśnie możliwość znalezienia pracy zachęciła Józefa do osiedlenia się w pobliskim Nazarecie. W pierwszym wieku naszej ery, podczas buntu ludności żydowskiej przeciwko rzymskiej okupacji Judei, miasto uniknęło zniszczenia przez wojska Tytusa Flawiusza, ponieważ nie przyłączyło się do rebelii. Jeszcze później przeniósł się do Seforis Sanhedryn, najwyższy sąd żydowski, a jeden z jego członków ukończył tu Misznę (zbiór tekstów istniejących wcześniej w przekazie ustnym), która stała się podstawą judaizmu rabinicznego. W czasach łacinników miasto było niemal wyludnione, przytłoczone przez odległą o dwadzieścia pięć kilometrów Tyberiadę, która stała się głównym ośrodkiem Galilei. Krzyżowcy docenili jednak strategiczne i historyczne znaczenie Seforis, stawiając na akropolu niewielki fort (przy czym użyli rzymskich sarkofagów w roli materiału budowlanego) oraz skromny kościół pod wezwaniem Anny i Joachima, którego ruiny znajdują się obecnie na terenie klasztoru prowadzonego przez włoskie zakonnice.

O lokalizacji miasta zdecydowało to, co zwykle brane bywało pod uwagę - naturalne warunki obronne oraz źródło, które dawało szansę na długie przetrwanie. Te same powody wzięła pod uwagę łacińska armia, rozbijając tu obóz 2 lipca 1187 roku. Ludzie i konie mogli odpocząć w cieniu i względnym bezpieczeństwie, a ewentualny atak łatwo byłoby odeprzeć. Każdy, kto próbowałby blokować głęboką na pięćdziesiąt metrów dolinę, musiałby rychło odstąpić z gorąca. O tym też mówił Rajmund podczas wieczornej narady wojennej. Wprawdzie doszły ich już wieści, że Saladyn zdobył niższe miasto Tyberiady i że Eschiwa, żona Rajmunda, znajduje się w oblężonym zamku, jednak w niczym to nie zmieniło podejścia władcy Trypolisu. Znał Saladyna i wiedział, że nie robi krzywdy damie, a jeśli nawet ją uwięzi, to wypuści po zapłaceniu zwyczajowego okupu. Rajmund argumentował, że całe to oblężenie to nic innego, jak próba wyciągnięcia armii łacińskiej z cienistych i chłodnych pozycji w Seforis na spaloną słońcem ziemię doliny wiodącej do Tyberiady<sup>53</sup>. Król Gwidon zrozumiał sens jego słów i rozkazał rozłożyć się obozem, z nadzieją, że Saladyn spróbuje zaatakować ich w tym miejscu i padnie ofiarą upału. Na tym zakończono naradę.

Nocą zjawił się w czerwonym namiocie króla Gerard z Ridefort, najbardziej zaciekły spośród wrogów Rajmunda. On nic nie rozumiał. Dla templariusza hrabia Trypolisu był tylko i wyłącznie zdrajcą, który na dodatek skompromitował się, czyniąc układy z Salady-nem. Ponad stu dzielnych braci zakonnych żyłoby na-

dal, gdyby nie skandaliczna zgoda Rajmunda na przemarsz niewiernych przez jego ziemie. Na dodatek ten podły człowiek, dodał Gerard, nie zamierzał ratować nawet własnej żony.

Jako wojownik Gerard zaczął przekonywać Gwidona, że szkoda tracić czas na chowanie się przed wrogiem, mając tak doborową i gotową do ataku armię. Wsparł to groźbą wycofania poparcia templariuszy dla króla, co mogło być bolesne, zważywszy, jak mało popularny był Gwidon w Outremer. Nie wiadomo, czy Renald z Châtillon był obecny przy tej rozmowie, nikt jednak nie miał podstaw wątpić, że w razie potrzeby wsparłby Gerarda. Król poddał się naciskowi. Żołnierze, którzy poszli spać, myśląc, że rano przyjdzie im się okopywać, zostali zbudzeni przed świtem i usłyszeli rozkaz wymarszu do Tyberiady.

Gdy ten i ów zaczął wypytywać o szarym poranku, skąd ta nagła zmiana decyzji, król miał odkrzyknąć: „Nie wam pytać, za czyją radą tak robię. Waszą sprawą jest dosiadać koni i natychmiast wyruszać do Tyberiady”. Łacinnicy zebrali się wkoło źródła Seforis i sformowali trzy osobne kolumny. Rajmund objął dowództwo straży przedniej, co było logiczne, skoro armia miała maszerować przez jego ziemie. Król Gwidon i Renald, wraz z relikwią Prawdziwego Krzyża, mieli prowadzić środkową część armii. Tylną straż, która podczas przemarszu zawsze jest najbardziej narażona na szwank, tworzyli templariusze i szpitalnicy dowodzeni przez swoich mistrzów i wielkiego barona, Baliana z Ibelinu. Piechota, łucznicy i kusznicy w sztyw-

nych, skórzanych pancerzach, stworzyli po bokach kolumn ścianę żywych tarcz mających chronić ciężką jazdę. Okryte pancerzem wierzchowce, które zgodnie ze średniowieczną sztuką wojenną pełniły podobną rolę jak znacznie później czołgi, zachowywano do miażdżącej i niemożliwej do powstrzymania szarży. Lżejsza jazda, którą tworzyli głównie turkopole oraz miejscowi, siłą nawróceni na chrześcijaństwo, krążyła na skrzydłach, gotowa do odparcia nagłego wypadu przeciwnika.

Armia weszła w dolinę i wschodzące słońce swym odbitym blaskiem zapaliło niby żywym ogniem pancerze i tysiące mieczy. Wystawieni przez Saladyna strażnicy skoczyli na koń i pogalopowali z wieścią do obozu rozłożonego na wzgórzach za Nazaretem. Jak dotąd sztuka wojenna Zamorza opierała się na udanych albo zaniechanych oblężeniach i takim manewrowaniu armią, aby nie musiała staczać bitew na otwartym polu. Tego dnia Saladyn zaryzykował. Wiedział, że układ sił przemawia na jego korzyść. Rozdzielił armię. Prawe skrzydło powierzył swemu zdolnemu krewniakowi, Taki ad-Dinowi, któremu rozkazał zająć pozycję na wzgórzach na północy doliny Kukburi miał się przekraść po cichu na tyły łacinników. Główne oddziały, pod wodzą Saladyna, podeszły bliżej do południowej krawędzi Bet Netofa, w miejsce ponad wioską Lubijja. Na zachodzie widać było już kłęby kurzu wzbijanego przez maszerujących powoli starą rzymską drogą chrześcijan. Saladyn wiedział, że nigdy więcej nie zdarzy mu się dowodzić tak wielką siłą oraz, co nawet



ważniejsze, że zakuci w żelazo ludzie zza morza nie popełnią drugi raz błędu czyniącego ich tak łatwym celem.

Ataki zaczęły się niemal natychmiast. Z początku nieregularne, w miarę upływu dnia przeszły w nieustanne nękanie łacinników. Łucznicy Kukburiego wyjechali spomiędzy wzgórz i zajęli się tyłami i flankami przeciwnika. Ich strzały nadlatywały pod dużym kątem, rażąc nawet wierzchowce w głębi kolumn. Inni żołnierze ostrzeliwali boczne szeregi, wycofując się szybko, zanim kusznicy zdążyli naładować swoją groźną, ale powolną w obsłudze broń. Im wyżej wznosiło się słońce, tym częstsze stawały się podobne ataki. Łacinnicy wysuszyli już do dna swoje bukłaki i opuścili głowy, często najeżone strzałami, które trafiły, ale nie zdołały przebić stali ani wzmocnionej skóry hełmów.

Blisko południa kolumny dotarły do grzbietu Tauran, który zaczęły omijać, zostawiając po swojej lewej stronie. U podnóża wapiennego urwiska rozłożyła się arabska wioska o tej samej nazwie (istniejąca zresztą do dziś). Soczysta zieleń drzew dawała widoczny znak, że musi się tam kryć źródło, jednak rozkaz był jasny - maszerować dalej na wschód, trzymać się drogi. Ludzie mieli zaspokoić narastające pragnienie dopiero wieczorem, po dotarciu do Jeziora Tyberiadzkiego. I kolumny pomaszerowały dalej, wprost w falujące nad bezwodną równiną, rozgrzane powietrze. Widząc ten oczywisty błąd przeciwnika, Kukburi pchnął wszystkie swoje oddziały na teren za łacinnikami, aby uniemożliwić im odwrót do życiodajnego źródła Tauranu. Ataki znowu

się nasiliły, niepokojące dźwięki bębnów i czyneli wracały odbite echem od wzgórz, podczas gdy kolejne fale kurdyjskich łuczników i lekkiej jazdy najeżdżały tylne szeregi chrześcijan. W dolinie z wolna narastał chaos. Rycerze zakonni i piechota musieli iść tyłem, aby chronić wierzchowce przed niespodziewanymi atakami. W końcu templariusze i szpitalnicy wysłali gońców do króla, prosząc go, aby zatrzymał pochód. Wtedy mogliby dosiąść koni i unieszkodliwić nękającego ich wroga. Gdy słońce znalazło się w zenicie, łacinnicy stanęli. Znajdujący się kilka kilometrów z przodu Rajmund przeklinał głupotę swoich rodaków.

Kontratak nic nie dał. Przeciwnik ginął błyskawicznie z oczu, zmuszając rycerzy do bezowocnych poszukiwań w oślepiającym blasku słońca. Zakonnicy wrócili z niczym do szeregów i armia ruszyła dalej. Tymczasem ludzie Saladyna, z pomarańczowymi i żółtymi proporcami, zaatakowali środkową kolumnę. Rajmund zaczął błagać Gwidona, aby zostawić piechotę z tyłu i wykorzystać jazdę do uczynienia wyłomu. Bez powodzenia, chociaż to właśnie była ich jedyna szansa. Maszerowali dalej. Ludzie ślaniali się, konie kwiczały trafiane i padały, wypuszczający roje strzał muzułmanie krzyczeli, jakby pewni byli zwycięstwa. Popołudnie ciągnęło się, a Galilea zaczęła przypominać rozżarzony piec. Rajmund nie miał już wątpliwości, że w ten sposób nigdy nie dotrą do Tyberiady, i zmusił Gwidona do zmiany trasy. Mieli zostawić łagodny stok doliny i skierować się po niebezpiecznej stromiźnie na północny zachód, w stronę wioski Hittin i tamtejszego

źródła, które było jedynym wodopojem dzielącym ich obecnie od Stwórcy. Gdy hrabia zbierał rycerzy do otwierającej drogę szarży, z ukrycia wypadł Taki ad-Din z tysiącami swoich wojowników i zablokował skutecznie szlak na Hittin. Obserwujący całą walkę ze szczytu wzgórza Saladyn chciał zatrzymać niewiernych tam, gdzie byli - na otwartej przestrzeni, umierających od ran, bliskich obłędu z pragnienia.

Szarża Rajmunda nigdy nie doszła do skutku. Dowodzący tylną strażą Balian przekazał królowi, że jego ludzie są już przemęczeni i nie dadzą rady dłużej walczyć. Trzeba rozbić warowny obóz. W pobliżu wioski Lubijja, leżącej w połowie drogi między Seforis a Tyberiada, król Gwidon wydał stosowny rozkaz. Mieli zatrzymać się tu na noc. Gdy tkwiący przy przedniej straży Rajmund o tym usłyszał, wykrzyknął: „Och! Wielki Boże, walka skończona! Zostaliśmy zdradzeni i zgniemy! Oto koniec królestwa!”

Po dawnej wiosce Lubijja nie został nawet ślad. Obecnie znajdują się w tym miejscu pola uprawne kibucu Lavi założonego przez niemieckich i austriackich Żydów, którzy najpierw uciekli przed Zagładą do Anglii, a w 1949 roku osiedlili się w Galilei. Uprawiają dziś owies, jęczmień, słoneczniki i bawełnę. W ich sadach rosną grusze, liczi i migdałowce. Wielki warsztat pośrodku kwartału mieszkalnego produkuje wyposażenie synagog dla całego Izraela. Kierujący kibucem dobroduszny Aszer Aldubi wie świetnie, co stało się kiedyś w tej okolicy. „Ciągłe widzimy turystów przyjeź-

dżających oglądać Rogi - mówi. - Głównie muzułmanów. Chrześcijanie... może się wstydzą?”

Część doliny, przez którą 3 lipca 1187 roku przechodzili krzyżowcy, znajduje się właśnie na terenie pól uprawnych kibucu Lavi. Na niemal niedostrzegalnym wzniesieniu zachowały się fragmenty rzymskiej drogi - nieco obrobione w klasycznym stylu kamienie skryte pośród wysokich traw. Wzdłuż nich biegnie linia wysokiego napięcia. Na północy, w odległości około dwóch kilometrów, bieleje skalna ściana góry Tauran, równie daleko jest do leżących na południu wzniesień w pobliżu Nazaretu. Muzułmanie, by zbliżyć się do przeciwnika, musieli przejść przez ten otwarty teren.

Dokładnie w kierunku marszu teren opada nieco, aby przejść w porośnięte rzadkim lasem zbocze wzgórza oznaczającego koniec otwartej przestrzeni. Gdzieś na zachód od tego wzgórza, tam gdzie obecnie znajdują się zabudowania kibucu, wyczerpany Gwidon rozkazał rozbić obóz. Wzgórze to może jednak zmylić. Po drugiej jego stronie teren nie opada, tylko wznosi się stopniowo i przechodzi w step porośnięty suchą trawą i powykręcany krzewami. Ziemia też się zmienia, porowaty piaskowiec ustępuje miejsca twardemu bazaltowi. Zwieńczeniem jest wzgórze o charakterystycznej sylwetce, niemożliwe do pomylenia z żadnym innym: Rogi Hittinu. Formacja ma kształt siodła z dwoma brunatnymi, porośniętymi trawą wierzchołkami przypominającymi łąki. Nieprzesadnie wysoka ani trudna do zdobycia, gruntowa droga dochodzi prawie dwadzieścia metrów pod zagłębienie między rogami - zagłębienie to

jest szerokie na mniej więcej pół kilometra. W szczelinach szarej, wulkanicznej skały rosną samotne, przypominające opuncje kaktusy. W trawie poniewierają się odchody gazeli, pokrzykują polatujące po okolicy dudki. Poza dziwnymi rogami wzgórze nie ma w sobie nic niezwykłego. Warto jednak w tym miejscu spojrzeć na wschód, by zobaczyć, jak ukształtowanie tego terenu sprzysięgło się przeciwko krzyżowcom.

Rogi Hittinu wyrastają dokładnie na uskoku syryjsko–afrykańskim. Ciągnie się on od Antiochii nad Orontesem aż po Mozambik. Przez to właśnie z drugiej strony wzgórza otwiera się widok niczym z samolotu: na północy sięga aż po Liban, widać też odległe, wyższe i niższe pasma górskie oraz bielejący na horyzoncie wierzchołek góry Hermon. Dokładnie na wschód od Rogów wyrastają Wzgórza Golan. Widać też ciągnącą się dalej równinę. Między Rogami Hittinu a Wzgórzami Golan znajduje się skaliste zagłębienie uskoku i wypełniające je Jezioro Tyberiadzkie. Jego głębokość sięga miejscami prawie 42 metrów. Widziane z góry jawi się nie tylko jako piękne, ale i w pewien sposób niezwykłe. Oto woda, której tak bardzo brakuje na wyżynach i której ogrom każdy, kto wejdzie na Rogi Hittinu, może ogarnąć jednym spojrzeniem. Dla spragnionych krzyżowców musiał to być straszny i przyprawiający o szaleństwo widok. To było to, co mogło ich uratować. Niestety, woda pozostawała całkowicie nieosiągalna.

Noc spędzona na zachód od Lubijji była dla łacinników prawdziwą męczarnią. Muzułmanie podkradli się pod osłoną ciemności i otoczyli obóz tak ciasnym

pierścieniem, że wedle jednego z kronikarzy nawet kot by się nie prześliznął, po czym podchodzili do granicy blasku rzucanego przez ogniska łacinników i ostentacyjnie wylewali na ziemię strumienie wody, aby wpędzić spragnionych chrześcijan w jeszcze większą rozpacz. Niekończący się rząd wielbłądów dowoził nieustannie zarówno bukłaki z wodą, jak i nowe strzały, które tysiącami spadały z ciemności na rycerzy niczym śmiercionośny deszcz. Oblężonym zostały już tylko modlitwy do relikwii Prawdziwego Krzyża o cud, który zapobiegłby porannej zagładzie ich armii. Mistycy i różni entuzjaści dżihadu towarzyszący armii Saladyna spędzili tę noc na zbieraniu kawałków drewna i suchej trawy. Podpalili je później, posyłając w stronę obozu przeciwnika kłęby duszącego dymu. Pragnienie, spadające nieoczekiwanie z nieba strzały, dym oraz nieustanne krzyki i śpiewy muzułmanów słyszane z tak bliska odbierały wolę walki spragnionym do nieprzytomności, niewyspanym, umęczonym i coraz bardziej przerażonym rycerzom, którzy ledwie poprzedniego dnia sprawnie wymaszerowali z Seforis.

Poranek 4 lipca 1187 roku wstał gorący i bezwietrzny. Ludzie Saladyna cofnęli się, zostawiając przejście, przez które łacinnicy mogli wznowić daremny marsz w kierunku Tyberiady. Zatem ruszyli na wschód, prosto w unoszące się z wolna nad Rogami Hittinu słońce. Drogę przed nimi zasnuwał dym z płonących krzewów. Gdy upał znów stał się nieznośny, muzułmanie nasilili ataki na tyły i skrzydła kolumn z niezwykłą zawziętością. Król Gwidon i jego ludzie

nie tyle przeszli przez wzgórze nad Lubijją, ile przepel-  
zli tamtędy, wspierając się na rękach. Piechota, która  
była najbardziej wystawiona na ataki i musiała na doda-  
tek chronić wykruszającą się konnicę, znalazła się u  
kresu wytrzymałości. Najpierw w pojedynkę, potem  
grupami, ci i owi zaczęli rzucać się do panicznej  
ucieczki, aby tylko wyrwać się z tej rozpalonej, falują-  
cej żarem gorączki, znaleźć wodę i jakieś bezpieczne  
miejsce. Jedyna otwarta droga wiodła w górę, w kie-  
runku Rogów Hittinu. Gdy tam docierali, stawali bez-  
radni i wpatrywali się w odległe Jezioro Tyberiadzkie.  
Droga w dół, po niebezpiecznie stromym stoku, była  
zablokowana przez wojska Saladyna. Posłaniec królew-  
ski kazał uciekinierom wracać do szeregów, oni jednak  
położyli się na ziemi, obojętni już na wszystko i bez sił.  
Jeden nich miał odpowiedzieć: „Nie zejdziemy, bo  
umieramy z pragnienia i nie będziemy walczyć”.

Rajmund zgromadził wkoło siebie rycerstwo z za-  
miarem uderzenia na Kurdów: chciał w ten sposób  
przebić się do wąwozu, który biegł w pobliżu północ-  
nego Rogu i prowadził do wioski Hittin. Jego szarża  
przeszła jakby bez echa - zdyscyplinowane formacje  
Taki ad-Dina rozstąpiły się przed zdesperowanymi ry-  
cerzami, przepuściły ich i ponownie zwały szyki.  
Rajmund i jego ludzie pognali przed siebie po stromiż-  
nie. Nie mieli szansy zawrócić i pomóc towarzyszom.  
Uciekli bezpiecznie, ale za cenę honoru. Znaleźli drogę  
przez wyżynę i skręcili na północ, w kierunku Morza  
Śródziemnego. Nie minął jednak rok, jak Rajmund roz-

stał się z życiem. Jego wrogowie powiadali, że zabił go wstyd.

Tymczasem reszta armii znalazła się w całkowitym okrążeniu. Gwidon rozbił swój namiot na Rogach Hitinu - miał on posłużyć za punkt zborny. Łacinnicy podejmowali nowe próby przebicia się przez masy atakujących wojowników, mając nadzieję dopaść samego Saladyna. Konnica Taki ad-Dina uderzyła na nich, kierując się ku relikwii Krzyża Świętego trzymanej wysoko przez biskupa Akki. Duchowny zginął, próbując bronić świętości, którą Taki ad-Din triumfalnie zabrał ze sobą. Piętnastoletni syn Saladyna, Al-Afdal, który znajdował się wówczas u boku ojca, tak to zapamiętał:

*Król frankijski wycofał się na wzgórze wraz ze swoim oddziałem i stamtąd poprowadził szaleńczy atak przeciwko stawiającym mu czoło muzułmanom, zmuszając ich do odwrotu w stronę mojego ojca. Widziałem, że był blady na twarzy i półprzytomny, gdy pociągnął za brodę i krzyknął, postępując naprzód: „Precz z diabelskim kłamstwem!” Muzułmanie odwrócili się do kontrataku i zapędzili Franków z powrotem na wzgórze. Gdy zobaczyłem Franków cofających się przed muzułmanami, krzyknąłem z radości: „Pobiliśmy ich!” Oni jednak wrócili, atakując dwakroć energiczniej, i odrzucili nasze wojska w kierunku, gdzie stał mój ojciec. Jego odpowiedź była taka sama jak wcześniej i Frankowie powrócili na wzgórze. Znowu krzyknąłem: „Pobiliśmy ich!”, ale mój ojciec odwrócił się do mnie i powiedział: „Milcz, nie będą pobici, póki królewski namiot nie runie!” Gdy to mówił, królewski namiot runął,*



*a sułtan zsiadł z konia i łkając z radości, padł na ziemię, aby podziękować Bogu.*

Król Gwidon i jego ludzie też padli, ale ze zmęczenia. Wysłannik Saladyna znalazł ich leżących i dyszących bez siły. Trzeba było pomóc wielkim panom Outremer stanąć na nogi, a potem sprowadzić ich po zboczu zasłanym martwymi i umierającymi. Saladyn czekał w swoim namiocie. Podał królowi Jerozolimy puchar różanej wody schłodzonej śniegiem z góry Hermon. Gwidon wypił potężny łyk i przekazał naczynie Renaldowi z Châtillon. Sułtan skrupulatnie przypomniał, że to nie on sam zaproponował wodę Renaldowi - taki gest bowiem, zgodnie z regułami arabskiej gościnności, oznaczałoby, że Renaldowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Saladyn zwrócił się następnie do Renalda, zarzucając mu nieustanne naruszanie rozejmu i bezbożne rozbójnictwo. Zaproponował mu jednak darowanie życia, jeśli przejdzie na islam. Stary rycerz odmówił, do końca zachowując się hardo i agresywnie. Wówczas Saladyn uniósł miecz i wbił go głęboko w ramię Renalda. Chwilę później strażnik sułtana strącił łacinnikowi głowę. Przerażony Gwidon padł na kolana. Gdy usunięto już ciało, Saladyn uspokoił go, mówiąc: „Król nie zabija króla”.

Saladyn darował miłosiernie życie wszystkim ledwo zipiącym świeckim baronom. Zostali ostatecznie uwolnieni, w zamian za spore sumy pieniędzy. Miłosierdzia nie okazano tylko rycerzom zakonnym, templariuszom i szpitalnikom. Sułtan miał ich za zaprzysięgłych wrogów, rzeczników wiecznej wojny z mu-

zułmanami. Wcześniejsze doświadczenia pokazały, że nie pozwalali wymienić się na okup, a sprzedani, okazywali się wyjątkowo krnąbrnymi niewolnikami. Żywi i w niewoli byłiby jednym wielkim kłopotem. Saladyn miał nagrodę dla ochotników, którzy z własnej woli wzięli udział w dżihadzie - przekazał w ich ręce około dwustu zakonników. Zostali ścięci po kolei, przy czym ich śmierć była czasem wyjątkowo okrutna, kaci bowiem nie byli profesjonalistami. Z życiem uszedł tylko Gerard z Ridefort, główny architekt, można powiedzieć, klęski pod Hittinem. Oszczędzono go w uznaniu jego wysokiej rangi oraz w nadziei, że może być przydatny jako karta przetargowa w przyszłych kampaniach. Jeśli chodzi o tysiące zwykłych żołnierzy, którzy przeżyli bitwę, to skuto ich razem i długą, żalostną kolumną wyprowadzono z Galilei. Trafili na targ w Damaszku. Tak ogromny napływ niewolników mocno zepsuł rynek i spowodował drastyczny spadek cen. Jak powiadano, doszło do tego, że jeden mężczyzna kosztował tyle co para sandałów.

Kibuc Lavi nie został wzniesiony jako pomnik upamiętniający bitwę. Samo wzgórze zwane Rogami Hittinu, niezmiennione i łatwo rozpoznawalne, jest w tym przypadku wystarczającym monumentem. W wąwozie, którym umknął Rajmund z Trypolisu, w cieniu północnego rogu, stoi obecnie wielkie druzyjskie seminarium. Oślepiająco białe mury wznoszą się w miejscu, które wedle wierzeń jest grobem Jetry, teścia Mojżesza. Obok rozciąga się pełen poobijanych samochodów parking, dziewczęta i chłopcy kręcą się między

stolikami prowizorycznej kafejki. Na trawiastym zboczu południowego rogu dostrzec można stelę, która okazuje się wprawdzie chrześcijańska, ale niepowiązana z Outremer. Wyryty został na niej cytat z Ewangelii według świętego Marka (3,13), w którym Jezus przywołuje wiernych na górę. Dodatkowa inskrypcja wyjaśnia, że zdaniem parafian z Kościoła Proroctwa w Cleveland w stanie Tennessee tutaj właśnie zostało wygłoszone Kazanie na Górze. Być może Rogi Hittinu są Górą Ośmiu Błogosławieństw. Na razie uznaje się dość powszechnie, że tym miejscem jest inne wzniesienie, w pobliżu Kafarnaum, na północnym brzegu Jeziora Tyberiadzkiego. Tam też kierują się pielgrzymi i turyści. Byłoby jednak szczególną ironią historii, gdyby to na Hittinie padło po raz pierwszy zdanie: „Błogosławieni pokój czyniący”.

Gdyby chcieć przypisać miano „czyniącego pokój” któremukolwiek z uczestników rzezi pod Rogami Hittinu, najprędzej zasłużyłby na nie Saladyn. Wszystkie działania, które podjął zaraz po bitwie, nacechowane były głęboką rozważą, co wzmocniło jeszcze jego znakomitą reputację, tak że zachodni bardowie próbowali potem doszukiwać się w jego genealogii chrześcijańskiej matki albo babki. W następnych miesiącach Saladyn robił, co tylko mógł, aby unikać długich oblężeń. Chętnie przyjmował kapitulacje i honorował skrupulatnie wszystkie ich warunki, pozwalając spokojnie odejść tym, którzy opuszczali warownie. Większość łacińskich żołnierzy znajdowała się w niewoli, ludność cywilna miast była o krok od rewolty, tak więc Askalon, Jaffa,

Akka i Sydon znalazły się szybko w jego rękach. Łacinnikom zostały tylko Trypolis i Tyr. Fortece szpitalników, jak Al-Markab i Krak des Chevaliers, były zbyt potężne, aby dało się je zdobyć bez długiego i krwawego oblężenia, zakonnicy wiedzieli zaś, że nie mogą liczyć na miłosierdzie sułtana. Niemniej zaatakowano cytadelę w Tartus i kościół pod wezwaniem Naszej Pani z Tortosy.

Największa nagroda, dla której zrodziły się i wyprawy krzyżowe, i dżihad, została zdobyta po krótkim oblężeniu pod koniec września 1187 roku. W piątek, 2 października, albo w dwudziestym siódmym dniu miesiąca radża, dokładnie w rocznicę nocnej podróży Proroka do nieba, Saladyn wkroczył do Jerozolimy. Al-Haram asz-Szarif znowu stało się miejscem świętym. Zerwano wielki krzyż ze szczytu Kopyły na Skale, a kazalnica Nur ad-Dina znalazła wreszcie swoje miejsce w meczecie Al-Aksa (gdzie dotrwała aż do 21 sierpnia 1969 roku, kiedy to pewien szalony Australijczyk zniszczył ją za pomocą bomby domowej roboty). W całym mieście usuwano radośnie ślady chrześcijańskiej obecności.

Wobec ludności łacińskiej, która drżała ze strachu przed zemstą za zbrodnie pierwszej krucjaty, Saladyn okazał się bardzo łagodny. Wygrał również propagandowo, i to w sposób, który do dzisiaj robi wrażenie. Zgodnie z warunkami kapitulacji, wynegocjowanymi z Balianem z Ibelinu (który uciekł spod Hittinu), każdy łacinnik mógł się wykupić niewielką sumą i wyjechać bez przeszkód wraz z całym dobytkiem do Tyru. Za

tych, którzy byli zbyt biedni, aby zapłacić cokolwiek, okup składał sam sułtan albo jego brat. Wprawdzie skarbnik Saladyna zaprotestował, ujrawszy Herakliusza i Madame la Patriarchesse, którzy po wniesieniu skromnej opłaty ruszyli w drogę z wozami wypełnionymi bogatymi szatami i drogocennymi naczyniami, sułtan jednak nie odstąpił od umowy (pałac Herakliusza przekazał później sufim). Zaprosił ortodoksyjnych chrześcijan, aby pozostali w Jerozolimie, i przekazał im Bazylikę Grobu Pańskiego, z której zostali wypędzeni przez łacinników w 1099 roku. Świątynia, zwana czasem przewrotnie Kościołem Odmowy (co wzięło się z arabskiego kalamburu, w którym zmartwychwstanie - *al-kijama*, podobne jest do odmowa - *al-kumama*), została zachowana, ponieważ nie było sensu jej burzyć. Wszyscy wiedzieli, że chrześcijanie i tak będą pielgrzymować do tego miejsca, czy pozostanie tam jakiś kościół czy nie. Sułtan ponownie osadził w Jerozolimie Żydów, których nie było tam od czasu masakry po zdobyciu miasta przez pierwszą krucjatę.

Dla Outremer utrata Jerozolimy była dopełnieniem klęski pod Rogami Hittinu. Łacińska obecność w Lewancie została zredukowana do kilku punktów na wybrzeżu i garści odizolowanych fortec, których przetrwanie było całkowicie zależne od Europy. Państwa w Syrii i Palestynie upadły, majątki ziemskie wróciły pod kontrolę muzułmanów. Próby zmiany tej sytuacji przez armie przybyłe morzem z Francji, Brytanii i Niemiec nic nie dały. Przybysze odnosili wprawdzie czasem zwycięstwa, ale ich skutki zawsze okazywały

się efemeryczne. Król Ryszard Lwie Serce, który wziął udział w osławionej trzeciej krucjacie, zorganizowanej przeciwko Saladynowi krótko po bitwie pod Rogami Hittinu, odzyskał kilka portów, ale nie udało mu się zdobyć Jerozolimy. Niecałe stulecie później król Francji Ludwik IX (święty Ludwik) poniósł jeszcze bardziej spektakularną klęskę w Egipcie i Tunezji, ginąc ostatecznie podczas bezowocnego ataku w Ifrikiji. W 1291 roku, po wielu pokoleniach narastającej wrogości, łacinnicy po długim oblężeniu opuścili ostatni skrawek Outremer: Akkę (zwaną przez nich Akrą od St. Jean d'Acre). Krzyżowcy ostatecznie zniknęli z Lewantu, nie umarła jednak sama idea krucjat.

Zwycięstwo pod Hittinem zapewniło Saladynowi trwałe miejsce w historii morza wiary. Lecz założona przez niego dynastia Ajjubidów (od *Ibn Ajjub*, syn Hioba) przetrwała zaledwie osiemdziesiąt lat, a jego brat, synowie, a potem kolejni spadkobiercy rozdarli ostatecznie państwo na drobne państewka, pośród których Zanki poczułby się jak w domu. W dzisiejszej Jerozolimie pamięć sułtana nie jest szczególnie mocno kultywowana. Można trafić na jego ślad w krzyżowym kościele Świętej Anny (wzniesionym w miejscu, gdzie wedle kolejnego przekazu mieszkać mieli Joachim i Anna, rodzice Maryi), przy którym znajduje się biblijna sadzawka Bethesda. Odrestaurowana świątynia wita wiernych dwunastowieczną inskrypcją nad wejściem informującą, że to właśnie Saladyn przekształcił go kiedyś w madrasę. Historia nie uszanowała jego decyzji. W dziewiętnastym wieku osmańscy Turcy przeka-

zali kościół z powrotem Francuzom, swoim sojusznikom podczas wojny krymskiej. W mniej zmiennej i znacznie hałaśliwszej Jerozolimie Wschodniej znajduje się ulica Saladyna, palestyńska aleja handlowa, która biegnie od północnego muru Starego Miasta do Bramy Damasceńskiej.

I to właśnie w Damaszku pamięć o Saladynie jest obecnie najżywsza. Tuż przed meczetem Umajjadów wznosi się mauzoleum wielkiego Kurda, który zmarł w Damaszku w 1193 roku, nadal jako sułtan, chociaż prawie bez grosza. Cały majątek wydał na realizację różnych zbożnych dzieł. Jego średniowieczne miejsce spoczynku, bogato rzeźbiony grobowiec, jest obecnie eksponowane w szklanej gablocie. Na jego miejscu ustawiono marmurowy sarkofag ufundowany przez Rzeszę Niemiecką z okazji wizyty cesarza Wilhelma II w 1898 roku. Był on wówczas jednym z wielu sępów krążących wokół upadającego imperium osmańskiego. W ten sposób Saladyn doczekał się dwóch grobów, co pasuje do jego roli w historii. O wiele żywsza była przez wieki pamięć o nim na Zachodzie. Jeśli chodzi o okres krucjat, muzułmańska literatura i opowieści ludowe skupiały się raczej na osobie pobożnego Nur ad-Dina oraz późniejszym pogromcy łacinników, sułtanie Bajbarsie z Egiptu. Europa uczyniła z Saladyna ucieleśnienie mitu rycerskiego, co widać chociażby w takich dziełach, jak *Talizman* Waltera Scotta. I ten wizerunek powrócił później do kultury arabskiej w okresie kolonialnym. Dopiero wtedy Saladyn okrzyknięty został

lewantyńskim Simonem Bolívarem i na fali rozmaitych nacjonalizmów zaczęto czynić go bohaterem.

Obecnie polityka wyznaniowa Izraela i Palestyny (w której chyba nikt tak naprawdę do końca się nie wyznaje) znów wzmacnia kult Saladyna, co znalazło m.in. wyraz w stworzeniu kolejnej pomnikowej inkarnacji sułtana, która stanęła pod murami cytadeli starego miasta w Damaszku, na tle naznaczonych upływem lat kamieni, świadków zmieniających się kolei losu tego regionu. Syryjski rzeźbiarz, Abd Allah as-Sajid, odsłonił pomnik w 1992 roku. Monument, który powstał dla uczczenia osiemsetnej rocznicy śmierci władcy, przedstawia Saladyna na koniu. Po obu stronach sułtana stoją sufijscy zbrojni, jeden z mieczem, drugi z włócznią. Bliżej zadu wierzchowca siedzi dwóch ponurych krzyżowców: król Gwidon z workiem pieniędzy przeznaczonych na okup oraz wpatrzony w ziemię i czekający na swój los Renald z Châtillon. Sam Saladyn siedzi wyprostowany jak struna, a koń wyrywa się do galopu. Władca ma surowe oblicze i wydaje się łudzaco podobny do Karola Wielkiego, tak jak został on przedstawiony na pomniku stojącym przez katedrą Notre Dame w Paryżu. Monumentalna postać jedzie na zachód, w kierunku Wzgórz Golan. Współcześni damasceńscy kochankowie uwielbiają robić sobie przy nim zdjęcia.



# ROZDZIAŁ SIÓDMY

## LAS NAVAS DE TOLOSA 1212

### Śmiertelny cios zadany Al-Andalus

Giralda w Sewilli jest dobitną ilustracją zmienności wyznaniowych kontekstów świata śródziemnomorskiego w dobie średniowiecza. Ceglany, ozdobiony płytami minaret stanął w latach osiemdziesiątych dwunastego wieku jako świadectwo trwałości muzułmańskich rządów w Al-Andalus, jednak już sześćdziesiąt lat później stał się dzwonnica chrześcijańskiej katedry. W szesnastym wieku na dachu pojawił się wiatrowskaz zwieńczony posągiem Wiary (nazywanym Giraldillo) obracany przez ciepłe podmuchy wiatru od Gwadalkiwiru. Ta ozdoba wynosi go nawet ponad Mezquite i Aja Sofia, ewokując potyczki między chrześcijaństwem a islamem. Giralda bowiem wyraża nie tylko zmianę konfesyjną, ale też sugeruje, że czasem przypadek decyduje o tym, która strona okazuje się zwycięska.

Dobrze jest pamiętać o Giraldzie i Giraldillo, gdy przyjdzie komuś do głowy wyobrazić sobie bieg dziejów na podobieństwo wielkiej ciężarówki wolno, acz nieuchronnie toczącej się ku z góry wyznaczonemu miejscu przeznaczenia. Jednak ani Bizantyjczycy nad Jarmukiem czy pod Manzikertem, ani muzułmanie w Palermo czy Toledo nie postrzegali swego losu jako z góry przesądanego. To, co z dystansu stuleci może wydawać się oczywiste - jak utrata przez chrześcijan

Jerozolimy - wcale nie było nieuchronne. Swoją rolę odgrywa tu także zwykły przypadek - to, czego zawsze tak bardzo obawiają się wszyscy dowódcy Drobne, czysto losowe zdarzenie może okazać się nader brzemienne w skutki, zwłaszcza gdy batalia ma związek z ideologią decydującą o tym, jak ludzie postrzegają swoją rolę w tym świecie oraz jak wyobrażają sobie ten drugi świat.

Klęska chrześcijan pod Hittinem we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego mogłaby skłaniać do wniosku, że cały eksperyment łacinników był z góry skazany na porażkę dyktowaną przez proste do opisanie okoliczności. Na Zachodzie wydarzenia z początku trzynastego wieku tym różniły się od wydarzeń na Wschodzie, że najazdy i bitwy, liczne wówczas na Półwyspie Iberyjskim i równie okrutne oraz wyrachowane jak w Lewancie, były starciami toczonymi przez wyrównane zasadniczo siły. Stawka była podobna - kształt kultury, w której przyjdzie żyć potomkom walczących. W obu przypadkach - Outremer i Al-Andalus - pamięć o przegranych i o tym, co wówczas przepadło, do dziś jest żywym źródłem dumy albo urazy.

W Hiszpanii zwycięzcy oceniali swoje postępowanie przez pryzmat rekonkwisty - już sama nazwa sugeruje, jakoby chrześcijanie odbierali na Półwyspie Iberyjskim coś, co wcześniej do nich prawowicie należało. Historycy z późniejszych czasów, także naturalnie chrześcijanie, powtarzali pilnie to określenie, aż zostało podjęte przez hiszpańskich nacjonalistów, dla których rekonkwista była symbolem Bożej interwencji w bieg

dziejów. Dzisiaj też spotykamy się z podobnymi interpretacjami, wedle nich podbój Al-Andalus był walką z agresywnymi cudzoziemcami w obronie gnębionych tubylców. W 1998 roku jeden ze znanych historyków podsumował dwunastowieczne działania chrześcijan jako „uwolnienie większej części ziemi hiszpańskiej od obcych najeźdźców”. Takie podejście ignoruje prosty fakt, że około roku 1200 islam był już od blisko pięciuset lat obecny w Iberii. Mniej więcej od takiego samego czasu powszechny był w Syrii, w kraju zaś znanym dzisiaj jako Turcja pojawił się wedle tej skali dopiero przed chwilą (dla porównania: tyle samo - pięć wieków - obecni są w Ameryce Europejczycy i Afrykanie). Mimo zmiennych kolei losu po upadku Umajjadów Al-Andalus była prawdziwym państwem muzułmańskim o własnej, długiej tradycji, trwałym składnikiem Dar al-islam. O ile jego przywódcy z dwunastego i trzynastego wieku byli w pewnym sensie „obcy” w Hiszpanii (marokańscy Almorawidzi, potem Almohadzi), o tyle ich żołnierze i poddani pozostawali w przytłaczającej większości Andaluzyjczykami, równie rdzennymi mieszkańcami Iberii jak sam Cyd. Zatem poprawniej byłoby mówić nie o rekonkwiecie, ale średniowiecznej wojnie domowej w Hiszpanii.

Pikanterii owej wojnie dodaje kultywowana przez cały ten czas iberyjska *convivencia*, która powodowała częste zawiązywanie sojuszy, nie tylko wedle klucza wyznaniowego. Muzułmańscy i chrześcijańscy władcy bywali na dodatek spowinowaceni, zwłaszcza poprzez swoje konkubiny. W Toledo mieszanie się kultur miało

jeszcze jeden wymiar - intelektualny. Tłumacze pracowali nad dziełami Awerroesa także wtedy, gdy ich władcy atakowali miasta będące źródłem nowej wiedzy (jak Sewilla, Kordoba, Grenada). Hiszpanię ogarnął osobliwy stan, w którym wojna nie wykluczała nieustannej, unikatowej w basenie Morza Śródziemnego, wymiany kulturowej. Widomym dowodem jest chociażby język, z którego wyłonił się w późniejszych wiekach hiszpański (kastylijski). Do dziś obecne w nim są tysiące słów pochodzenia arabskiego (ocenia się, że stanowią około 10 procent całego słownictwa). W żadnym innym języku romańskim *mare nostrum* nie natrafimy na nic podobnego. Ktokolwiek odezwie się po hiszpańsku, daje świadectwo wchłonięcia Al-Andalus przez chrześcijaństwo.

Lata, które doprowadziły do przełomowych wydarzeń roku 1212, przypominają długą i krętą drogę, którą przebył dżihad w Syrii i Outremer. W Iberii po obu stronach dawała o sobie znać niestabilność i nieustannie odżywające wewnętrzne spory. Chrześcijanie wdawali się przede wszystkim w spory dynastyczne. Król Leónu i Kastylii Alfons VI, zwycięzca z Toledo w roku 1085 i spod Sagrajas w 1086, doprowadził do unii północnej i środkowej Hiszpanii, jego potomkowie jednak błyskawicznie rozmontowali to dzieło. Na początku dwunastego wieku pewien francuski poszukiwacz przygód ożenił się z córką Alfonsa i zaraz wykroił sobie osobne królestwo, powołując tym samym do życia Portugalie. Przy okazji drugiej krucjaty, która musiała wracać jak niepyszna spod Damaszku, część okrętów

rzuciła kotwice na wybrzeżu atlantyckim, a płynący nimi angielscy, flamandzcy i niemieccy krzyżowcy zeszli na ląd i wyrwali muzułmanom z rąk Lizbonę. Była to jedyna zdobycz chrześcijan związana z całą tą pechową awanturą. W tym samym czasie wnuk Alfonsa, Alfons VII, często robił wypady zbrojne daleko w głąb Al-Andalus, jego zwycięstwa nie przyniosły jednak trwałych owoców. Nieopatrznie podzielił masę spadkową pomiędzy synów, co po jego śmierci skończyło się nieuchronną walką o wpływy pomiędzy Leonem a Kastylią.

Pozostałe królestwa chrześcijańskiej Hiszpanii zachowały autonomię, chociaż Nawarra w kraju Basków była co rusz przyłączana do innego sąsiada. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy krzyżowcy zdobyli Lizbonę, doszło do małżeństwa między potomkami rodów panujących w Aragonii i hrabstwie Barcelony, co doprowadziło do połączenia dwóch państw w jedno, chociaż pierwsze było na wskroś feudalne, drugie zaś było morską marchią kupiecką. Korona aragońska dostarczyła przeciwwagi dla rosnącej potęgi Kastylii i prowadziła w dwunastym wieku własne kampanie przeciwko muzułmanom. Jeden z aragońskich królów, kolejny Alfons, znany był pod przydomkiem Batallador (Waleczny), co wiązało się z zawziętością, z jaką zwalczał wyznawców islamu. Szczycił się wygraniem dwudziestu dziewięciu bitew (niektórych z pomocą krzyżowców wracających z Outremer) i zajęciem wielkiej Saragossy w roku 1118. Było to jego największe osiągnięcie, słusznie postrzegane w Al-Andalus jako nie-

szczęście równe wcześniejszej o trzydzieści lat utracie Toledo. Potem wyprawił się na południowy kraniec półwyspu i wrócił z dziesięcioma tysiącami chrześcijan z Grenady. Osiedlił ich w dolinie rzeki Ebro. Almora-widzki emir, pozostający pod wpływem dziadka Awer-roesa (który był sędzią najwyższym Kordoby), zemścił się potem, wyganiając wielu z pozostających jeszcze na jego ziemi mozarabów do Maroka, gdzie mieli wege-tować pośród ludów, które nigdy nie poznały *conviven-cia*.

Chociaż wszystkim działaniom podejmowanym wówczas przez chrześcijańskich władców przeciwko Al-Andalus brakowało koordynacji, to jednak wywie-rały powolny, destrukcyjny wpływ na domenę muzuł-manów. Granica wyznaczana przez rzeki Ebro i Duero należała już do przeszłości, Medinaceli straciło trady-cyjną pozycję miasta żyjącego pomiędzy dwoma kultu-rami. Chrześcijanie doszli do Tagu (rzeki przepływają-cej przez Toledo i Lizbonę) i stamtąd wyprowadzali ko-lejne ataki, tam też bronili się w razie potrzeby. Piękne miasta Al-Andalus kusiły wieśniaczych zdobywców z Północy podobnie jak rozległe żyzne tereny La Man-chy i dalej położone doliny Gwadiany i Gwadalkiwiru. Niektórzy monarchowie umieli przy tym łączyć sprawy ziemskie i niebiańskie lepiej niż inni. Alfons Batalla-dor, wobec braku naturalnego następcy, ogłosił przed śmiercią wolę przekazania swojego królestwa zakonom rycerskim, które zachęcał do kontynuowania walki o świętą sprawę. Zaniepokojeni nobile zaprotestowali gwałtownie i Aragonia nie stała się państwem zakon-

nym. Odszukano czym prędzej brata Alfonsa, który był zwykłym, całkiem nie rycerskim biskupem, namówiono go do rezygnacji z sakry biskupiej i natychmiast koronowano na króla.

Templariusze i podobne im zakony odgrywali wielką rolę w podbojach Al-Andalus. W dwunastym wieku pojawiły się rodzime zakony rycerskie, z najpotężniejszymi: Santiago (zakon św. Jakuba z Composteli) i Calatrava (kalatrawensi). Łacińskie motto pierwszego z nich brzmiało *Rubet ensis sanguine Arabum* (Niech twój miecz okryje się czerwienią arabskiej krwi), co daje pojęcie o celach, które przyświecały rycerzom. Co osobliwe, ziemie wkoło Calatravy, niebezpieczne mokradła między La Manchą i Al-Andalus, dostały się w ręce chrześcijan jako część posagu Zaidy, sewilskiej żony Alfonsa VI i matki Elwiry Kastylijskiej, królowej Palermo. Obdzielając Zaidę łańcuchem warowni, jej teść (ten od komentarza na temat wypasu świń) bezwiednie podarował wojowniczym rycerzom chrześcijaństwa swoistą redutę - a w istocie ribat - i ułatwił im przekucie płytkiej pobożności w agresję. Zamek w Calatravie upadł, został odbity i odbudowany, i znowu upadł, ale pozostał ważnym symbolem dla wszystkich rzeźników chrześcijańskiej ekspansji, swoistym Krak des Chevaliers na hiszpańskiej ziemi. Kiedy monarchowie brali się nawzajem za łby, jak często zdarzało się na Półwyspie Iberyjskim, rycerze zakonni musieli sami bronić swoich bagnistych majątków. Na ich szczęście, w dwunastym wieku muzułmanie byli tak samo skłóceni jak chrześcijanie.

Almorawidzi, których imperium rozciągało się od rzeki Niger do La Manchy i od Algarve do Libii, zniknęli z Hiszpanii w połowie dwunastego stulecia. Płomień religijnej żarliwości, który skłonił Berberów do podbojów, wygasł w bogatej kulturowo atmosferze Al-Andalus. Nie u wszystkich może, niemniej władcy Almorawidów stali się równie światowi jak wcześniejsi władcy taif, chociaż ich dosłowna i legalistyczna interpretacja Koranu nie współgrała z tradycją praktykowaną dotąd w Al-Andalus. Rdzennym mieszkańcom krajiny nie podobało się również, że rządzą nimi Berberowie, a centrum władzy znajduje się ciągle w Marrakeżu. Na tym złożonym tle w latach dwudziestych dwunastego wieku zaczęło dochodzić do buntów, które w dolinie Gwadalkiwiru stały się wręcz codziennością.

Jakkolwiek niebezpieczny był ten separatyzm, o biegu zdarzeń przesądził konflikt rozwijający się w Afryce, gdzie Almorawidzi musieli stawić czoło konkurencyjnej wspólnocie Berberów skupionej wokół plemienia Masmuda z Atlasu w Maroku, która powstała podobnie jak oni sami - powołana do życia przez świętego męża po jego powrocie z religijnej wędrówki na Wschód. Ibn Tumart, masmudzki wizjoner, wprowadził tak radykalne pojęcie jedyności Boga, że jego zwolennicy zyskali miano unitarian, czyli *al-muwahhidun* (stąd i zachodnie określenie Almohadzi). Nie cierpieli Almorawidów i dowodzili, że prymitywne podejście do kwestii objawienia uczyniło z nich heretyków przypisujących nieznanemu boskiemu bytowi ludzkie atrybuty. Koran, jak twierdzili Almohadzi, winien być interpre-



towani przez mędrców przewodzących całej islamskiej wspólnoty. Ibn Tumart okazał się równie konsekwentny w zaprowadzaniu jedności jak sam Prorok. Kazał nazywać się mahdim, czyli nieomylnym emisariuszem Boga zesłanym dla oczyszczenia islamu. Uzbrojeni w przekazane przez niego prawdy Almohadzi czym prędzej sforsowali Atlas, aby popędzić Almorawidów. W latach pięćdziesiątych dwunastego wieku almohadzki kalif, następca Ibn Tumarta, zajął pałac w Marrake-szu.

Przeniesienie podbojów do Hiszpanii musiało trochę potrwać. Półwysep Iberyjski nie interesował nowej dynastii berberyjskiej, która przede wszystkim chciała umocnić swoje zdobycze w Maghrebie i Ifrikiji. Jej armie przegnały sycylijskich Normanów króla Rogera z wybrzeży Tunezji, a tymczasem w Al-Andalus nastąpiła druga era taif. Wysłannicy Almohadów walczyli z almorawidzkimi lojalistami o kolejne miasta, pacyfikując przy tym rebeliantów gotowych układać się z chrześcijanami z Północy.

Wśród rebeliantów najważniejszą postacią był Ibn Mardanis zwany przez chrześcijan Królem Lobo (Wilkiem). Zdołał zawiązać całą sieć sojuszy, które pozwoliły odeprzeć powtarzające się ataki na północne emiraty Walencji i Murcji. Gdy zmarł w 1172 roku, jego synowie podporządkowali się jednak Almohadom. Wprawdzie wielu Andaluzyjczyków z pokolenia

Króla Wilka gotowych było zostać wasalami Kastylii albo Korony aragońskiej, byle tylko pozostawiono im chociaż margines niezależności, to jednak Almo-

hadzi obrócili ostatecznie sytuację na swoją korzyść, wspierając skrajnych w poglądach religijnych mudżahedinów i kładąc kres swobodzie oraz tolerancji wyznaniowej. W tej sytuacji pozyskiwanie chrześcijan do walki z innymi muzułmanami nie było już bezpieczne.

Poszukiwanie wśród chrześcijan sojuszników w walce z innymi chrześcijanami było już odmienną kwestią. Kalif Abujusuf Jakub, budowniczy Giraldy, błyskotliwie wykorzystywał ambicje i resentymy rywalizujących władców z Północy, koordynując swoje kampanie z działaniami królów Nawarry i Leónu, dzięki czemu udało mu się przebyć przełęcz Despeñaperros w Sierra Morena, główny szlak wiodący z Andaluzji do La Manchy, i w 1195 roku zadać Kastylijczykom poważny cios w bitwie pod Alarcos - graniczną twierdzą chrześcijańską. Król Alfons VIII ledwie uszedł stamtąd żywy, z oddziałem jedynie czterdziestu rycerzy. Przegrana wstrząsnęła chrześcijaństwem, które jeszcze nie doszło do siebie po bitwie pod Rogami Hittinu i niepowodzeniu trzeciej krucjaty. Wydawało się, że wszystko, co chrześcijańskie armie zdobyły w Iberii przez stulecie nieustannych wojen, może zostać utracone. Co gorsza, krótkowzroczność rywalizujących monarchów Hiszpanii uniemożliwiała zaradzenie takiemu biegowi spraw. Rzym słał wprawdzie rozmaite ekskomuniki i interdykty, jednak niewiele z nich wynikało. Samotna, otoczona przez almohadzkich wrogów Kastylija ledwie zdołała obronić Toledo.

I wtedy pojawiła się całkiem niespodziewana pomoc ze strony Almorawidów. Wyparciu z Półwyspu Ibe-

ryjskiego nie odpłynęli wcale daleko. Ich nową siedzibą stały się Baleary. Przyuczeni szybko do pirackiego fachu Almorawidzi z Majorki nie ograniczyli się do nękania statków handlowych - ich nienawiść do Almohadów była zbyt silna. Gdy postrzegany jako uzurpator kalif Abu Jusuf Jakub okopał się w środku Hiszpanii, Almorawidzi zaczęli kruszyć podstawy jego imperium. Już dziesięć lat wcześniej poczynili pierwsze kroki, aby wzbudzić niezadowolenie u jego poddanych w Ifrikiji, a ostatecznie podjęli kampanię mającą rozbić jedność wspólnoty. Po śmierci kalifa w roku 1199 jego następcą, Muhammad an-Nasir, skupił się raczej na podbiciu Balearów, zaniedbując Iberię. Z czasem większość wojsk Almohadów została wycofana z półwyspu na drugą stronę Cieśniny Gibraltarskiej, gdzie były potrzebne do walki z różnymi rebeliantami. Poobijana Kastylia Alfonsa VIII mogła wreszcie nieco odetchnąć. Jakkolwiek poważna była klęska pod Alarcos, Almohadzi nie wykorzystali jej. Skończyło się na spisaniu traktatu pokojowego, który dał północnym królestwom czas na zebranie sił i zażegnanie gnębiących je sporów. Do wszczęcia wielkiej ofensywy przeciwko islamowi brakło już tylko jednego - ożywienia idei krucjaty, która skłoniłaby do wspólnego działania. I w tym miejscu na tronie Piotrowym pojawił się największy spośród wszystkich papieży średniowiecza.

W 1198 roku wybrańcem konklawe został Lotario dei Conti di Segni, trzydziestosiedmioletni rzymski szlachcic. Przybrał imię Innocenty III. Od czasów Grzegorza VII, który w jedenastym wieku zainicjował

reformę uniezależniającą Kościół od świeckich władców, nie zdarzył się na tym urzędzie nikt równie bystry i energiczny. Innocenty uważał, że jego opiece został powierzony „nie tylko Kościół, ale cały świat”. Nic dziwnego, że jego pontyfikat okazał się złym czasem dla wszystkich, którzy widzieli sprawy odmiennie.

Podobnie jak wielu przed nim, także jemu marzyła się krucjata, która cały świat uczyniłaby chrześcijańskim. Jednak w odróżnieniu od poprzedników Innocenty III dysponował środkami, które pozwoliły mu przynajmniej spróbować. Był dość inteligentny, miał dryg do dyplomacji i okazał się świetnym organizatorem. Jego pontyfikat, który trwał od 1198 do 1216 roku, obfitował w przełomowe wydarzenia. Inna sprawa, że nie zawsze działania energicznego papieża prowadziły do tego, co sobie zamierzył. Dzisiaj mówi się w podobnych sytuacjach o skutkach ubocznych. Najbardziej brzemiennej pokłosiem rywalizacji chrześcijaństwa z islamem było osłabienie Bizancjum. Wyprawiona przez Innocentego na początku pontyfikatu czwarta krucjata uczyniła to, czego nie udało się wcześniej osiągnąć muzułmanom, Normanom ani barbarzyńskim armiom, które podchodziły pod Bosfor: zdobyła i złupiła Konstantynopol. Nawet wedle średniowiecznych norm to była już przesada.

Do katastrofy doszło w chwili, gdy przerażeni wysokimi stawkami za przewóz uczestnicy czwartej krucjaty zgodzili się na transakcję barterową: w zamian na transport do Outremer mieli spełnić pewne życzenie Henryka Dandola - doży weneckiego, do którego nale-

żała wynajęta przez nich flota. Niewidomy, osiemdziesięcioletni Dandolo był osobą podstępną. Gdy rycerze zrobili swoje i zdobyli oraz zniszczyli pewne rywalizujące z Wenecją chrześcijańskie miasto na Wybrzeżu Dalmatyńskim, namówił krzyżowców na rejs do Bosforu, gdzie znajdowało się inne, również psujące mu interesy miasto. Na resztę złożyły się takie czynniki, jak intrygi snute wspólnie z kandydatem na kolejnego basileusa, z dawna narastająca wrogość łacinników do Greków oraz frustrująco długie wyczekiwanie pod bramami Konstantynopola, bogatego miasta, które nie miało sobie równego na Zachodzie.

Gdy 12 kwietnia 1204 roku łacinnicy wdarli się ostatecznie przez bramy do miasta, dali upust swojej furii i pofolgowali chciwości. Rzeź trwała trzy dni, podczas których niezdojta od starożytności stolica świata odarta została z wszystkich skarbów. Pośród masowego rozlewu krwi i rozprzęgnięcia obyczajów, które pozwalało prostytutkom wykorzystywać do nieładu ołtarz Hagia Sophia, rabowano kościoły, pałace i biblioteki. Klasyczne rzeźby, zgromadzone w czwartym wieku przez Konstantyna z myślą o nowej stolicy, przetapiano albo wywożono. Grupa brązowych posągów koni z hipodromu, zapewne dzieło Lizypa, nadwornego rzeźbiarza Aleksandra Wielkiego, trafiła do Wenecji, gdzie została ustawiona w miejscowej katedrze jako rumaki świętego Marka. Łacini biskupi cenili sobie szczególnie zrabowane w Konstantynopolu relikwie, które zapewniały potem stały napływ pielgrzymów do różnych zachodnich świątyń. Były wśród

nich: korona cierniowa, palec Tomasza apostoła, fragmenty Prawdziwego Krzyża, całun pogrzebowy Jezusa, fiolka z krwią Jezusa, fiolka z mlekiem Najświętszej Marii Panny, głowy świętego Szczepana, Tomasza apostoła, świętego Jana Chrzciciela oraz Jakuba (brata Jezusa). Było ich tyle, że czterdzieści lat później zbudowano w Paryżu Sainte Chapelle specjalnie po to, aby pomieścić tam świętości wywiezione z Bizancjum i wykupione następnie przez króla Ludwika IX. Podobno relikwie kosztowały więcej niż sam budynek.

Innocenty nie był wcale zachwycony tym, że krucjata nie dotarła nawet do Lewantu, uznał jednak, że trzeba wykorzystać okazję. Zarysowała się szansa na unieważnienie Wielkiej Schizmy z 1054 roku i likwidację niezależnego Kościoła wschodniego. Papież osadził w Konstantynopolu własnego, łacińskiego patriarchę, którym został Włoch Tomasz Morosini. Baldwin z Flandrii, przywódca tej krucjaty, został koronowany na łacińskiego cesarza Konstantynopola. Wzburzeni Grecy schronili się w Nicei (dzisiaj Iznik) nad morzem Marmara, gdzie stworzyli kierowane przez ród Laskarysów państwo bizantyjskie na wygnaniu.

Niezrażony drobnymi niepowodzeniami Innocenty kontynuował swoje dzieło krzewienia wiary. Za jego panowania powołany przez Klemensa III zakon krzyżacki, wzorowany na templariuszach, zachęcano do wypuszczania się na tereny położone wokół Bałtyku i w głąb Europy Wschodniej. Dla tych, którzy byli już chrześcijanami, Innocenty okazał się jeszcze surowszy. W dwunastym wieku istniało w Europie kilkanaście

chrześcijańskich sekt, które w oczach Kościoła były hereetyckie. Zwalczano je wprawdzie, ale nie szło to najlepiej. Z Innocentym u steru polowania na heretyków nabrały tempa.

Papieski gniew spadł przede wszystkim na Langwedocję, na całą tę układankę pomniejszych miast i państewek sprzymierzonych z Francją. Wielki szlachcic z tamtych okolic, hrabia Rajmund VI z Tuluzy, pochodził z zasłużonego rodu Saint-Gilles, którego członkowie szturmowali Jerozolimę, a jeszcze nie tak dawno jeden z nich - Rajmund z Trypolisu - próbował ocalić Outremer przed klęską pod Hittinem. Krzyżowicami nie zrobili na papieżu najmniejszego wrażenia. Jasno i dobitnie stwierdził, że Rajmund ukrywa na swoich ziemiach „lisy, co wdarły się do winnicy Pana”.

Tymi „lisami” byli katarzy, czy szerzej albigensi, uznający ascetyczną i pacyfistyczną odmianę chrześcijaństwa. Uważali, że przepych papiestwa i w ogóle duchowieństwa oraz kult relikwii są herezjami dowodzącymi, że rzymscy bałwochwalcy zniekształcili przesłanie Jezusa i oddają cześć złemu, materialnemu bożkowi. Podobnie jak w przypadku Almorawidów i Almohadów, także tutaj narastała wrogość pomiędzy wyznawcami zasadniczo tej samej wiary. Innocenty wysłał do Midi zdolnego kastylijskiego kaznodzieję, Dominika Guzmaną, założyciela i eponima zakonu dominikanów, w nadziei, że uda mu się sprowadzić katarów na dobrą drogę. Gdy misja się nie powiodła, a następca Guzmaną, cysterski legat papieski, został w 1208 roku zamordowany, Innocenty znalazł pretekst, aby ruszyć rycer-

stwo z północy Francji i zorganizować prawdziwy najazd na Langwedocję, który do historii przeszedł pod nazwą krucjaty przeciwko albigensom (albo krucjaty katarskiej). Kampania ciągnęła się przez dwadzieścia lat i zmieniła kwitnący niegdyś region w krainę wypalonych ruin. Tysiące mieszkańców zginęły w walce albo w płomieniach wielkich stosów, na których palono żywcem dziesiątki, a nawet setki niepokornych katarów. Ich oprawcy śpiewali w tym czasie hymny sławiące Pana. Taka była odpowiedź Innocentego na nieprawomyślność.

Jednak i bez specjalnych akcji zorganizowanych przez papieża tamta epoka obfitowała w podobnie przerażające spektakle pobożności stosowanej. W 1212 roku, gdy krucjata katarska znajdowała się w pełnym rozkwicie, coś dziwnego i niepokojącego pojawiło się w północnej Europie. Pewien francuski pastuszek imieniem Szczepan i drugi, Mikołaj z Nadrenii, zaczęli zachęcać dzieci obojga płci do porzucenia codziennych zajęć na polach i pomaszerowania do Jerozolimy. Twierdzili, że to, czego nie potrafili dokonać rycerze drugiej, trzeciej i czwartej krucjaty, na pewno uda się dzieciom. W tradycji cały pomysł zyskał miano krucjaty dziecięcej. Długa procesja dzieci rzeczywiście przedwędrowała wzdłuż Renu, przebyła Alpy i dotarła do portów Morza Śródziemnego. Skąpe źródła z epoki sugerują, jakoby dzieci wierzyły, że fale rozstąpią się przed nimi, aby mali wojownicy mogli kontynuować wędrówkę. Gdy cud nie nastąpił, pochód stanął w miejscu, niepewny, co dalej robić. Marynarze z Genui



i Marsylii oferowali oczywiście przewóz, tyle że za stawki podobne do tych, które Wenecja przedstawiła uczestnikom czwartej krucjaty. Dalszy los dzieci nie jest pewny. Niektóre mogły zostać zwabione na pokłady obietnicami darmowego przewozu. Jeśli tak, można sądzić, że zostały sprzedane na pełnym morzu al-mohadzki handlarzom niewolników z Algierii.

Tak czy tak, dzieciaki z roku 1212 źle wybrały, ten akurat rok papież Innocenty wybrał bowiem jako właściwy na zaatakowanie Hiszpanii. Wcześniejsze paktakurat wygasały, a pilnowani przez duchowieństwo królowie z wolna zaczęli się jednać. Co więcej, zaszła też znacząca zmiana w sposobie myślenia ich przeciwników. Almohadzki kalif Muhammad an-Nasir uznał, że dość już nieustannych najazdów Kastylii i Aragonii na Al-Andalus. Wraz z wygaśnięciem rozejmu dał wreszcie posłuch głośnym nawoływaniom do dżihadu i rozpoczął kampanię na wielką skalę. W 1211 armia almohadzka przekroczyła Sierra Morena i po dłuższym oblężeniu zdobyła Salvatierę, zamek obsadzony przez rycerzy z zakonu Calatrava. Chrześcijański garnizon na południowych krańcach almohadzkiej La Manchy z dawna był cierniem w boku muzułmanów. Wieść o upadku fortecy została ponurym głosem oznajmiona z ambon w całej Europie, jednak pojawiła się pod koniec sezonu kampanijnego i z reakcją trzeba było poczekać do następnego roku. Jedno było wszakże jasne - obie strony porzuciły najazdy i zaczęły się szykować do prawdziwej wojny.

Innocenty pobłogosławił więc jeszcze jedną krucjatę. Jego akcja przeciwko katarom przynosiła tymczasem swoiste, przerażające sukcesy: w 1211 jego wysłannicy dokonali największego *auto da fé* (port. - akt wiary) średniowiecza, paląc w pewnym langwedockim mieście aż czterystu katarów naraz. Jakby nie pamiętając o tym ani o zbrodniach popełnionych w Konstantynopolu w 1204 roku, papież zagroził ekskomuniką każdemu, kto dopuściłby się wrogich aktów skierowanych przeciwko wyznawcom wiary chrześcijańskiej. Zapowiedział też odpust całkowity dla każdego uczestnika krucjaty ruszającej wiosną 1212 do Toledo. Król Alfons VIII czekał na nią z utęsknieniem, pragnąc zmyć z siebie hańbę dawnej porażki pod Alarcos. Brat jego żony, nieżyjący już Ryszard Lwie Serce, był przecież szanowanym krzyżowcem, Alfons zaś pragnął przelicytować go w sławie. Otrzymawszy błogosławieństwo Innocentego, Rodrigo Jiménez de Rada, arcybiskup Toledo i wielki patron tłumaczy, zawzięty jednak wróg islamu, zgodził się zapłacić połowę sumy, którą Kościół kastylijski przeznaczył na sfinansowanie wyprawy.

Król i arcybiskup radowali się niewątpliwie, widząc papieską odpowiedź na ich błagania. W maju i czerwcu do Toledo przybyło wiele tysięcy rycerzy i żołnierzy. Wojsko rozbiło obóz w Huerta del Rey, tym samym królewskim ogrodzie, o który 150 lat wcześniej dbali najlepsi arabscy botanicy i gdzie spacerował w swoim czasie przodek obecnego króla, Alfons VI, podczas swej przymusowej gościny w taifie kalifa Al-Mamuna. Łagodnie pofalowany teren pokryło całe

morze namiotów. Zjawiły się również drużyny milicji z większości miast Kastylii. Madryt, Ávila, Segowia, Medina del Campo, Cuenca, Huete, Uclés, Valladolid i Soria przysłały zarówno pieszych, jak i konnych. Obecny był, wraz z całą świtą, jeszcze jeden wielki hiszpański król - Piotr II z Aragonii. Boczący się jeszcze na Kastylię monarchowie Portugalii, Leónu i Nawarry zostali w domach, chociaż wielu ich baronów uzyskało zgodę na przyłączenie się do krucjaty.

Zjawilo się też wielu cudzoziemców, głównie z Francji, w której nigdy nie brakowało entuzjastów tego sposobu zwiedzania dalekich krajów. Był wśród nich wasal Aragończyka, Arnold Amalryk, arcybiskup Narbony, cysters, który prowadził w pierwszych latach krucjatę przeciwko albigensom. Podobno spytany o to, jak odróżnić heretyka od katolika, miał powiedzieć: „Zabijcie ich wszystkich, Bóg swoich rozpozna”. Podtrzymując swoją reputację oraz tradycję krzyżową, Francuzi wzięli się zaraz do mordowania zamieszkałych w Toledo Żydów, aż Kastylijczycy i Aragończycy musieli siłą powstrzymać ich przed dalszymi zbrodniami. Niestety, na północ od Pirenejów niewiele wiadano o *convivencia*.

Setki kilometrów na południe, w pobliżu Sewilli, zbierał w tym samym czasie swoje armie kalif Muhammad an-Nasir. Ochotnicy pragnący wziąć udział w dżihadzie zebrali się najpierw w Marrakeszu, skąd przewieziono ich statkami na drugą stronę Cieśniny Gibraltarskiej. W składzie armii były oddziały z miast całej Al-Andalus i mały kontyngent Berberów. Nie po-

skąpiono środków na opłacenie najemników, konnych tureckich łuczników z Anatolii i zaciężnych arabskich Beduinów, którzy swego czasu bardzo nie lubili berberyjskich elit. Podobnie jak w przypadku krucjaty, hasło dżihadu momentalnie wygasilo lokalne spory. Kalif, rudowłosy, trzydziestoletni mężczyzna o przenikliwych, błękitnych oczach (odziedziczonych zapewne po Zaharze, chrześcijańskiej konkubinie ojca), dokonał przeglądu zebranych nad Gwadalkiwirem oddziałów ukryty za szeregiem czarnoskórych, afrykańskich gwardzistów. Armia muzułmańska mogła liczyć około trzydziestu tysięcy ludzi. Chrześcijan było trochę mniej. W czerwcu obie potęgi ruszyły na wojnę. Jedna z południa, druga z północy.

Droga obu biegła przez teren obfitujący w różne naturalne przeszkody. Przydają one wprawdzie Półwypowi Iberyjskiemu tak cenionej przez artystów malarstwa, są jednak przekleństwem każdego budowniczego. Granica między formacjami geologicznymi półwyspu przebiega między La Manchą a Andaluzją. Szarozielone szczyty gór Sierra Morena, które wcale nie są brązowe (*morena*), wznoszą się na południowym skraju Mesety Iberyjskiej, dramatycznym akcentem zamykając szeroką równinę pełną pastwisk i czesanych wiatrem traw. Po drugiej stronie teren staje się nierówny i w tej postaci opada ku południowi, aż do doliny Gwadalkiwiru. Wszędzie jednak, na pagórkach, na zboczach i w dolinach, zielenieją niekończące się gaje oliwne. Można powiedzieć, że północna strona Sierra

Morena jest chaotyczna, ale monotonna, południowa zaś przedstawia się dokładnie odwrotnie.

Przejście pomiędzy tymi krainami nie jest zadaniem łatwym. Trudno w skalnym labiryncie znaleźć drogę. Najpewniejszym szlakiem jest wąwóz Despeñaperros. Nawet dziś podróżujący autostradą Madryt-Sewilla muszą zwolnić, gdy do niego docierają, tak jest kręty, a na dodatek piękno okolicy niebezpiecznie rozprasza uwagę.

Zaraz po drugiej stronie, już w Andaluzji, leży wioska Santa Elena, schludne skupisko białych domów z kościołem, na którego ścianie można dojrzeć umieszczoną w osiemnastym wieku tablicę upamiętniającą bitwę pod Las Navas de Tolosa. Wzniesiona nieco wyżej przez Alfonsa VIII kaplica dawno już przestała istnieć. Sama równina (*navas*) znajduje się nieco na zachód od wioski, pomiędzy otaczającymi ją ze wszystkich stron wzgórzami. Arabowie nazwali bitwę właśnie od tych wzgórz (Al-Ikab). Jediną okoliczną atrakcją jest ekologiczny parking przy autostradzie, Puerta del Andalucía, gdzie jadący w kierunku Costa del Sol turyści mogą poczytać sobie o florze i faunie mijanych właśnie terenów. Nie ma tam żadnej wzmianki o epokowej bitwie, która rozegrała się niedaleko. Jest tylko gruntowa droga prowadząca do parku narodowego Despeñaperros. I tam właśnie, około kilometra dalej, na nieoznaczonym i nieodwiedzanym dziś polu dwie armie zdecydowały o przyszłości Hiszpanii.

Postępy chrześcijańskich wojsk można prześledzić dzięki listom Alfonsa VIII, Arnolda Amalryka i Rodri-

ga Jimeneza de Rada. Krzyżowcy opuścili Toledo w trzech osobnych grupach około 20 czerwca, kierując się na południe, ku gorącej równinie La Manchy. Awangardę tworzyli Francuzi dowodzeni przez kastylijskiego szlachcica, Diega Lópeza de Haro. Czy zostali wysłani przodem dlatego, że Toledończycy chcieli pozbyć się ich jak najprędzej, o tym kronikarze milczą.

Bez żadnych przeszkód pokonano pastwiska na chrześcijańskich terenach na południe od Toledo. Tam właśnie rycerze zakonnicy Calatravy i Santiago pierwsi zaczęli eksperymentować z metodami hodowli bydła, które ich dalecy potomkowie, kowboje i gaucho, rozwinię w Nowym Świecie. Z czasem kraina ta miała otrzymać nazwę Nowej Kastylii - w odróżnieniu od tej starej, leżącej na północy i nazwanej tak od mnogości zamków obronnych.

W okolicy Malagónu, fortecy położonej tuż na północ od współczesnego miasta Ciudad Real, Francuzi weszli na terytorium Almohadów. Nie czekając na przybycie głównych sił, rozpoczęli oblężenie zamku. Weterani walk z Outremer i Langwedocji szybko uporali się z umocnieniami niewielkiej warowni. Muzułmańska załoga poddała się, oczekując miłosierdzia, i dopiero poniewczasie zrozumiała, jak bardzo się pomyliła. Francuzi zabili wszystkich, zostawiając przy życiu tylko dowódcę i jego dwóch synów. Zanim Alfons VIII zjawił się na miejscu, zdobywcy zdążyli podzielić się większością łupów.

Krzyżowcy ruszyli dalej, szukając dogodnych przejść przez strumienie, których koryta najeżone były

żelaznymi, kolczastymi pułapkami mającymi okaleczyć konie nieostrożnych wędrowców. Postój zarządzono w Calatravie nad Gwadianą. Było to ważne miejsce dla rycerzy zakonnych, którzy swe miano wzięli od tutejszego zamku, niegdyś ich własności. Wzniesiony został przez templariuszy, którzy oddali go w 1158 roku, nie chcąc utrzymywać twierdzy na trasie podbojów Almohadów. Zakon Calatrava stracił zaś swoją macierzystą siedzibę po bitwie pod Alarcos w 1195 i korzystając teraz z okazji, chciał ją odzyskać. Alfons jednak nie miał zamiaru ryzykować długiego oblegania fortecy - liczna armia nie zniosłaby dobrze przeciągającego się pobytu na gorącej równinie. Zaproponował muzułmańskiej załodze i mieszkańcom warowni godziwe warunki kapitulacji. Mogli odejść żywi, chociaż bez dobytku. Jusuf Ibn Kadis, andaluzyjski obrońca znany ze świetnego dowodzenia podczas starć przygranicznych, chętnie przystał na te warunki. Jak podaje kronikarz<sup>23</sup>, chciał ocalić życie ludzi.

Dla Francuzów był to bezprzykładowy akt zdrady. Najpierw żydzi w Toledo, teraz muzułmanie z Calatravy. Już drugi raz wrogowie ich wiary uchodzili żywi. Łupy z Calatravy nie zadowolili ich nawet wtedy, gdy Alfons nie dał nic swoim Kastylijczykom i rozdzielił resztę zdobyczy (prowiant i broń) między Aragończyków i Francuzów. Nic to nie dało. Przybysze z Północy uznali, że hiszpańskim królom brakuje zdecydowania, dodali jeszcze coś o tym, że słońce pali tu zbyt mocno, i zawrócili za Pireneje. Został tylko arcybiskup Arnold Amalryk i jego stu pięćdziesięciu rycerzy, wasali Piotra

Aragońskiego. Gdy wracający Francuzi mijali Toledo, miasto na wszelki wypadek zamknęło przed nimi bramy, co zostało oczywiście odebrane jako kolejna zniewaga.

Kalif, który miał swoich szpiegów wśród krzyżowców, musiał być zachwycony. Rozkazał swojej wielkiej i nieruchawej armii odstąpić od murów Jaén, najważniejszego miasta na południe od Sierra Morena. On też borykał się z poważnymi problemami, przede wszystkim z zaprowiantowaniem takiej masy wojska. Jeszcze na początku czerwca kazał ściąć dwóch intendentów, którzy nie wywiązywali się należycie z obowiązków, a jego brutalne postępowanie wobec miejscowych chłopów mogło w pewnej chwili wywołać poważne niezadowolenie żołnierzy. Jeszcze gorzej wpłynął na morale sposób, w jaki potraktował Ibn Kadisa, dowódcę, który poddał Calatravę. Dwóch arabskich kronikarzy podaje, że wielki i uwielbiany przez podwładnych żołnierz został ścięty za oddanie fortecy bez walki. Jeśli wiadomość o dezercji Francuzów, z którymi odeszła zapewne jedna trzecia najlepszej jazdy, wywołała radość w obozie muzułmanów, to egzekucja Ibn Kadisa mogła zasiać tylko niezgodę.

Muzułmanie przebyli niegościnną krainę i dotarli prawie pod samą przełęcz Despeñaperros. Obóz rozbili w pobliżu miejsca, gdzie obecnie znajduje się wioska Santa Elena. Kalif mógłby spokojnie przeprowadzić wojsko na drugą stronę gór i zasadzić się na szerokim płaskowyżu Mesety, bardziej jednak skłaniał się ku innemu planowi. Zamierzał zablokować przejście przez gó-



ry, zmuszając chrześcijan do dłuższego pobytu na rozpalonym płaskowyzu La Manchy. Oczekiwał, że właściwa przeciwnikowi skłonność do swarów dokona reszty, gdy spragniona, zdemoralizowana trudnymi warunkami armia zacznie się rychło buntować i rozchodzić. Zapewne wtedy byłby ją zaatakował.

Dla Alfonsa i Piotra odejście Francuzów mogło być pewną ujmą na honorze, ale miało też plusy. Pozbywszy się ich kłótniowego i twardogłowego kontyngentu, zostali niemal we własnym gronie. Wszystkich ich, mimo zróżnicowanego pochodzenia, łączył wspólny cel i tym samym mieli większe szanse na zachowanie dyscypliny w decydującej chwili. Morale wzrosło jeszcze, gdy w polu widzenia pojawił król Sancho VII z Nawarry Odkładając na bok dotychczasowe spory z Aragonią i Kastylią, niemal w ostatniej chwili postanowił jednak wziąć udział w wyprawie na Południe. Groźby papieża przyniosły zamierzony efekt: trzech hiszpańscy monarchowie ruszyli wreszcie na wroga jak jeden mąż.

Chrześcijanie przebyli almohadzką La Manchę, likwidując przy okazji tyle warowni, ile się dało, bez urządzania długich postojów. Szczęśliwie dla Alfonsa, zamek Alarcos, czyli scena jego ponizającej klęski z 1195 roku, upadł całkiem szybko. Zdobyto jeszcze kilka fortec, jednak kolejny symbol triumfu Almohadów - Salvatierra - sprawił niejaki problem. Obleganie tak wielkiego zamku pochłonęłoby sporo cennego czasu, na dodatek Francuzi mieli rację co do pogody. Było coraz goręcej. Dziesięć miesięcy wcześniej rycerze za-

konu Calatrava poddali tę warownię, swoistą wyspę pośród morza muzułmańskich umocnień. Alfons zaproponował, aby atakować, Piotr i Sancho odwiedli go jednak od tego pomysłu, obawiając się zarówno letniego upału, jak i trudności z zaopatrzeniem armii. Kolejne zamieszanie wywołała wiadomość o poczynaniach króla Leónu. Okazał się odporny na papieską groźbę ekskomuniki i korzystając z nieobecności rywali, uderzył na północną Kastylię. Alfons zaczął dowodzić, że należy skorzystać ze zgromadzonej już wielkiej armii, wrócić na Północ i dać nauczkę zdradzieckiemu sąsiadowi. Almohadzi byli już i tak jakby pobici, argumentował, skoro w ogóle się nie pokazali ani nie stanęli do walki. Sancho z Nawarry zauważył z powagą, że nie po to przyłączył się do tej armii, aby wojować z chrześcijanami. Ostatecznie Hiszpanie urządzili pod murami fortecy wielką paradę, ze sztandarami i wysoko uniesionymi relikwiarzami. Nie tyle dla wstrząśnięcia obrońcami, oczywiście, ile dla poprawy stanu własnego ducha.

Przed nimi wznosiły się zbocza Sierra Morena. Alfons wiedział, jak łatwo zablokować wąskie przejście Despeñaperros, poprosił więc swojego zdolnego zastępcę, Diega Lópeza de Haro, który opiekował się wcześniej nieznośnymi Francuzami, aby poszukał jakiegoś innego szlaku przez góry. Don Diego wziął mały oddział i ruszył zbadać przełęcz Puerto Muradal, znajdującą się na zachód od znanego przejścia. I miał szczęście. Kastylijczycy trafili na niewielki, ale użyteczny skalny płaskowyż. Następnego dnia dołączyła

do nich reszta armii. Z góry widzieli muzułmańskie siły czekające pośród niskich wzgórz na południu. W lekkiej mgiele dostrzegli też czerwony namiot, zwiastujący obecność Miramamolfa, jak śpiewnie zniekształcali arabskie słowo *amir al-muminin*, czyli dowódcy wiernych, kalifa. Wróg był w zasięgu wzroku, pozostało jeszcze znaleźć jakąś drogę w dół, aby się do niego dostać. Don Diego ponownie ruszył na zwiady. Najprostszyszy szlak, wiodący bezpośrednio z płaskowyżu wąskim wąwozem Losa, był śmiertelną pułapką. Muzułmańscy łucznicy czekali tam w zasadzce. Jak napisał później Alfons w liście do papieża, „tysiąc ludzi mogłoby się tam bronić przed wszystkimi mężczyznami, jacy stąpają po ziemi”. Inny pobliski wąwóz, wyrzeźbiony przez wodę z topniejących rokrocznie śniegów, okazał się zarośnięty i zbyt stromy. Po kilku próbach ludzie Diega przekonali się na dodatek, że nawet te przejścia roją się od ukrytych obrońców. Armia utknęła na Puerto Muradal. Jedyłą możliwością był odwrót.

To, co stało się później, jakkolwiek opisane dokładnie w listach Alfonsa i arcybiskupa Toledo, wydaje się wręcz nieprawdopodobne, pozostaje jednak faktem, że Hiszpanom udało się cało i zdrowo wycofać z płaskowyżu.

Po powrocie zwiadu doszło do spotkania królów, wielmożów i duchowieństwa. Wszyscy mieli ponure miny i nikt nie potrafił niczego zaproponować, aż nagle przyprowadzono przed oblicze Alfonsa obdartego wieśniaka, później identyfikowanego w legendach jako święty Izydor, patron Madrytu. Wieśniak ów, będący

pasterzem, zaproponował, że pokaże inną drogę przez góry. Twierdził, że muzułmanie nawet nie podejrzewają jej istnienia. Alfons kazał Diegowi wziąć wieśniaka i sprawdzić na miejscu, czy mówi prawdę.

Mówił prawdę. Niecałe dwa kilometry na zachód niewielkie obniżenie grani, zwane Puerto del Rey, wychodziło na *cañada*, ścieżkę dla owiec, która chociaż kręta, prowadziła w dół, na południe. 14 lipca rano muzułmanie mogli dojść do wniosku, że ich taktyka przyniosła skutek: płaskowyż Muradal, na którym widzieli krzyżowców, był pusty. Uznali, że przeciwnik poddał się i zawrócił. Nie wiedzieli, że bardzo wcześnie rano cała armia krzyżowców skierowała się na zachód i wspięła po północnym stoku Sierra Morena, niewidocznym z andaluzyjskiej strony. Gdy doszła do Puerto del Rey, została zauważona przez muzułmańskie straże, które zaraz podniosły alarm i próbowały zablokować potok ludzi i koni płynący wartką rzeką po pasterskiej ścieżce. Nic to jednak nie dało. Hiszpanie ogarnęli błyskawicznie niepozbiieranych do końca muzułmańskich strażników i wdarli się na odległy o niecałe dwa kilometry na południe płaskowyż Mesa del Rey. Późnym rankiem były ich już całe tysiące. Rozbito namioty, wkoło zaś rozlokowano chorągwie ze znakiem krzyża.

Dowódcy kalifa chcieli jak najszybciej związać przeciwnika walką, więc przesunęli swoje siły o kilka kilometrów na zachód, aby znaleźć się naprzeciwko chrześcijan. Zapewne wybrali wzniesienie zwane obecnie Olivares. Zgodnie z zasadami średniowiecznej sztuki wojennej należało dążyć do zaskoczenia prze-

ciwnika w chwili, gdy układał się do odpoczynku po długim przemarszu. Wtedy był zawsze najbardziej bezbronny. Chrześcijanie mieli za sobą naprawdę długą drogę przez upalne równiny Nowej Kastylii i La Manchy, których pokonanie zajęło im trzy tygodnie. Na dodatek ostatnie dwa dni spędzili, chodząc po stromych górskich ścieżkach. Odezwały się wielkie bębny; armia kalifa wyszła na równinę między Olivares a Mesa del Rey i zaczęła się szykować do bitwy.

Chrześcijanie nawet się nie ruszyli, tylko strzałami z kusz odpędzili tych śmiałków, którzy podeszli zbyt blisko do ich obozowiska. Bezpieczni na szczycie Mesa del Rey, porośniętej rzadkim lasem fortecy stworzonej przez przyrodę, postanowili sami wybrać dogodną chwilę do walki. Późnym popołudniem muzułmańscy dowódcy zrozumieli bezsens czekania i wycofali wojsko do obozu na wzgórzu Olivares. Na jego szczycie postawiono namiot kalifa, Turcy, Arabowie, Berberowie i Andaluzyjczycy rozlokowali się dokoła niego.

Następnego dnia wypadła niedziela. Zmęczone armie trzech hiszpańskich królów dostały dzień odpoczynku. Gdy siły Almohadów ponownie uformowały szereg bojowy, spotkały się z tą samą obojętnością. Koło południa wszyscy byli już z powrotem w obozie i grali w kości, modlili się, zerkali na przeciwnika, czekając na następny dzień. Do bitwy doszło w poniedziałek, 16 lipca 1212 roku.

Plan chrześcijan był prosty. Królowie wraz z biskupami i swoimi wasalami mieli utworzyć tylną straż: Alfons pośrodku, Piotr po lewej, Sancho z prawej.

Przed każdym z władców stał kontyngent złożony z oddziałów milicji miejskich oraz rycerzy zakonnych. Na przodzie, dokładnie pośrodku, ustawiły się oddziały uderzeniowe chrześcijańskiej armii, wasale i rodacy Diega Lópeza de Haro. Anegdota powiada, że jego syn, spłodzony z kobietą, która porzuciła potem rodzinę, spróbował dodać ojcu ducha bojowego stwierdzeniem, że nie chce być znany jako „syn tchórza”, miał w odpowiedzi usłyszeć: „Nazwą cię synem kurwy, nie tchórza”.

Przednie oddziały ruszyły do boju. Galopując z Mesa del Rey, jazda Diega zagłębiła się w środek powolnej formacji ludzi kalifa. Pierwszą falę tworzyli religijni ochotnicy, a wielu z nich nigdy nie widziało bitwy albo byli za starzy, by podjąć walkę. Kastylijscy rycerze przeszli przez nich, kładąc szereg za szeregiem w wyjątkowo nierównej walce.

Gdy dokończyli rzeź ochotników, ruszyli w górę zbocza Olivares, gdzie znajdował się ich cel - czerwony namiot kalifa. Przed nim stały regularne oddziały almohadzkiej armii, z tarczami wpartymi w ziemię, berberyjską konnicą gotową wypaść spomiędzy pieszych, włóczniami i lancami, i bułatami w gotowości. Kastylijscy rycerze wspięli się na górę i spróbowali rozerwać linię obrony, ale była dla nich za silna. Ludzie Don Diega zaczęli się cofać, tracąc teren. Berberowie wydali z siebie okrzyk wojenny i ruszyli do kontrataku.

Tymczasem druga fala chrześcijańskich oddziałów nadciągała już przez zasłane trupami muzułmańskich ochotników pole. Zmuszone do odwrotu oddziały Die-

ga wpadły na nią, tworząc jedną splątaną i zagubioną masę wojska. Na razie szczęście zdawało się sprzyjać kalifowi. Sztandary powiewały pośród kurzu i wrzasku, gdy chrześcijanie próbowali desperacko, jednak bez większego powodzenia, utrzymać teren. Obserwujący zamieszanie ze szczytu Mesa del Rey król Alfons miał odwrócić się wtedy od przerażającego widowiska i powiedzieć do Rodriga Jimeneza de Rada: „Biskupie, umrzyjmy tu razem, ty i ja”.

Istnieje wiele relacji z tej bitwy i w wielu z nich w tym właśnie miejscu zaczyna się opowiadanie o cudach, które odmieniły bieg zdarzeń. Na niebie miał się pojawić krzyż, pewien proporzec, który znalazł się w samym środku bitwy, wyszedł z niej nietknięty, pośród walczących pojawiły się postaci wielu świętych, aby zabijać niewiernych. Jeśli chodzi o konkrety, wiadomo tyle, że późnym rankiem królowie stojący na wzgórzu dali rozkaz do szarży. Fala ciężkiej jazdy stoczyła się ze wzgórza i uderzyła w walczących. I nagle, z powodów, które trudno dziś ustalić, muzułmańska armia rozsypała się. Jedno ze źródeł podaje, że Andaluzyjczycy ze skrzydeł rzucili się do ucieczki, chociaż nie mieli jeszcze w ogóle kontaktu z nieprzyjacielem. Inne relacje powiadają o żołnierzach na tyle zniechęconych do walki niskim żołdem i złym traktowaniem, że nawet drobna nieprzychylność losu mogła wzbudzić w nich chęć do odwrotu. Jakkolwiek było, szala zwycięstwa przechyliła się na stronę chrześcijan. Bitwa zamieniła się w rzeź. Kalif skoczył na śmigłego wierzchowca i pogalopował do Jaén, a stamtąd do Sewilli. Jego pod-

władni nie mieli tyle szczęścia - próbowali uciekać przez wzgórza i parowy na południe od pola bitwy, przeciwnik ścigał ich jednak przez cały dzień i całą noc i zabijał tysiącami. Alfons, Sancho i Piotr odnieśli niewyobrażalne zwycięstwo. Wykorzystali je, atakując w następnych dniach Baezę i Ubędę położone daleko w głębi terytorium Al-Andalus. Muzułmańskie miasta wpadły w ręce krzyżowców, a wszyscy ich mieszkańcy zginęli albo zostali wzięci do niewoli. Gdy Innocenty usłyszał o wielkim triumfie krucjaty, kazał bić w dzwony całego chrześcijańskiego świata. Kraj niewiernych nie został jeszcze wymazany z mapy, ale ta jedna bitwa pod Las Navas de Tolosa przypieczętowała jego los.

Arabski poeta, Abu al-Baka z Rondy, tak przedstawił smutek w całym Dar al-Islam na myśl o wydarzeniach, które nastąpiły w ciągu pięciu dziesięcioleci od klęski pod Las Navas de Tolosa:

*Pytam więc Walencję, co się dzieje z Murcją;  
i gdzie jest Jativa, i gdzie jest Jaén?*

*Gdzie jest Kordoba, dom nauk, i wielu uczonych,  
którzy byli tam niegdyś tak cenieni?*

*Gdzie jest Sewilla i jej rozkosze, podobnie jak jej  
słodka, wzbierająca po brzegi rzeka?*

*[Są takie] stolice jak filary kraju, a gdy ich za-  
braknie, nie może on dłużej trwać!*

*Kran w białej fontannie ablucji płacze z rozpaczy,  
niczym kochanek namiętny po odejściu ukochanej,*

*Nasze siedziby pozbawione islamu opuszczone zo-  
stały i teraz zamieszkuje w nich niewiara;*



*Meczety tam stały się kościołami, w których znaleźć można tylko dzwony i krzyże.*

*Nawet mirhaby płaczą, chociaż są murem; nawet kazalnice jęczą z żałości, chociaż są z drewna!*

Główni uczestnicy bitwy, poza arcybiskupem Toledo, nie żyli dość długo, aby ujrzyć późniejsze triumfy chrześcijańskiej Hiszpanii. Kalif Muhammad an-Nasir zmarł w 1213 w Marrakeszu. Podobno zapisał się na śmierć. Jego następca okazał się wybitnie niekompetentnym władcą. W tym samym roku zginął król Piotr II Aragoński. W walce, tyle że - o ironio - tym razem stawał przeciwko krzyżowcom; chodziło o wysłanych przez Innocentego pogromców langwedockich katarów. Alfons VIII zmarł w następnym roku, a jego dzieło podjął wnuk, Ferdynand III. Kanonizowany w siedemnastym wieku Ferdynand był człowiekiem wielkiej pobożności i zdolnym wojskowym, prawdziwym Nur ad-Dinem chrześcijaństwa. Gdy Almohadzi zaczęli szybko i nieodwracalnie tracić wpływy w Maroku i reszcie Maghrebu, kastylijski król wszczął kampanię, aby odebrać im resztę iberyjskiego terytorium. Jaén padło w 1246, Sewilla w 1248 roku. Gdy zdobyto Kordobę, arcybiskup Rodrigo Jimenez de Rada tak pisał o przejęciu meczetu Abd ar-Rahmana: „Gdy brud muzułmanów został usunięty i skropiono wnętrza święconą wodą, przemienili go w kościół, wznieśli ołtarz ku czci Niepokalanej Dziewicy i odprawili uroczyste mszę”. Ferdynand wysłał dzwony, które Almanzor przerobił na lampy, z powrotem do Santiago de Compostela. Utrzymał się tylko emirat Grenady, dysponują-

cy zarówno silną armią, jak i zdolnymi dyplomatami. Przetrwał klęskę pod Las Navas de Tolosa i istniał potem niewiarygodnie długo, bo całe 280 lat, i zaznaczył trwale swą obecność, zbudowawszy Alhambrę.

Dzisiaj pole bitwy nie jest odwiedzane. Leży w parku narodowym i tylko czasem zajrzy tu jakiś myśliwy. Mesa del Rey jest łatwa do odnalezienia - to wielkie, zalesione wzgórze w kształcie odwróconej łodzi. Miejscowi archeolodzy stwierdzili, że wszędzie, gdzie wbiją łopatę, trafiają na żelazne pozostałości oręża, pamiątki po średniowiecznej bitwie. Z odszukaniem przejścia wskazanego przez wieśniaka jest już gorzej. Ścieżki w tych górach wiją się i kręcą wśród zarośli, a jedynym łatwo rozpoznawalnym szlakiem jest, jak zawsze, stara rzymska droga. Wioska Las Navas de Tolosa leży dobre dziesięć kilometrów od miejsca bitwy i jest obecnie przedmieściem handlowym dużego miasta La Carolina, nazwanego tak na cześć króla Karola III, który zaprosił wieśniaków ze środkowej Europy, aby osiedlili się tutaj. Miał to być sposób na spacyfikowanie tych ziem, często wówczas nawiedzanych przez bandytów. W La Carolina stoi też wyniosły pomnik poświęcony pamięci bitwy. Znajduje się w parku przeciętym obecnie przez autostradę. Wzniesiony w erze Franco, ukazuje grupę królów i duchownych stojących za tarczami. Ich białe postaci są wydłużone, twarze surowe. Za nimi wznoszą się dwie smukłe, betonowe ściany połączone krzyżem wspomnianym w jednej z opowieści o bitewnych cudach. Całość wygląda przygnębiająco, zwłaszcza jeśli weźmie się pod

uwagę lokalizację. Obecnie monument najczęściej oglądają kierowcy przejeżdżający obok, zwykle z dużą szybkością.

Należy dodać, że istnieje jeszcze wiele innych pomników tej bitwy, rozrzuconych po całej Hiszpanii. W Jaén, ośrodku administracyjnym prowincji, w której rozegrała się bitwa, wysoki obelisk upamiętniający wielkie zwycięstwo stoi na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych alei. W Vilches, na szczycie wzgórza w pobliżu wioski Santa Elena, wisi w ciemnym kościele sztandar, który chrześcijanie nieśli podobno nad sobą, idąc do walki. W ufundowanym przez Alfonsa VIII klasztorze Las Huelgas, w północnym mieście Burgos, wisi na ścianie wielki płat tkaniny opisany jako osobista chorągiew kalifa. Jakkolwiek wszystkie pamiątki są poruszające i łatwo wyobrazić sobie, jak wielkie niegdyś miały znaczenie, ten najważniejszy pomnik dawnej bitwy i decydującej roli, jaką odegrała w historii, pozostanie nieuchwytny.

Hiszpania jest pod tym względem jedną z najciekawszych krain pamięci położonych wokół morza wiary. Al-Andalus jest tu ciągle obecna w swoistej pamięci zbiorowej. Obecna jest w języku i literaturze, chociaż wyraźnie czuje się, że chodzi o świat, który odszedł. Odszedł jednak inaczej niż w atmosferze łacińskiej melancholii pozostałej po upadku Outremer. Dla współczesnych ludzi Zachodu, nieuznających niedawno ożywionej idei wojującego chrześcijaństwa, epoka wypraw krzyżowych to czas, który należy opłakiwać, lecz nie dlatego, że przeminął, ale dlatego, że w ogóle się zda-

rzył. Z Al-Andalus jest inaczej: w pamięci muzułmanów i żydów, którzy mieli bardzo ucierpieć na skutek powrotu chrześcijaństwa na te ziemie - był to wiek złoty, czas wielojęzycznych poetów i genialnych rzemieślników, których dzieła przyćmiły okrucieństwo wojen, najczęściej kojarzonego obecnie symbolu tamtej epoki.

Jeśli chodzi o potomków zwycięzców, minął już dla nich czas, gdy trzeba było przyjmować bez szemrania oficjalne wersje historii tworzonej przez królów i biskupów. Hiszpanie spoglądają obecnie w swoją przeszłość tak, jak nie czyni tego żaden inny naród Europy Zachodniej. Z wolna odzierają ją przy tym z pobożnych legend. I ta walka trwa na wielu polach. W Andaluzji, która była główną sceną rekonkwisty, władze wytyczyły nowe szlaki turystyczne pozwalające rzucić okiem na muzułmańską przeszłość prowincji. Idealnie utrzymane boczne szosy ozdabiane są kolorowymi znakami pokazującymi przebieg Szlaku Kalifów czy Szlaku Nasrydów (ostatniej dynastii rządzącej Grenadą). Wahadło pamięci historycznej przesuwa się w kierunku uznania wielości tradycji. Latem 2004 roku gubernator prowincji Jaén ogłosił, że przeznaczono milion euro na budowę pomnika w miejscu bitwy z 1212 roku. Można spokojnie przyjąć, że będzie to znak pamięci zarówno bitwy pod Al-Ikab, jak i bitwy pod Las Navas de Tolosa.

# ROZDZIAŁ ÓSMY

## MORZE WIARY

Misjonarze, kupcy i monarchowie, współistnienie przeciwieństw; trzynasty i czternasty wiek; wzrost znaczenia Turków osmańskich

Damietta (arabskie Dumyat, Egipt). Bratanek Saladyna, Malik al-Kamil, sułtan Ajjubidów, był bardzo zdziwiony, gdy mamelucy postawili przed nim Franka odzianego w szarą szatę i sandały. Był rok 1219. Dzień drogi na północ od obozu sułtana kłębiła się w delcie Nilu piąta krucjata. Łacinnicy próbowali zdobyć Damiettę. Mimo niebezpiecznych czasów obecność gościa nie zaniepokoiła zapewne sułtana. Ród Al-Kamila od dawna walczył z najeżdżającymi jego kraj Frankami. Jego ojciec wiele razy gościł w ich obozie, prowadząc na prośbę swego brata, Saladyna, negocjacje podczas trzeciej krucjaty z lat dziewięćdziesiątych XII wieku. Król Ryszard Lwie Serce cenił ojca Al-Kamila tak wysoko, że rozważał nawet przez pewien czas oddanie mu swojej siostry za żonę. Owa kobieta, Joanna z Anglii, dostała „ataku furii z oburzenia i wściekłości” na samą myśl, że miałyby zawrzeć związek małżeński i zlec w łóżnicy z niewiernym, chociaż jej przyszły mąż, Rajmund z Tuluzy, obrońca langwedockich katarów, nie był ani trochę miłszy katolickiej ortodoksji.

Gość sułtana Al-Kamila nie był heretykiem, ale nie był też zwykłym chrześcijaninem. Zapuszczony, biedny i brudny, podobnie jak wielu innych ówczes-

snych wichrzycieli, charyzmatyczny Franciszek z Asyżu został kilka lat wcześniej uratowany przed ekskomuniką przez papieża Innocentego III, który podobno ujrzał we śnie, że połączona z ubóstwem pobożność franciszkanów wzmocni ostatecznie Kościół. Innocenty zmarł jednak w 1216 roku (dokładnie cztery lata po bitwie pod Las Navas de Tolosa) i nigdy nie miał się dowiedzieć o egipskim wyczynie swego protegowanego. Franciszek bowiem wymknął się z obozu krzyżowców pod Damietą i podjął ryzykowną wędrówkę przez wrogie terytorium, aby nawracać poddanych sułtana Al-Kamila na chrześcijaństwo. Gdyby zginął, realizując swój upragniony cel, zapewne zostałby męczennikiem.

Władca Kairu, obyty w świecie muzułmanin, który przywykł do ekscesów swoich sufich, wysłuchał gościa uprzejmie. Wedle hagiografów Franciszka jego pobożna przemowa zrobiła na muzułmaninie takie wrażenie, że aż chciał go hojnie obdarować różnymi prezentami. Święty asceta nie przyjął ich, co tylko wzmocniło podziw Al-Kamila. Cokolwiek zaszło naprawdę podczas tego osobliwego spotkania, wiemy jedno - krewniak Saladyna pozwolił Franciszkowi mówić i nie zabił go, a na koniec każdy z mężów nadal czcił własnego Boga. Jak napisał Dante Alighieri w Pieśni XI z rajskiej części *Boskiej Komedii*.

*A że był palmy męczeńskiej spragniony,  
Chrystusa głosić jął i Apostołów  
Przed sułtańskimi, nie zadrżawszy, trony.  
Lecz widząc próżne owoce mazołów,*

*A lud ów twardym i wierze niezdarnem,  
Wrócił brać żniwo z italskich padołów.*

Spotkanie sułtana z natchnionym geniuszem z Asyżu zdaje się symbolizować atmosferę, która będzie panować w basenie Morza Śródziemnego przez następne dwieście lat. Kontaktów między chrześcijanami i muzułmanami nie miały już wyznaczać tylko wojny albo wspólne studia. Przy okazji awantury pod Damiettą realista o stalowym spojrzeniu stanął naprzeciwko bujającego w obłokach fanatyka. Inni im podobni mogli się spotkać w wielu miejscach wokół Morza Śródziemnego owego czasu, kiedy średniowieczna *convivencia* przyjęła najszersze znaczenie. Muzułmanie i chrześcijanie nie byli już obcymi zamieszkującymi wybrzeża tego „wewnętrznego morza”; w trwającej od wieków rywalizacji pojawił się nowy aspekt zjadliwości, ale i przychylności. To właśnie była pełnia znaczenia terminu *convivencia*: konflikty i tarcia szły w parze z akceptacją innych. W czasach wypraw krzyżowych i rekonkwisty nie była ona jednak synonimem serdeczności w kontaktach. Impas, w jakim znalazł się świat śródziemnomorski w trzynastym wieku, doprowadził do dramatu w następnym stuleciu, kiedy to na Wschodzie pojawiła się nowa siła, która niebawem miała zakłócić mocno wszystkim, co pływało po morzu wiary.

*Są dwa rodzaje ludzi:*

*Ci, którzy mają rozum i nie wyznają żadnej religii,  
I ci religijni, co nie mają rozumu.*

Ta obserwacja syryjskiego poety żyjącego w jedenastym wieku, zwięzła, chociaż najpewniej niesprawie-

dliwa, oddaje wszakże sedno problemu głębokiej po-  
bożności. Ten sam trzynasty wiek, który wydał Fran-  
ciszka z Asyżu, człowieka naśladowującego całym swoim  
życiem postępowanie apostołów Jezusa, zrodził też  
kupców Genui i Wenecji, którzy obracali się w wiel-  
kich muzułmańskich portach Aleksandrii czy Kairu tak  
samo swobodnie jak u siebie. Po obu stronach więcej  
było zwolenników bliskiej współpracy, uważających,  
że interesy są ważniejsze niż kwestie wyznaniowe. Ale  
nie brakowało też licznych strażników czystości wiary,  
załamujących ręce nad podobnym zacieraniem różnic.

Dla żarliwych muzułmanów bitwa pod Las Navas  
de Tolosa i inne zwycięstwa hiszpańskich chrześcijan  
zwiastowały nadejście cięższych czasów. W niektórych  
regionach podbitych przez Koronę aragońską żydzi  
i mudejarowie zostali zapędzeni do kościołów na  
przymusowe kazania o wyższości chrześcijaństwa. Do-  
tąd zdawało się, że Bóg sprzyja islamowi, co podsu-  
mował pewien bogaty Syryjczyk w rozmowie z chře-  
ścijańskim mnichem: „To znak, że Bóg nas kocha i cie-  
szy go nasza wiara, skoro oddaje nam krainę najlepszą  
z wszystkich krain”. Wydarzenia w Hiszpanii i gdzie  
indziej zdawały się świadczyć o czymś wręcz odwrot-  
nym.

W 1258 roku Bagdad został zdobyty przez walecz-  
nych przybyszów ze wschodniej Azji: wojska mongol-  
skiego chana. Wielkie miasto nad Tygrysem straciło już  
dawny blask, jednak jego splądrowanie wywołało  
w świecie muzułmańskim szok podobny temu, jaki  
chrześcijanie *marę nostrum* przeżyli po złupieniu w



piątym wieku Rzymu przez Wizygotów. Ostatni abbasydzki kalif Bagdadu, symbol ciągłości kurajczyckiej tradycji, został zawinięty w dywan, a następnie stratoswany kopytami mongolskich koni. Uważa się, że zwycięski dowódca, Hulagu, znajdujący się pod wpływem swoich dwóch nestoriańskich żon, rozkazał zabijać tylko muzułmanów i żydów. Chrześcijan oszczędzono podczas masakry. Jeśli to prawda, katastrofa była poniekąd tym większa.

Ludzie z tamtych czasów nie mieli problemu ze znalezieniem przyczyn takiego stanu rzeczy. Winnych można było znaleźć aż nadto. Umma podzieliła się za sprawą walczących o wpływy dynastii, choć ich postępowanie stało w jawnej sprzeczności z naukami Proroka. Gdyby przywódcy byli prawdziwymi wyznawcami islamu, niosło się z kazalnicy, wówczas wiara nie doznałaby podobnych uszczerbków. Nawet potomkowie Saladyna, Ajjubidzi, rozdrapali między siebie jego imperium zaraz po śmierci wielkiego wodza. W ostatecznym rozrachunku osłabiony ród nie utrzymał się dłużej niż trzy pokolenia - jego żołnierze, tureccy niewolnicy mamelukowie, przejęli władzę. W Anatolii spadkobiercy Seldżuków wdali się w niepotrzebne bratobójcze wojny. Podobnie działo się w północnej Afryce.

Niektórzy nie ograniczali się do lamentowania nad ciągłą niestałością wyznawców islamu i zanoszenia modlitw o odmianę ludzkich serc. W czternastym wieku pewien przenikliwy historyk imieniem Ibn Chaldun spróbował przeanalizować przyczyny stojące za ową swarliwością, która charakteryzowała dzieje islamu. Za

przykład obrał kontakty Almorawidów i Almohadów w jego ojczystym Maroku. Zdaniem Ibn Chalduna wiara mogła być ważnym czynnikiem motywującym do budowy imperium, swoją rolę odgrywała jednak także asabijja - więzi lojalności spajające grupy krewnych i rozbudowane klany. Miało to swoje zalety i wady. Pomocne było w trakcie zdobywania władzy i istotne dla jej utrzymania, stanowiło jakby drugą religię, odpowiedzialną za sukcesy wiernych. Ibn Chaldun okazał się wnikliwym obserwatorem, zdolnym do formułowania wniosków, które dzisiaj nazwalibyśmy socjologicznymi. Wówczas było to prawdziwie rewolucyjne spojrzenie, zasadniczo różne od powszechnej wiary w codzienną boską interwencję w ludzkie sprawy. Ibn Chaldun stwierdzał też, że więzi, które pomagały dojść na szczyty, słabły nieuchronnie po ich osiągnięciu, elita władzy odsuwała się bowiem od swoich współbraci. Asabijja słabła wówczas, powodując rozpad tego wszystkiego, co zostało dzięki niej stworzone. Tym samym trudno było zrzucać winę za niepowodzenia wyłącznie na gniew Boży albo knowania wrogów. Lub na chrześcijaństwo, które, zdaniem Ibn Chalduna, nie było wcale winne nieszczęściom muzułmanów.

Większość apologetów islamu podzieliła jego zdanie, co warte jest zauważenia, zwłaszcza w zestawieniu ze stanowiskiem drugiej strony. Rycerze atakujący Al-Andalus czy Bliski Wschód byli z pewnością wrogami islamu, jednak ich religia niekoniecznie - taka ambiwalencja charakteryzowała nie tylko średniowieczne relacje między obiema religiami, ale widoczna jest także

dzisiaj. Dla pobożnego muzułmanina chrześcijaństwo mogło być tymi, którzy przekręcili nieco prawdziwy przekaz pozostawiony przez Jezusa, na prawidłowe jego odczytanie pozwalały bowiem tylko nauki Proroka. Doktryna islamu nie podważała świętości Marii Panny ani epokowego znaczenia Chrystusa. Dyskusyjna jednak była kwestia jego boskości i prawdziwej natury Boga - czy Bóg mógł mieć syna zrodzonego z kobiety i czy taki Bóg mógł umrzeć. Zgodnie z tym spojrzeniem Jezus był wielkim człowiekiem, jednak przekaz o zmartwychwstaniu uznawany był za bajkę. W Kopule na Skale, która przejęta została przez islam, widnieje na południowej ścianie inskrypcja, która dobitnie wyjaśnia tę sprawę: „O ludu Księgi, nie przydawaj swej wierze więcej niżli trzeba i mów tylko prawdę o Bogu. Mesjasz Jezus, syn Maryi, jest tylko wysłannikiem Boga i Jego Słowem, które przeniósł na Maryję, i Duchem z niego pochodzącym. Uwierzcie przeto w Boga i Jego apostołów i nie mówcie o Trójcy. Tak będzie dla was lepiej. Bóg jest tylko jeden. Nazbyt godny, aby mieć syna”. Jeszcze bardziej obraźliwy był problem symbolicznego kanibalizmu obecny w obrzędku Eucharystii oraz elementy pogańskiego kultu bożków dostrzegane w czczeniu świętych obrazów, krucyfiksów itp. Chrześcijańscy wojownicy mogli przysporzyć Dar al-islam wielu trosk, jednak ich wiara, chociaż postrzegała Jezusa inaczej niż Koran, była godna szacunku.

Spośród przedstawicieli drugiego obozu mało kto skłonny był wówczas wspominać o szacunku jako podstawie do akceptacji *status quo* muzułmanów. Mimo

sukcesów w Hiszpanii i na wyspach w zachodniej części Morza Śródziemnego, gdzie Katalończycy i Genuńczycy wymiatali wszystkich obcych, klęski ponoszone przez krucjaty w Palestynie i inne, podobne niepowodzenia, nadal były źródłem udreki. Kolejne klęski w północnej Afryce i Ziemi Świętej w trzynastym i czternastym wieku umniejszyły krzyżowy zapal, a nieliczne porty, które pozostały jeszcze na wybrzeżu okrojonego Outremer, stały się przedmiotem zacieklej walki między kupcami, wielmożami i rycerzami zakonnymi. Chrześcijanie też nie widzieli swej sytuacji zbyt różowo, ale - co bardzo ważne - w ich przypadku samo niezmacone istnienie islamu traktowane było jako policzek.

W odróżnieniu od muzułmanów, którym nieobce było spojrzenie ambiwalentne, pobożny chrześcijanin nie potrafił uznać cudzej wiary za równą własnej, skoro nie uznawała ona tych samych prawd objawionych. Chrześcijaństwo nie postrzegało Jezusa jako jednego z wielu proroków, jak widział go islam. Mesjasz już przybył, właśnie wtedy. Tym samym dla chrześcijańskich myślicieli Koran był nie tyle zniekształceniem prawdy, ile całkowitym kłamstwem. Dwa epokowe przekłady Koranu dokonane w Toledo w dwunastym i trzynastym wieku - pierwszy dla opata Cluny, drugi dla arcybiskupa Rodriga Jimeneza de Rada - nie miały służyć studiowaniu islamu, nie chodziło bowiem o jego zrozumienie, ale ośmieszenie i negację.

Ta fundamentalna wrogość wyjaśnia wiele innych nieporozumień. Pierwsi zimmi w Syrii i Hiszpanii wła-

ściwie zlekceważyli arabskich najeźdźców, traktując ich jak irytujących obcych, którym nie wróżono żadnej przyszłości. Gdy islam okrzepł i stał się konkurencją dla wiary chrześcijańskiej, inwektywy popłynęły szerokim strumieniem. Muzułmanie byli przedstawiani jako bałwochwalcy, ich świątynię w Mekce ukazywano jako scenę krwawych orgii i kazirodczego grzechu. Typowe dość kalumnie od czasów klasycznych kierowane przeciwko innowiercom - część z nich była wszakże pierwotnie wymierzona w chrześcijan - powtarzano następnie i wzbogacano, aby odmalować jak najbardziej odrażający portret arabskiego pogaństwa.

Gdy w miarę upływu czasu coraz lepiej poznawano islam, zarzut pogaństwa musiał upaść. Jego miejsce zajął powszechnie akceptowany pogląd, że to herezja podobna do tej, którą praktykowali katarzy. Szczególną uwagę poświęcono herezjarsze Mahometowi, biegli w pismach polemicznych zaś przeszli samych siebie, produkując fałszywe i bardzo mu nieprzychylne biografie. Pierwsze pojawiły się już w dziesiątym wieku. Mahomet był w nich przedstawiany nie tylko jako fałszywy prorok, ale nawet szarlatan, który fabrykował dowody cudownych zdarzeń. Jego objawienia miały być rojeniami wywołanymi atakami padaczki. Swoje nauki głosił za namową Żydów oraz, zapewne, pewnego popadłego w herezję chrześcijańskiego mnicha, który rozpoznał drzemiący w Mahomecie potencjał, gdy spotkał go w Bosrze. Po śmierci Mahometa jego ciało zostało wystawione na widok publiczny w oczekiwaniu zmartwychwstania, ale nic takiego się nie stało i tylko

psy - albo świnię - pożarły w końcu gnijącego trupa. Rozczarowani zwolennicy zebrali to, co jeszcze z niego zostało do metalowej skrzynki, i z pomocą ukrytych magnesów zawiesili w powietrzu, aby ogłupić łatwowiernych. I tak powstała Al-Kaba, sześcienny i okryty czarną tkaniną budynek w Mekce.

Ta czarna propaganda błędnie wobec tego, co bajano o prywatnym życiu Proroka. Uczni w wierze podkreślali, że głoszone przez niego kłamstwa miały swoje korzenie w niezdrowym uleganiu przyjemnościom cielesnym. Takie oskarżenia były chyba nieuniknione - trudno oczekiwać, aby żyjący w celibacie i przepelniony niechęcią do kobiet duchowny rozumiał szczęśliwego poligamistę. Przedstawiany jako pożądliwy uwodziciel Mahomet miał dobierać się do żon wszystkich swoich wojowników, narzucać się młodzieży płci obojga, a nawet chwalić się, że będąc w raju, zdeflorował Najświętszą Marię Pannę. Ludzie kupowali takie i inne historie, zwłaszcza że w trzynastym wieku chrześcijański świat w podobny sposób deprecjonował heretyków oraz Żydów. Gdy Kościół zaczął rozwijać aparat represji - a wtedy właśnie powstała papieska inkwizycja - najmniejsze bąknięcie wbrew oficjalnej wykładni głoszącej wyższość chrześcijaństwa mogło stać się podejrzanym. Kronikarz królestwa Leónu z trzynastego wieku, który doceniał najwyraźniej zdobycze andaluzyjskiej cywilizacji, podbijanej właśnie przez jego panów, utrzymywał, że cała filozofia spekulatywna islamu wyrosła z myśli podkradanych chrześcijańskim filozofom setki lat wcześniej - wielka skrzynia ze zdoby-

tymi wówczas wizygockimi traktatami miała trafić najpierw do Awicenny, który zabrał ją do Bagdadu, gdzie dokonano przekładu wszystkich pism na arabski. Potem kopiści cisnęli chrześcijańskie oryginały do ognia. Możemy tylko zgadywać, czy opowieść ta świadczy o ambiwalencji czy może raczej o zakłopotaniu związanym z dorobkiem, którym mogły poszczycić się Toledo i Palermo.

Nurtów krytycznych było oczywiście więcej. Jeden z nich przedstawiał Mahometa jako Antychrysta - albo alternatywnie - sześćsetletnie istnienie islamu jako preludium Dni Ostatnich zapowiedzianych w Apokalipsie świętego Jana. Obliczanie biblijnego wieku ziemi i przypasowywanie wyników do okresów historycznych było jednym z ulubionych zajęć średniowiecznych autorów. Papież Innocenty III też się do nich odwołał, bliską już Apokalipsą uzasadniając konieczność podjęcia piątej krucjaty (tej, z którą zabrał się Franciszek z Asyżu). Niektórzy następcy Innocentego skłonni będą uznać pojawienie się Mongołów, pustoszących nie tylko Dar al-islam, ale także wschodnią Europę, za nadejście armii Goga i Magoga - jeszcze jeden zwiastun Apokalipsy opisany przez Jana z Patmos. W ten sposób muzułmanie zostali zrównani z żydami jako tymi, którzy mają wypełnić chrześcijańskie proroctwo.

Tak czy inaczej pozostawał jeszcze otwarty problem, co z nimi zrobić. Nadaktywny Kościół trzynastego stulecia nie mógł biernie przyglądać się podobnie niepokojącym, z eschatologicznego punktu widzenia, zdarzeniom. Należało działać i to tak, aby pomóc reali-

zacji Bożego planu. W miarę jak chrześcijaństwo coraz gorliwiej zwalczało własnych odszczepieńców, a inkwizycja rosła w siłę, coraz więcej natchnionych duchem walki wiernych opuszczało Europę, udając się do Dar al-islam w ramach działalności misyjnej. Franciszek z Asyżu niczego wprawdzie nie wskórał, ale jego naśladowcy sięgnęli z czasem po metody wypróbowane setki lat wcześniej przez męczenników Kordoby - po prostu zmuszali islamskie władze do zabijania przyby- szów. Ich szczątki uświęcone śmiercią za wiarę miały zyskać moc działania cudów i w efekcie dokonywać masowych nawróceń niewiernych.

Uzbrojeni w taki oręż franciszkanie ruszyli na ulice północnoafrykańskich miast, aby, ku zmartwieniu lo- kalnych chrześcijańskich mniejszości, głośno zniewa- żać Proroka i jego dzieło. W odróżnieniu od męczenni- ków z Kordoby mnisi nie byli u siebie - przebywali mo- rze, aby obrażać obcą sobie kulturę. I rzeczywiście, wielu z nich zaznało gniewu kadich, chcących w swo- ich miastach zaprowadzić spokój. Ostatecznie najbar- dziej uparci franciszkanie dostali dokładnie to, czego szukali. Pięciu braci zostało straconych w Marrakeszu (1220), sześciu w Ceucie (1227), dwóch w Walencji (1228), potem znowu pięciu w Marrakeszu (1232), je- den w Fezie (1246) i siedmiu w Trypolisie (1289). Święty Bonawentura, uczony, ósmy generał zakonu w latach 1257–1274, napisał, że „tęsknota za śmiercią za Chrystusa, wystawianie się na śmierć za Chrystusa i rozkosz cierpienia takiej śmierci to akt idealnej miło-



ści”. *Danse macabre* franciszkanów był najbardziej skrajną reakcją chrześcijaństwa na islam.

Jeśli chodzi o ludzi, których syryjski poeta nazwał „mającymi rozum i niewyznającymi żadnej religii”, najlepszym przykładem byłby chyba Fryderyk II, cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego z pierwszej połowy trzynastego stulecia. Nazywany w swoich czasach Stupor Mundi (Podziwienie Świata), był poliglota, artystą i autokratą, który dzięki całej serii małżeństw odziedziczył normañskie królestwo Sycylii. Dzisiaj spoczywa wraz z królem Rogerem w palermiańskiej katedrze, gdzie obaj zostali przedstawieni w nadnaturalnej wielkości posągach i otrzymali nawet podobne sarkofagi z różowego marmuru. Ich kaplica, także odpowiednio wielka, znajduje się jednak jak najdalej od ołtarza.

Fryderyk praktykował *convivencia* na swój sposób. Brutalny tyran bizantyjskiego chowu tak daleki był kulturowo od muzułmańskich wieśniaków i sycylijskich baronów, że raz za razem wybuchały na wyspie bunty przeciw jego władzy. On zaś skazywał niepokornych na zesłanie i niemalże zdławił islam w swoim państwie. Z drugiej jednak strony lubował się w orientalnym sztafazu. Na wizyty u swych wasali na kontynencie wybierał się z całą egzotyczną ptaszarnią, ze słoniami, wielbłądami i tygrysami; osobistą straż skompletował z muzułmańskich mistrzów miecza. Jego podręcznik sokolnictwa (wynalezionego zresztą przez muzułmanów) od stuleci pozostaje niedoścignionym wzorem wiedzy fachowej i erudycji.

Fryderyk nie przejmował się specjalnie pretensjami ze strony papieżstwa - wiele razy był ekskomunikowany - miał bowiem własne ambicje, przede wszystkim do wielkości. Jako badacz historii *marę nostrum* postrzegał siebie jako cesarza-filozofa w stylu Marka Aureliusza. Ci, którzy nieustannie wypatrywali kresu dziejów, widzieli w nim antychrysta albo nową postać demona. Jego intelektualna ciekawość wystawiała go na kolejne oskarżenia. Tak zwane „Pytania sycylijskie”, które sformułował, dotykając takich kwestii, jak wieczność materii czy nieśmiertelność duszy, krążyły szeroko po świecie, głównie jednak tam, gdzie miał nadzieję znaleźć na nie odpowiedź, czyli w Dar al-islam. Wrogowie islamu nie posiadali się z oburzenia, gdy ajjubidzki sułtan Egiptu Malik al-Kamil (rozmówca Franciszka z Asyżu) przysłał na dwór cesarza uczonych i teologów, aby mogli podjąć z nim dyskusję na podstawie owych pytań.

Gdy przyszło mu się udać na krucjatę, co obiecał ostatecznie swemu opiekunowi z czasów dzieciństwa (Innocenty III reprezentował jego interesy do chwili osiągnięcia przez przyszłego władcę wieku męskiego), też zachował się oryginalnie, jak można się było zresztą spodziewać. Najpierw doczekał się ekskomuniki za opóźnianie wypłynięcia do Outremer, na miejscu zaś dogadał się ze starym przyjacielem Al-Kamilem, mającym akurat głowę zaprzątniętą syryjskimi rywalami i intruzami panoszącymi się w Iraku: w zamian za obietnicę nieagresji, znaczną zapłatę i zobowiązanie się do nienaprawiania murów obronnych Jerozolimy Fry-

deryk II mógł się koronować na jej króla. W ten sposób chrześcijanie wydzierżawili święte miasto od Ajjubidów. Na mocy porozumienia umowa miała być odnawiana co dziesięć lat. Dla lepszej zgody do puli dorzuciono jeszcze Betlejem i Nazaret.

I tak sułtan z cesarzem dogadali się po przyjaźni, przehandlowując święte miasto. Duchowni przywódcy islamu nie kryli przerażenia tą transakcją. Chrześcijański świat był nie mniej poruszony skandalicznymi poczynaniami kogoś, kto udał się na krucjatę mimo ekskomuniki. Nie tylko nie doszło z jego powodu do rozlewu krwi niewiernych, ale jeszcze Fryderyk dokonał rzeczy niemal niemożliwej - większość czasu spędził na Wzgórzu Świątynnym w Al-Haram asz-Szarif, konwersując tam po arabsku z muzułmańskimi uczonymi. Zrugął ich nawet za uciszenie muezzinów spowodowane mylnym założeniem, że uszy królewskie ucierpią, gdy łowić im przyjdzie wraże wezwania do modlitwy. Powiedział, że bardzo czekał na tę chwilę, gdy charakterystyczny śpiew będzie budził go każdego ranka. I chociaż ten krzyżowy turysta nie pozostał długo w Lewancie (papież wykorzystał jego nieobecność na Sycylii, aby zmontować atak na wyspę), jego postępowanie było sygnałem świtania nowego, nieideologicznego podejścia do Dar al-islam.

Fryderyka można by zapewne nazwać pierwszym orientalistą, a okazywane przez niego intelektualne i estetyczne zainteresowanie islamskim Wschodem zbiegło się z praktycznym docenieniem muzułmańskiego świata przez rosnący w siłę chrześcijański Zachód. Włoskie

republiki morskie, szczególnie Genua i Wenecja, wyparły żydowskich i greckich kupców ze wschodniej części Morza Śródziemnego i zmonopolizowały szlaki wodne w regionie. Nie dążyły do konfliktów z islamem; można wręcz powiedzieć, że prowadząc swoje udane interesy, lekcewały wezwania papieża o zaprzestanie handlu z niewiernymi. Kupcy dobrze rozumieli, że świat chrześcijański się zmienia i zapotrzebowanie na przyprawy i wschodnie luksusy będzie rosło. Zmieniali się też klienci. W trzynastym stuleciu, które dzięki względnemu pokojowi było dla zachodniej Europy pomyślne gospodarczo, pojawiła się nowa grupa społeczna - mieszczanie szukający sposobów, aby jakoś wyraźniej zaznaczyć swój zdobywany właśnie status. *Stadtluft macht frei* - „miejskie powietrze czyni wolnym”, powiadano w średniowieczu. W mieście łatwiej było również wydawać pieniądze.

Chociaż zaczynali raczej nieśmiało około roku 1000, ostatecznie również kupcy z Italii i Katalonii zaczęli docierać wszędzie tam, gdzie warto było dotrzeć na morzach Tyrreńskim, Adriatyckim, Egejskim i Czarnym. Znali wszystkie porty Bliskiego Wschodu. Podróżnicy, między innymi Marco Polo, przebyli szlak przyprawowy, docierając aż na dwór mongolskiego chana. Ich sukces miał spory związek z poczynaniami krzyżowców, którzy otworzyli dla żeglugi Palestynę oraz Libię i stworzyli bazę dla rozwoju szerokich kontaktów handlowych z muzułmanami z Aleppo, Damaszku i położonych jeszcze dalej miast. Po jakimś czasie stało się oczywiste, że handlować można z każ-

dym, niezależnie od jego wyznania, i że chrześcijańscy kupcy nic nie ryzykują, zjawiając się w portach Outremer. Jerozolima miała poniekąd pecha - była miastem na wzgórzu, ale bez dostępu do morza. Rządy Fryderyka trwały ledwie piętnaście lat i gdy bogate nadmorskie społeczności odwróciły się od nieistotnego w interesach miasta, ostatecznie osłabiona Jerozolima stała się łatwą zdobyczą dla muzułmanów, którzy odbili ją w roku 1244.

W portach, których nie kontrolowali muzułmanie, Italczycy i Katalończycy stworzyli własne kantory zwane *funduks*, będące równocześnie kwaterami mieszkalnymi, magazynami, łaźniami i kaplicami. Za czasów Ajjubidów, a zwłaszcza mającego szerokie horyzonty Al-Kamila, zmieniły się też warunki działalności łacińskich kupców w Aleksandrii, Damietcie i Kairze. Kolejni władcy Egiptu, Mamelucy, okazali się równie gościnni. Nie mieli nic przeciwko kierowaniu kupców z Oceanu Indyjskiego na swoje bazy, gdzie Europejczycy wnosili stałe i wcale niemałe opłaty za możliwość handlowania. Wenecja, kupiecka oligarchia, stworzyła wówczas podstawowe zręby nowoczesnego korpusu dyplomatycznego opartego na rezydentach, którzy reprezentowali interesy swojego miasta za granicą i regularnie składali do „centrali” meldunki. Syn ambasadora w Bougie (obecnie Bidżaja w Algierii) matematyk Leonardo Fibonacci z Pizy, wprowadził do łacińskich rachunków arabskie cyfry. Katalończycy, chętni dobrać się do złota z subsaharyjskiej Afryki, przybyli na wybrzeża Maghrebu jako handlowcy raczej

niż wojownicy. Romański kodeks handlowy został wzbogacony o takie arabskie słowa, jak *cheque*, *tariff*, *bazar*, *traffic* i *arsenal*. Niekiedy muzułmańscy partnerzy karali europejskich kupców za dostarczanie pomocy logistycznej różnym wyprawom krzyżowym przeciwko Ifrikiji i Egiptowi, jednak nie zaburzało to w żaden sposób rozwoju handlu w tym okresie. I dla muzułmanów, i dla chrześcijan sprawy Boże okazywały się mniej ważne niż swoboda w interesach.

Nie zakończyło to jednak wojen. Mamelucy, jakkolwiek przyjaźni wobec Italczyków, nie zaprzestali urządzania Lewantu po swojemu. Pod dowództwem błyskotliwego i bezlitosnego sułtana Bajbarsa zdołali w 1260 roku zatrzymać Mongołów w bitwie pod Ajn Dżalut w dolinie Jordanu. Potem zwrócili się przeciwko łacinnikom. Upadł Krak des Chevaliers, upadły Al-Markab, Tortosa i inne wysunięte placówki chrześcijańskiego Lewantu. Wielkie miasto Antiochia, jeden z pięciu najważniejszych ośrodków chrześcijaństwa, zostało tak dokładnie złupione, że nigdy już się nie podźwignęło. W 1291 doszło do ataku na ostatni łaciński punkt na mapie - Akkę. Miasto padło pośród okrutnej rzezi, bo Mamelucy nie byli w tej walce prowadzeni przez wspaniałomyślnego Saladyna. Pozbawieni baz w Palestynie kupcy przenieśli swoje magazyny na Cypr, gdzie pokonany pod Rogami Hittinu Gwidon z Lusignan założył własne państwo, i wznowili handel ze swymi tytułarnymi wrogami, jakby nic się nie zdarzyło.

Wzajemne stosunki zamieszkujących wybrzeża Morza Śródziemnego wyznawców dwóch potężnych religii ulegały powolnemu przeobrażeniu. Miejsce zapiekłej od wieków wrogości zajmowała chęć nawiązania współpracy ekonomicznej. Walka między dwoma wyznaniem daleka była od zakończenia, niemniej zarówno arystokrata Fryderyk II, jak i kupcy - mieszczaństwo wskazywali nowy kierunek i nowe podejście, ciekawość i pragmatyzm ceniąc wyżej niż bigoterię i demonizowanie wszystkiego, co obce albo niezrozumiałe. Z Majorki rozległ się wtedy jeszcze osamotniony głos nawołujący do niestosowania przemocy. Wprawdzie jego autor, franciszkanin Rajmund Llull, zginął na początku czternastego wieku, nawołując do nawracania niewiernych, jednak to, co napisał w młodości, jeszcze sto lat wcześniej było nie do pomyślenia:

*Ach! Cóż by to było za wielkie szczęście, gdybyśmy... gdybyśmy wszyscy - wszyscy ludzie na ziemi - wyznawali jedną religię i jedną wiarę, aby nie było już animozji ani złej krwi między nami ani nienawiści z powodu odstępstw czy różnic między wyznaniem i sektami! I tak, jak jest tylko jeden Bóg, Ojciec, Stwórca i Pan wszystkiego, co istnieje, tak ludzie mogliby się zjednoczyć i stać się jednym ludem dążącym po ścieżce zbawienia w jednej wierze i jednej religii, na chwałę i ku czci naszego Pana.*

To pobożne marzenie pozostało niezrealizowane. Lull nie mógł przewidzieć, że nowa epoka animozji i podziałów była już bardzo blisko i że nie zacznie się

na jego ojczystej Majorce, ale w krainach położonych daleko na Wschodzie.

Gallipoli to małe miasto, które nazywa się obecnie Gelibolu. Leży na końcu długiej na sześćdziesiąt kilometrów cieśniny znanej w czasach antycznych jako Hellespont, w średniowieczu pod nazwą Ręki Świętego Jerzego, obecnie jako Dardanele. Tutaj Azja spotyka się z Europą. Na południowy zachód od Gallipoli rozciąga się półwysep o tej samej nazwie (i miejsce wielkiej bitwy z okresu pierwszej wojny światowej), który dochodzi do Morza Egejskiego i tworzy porośnięty lasem europejski brzeg cieśniny. Na wschodzie Dardanele otwierają się na morze Marmara, zwężają się w okolicy Stambułu w cieśninę Bosfor, biegnącą już wprost do Morza Czarnego. Średniowieczni królowie i sułtani wiedzieli, że jeżeli kiedykolwiek islam spróbuje wkroczyć do Europy od wschodu, będzie musiał najpierw pokonać te przeszkody wodne - tak jak uczynił to wieki wcześniej, przepływając się przez Cieśninę Gibraltarską. Ostatecznie nastąpiło to, za sprawą boskiej interwencji, właśnie w Gallipoli.

2 marca 1354 roku trzęsienie ziemi zrujnowało umocnione miasto. Dla jego greckich mieszkańców, którzy przetrwali wcześniejszą o niecałe dziesięć lat epidemię czarnej śmierci, było to o jedno nieszczęście za wiele. Opuścili ruiny i wsiedli na pokłady statków, aby poszukać szczęśliwszej przystani, zostawiając ważne strategicznie miejsce puste i niestrzeżone, jakby gotowe do wzięcia. Ich tureccy sąsiedzi po azjatyckiej stronie nie potrzebowali wiele czasu, aby zauważyć, co



się stało. Zanim lato narosło upałem, zajęli i na nowo ufortyfikowali Gallipoli, kładąc kamień węgielny po swoje europejskie imperium. Tym samym zaczęła się ostatnia era morza wiary. Argumenty religijne, którymi szermowano tak chętnie, uzasadniając agresję, miały ustąpić argumentom państwowym. Wiara pozostała oczywiście w tle, jako swoista wyższa racja, ustępowała jednak przed realizmem politycznym i jawnym imperializmem. O ile kupcy z Genui i Wenecji zapoczątkowali tę zmianę, o tyle Turcy nader kreatywnie rozwinięli ich pomysły.

Nowi lokatorzy Gallipoli byli Osmanami, mało znanym dotąd półnomadyjskim tureckim plemieniem, którego poczynania miały jednak przyćmić sławę wcześniej obecnych na tych ziemiach Seldżuków z Rum. Dokończyli to, co zaczęło się pod Manzikertem - ich rządy oznaczały ostateczny zanik bizantyjskiego hellenizmu. W Europie odegrali rolę bardziej złożoną, powołałi bowiem wielokulturowe i wielowyznaniowe imperium, czym stworzyli podwaliny pod *convivencia* podobną do tej, która rozkwitała w umajjadzkiej Al-Andalus. Nie zmieniły tego nawet okrucieństwa wczesnej fazy ich podbojów. Ta część dziedzictwa imperium osmańskiego bywa niekiedy ignorowana. Większą uwagę zwraca się zwykle na dziewiętnastowieczne nacjonalizmy bałkańskie, które rozkwitły wówczas, gdy kraj Osmanów był, jak to kiedyś zgrabnie wyrażono, „cudem rozkładu”. Początek tureckiej obecności w Europie może też być postrzegany jako źródło zła i nawrót do barbarzyństwa, które przyhamowało rozwój cywili-

zacji. W pierwszym stuleciu swoich rządów Osmanowie stworzyli bardzo żywotny twór, w którym konflikty przeplatały się z praktyką koegzystencji i który był tak różnorodny jak inne kultury powstałe nad brzegami Morza Śródziemnego. I choć Osmanowie byli mocno średniowieczni w swoim okrucieństwie, to jednak pomogli stworzyć pomost do współczesności. Przekroczenie cieśniny w Gallipoli było pierwszym krokiem na tej drodze.

Od dawna stali na progu Europy. Pierwotnie byli niewielkim plemieniem w seldzuckiej konfederacji, rozbitej przez mongolskie najazdy. Pierwszy raz dali o sobie znać na początku czternastego wieku. Ich wodzem był wtedy potężny Osman, który osiedliwszy się w beyliku (niewielkiej prowincji) na północno-zachodnim krańcu Anatolii, dążył do opanowania azjatyckich pozostałości po cesarstwie bizantyjskim. Osmańscy ghazi (wojownicy wiary) co rusz wyruszali z Bursy, stolicy prowincji na południe od morza Marmara, aby powiększać podległe ich władcom tereny. Mieli zresztą do tych władców szczęście, trzech z nich bowiem wykazało się najwyższymi talentami wojennymi: Osman, który rządził w latach 1300–1326, Orhan (1326–1360) oraz Murad I (1360–1389). Urodzeni dowódcy i, jak wszyscy w tamtych czasach Osmanowie, urodzeni jeźdźcy, z równym zapałem odpierali ataki chrześcijan i muzułmanów. W miarę jak topniała liczba rywalizujących z nimi tureckich władców, pod ich sztandary zaczęli się garnąć wszyscy poszukiwacze podobnych okazji: i turkmeńscy nomadowie, i chrześci-

jańscy amatorzy przygód. Gdy Orhan spojrział łasym okiem na drugi brzeg Dardaneli, miał już za sobą poważną siłę.

Osmanom sprzyjało jeszcze jedno: to, że Europa na początku czternastego stulecia była rozbita podobnie jak Anatolia. Upadek bizantyjskiej władzy po złupieniu Konstantynopola przez czwartą krucjatę był szkoda nie do naprawienia. Wprawdzie zamach stanu Genueńczyków pozwolił Grekom w 1261 roku odzyskać Konstantynopol, jednak stało się to w zamian za obowiązek wspierania Wenecji w lewantyńskim handlu. Do władzy doszła nowa dynastia, Paleologowie, którzy radzili sobie nawet nieźle, nigdy jednak nie zdołali odzyskać rozległych europejskich terenów. Cesarstwo skurczyło się do części Peloponezu, Tessaloniki, trackich wyżyn wkoło Adrianopola i samej stolicy. Cała reszta była grą. Greckie i bałkańskie porty na kontynencie oraz wyspach Morza Egejskiego stały się sceną nieustannych walk między ekspansywnymi morskimi republikami Italii. W głębi lądu, na porośniętych lasami wyżynach Bałkanów, powstawały - upadały efemeryczne cesarstwa i dominia. Jedynym królestwem, które próbując naśladować Bizancjum, przetrwało trochę dłużej, było serbskie państwo Stefana Duszana, rozbite jednak wewnętrznymi sporami po jego śmierci w 1355 roku.

W owych czasach jedynym łącznikiem mogącym budować bałkańską wspólnotę były korzenie kulturowe. Słowianie wchodzili z wolna w role swoich dawnych greckich panów, a Serbowie i Bułgarzy tworzyli także własne, niezależne patriarchaty. Naśladowali, ale

też jednocześnie kreowali nową jakość. Gdy Osmanowie zastanawiali się nad podbojem Europy, na Bałkanach kwitło nadal to, co nazwano w swoim czasie „wspólnotą bizantyjską” z centrum intelektualnym w klasztorze na Górze Athos. Ślady cesarstwa w religii i kulturze były nadal żywe, ale to nie wystarczało, by odeprzeć pragmatycznych najeźdźców, zwłaszcza takich, którzy za nic mieli wszelkie cywilizacyjne, religijne i obyczajowe dziedzictwo. Dla Osmanów liczyła się władza, nie wyznanie czy język. Gdy spojrzeli na Europę, dostrzegli w niej nie piękno słowiańskiego chrześcijaństwa, ale mozaikę drobnych feudalnych państw. Bizantyjska jedność zniknęła bez śladu.

I znowu szczęście uśmiechnęło się do Turków. Jeszcze przed ustanowieniem przyczółka w Gallipoli zostali zaproszeni do Europy, i nawet sownie opłaceni. Okazję stworzyła wojna domowa o sukcesję w Bizancjum. Dokonując zleconego im rozpoznania bojem, zdobyli bezcenną wiedzę o silnych i słabych stronach chrześcijańskiego państwa, zobaczyli na własne oczy pastwiska Tracji oraz usłyszeli o bogatych złożach minerałów znajdujących się za górami. Orhan miał także okazję zerknąć na trzy piękne córki basileusa Jana VI Kantakuzena. Gdy zażądał jednej z nich, Teodory, otrzymał ją za żonę. Wiele źródeł podaje, że nawet się w niej zakochał.

Gdy Orhan zajął Gallipoli, nie potrzebował już zaproszenia. Następne lata były dla Osmanów niemal nieprzerwanym pasmem zwycięstw. Opanowali Trację, zagrozili Tesalii. Miasto Adrianopol, znane dotąd tylko

z tego, że tysiąc lat wcześniej zginął tu z ręki Wizygotów cesarz Walens, stało się, jako Edirne, stolicą nowego, osmańskiego świata. Bułgarzy, a nawet Bizantyjczycy, przychodzili składać hołdy zwycięskiemu sułtanowi. W 1371 roku Osmanowie doszczętnie rozbili resztki imperium południowych Słowian. Nad rzeką Maricą, na zachód od Edirne, pokonali Serbów, zmuszając ich do trwałego wycofania się za góry Macedonii. Po tej największej w owym czasie bitwie na Bałkanach doszło do kolejnych. W 1389 roku sułtan Murad I pomaszerował z armią przez południowe Bałkany, docierając do granicy zlewisk Morza Egejskiego i Morza Czarnego. Tam, w wymarłej kotlinie zwanej Kosowym Polem (Kosovo polje), Osmanowie i ich chrześcijańscy sojusznicy spotkali się z połączonymi armiami Serbów i Bośniaków wspieranych przez węgierskie i albańskie oddziały.

Bitwa na Kosowym Polu, chociaż nie była ważniejsza od bitwy nad Maricą, obecna jest do dziś w folklorze i zbiorowej pamięci Bałkanów. Otoczona podobnym, religijno–nacjonalistycznym oparem jak bitwa pod Las Navas de Tolosa, stała się alegorią serbskiego męczeństwa i tureckiego ucisku. Dzięki wszystkiemu, co o niej napisano prozą i słowem wiązanim, w większości przypadków wieki później, wiemy, że pośród zgiełku zginął wówczas naczelnym dowódcy serbskiej armii, książę Lazar Hrebeljanović, i że sułtan Murad też spotkał tam śmierć, zapewne zamordowany, więc był to raczej remis niż miażdżące zwycięstwo Osmanów.

Wiele istniejących w Kosowie pomników i kaplic dopowiada historię bitwy niemal do końca. Można odnaleźć w niej trzy zasadnicze wątki: ścięcie dumnego księcia Lazara przez Turków; zdradziecką ucieczkę Vuka Brankovicia i jego ludzi, która zwolniła Serbów z odpowiedzialności za porażkę, oraz nade wszystko - odwagę bohatera-zabójcy Miloša Obilicia, który podstępnie utorował sobie drogę do wielkiego wodza Osmanów, pozorując przejście na ich stronę, i zamordował Murada. Niektórzy historycy uważają, że jest to postać całkowicie wymyślona - patriotyczny mit mający wzmocnić miłość ojczyzny. Jeśli tak jest, to okazał się w pewien sposób skuteczny. W 1914 roku najśłynniejszy zamachowiec Serbii, Gawriło Princip, zastrzelił w Sarajewie arcyksięcia Ferdynanda 28 czerwca, w dniu czczonym jako rocznica wyczynu Obilicia. Cokolwiek naprawdę zdarzyło się na Kosowym Polu, bitwa ta stała się jednym z najnośniejszych symboli zmagania między średniowiecznymi muzułmańskimi i chrześcijańskimi armiami. Symbolem, który w pewien sposób nie stracił aktualności po dziś dzień - jest w nim obrona wiary, poświęcenie, opór wobec tyranii i solidarność narodowa. Nawet te postaci, które o wiele silniej zapadły w zbiorową pamięć, jak Karol Młot pod Poitiers czy Saladyn pod Rogami Hittinu, nie mogą się równać z istic szekspirowskim koktajlem zdrady, męczeństwa i morderstwa.

Dla ówczesnych Turków bitwa ta była przełomowa z całkiem innych powodów. Śmierć Murada była bezprecedensowym potknięciem się na drodze do zbudo-

wania imperium. Wspominały o niej wszystkie późniejsze tureckie kroniki. Objęcie władzy przez jego syna, Bajazyta I, tylko częściowo wyrównało szkodę. Następca okazał się niezrównoważony emocjonalnie, przez co znany też jako Jyldyrym (Błyskawica) - przekazy informują, że gdy dowiedział się o śmierci ojca, w pierwszym rzędzie wyłupił oczy swojemu starszemu bratu. Chcąc utrwalić zdobytą tym sposobem władzę, szybko zawarł pokój z Serbami i dążył do przyjaźni z ich przywódcami. Stefan Lazarević, syn zabitego podczas bitwy Lazara Hrebeljanovicia, stał się wiernym wasalem Turków i wziął udział w wielu ich kampaniach na terenie Azji i Europy. Siostra Stefana, Olivera, wyszła za osmańskiego sułtana, cementując tym samym więzy między Turkami i Serbami. Niezależnie od wszystkich mitów i opowieści rozpowszechnionych na Bałkanach bitwa na Kosowym Polu zbliżyła tak naprawdę oba ludy.

Zresztą nie we wszystkich regionach Bałkanów Osmanowie byli niemiłymi gośćmi. Na podbitych przez nich terenach wielu wieśniaków, którzy wcześniej uciekli, wracało na swoją ziemię, skoro minęła już groza ataku, a sułtan wyraźnie panował nad swoim krajem. Nowe porządki nie były przy tym złe, ponieważ osmański system przewidywał mniej przymusowych dni pracy na polach lokalnego władcy. Co więcej, nie wszystkie kościoły stały się meczetami, kapłani zaś, płacąc sułtanowi karne podatki, nadal mogli z powodzeniem dbać o swoją trzódkę. Można powiedzieć, że

zakradła się na te ziemie nieśmiała, ale jednak widoczna *convivencia*.

Wszystkie te optymistyczne widoki nie powinny jednak przesłaniać zasadniczej prawdy o podbojach. To właśnie Osmanowie wymyślili przewrotny sposób pozyskiwania nowych żołnierzy, tak zwanych *yeni çeri*, czyli janczarów. Były to chrześcijańskie dzieci odebrane rodzinom, które wychowywano w islamskiej kulturze, ucząc wojaczki i wierności sułtanowi. One też tworzyły z czasem jego gwardię przyboczną. Była to nie tyle powszechna praktyka, ile wręcz jeden z filarów funkcjonowania osmańskiego państwa, niemal równie istotny jak sam islam. Nawracanym siłą młodym ludziom zabraniano wchodzenia w związki małżeńskie; miało to pewien cel - janczarzy bowiem utworzyli pierwszą zawodową armię od czasów cesarstwa rzymskiego i zastąpili tradycyjnych wojowników, ghazich, którzy jako nomadzi nie byli wcale zachwyceni przejściem na osiadły tryb życia i rwali się do dawnych awanturniczych wypraw. Pozbawieni korzeni i własnej kultury janczarzy stali się podporą imperium, natchnioną na dodatek fanatycznym wręcz przekonaniem o potrzebie ekspansji.

Anadolu Hisari to miejsce położone dziewięć kilometrów na północ od wielkiego miasta Złotego Rogu, bliżej czarnomorskiego krańca cieśniny rozdzielającej Europę i Azję, gdzie strumienie znane jako Słodkie Wody Azji wpadają do Bosforu. Tutaj właśnie, w najważniejszym miejscu przesmyku, sułtan Bajazyt nakazał



budowę Fortecy Anatolijskiej, Anadolu Hisari, ponurej warowni, która miała kontrolować ruch morski.

Dzisiaj niewielki park otaczający rozpadające się blanki rozbrzmiewa śmiechem dzieci w mundurkach szkolnych, które bawią się pod czujnym spojrzeniem opiekunek. Pomaga im popiersie Atatürka na pobliskim cokole ozdobionym wzniosłą inskrypcją: „Jak szczęśliwy jest ten, kto może o sobie powiedzieć, że jest Turkiem”.

Turkofilia Atatürka dobrze oddaje ducha Anadolu Hisari. Budowa fortecy wiązała się z drugim etapem procesu zaczętego w Gallipoli. Gdy Bajazyt ukończył swoje dzieło na początku piętnastego stulecia, wiadomo było, że nastał zmierzch wielkiego miasta jako chrześcijańskiej stolicy. Osmanowie chcieli Konstantynopola. W dziesięcioleciu, które nastąpiło po bitwie na Kosowym Polu, Bajazyt prowadził nieustanne wojny w Anadolii, dzięki czemu podwoił obszar imperium, które zostawił mu ojciec. Osmanowie usadowili się mocno na dwóch kontynentach, zajmując terytorium podobne do dawno minionego cesarstwa bizantyjskiego. Brakowało tylko samego środka, „Czerwonego Jabłka”, czyli Konstantynopola. Jak powiedział Prorok w jednym z hadisów: „Chwała niech będzie tej armii i temu księciu, który podbije Kostantiniye”.

Bajazyt widział sprawę prosto: należało zmęczyć obrońców. Wraz z oblężeniem Konstantynopola zamierzał blokować morski dostęp do miasta. Anadolu Hisari pozwalała dostrzec każdy statek, który chciałby wśliznąć się w cieśninę od strony Morza Czarnego, czy

wiózłby ziarno i kopaliny z Trapezuntu, dywany i jedwabie z Persji albo Armenii, czy też niewolników z Kaukazu, przeznaczonych do seksualnej i wojskowej niewoli gdzieś w śródziemnomorskim świecie. Wszystkie zawijały w pierwszym rzędzie do Galaty, genuńskiego portu na północnym brzegu Złotego Rogu naprzeciwko Konstantynopola. Były też istotnym źródłem bogactwa dla całego chrześcijańskiego Wschodu. Chcąc zagłodzić Konstantynopol, należało nie tylko odciąć prowadzące doń drogi lądowe, ale jeszcze ograniczyć żeglugę. Sułtan założył, że w takiej sytuacji przejęcie miasta pozostanie tylko kwestią czasu.

Nie brał wszakże pod uwagę możliwych reakcji przeciwników. Próbując odtwarzać dawne cesarstwo, rządzone znad Bosforu, Bajazyt przejął też jego stare problemy. Tak samo jak Bizantyjczycy przed Manzikertem, rychło stanął wobec dwóch zagrożeń: ze Wschodu i Zachodu. To ostatnie pojawiło się pierwsze, pod postacią największej międzynarodowej krucjaty, jaka została podjęta od ponad stulecia. Zachodnie potęgi dostrzegły w końcu istnienie imperium osmańskiego i związane z nim zagrożenie. Opanowanie przez Bajazyta Bułgarii oraz większej części Grecji i Węgier odebrane zostało jako sygnał alarmowy. W lipcu 1396 roku zebrała się w Budzie wielka armia rycerzy i ochotników z Wołoszczyzny, Francji, Niemiec, Polski, Czech, Italii, Hiszpanii i Anglii, która pomaszerowała następnie wzdłuż Dunaju.

Dowodził nią węgierski król Zygmunt Luksemburski. Krzyżowców było zapewne około stu tysięcy i chcieli zmiążyć imperium niewiernych.

Zaalarmowany sułtan zebrał wszystkie siły, odstąpił od oblężenia Konstantynopola, przesłał swoim wasalom instrukcje, aby ruszali na północ zagrozić świętym wojownikom chrześcijaństwa, i sam też ruszył w drogę. Obie armie spotkały się 25 września pod Nikopolis (obecnie Nikopol w Bułgarii). Wynik bitwy był przesądzony, zanim jeszcze krzyżowcy odkryli, że tureckie wojska są blisko. Nieznający osmańskiej taktyki burgundzcy rycerze, którzy aż się palili do wielkich czynów opiewanych w *chansons de geste*, ruszyli całym tysiącami na pierwszy ujrzany oddział przeciwnika. Niewielki zresztą, ale znajdujący się akurat na wzgórzu, które zasłaniało skutecznie widok na dalej położone tereny. Gdy łacinnicy wpadli w pościgu na szczyt, ujrzeli przed sobą całą osmańską armię. Zaczęła się rzeź, po której do obozowiska pod Nikopolis wróciły tylko piesze niedobitki chrześcijańskich oddziałów. Złe przeczucia ustąpiły miejsca panice, gdy licząca dziesiątki tysięcy karnego żołnierza armia turecka wyszła wreszcie z ukrycia i runęła w dół tego samego wzniesienia, za którym zniknęli rycerze z Burgundii. Powiadano, że Bajazyt nakazał tego dnia ponad dziesięć tysięcy egzekucji, aż jego własni ludzie zaczęli prosić go o umiar. W stolicach Zachodu nie dano z początku wiary, że mogła się wydarzyć tak wielka katastrofa. Ale stało się. Sułtan wrócił nad Bosfor, ponownie otoczył Konstantynopol, zablokował szlaki wodne.

Wydawało się, że nic oprócz gromu z jasnego nieba nie zdoła przeszkodzić Błyskawicy w realizacji planów.

Grom spadł ze Wschodu, gdzie powstała z latami jedyna siła potężniejsza niż zastępy osmańskiego sułtana: władca Samarkandy znany jako Tamerlan albo Timur Leng (Timur Chromy). Jego armie łączyły w sobie nieludzką wytrzymałość stepowych nomadów z gorliwością bojowników dżihadu i okazywały to nawet w walkach z innymi muzułmanami. Historia nie знаła jeszcze tak dzikich i zawziętych wojowników. Złupili bezlitośnie nie tylko wiele miast islamu, jak Isfahan, Bagdad, Mosul, Aleppo i Damaszek, ale zasłynęli zwyczajem usypywania wielkich piramid z głów pokonanych wrogów, makabrycznych pomników, na które składały się niekiedy dziesiątki tysięcy czaszek. Żony i córki pomordowanych obdzierano z odzieży i wyganiano na place i ulice, skąd trafiały do namiotów nomadów. W ostatnim dziesięcioleciu czternastego wieku zginęły albo poszły w ten sposób do niewoli miliony mieszkańców środkowej i zachodniej Azji.

Okolo 1400 roku Timur zaczął pustoszyć Syrię, wywołując natychmiast przerażenie we wszystkich sąsiednich krainach. Nie było ono bezzasadne. Wkrótce doszło do spotkania równie niezwykłego, jak to pomiędzy Franciszkiem z Asyżu a sułtanem Al-Kamilem. Egipscy Mamelucy wydelegowali wielkiego uczonego Ibn Chalduna na rozmowy ze strasznym Timurem. Obaj mężowie, pomimo dzielącej ich przepaści, odbyli wiele długich dyskusji. Uczony wrócił oczarowany głębokością myśli Timura - zapewne ujrzał w nim ko-

goś zdolnego odbudować imperium islamu. Timur, ze swojej strony, nie okazał się skłonny do dłuższych refleksji. Chociaż liczył sobie sporo ponad sześćdziesiąt lat, nade wszystko kochał wojnę i miał woje metody wobec każdego, kto nie poddawał się jego woli. Szczególnie niechętny był Osmanom. Wysławszy posłów do Bajazyta, zażądał, aby sułtan wycofał się ze wszystkich bizantyjskich prowincji Anatolii i tureckich emiratów, które wcześniej zagarnął.

Wściekły i bez wątpienia dodatkowo zirytowany koniecznością ponownego odstąpienia od Konstantynopola sułtan zebrał raz jeszcze wojska i czym prędzej pomaszerował do Anatolii, tym razem, aby dać nauczkę intruzom ze Wschodu. Decydująca bitwa rozegrała się w 28 lipca 1402 roku w pobliżu Ankary. Chociaż nie była meczem do jednej bramki, Osmanowie zebrali tęgie lanie. Stefan Lazarević, który walczył u boku Turków w Nikopolis, przetrwał walkę i zdołał nawet ocalić część rodaków sułtana przed niewolą. Bajazyt Błyskawica nie miał tyle szczęścia - pojmany żywcem, był później pokazywany gawiedzi na specjalnie skonstruowanej platformie (w legendzie zmienionej w klatkę). Timur zaś łupił miasta północno-zachodniej Turcji, które podbili przodkowie sułtana - Osman i Orhan. Pojmał też ukochaną żonę Bajazyta, która musiała naga usługiwać wielkiemu Mongołowi do stołu. Przygnębiony i poniżony Bajazyt zmarł następnego roku.

Chrześcijanie z Konstantynopola nie dowierzali własnemu szczęściu. Ich nadzieje, niedawno zdruzgotane pod Nikopolis, odrodziły się pod Ankarą. Osłabie-

ni Osmanowie stracili wolę walki. Ich imperium chwiało się w posiadach, wojsko chroniło się trwożnie za murami Anadolu Hisari i ani mu było w głowie kontrolowanie żeglugi. Co więcej, przychylność niebios okazała się trwalsza, groźne armie Timura zniknęły bowiem równie raptownie, jak się pojawiły. Niezwykły wojownik zawrócił w miejscu i ruszył na wschód, aby podbić teraz dla odmiany Chiny. Brak Bajazyta wywołał rychło wśród Osmanów wojnę domową o sukcesję. Konstantynopol, nowy Rzym *mare nostrum*, został chwilowo uratowany.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

## KONSTANTYNOPOL 1453

### I KOSTANTINIYE

Upadek nowego Rzymu; świt nowej *convivencia*

Każde odroczenie jest z definicji chwilowe. Niemniej przez pięćdziesiąt lat, które nastąpiły po cudownym niemal ocaleniu miasta przed Bajazytem, istniała nadzieja, że wschodnie chrześcijaństwo może ocaleć. Osmanowie raz jeszcze obiegli miasto w 1422 roku, dynastyczne spory uniemożliwiły im jednak skuteczne działanie przeciwko greckim sąsiadom. Odrodzenie nastąpiło dopiero za rządów kolejnego zdolnego, a do tego długowiecznego sułtana, Murada II, który mimo wszystkich swych zalet wojownika zawiódł oczekiwania, przedkładając rozkosze umysłu ponad namiot nomady. Wraz ze swym wezyrem, prawdziwym mężem stanu, Czandarlim Halilem Paszą, wydawał się zadowolony ze względного pokoju. Morze wiary wydawało się spokojne i skłonne do utrzymania stanu *convivencia*, przynajmniej na wschodnich krańcach.

Murad musiał jednak dwakroć przerywać wczesną emeryturę, aby stawić czoło zagrożeniom z Północy, skąd wojewoda siedmiogrodzki i późniejszy regent Węgier Jan Hunyady prowadził armie mające zniszczyć osmańską potęgę. W 1444 roku sułtan rozbił przeciwnika pod Warną, w 1448 powtórzył to na ponownie wykorzystanym w celach bitewnych Kosowym Polu. Niemniej gdyby armia Jerzego Kastrioty (Skanderber-

ga), prawdziwie oddanego wojacze przywódcy albańskiego, zdążyła na spotkanie z siłami Hunyadyego przed sułtanem, wynik starcia mógłby być zupełnie inny. Wyszło jednak, jak wyszło, i Węgier musiał walczyć z Turkami samotnie. Podobnie jak wcześniej Serbowie, i on został pobity, co ostatecznie przekreśliło szanse na wskrzeszenie cesarstwa bizantyjskiego.

Mimo podwójnej porażki chrześcijańskie nadzieje, że porządek zaprowadzony niechcący przez Timura potrwa jeszcze trochę, nie były całkiem płonne. Ostatnie działania Murada stanowiły w gruncie rzeczy reakcję obronną - Węgrzy złamali zawarty z nim wcześniej rozejm. Przez cały okres swych rządów sułtan nie wtrącał się w sprawy obcych. Wyjątek uczynił tylko jeden, związany z pozyskiwaniem rekrutów do formacji janczarów. I tak, w czasie gdy Osmanowie ograniczali związki wasalne, skupiając się przede wszystkim na miastach królewskich oraz państewkach wschodniej Europy, Halil Pasza pozostawał w całkiem dobrych stosunkach z greckimi sąsiadami. Był to związek na tyle bliski, że wedle niektórych szeptanych przekazów, miała być mu dobrze znana hojność skarbcza Konstantynopola. Ów dyplomata pokroju ajjubidzkiego sułtana Al-Kamila, który dwa wieki wcześniej skłonny był rozprawić ze świętym Franciszkiem i przekazać klucze do Jerozolimy cesarzowi Fryderykowi II, niezwykle wpływowy wezyr - podobnie jak jego ojciec i dziad - postrzegany był jako gwarant dobrych rządów i rozsądnej koegzystencji. Sułtan nie musiał się przy nim nawet za bardzo wysilać.



Optymizm chrześcijan został wystawiony na próbę w 1451 roku, po śmierci Murada II. Jego dwudziesto-jednoletni syn Mehmed II przejął zaraz tron (utopiwszy najpierw przezornie swego brata w łaźni), i obiecał uroczyście ambasadorom kontynuację dotychczasowej polityki państwa. Europejczycy nie kryli zadowolenia z tej deklaracji. Dodatkowo ośmieliło ich to do pomysłu, aby sprawić Osmanom nieco problemów w Tracji. Pamiętano, że ten sam Mehmed przejął już raz na krótko ster imperium, gdy jego ojciec wycofał się z rządów przed bitwami pod Warną i na Kosowym Polu. Był wtedy o wiele młodszy i okazał się marionetką w rękach Halila Paszy, nie zyskał też przychylności armii. Spodziewano się, że teraz, gdy został już sułtanem, będzie sprawował rządy w równie fatalny sposób jak kiedyś.

Europejczycy dawno się tak nie pomylili. Można w istocie powiedzieć, że niewielu było równie młodych władców, którzy potrafili tak dobrze poradzić sobie z otrzymaną nagle władzą. Halil Pasza zaczął szybko tracić wpływy na dworze, jego pacyfistyczne rady były zaś po prostu ignorowane. Do głosu doszło nowe pokolenie doradców i dowódców, dziwnych niekiedy, w otoczeniu Mehmeda byli bowiem także renegaci, chrześcijanie awanturnicy, którzy „sturczyli się” w poszukiwaniu nowych przygód i bogactwa. Tacy ludzie rzadko miłują pokój. Mehmed, który władał tureckim, greckim, hebrajskim, arabskim, perskim i łaciną, witał serdecznie wszystkich zdolnych niezależnie od ich pochodzenia i był dość wykształcony, aby nie zwracać

uwagi na uprzedzenia plemienne. Po posiłkach układał się z kobietami oraz chłopcami i kazał sobie czytać biografie Aleksandra Wielkiego spisane w grece. Jego zainteresowanie greckim i rzymskim antykiem wykraçało poza czystą rozrywkę, uważał się bowiem nie tylko za sułtana Turków, ale także cesarza wszystkich Rzymian. Historia *mare nostrum* zatoczyła poniekąd pełen krąg. Islam nie tyle korzystał z dorobku antyku, ile stał się owego antyku kontynuatorem, podobnie jak Koran przejął na swój sposób objawienia chrześcijan i żydów. Bizantyjscy Grecy przenieśli w ten sposób przez wieki pochodnię Aleksandra. Wielki basileus Herakliusz, a najpewniej także sam Prorok, byłiby niepomniernie zdumieni takim obrotem spraw. Dla Mehmeda wszakże było rzeczą naturalną, że skoro dzierży już dłoniach życie milionów ludzi, to jego misją są podboje. Do dziś Turcy nazywają go Fatih, czyli Zdobywca.

Podczas kilku pierwszych miesięcy rządów nie wyjawiał swoich ambicji nikomu, oprócz ludzi z najbliższego kręgu. Niemniej i tak szybko pojawiły się plotki. Chrześcijańskie królestwa i osmański sułtanat były nabyt powiązane różnymi małżeństwami i innymi sprawami, aby cokolwiek mogło długo pozostać tajemnicą. Wiosną 1452 roku naiwni chrześcijanie musieli przyznać się do błędu w ocenie nowego sułtana. W maju, po oficjalnym poinformowaniu władz Konstantynopola o swoich zamiarach, Mehmed stanął z armią, w której skład wchodziła także grupa stu murarzy, na europejskim brzegu Bosforu. Wystawiwszy zbrojne posterunki, aby nawet resztki greckiego wojska na pewno

nie przeszkodziły w zamiarach, kazał swoim murarzom wziąć się do pracy. Spędzili w pobliżu bizantyjskiej stolicy całe cztery miesiące. Całością kierowali aż trzech paszowie, w tym Halil, przy czym każdy z nich dostał swoją część do wykonania. Szybko rozwinęła się między nimi rywalizacja, co wpłynęło pozytywnie na tempo robót i spowodowało, że już pod koniec sierpnia tego samego roku gigantyczna Rumeli Hisari była gotowa. Nawet dzisiaj kamienny przepych wież i wysokich murów Rumeli Hisari (Fortecy Europejskiej) wyrastających na stromym brzegu Bosforu przytłacza wielkością siostrzaną Anadolu Hisari (Fortecę Anatolijską), stojącą w odległości niespełna siedmiuset metrów, po azjatyckiej stronie. W dniach Mehmeda obie te fortece tworzyły to, co Turcy nazwali *boğaz kesen* (dosłownie: podrzynający gardła), blokadę cieśniny. W ten sposób nikt nie mógł przepłynąć z Morza Czarnego do Konstantynopola bez zgody sułtana. Bez szkodzącego w zbożnym dziele Timura młody sułtan dokonał dzieła, które nie udało się jego wielkiemu poprzednikowi.

W Rumeli Hisari nie ma dziś placu zabaw, który jest w starszej warowni. Na jej murach sterczą ciągle dziesiątki armat wilgotnych od mgły, która płynie znad cieśniny. Wprawdzie dzieci ze szkolnych wycieczek wdrapują się niezmiennie na potężne ściany, jakby ustawiono je tam dla zabawy, choć mają one przypominać o wojskowym geniuszu Mehmeda. Mógł być marzycielem, któremu śniły się dawne kampanie, usłyszawszy jednak pogłoskę, że Grecy wzgardzili talentami węgierskiego wynalazcy armaty imieniem Urban,

zaprosił go do siebie, aby skonstruował mu urządzenie zdolne naprawdę zablokować cieśninę. W przeciwieństwie do Kallinikosa, Syryjczyka, który uratował Bizancjum przed Mu'awiją wynalazkiem ognia greckiego, Urban wprowadził techniczną innowację, która przyspieszyła jego upadek.

Do jesieni Urban wywiązał się z zadania. Jego monstrualne działo zostało zainstalowane w Rumeli Hisari. Rozesłano ostrzeżenia i pozostało tylko czekać. Na początku listopada pod murami fortecy pojawiły się dwie weneckie galery idące z ostrym wiatrem. Działo ryknęło i jego ładunek wpadł do wody, nie czyniąc nikomu krzywdy. Odważni marynarze zostali powitani radośnie w weneckiej dzielnicy miasta na południowym brzegu Złotego Rogu. Artylerzyści Mehmeda poprawili to i owo i gdy dwa tygodnie później kolejny wenecki statek, ośmielony sukcesem poprzedników, spróbował przepłynąć między fortecami, działo po prostu zdmuchnęło go z powierzchni wody. Załoga została wyłowiona i ścięta, kapitan zaś, niejaki Antonio Rizzo, trafił do sułtana w pobliżu Edirne, gdzie został uroczyście wbity na pal. Budowniczy Rumeli Hisari dał sygnał, że nie będzie tolerował dalszych aktów nieposłuszeństwa. Zadowolony z efektów, jakie przyniósł rtm projekt, wykorzystał zimę na przygotowanie wojska do realizacji następnego etapu planu. Murarze zostali odprawieni.

Ostatnie święta Bożego Narodzenia bizantyjskiego Konstantynopola nie były specjalnie radosne. Szpiedzy przekazywali wieści o nadzwyczajnym ruchu panują-

cym wokół siedziby sułtana w Edirne. Przybywało tam coraz więcej oddziałów z różnych stron imperium. Nawet chrześcijańscy wasale Serbowie obiecali przysłać nowemu Rzymowi swój kontyngent. Miasto Konstantyna, osamotnione i otoczone przez państwo Osmanów, rozpaczliwie szukało ludzi do obrony. Wszystkie oczy były zwrócone na morze Marmara w oczekiwaniu, że łacińskie państwa chrześcijańskie przyślą swoje wielkie floty dla uratowania zagrożonych krewniaków. Wraz z nastaniem nowego roku zimny wiatr załopotał sztandarami na murach, ale żadne żagle nie pojawiły się na widnokręgu. Wydano rozkaz przetopienia srebrnych monstrancji z miejskich kościołów, aby mieć środki na zgromadzenie zapasów i pozyskanie najemników. Bizantyjskie galery wypuściły się na miotane sztormami Morze Egejskie w poszukiwaniu ludzi do obsady murów. Udało się znaleźć trochę ochotników na Krecie i wyspach Dodekanezu, było ich jednak rozpaczliwie niewiele.

Bierność Zachodu nie brała się z niewiedzy. Mimo pięćdziesięciu lat pokoju wielu dostrzegało znaki nadchodzącej burzy i przekazywało wieści o tym na Zachód. Różni posłowie Bizancjum wizytowali europejskie dwory, jeden z nich dotarł nawet do Paryża i Londynu, chcąc uświadomić łacińskim braciom, że szykuje się walka na śmierć i życie. Nie doszło jednak do powtórki w rodzaju słynnego wezwania papieża Urbana. Od czasu klęski pod Nikopolis w 1396 roku entuzjazm do wszelkich wypraw na Wschód zmalał drastycznie,

swoje dodały też liczne problemy we własnych granicach, głównie wojna stuletnia między Anglią i Francją.

Bardziej wymowny niż wszystkie oficjalne supliki był strumień uczonych opuszczający Bizancjum. Przez ponad tysiąc lat tutaj właśnie mieściła się artystyczna i intelektualna stolica chrześcijańskiej cywilizacji Morza Śródziemnego. Gdy cesarstwo skurczyło się do samego Konstantynopola i Morei, autonomicznej prowincji na Peloponezie, uczeni zaczęli rozpaczliwie szukać nowych patronów dla swojej działalności. Emigrując masowo w inne strony, zapowiadali poniekąd nadchodzący upadek. Miasta–państwa Italii, wkraczające właśnie w okres ponownego odkrywania antyku, dziś zwany renesansem, witały przybyszów z otwartymi rękami, zachwycone ich znajomością starożytnych pism. Ironią losu, bizantyjscy emigranci mimowolnie dostali szansę dokonania zemsty na islamie. To ich działalność bowiem sprawiła w końcu, że na Zachodzie popadł w całkowite zapomnienie dorobek arabskich uczonych z Bagdadu, Kordoby, Toledo i Palermo oparty na starożytnej nauce i kulturze. Drugim, mocno dwuznacznym skutkiem był europejski podziw dla starożytnych Greków, a zarazem odsunięcie w niepamięć osiągnięć wieków średnich.

Tymi, którzy w pewien sposób pamiętali o swoich współczesnych z piętnastego wieku, byli rzymscy papieże. Mieli po temu powód. Ich schizmatyczni konkurenci znaleźli się w wielkiej potrzebie i jeśli wielki arbiter chrześcijańskiego Zachodu miał im pomóc, winni zgodzić się na cofnięcie rozłamu, do którego doszło

w 1054 roku, i podporządkować się doktrynie władzy papieskiej. Na to przynajmniej liczone. Z drugiej jednak strony brakło wówczas na tyle potężnych papieży, jak kiedyś Innocenty III. Rzym nie miał już takiego wpływu na europejskie monarchie, które mocno urosły w siłę. Na dodatek wielu ortodoksyjnych duchownych nawet w tej sytuacji wzdragało się przed przyjęciem pomocy od łacinników. Pamiętali nie tylko o Wielkiej Schizmie, ale także złupieniu Konstantynopola w 1204 roku oraz wszystkich sporach i konfliktach, które zatrzymały przez wieki atmosferę i utrudniały wybaczenie przewin.

Wprawdzie niektórzy władcy Konstantynopola z powodów czysto politycznych flirtowali z zachodnim chrześcijaństwem, jednak wielu ortodoksów nawet teraz nie wahało się szydzić z kolejnych rzymskich zapowiedzi końca rozłamu. Gdy w ponurych grudniowych dniach 1452 roku doszło do uroczystego zatwierdzenia unii, mieszkańcy Konstantynopola powszechnie zignorowali ceremonię zorganizowaną pod wielką kopułą Hagia Sophia. Uznali, że skoro ich życie i tak znalazło się w niebezpieczeństwie za sprawą Turków, po co narażać jeszcze dusze, zawierając oportunistyczne porozumienie z łacińskimi herezjarchami? Megaduks Konstantynopola Łukasz Notaras nie był nawet pewien, czy istnieje jakieś zagrożenie. Ostatecznie większość greckich ortodoksyjnych chrześcijan - na Bałkanach, w Anatolii . w innych regionach - pędziła pod osmańskimi rządami całkiem spokojne życie. To Notaras miał powiedzieć wówczas, że „lepszy turban sułtana niż -

kardynalski kapelusz”. Jego uwaga może wydać się w pierwszej chwili rodobna do owej wypowiedzi władcy Sewilli o poganiaczach wielbłądów świniopasach, jednak Notaras wcale się z nim nie solidaryzował. Wręcz przeciwnie, morze wiary zmieniło się tak bardzo, że nawet wyznawanie tej samej religii nie wystarczało już do zawarcia sojuszu. Innymi słowy, niektórzy Grecy z Konstantynopola postrzegali osmańskie rządy jako ratunek dla ich świata.

Nikt jednak nie wątpił tamtej zimy 1452–1453, że zanim zacznie być lepiej, redzie jeszcze gorzej i nie da się uniknąć rozlewu krwi. Ostatni basileus Bizancjum przygotowywał swoje miasto do długiego oblężenia. Poetyckim nieco zbiegiem okoliczności on też nazywał się Konstantyn i też zrodził się z Heleny jak pierwszy cesarz tego imperium. Konstantyn XI Dragazes, władca zdolny i w kwiecie wieku, robił, co mógł, aby podnieść obrońców na duchu. Próbował pozyskiwać ochotników na przeciwległym brzegu Złotego Rogu, w genueńskiej dzielnicy handlowej Galata (zwanej też Pera), która zadeklarowała neutralność w nadchodzącym konflikcie, jednak jej mieszkańcy mogli być skłonni walczyć w obronie Chrystusa. Podobnie Konstantyn podszedł do przebywających w swojej enklawie Wenecjan. Wszystkim zaś zabroniono opuszczać miasta aż do odwołania.

26 stycznia 1453 roku strażnik na murach od strony morza Marmara dostrzegł wreszcie z dawna wypatrywane żagle. Były to trzy genueńskie galery pod dowództwem pewnego szlachcica z szanowanej rodziny.



Okrażyły miasto i rzuciły kotwice w Złotym Rogu. Giovanni Giustiniani Longo i jego siedmiuset ciężkozbrojnych przybyli wzmocnić posterunki, chociaż Genua zainteresowana przede wszystkim robieniem interesów nie chciała, podobnie jak Wenecja, prowokować sułtana, otwarcie opowiadając się po stronie Bizantyńczyków (mogłoby to grozić utratą lukratywnych polonii na morzach Czarnym i Egejskim), to nie przeszkadzała również najdzielniejszym swoim obywatelom podążać na ratunek wschodniego chrześcijaństwa, jeśli mieli na to ochotę. Kimś takim był właśnie Giustiniani Longo, ekspert od operacji oblężniczych. Stolica nie posiadała się z zachwytu i nawet przeciwni unii Grecy oraz weneccy *frères ennemis*

Genueńczyka witali go jak bohatera. Giustiniani poprosił o przydzielenie mu dowództwa nad murami od trackiej strony i oczywiście je otrzymał. Jeśli były w tych potężnych umocnieniach jakieś słabe miejsca, przybysz miał wykryć je i naprawić.

Podbudowanie morale przyszło w najwłaściwszej chwili. Krótco potem pojawiły się niewiarygodne pogłoski, że Osmanowie pracują nad naprawą starej rzymskiej drogi łączącej ich stolicę z Konstantynopolem. Powiadano też, że Urban skonstruował jakąś nową broń. Różni obserwatorzy zdołali wypatrzeć całe masy tureckiego wojska zajęte kopaniem rowów i przygotowywaniem terenu dla olbrzymiej armii oblężniczej. Z Anatolii dochodziły wieści o wielkich siłach zmierzających w kierunku Bosforu. Zima przemijała i atmosfera zagęszczała się coraz bardziej. 26 lutego, miesiąc po

przybyciu genueńskich ochotników, ze Złotego Rogu wypłynęła ciemną nocą wenecka galera w towarzystwie sześciu kreteńskich statków handlowych. Wszystkie zanurzały się głęboko pod ciężarem tłumy zdesperowanych pasażerów. Basileus mógł się wściekać, że ktoś tak drastycznie naruszył jego edykt, jednak nie był w stanie nic na to poradzić.

Następny miesiąc przyniósł przykrą niespodziankę. Wszyscy wiedzieli, że Turcy nie posiadają żadnej floty. Było to przekonanie żywione zarówno przez marynarzy z Konstantynopola, jak i genueńskich oraz weneckich kupców. Przez ponad stulecie to łacinnicy utrzymywali handel morski z imperium osmańskim, czasem wozili nawet wojska sułtana po wschodnich wybrzeżach Morza Śródziemnego. Pod koniec marca pojawiło się jednak coś, czego nikt się nie spodziewał: licząca ponad sto jednostek turecka flota przepłynęła dostojnie przez morze Marmara, minęła miasto i rzuciła kotwice w zatoce naprzeciwko Rumeli Hisari. Sułtan Mehmed okazał się pilnym uczniem historii. Jak niegdyś Mu'awija i on zrozumiał, że nie dokona żadnych nowych podbojów, jeśli będzie tolerował chrześcijańskie panowanie na morzu. Latem poprzedniego roku, kiedy wszyscy wpatrywali się w rosnące mury Rumeli Hisari, sułtańscy budowniczości statków pracowali ciężko w porcie Gallipoli, miejscu, gdzie Osmanowie po raz pierwszy postawili stopę na europejskiej ziemi. Pod kierunkiem pewnego bułgarskiego renegata wodowali i wyposażali kolejne jednostki. Wprawdzie nieliczne statki tej pośpiesznie stworzonej floty dorównywały rozmiarami

italskim czy katalońskim galerom, były jednak zdolne do czynienia zniszczeń oraz przewożenia ludzi, koni i amunicji przez Bosfor. Poruszony basileus kazał uruchomić ostatnią linię morskiej obrony - wielki łańcuch podtrzymywany na tratwach. Rozciągnięty od północnowschodniego przylądka półwyspu do jednej z wież Galaty zagroził dostęp do Złotego Rogu. Cumująca tam chrześcijańska flota składająca się z dwudziestu sześciu okrętów była chwilowo bezpieczna. Część owego łańcucha zachowała się do dziś - leży obecnie w kącie Muzeum Morskiego położonego nad zatoką, gdzie zatrzymała się zaraz po przybyciu osmańska flota.

Zagrożenie ze strony tureckich jednostek pływających wydawało się wszakże mało istotne w porównaniu z tym, co nadciągało lądem. W pierwszym tygodniu kwietnia osmańska armia i jej sojusznicy pojawili się w polu widzenia posterunków na murach. Znaczący przedmiot zgadzają się, że jej liczebność wynosiła około osiemdziesięciu tysięcy żołnierzy, do których należy dodać dwadzieścia tysięcy baszybuzuków, nieregularnego wojska i wszelkich awanturników, którzy nie mieli do stracenia nic oprócz życia. Gdy ta rzeka ludzka zbliżała się do miasta, basileus Konstantyn spytał Jerzego Sfrantzes, swojego sekretarza i autora jednego z najbardziej wiarygodnych źródeł na temat wydarzeń tamtych miesięcy, o ocenę własnych sił. Bilans był zatrważający: do obrony blisko dwudziestu kilometrów murów dysponowali jedynie liczbą czterech tysięcy dziewięciuset Greków i dwóch tysięcy łacinników.

Wróg przewyższał ich liczebnie w proporcji większej niż dziesięć do jednego. Konstantyn rozkazał przytomnie sekretarzowi, aby zachował te dane dla siebie.

Dla Giustinianiego sama liczebność przeciwnika nie była problemem. To akurat mury mogły wytrzymać. Martwił się tymi wszystkimi machinami oblężniczymi, które Turcy przyciągnęli ze sobą po naprawionej drodze z Edirne. Urban też pracował ciężko przez zimę. Naprzeciw murów miejskich ustawiono wielkie działo ośmiometrowej długości. Dwa razy większe niż potwór z Rumeli Hisari. Do jego transportu posłużył zaprzęg sześćdziesięciu wołów oraz specjalnie wyszkolony oddział liczący dwustu ludzi.

W końcu zjawił się też Mehmed i rozkazał Konstantynowi poddać miasto bez walki. W przeciwnym razie, powiedział, to basileus będzie odpowiedzialny za oblężenie, zniszczenia i rabunki. Dla podkreślenia wagi swych słów Osmanowie zdobyli dwa małe forty znajdujące się poza murami i nadziali ich obrońców na pale<sup>16</sup>. Nieporuszony Konstantyn odprawił jednak sułtana.

6 kwietnia 1453 roku działo Urbana weszło do akcji. Wążący ponad pół tony pocisk przeleciał z wyciem ponad okopami oraz fosami oddzielającymi armie i wyrznął z nieziemskim hukiem w fortyfikacje. Cegły i zaprawa zmieniły się pył, który wzbił się grzybiastym obłokiem w niebo. Zaczęło się oblężenie.

Atakowane miasto, założone jako Byzantion w siódmym wieku przed naszą erą, było już wcześniej oblegane i okazało się bardzo trudne do zdobycia. Miało kształt kciuka wybiegającego z europejskiego wy-

brzeża i chronionego dwiema naturalnymi przeszkodami wodnymi - morzem Marmara na południu i Złotym Rogiem od północy. Ten drugi akwen, długi na siedem kilometrów, był też ujściem Słodkich Wód Europy. Azjatycki odpowiednik tych strumieni wpadał do cieśniny w pobliżu Anadolu Hisari. Sierpowata zatoka Złotego Rogu oferowała spokojną przystań niezależnie od tego, jak silny wiatr wiał akurat nad Bosforem. Wszyscy - dawni i współcześni goście - zawsze podkreślali niezwykle piękno tego zakątka skrytego u podnóża siedmiu stromych wzgórz.

Jakkolwiek urokliwie wygląda Konstantynopol od morza, jego potęga widoczna była najwyraźniej w tym, co - paradoksalnie - zdecydowało o jego upadku. Chodzi o długą na sześć kilometrów linię murów obronnych ciągnących się od morza Marmara do Złotego Rogu i zamykających trójkątny obszar lądu, na którym rosła stolica, no i chroniących ją przed najeźdźcami od strony Tracji. Mury te stały pewnie przez blisko tysiąc lat (krzyżowcy wdarli się do miasta przez mury od strony Złotego Rogu) i nadal stoją dumnie w tej najludniejszej europejskiej metropolii. Mimo plątaniny zatłoczonych ulic, szkaradnych a rozległych bocznic kolejowych oraz olbrzymiego mauzoleum byłego tureckiego premiera gigantyczne konstrukcje nadal dominują w miejskim krajobrazie, z wysokimi na pięć i sześć pięter wieżami i pasmami cegieł utrzymującymi na miejscu masy kamieni ułożonych pracowicie przez całą armię niewolników w czwartym wieku naszej ery, za cesarza Teodozjusza II. Mur Teodozjusza jest dzisiaj

najwyższym i najgłębszym spośród trzech pierścieni umocnień składających się ponadto ze 192 wież, głębokich fos, labiryntu przejść, ukrytych bram i podziemnych akweduktów. Mając taką kamienną tarczę, można było stawić czoło znacznie przeważającym siłom wroga, co pozwala zrozumieć, naiwne pozornie, nadzieje Konstantyna XI i Giustinianiego Longo na przetrwanie. Poza tym każdy Grek na murach wiedział, że poddanie się musi oznaczać koniec świata.

Od strony morza Marmara, blisko miejsca, gdzie mur dochodzi do wody, wznosi się ku niebu jedna z pamiątek po świecie, którego już nie ma. Łuk Złotej Bramy był tym przejściem, które przekraczali po swych triumfach wszyscy wielcy wodzowie wschodniego chrześcijaństwa - Herakliusz, Bazyli Bułgarobójca, Aleksy Komnen. Dzisiaj po pokrywającej niegdyś budowlę pozłocie nie został nawet ślad, a sama brama nosi ślady zamurowania. Podobno chodziło o to, aby nie kusić losu mogącego sprowadzić do miasta kolejnego wielkiego człowieka, który gotów byłby odrodzić wielkość Bizancjum. W czasach Giustinianiego przejście też zostało zamknięte. Nie dlatego, że od stuleci nie było żadnych godnych uczczenia triumfów, ale z przyczyn obronnych. Wielka brama została włączona w obręb fortyfikacji, obrastając wkoło podwórcami i wieżami.

Dużo większym problemem był dla obrońców odcinek muru po przeciwnej stronie, przy Złotym Rogu. Tam znajdował się pałac Blacherny, cesarska rezydencja basileusa. Dawny pałac w pobliżu hipodromu został

porzucony w epoce krucjat na rzecz przestronniejszej siedziby w odległym zakątku miasta. Mur pałacu Blacherny był na kilka metrów gruby, brakło tam jednak zewnętrznego pasa umocnień. Wzniesiony głównie przez Manuela Komnena (po bitwie pod Myriokefalonom w dwunastym wieku), dochodził do starego Muru Teodozjusza pod ostrym kątem, tworząc słaby punkt w przemyślnym łańcuchu fortyfikacji. Na dodatek samo ukształtowanie terenu też nie było korzystne. Około dwóch kilometrów od fatalnego połączenia murów przepływała mała rzeka Lykos, która w drodze do miasta wypłukała głęboką dolinę. Mur obniżał się znacznie w miejscu, gdzie przekraczał koryto Lykosu. Celując w to miejsce, tureccy artylerzyści mogli ostrzeliwać bez trudu pozycje obrońców. Wynalazek Urbana ustawiony został właśnie naprzeciwko doliny Lykosu i tam też sułtan rozbił swój namiot.

Los Konstantynopola rozstrzygnął się na tym odcinku murów - od Lykosu do pałacu Blacherny. Mało jest miejsc równie znaczących w dziejach i jednocześnie tak ostentacyjnie zaniedbanych. Chociaż może wystarczającym świadectwem jest samo istnienie muru, nawet jeśli miejscami nadgryzł go żąb czasu albo i ludzie rozebrali jego fragmenty na budowę domów. Obok przeznaczonej dla pieszych Edirnekapi (Bramy Adrianopolskiej) wmurowano w 1953 roku wielką kamienną tablicę mającą upamiętnić sukces oręza Mehmeda sprzed pięciuset lat. Obecnie zarosła już brudem, a gdy ostatnio zdarzyło mi się ją widzieć, jacyś przyjaźnie nastawieni obywatele raczyli się pod nią raki

czy inną wódką prosto z butelki. Sąsiednie Blachery to już tylko ruina strasząca ciemnymi przestworami odsłoniętych wejść do lochów, znaku, że cywilizacja, która miała zniknąć, nie była wcale taka dobrotliwa. Jeden z dawnych dziedzińców zamieniony został na niewielki plac zabaw. Pałac Porfirogenetów lepiej zniósł próbę czasu. Biały marmur i czerwone cegły trzykondygnacyjnej fasady nadal dają świadectwo mistrzostwa dawnych murarzy. Wprawdzie wewnątrz jest całkiem pusty, Pałac Królewski (po turecku Tekfur Sarayı) ma obszerny dziedziniec, rzadkość w stłoczonych, średnio-wiecznych miastach. W tym samym dniu, kiedy dane było mi spotkać radosnych biesiadników pod Edirnekapı, na dziedzińcu rozłożyła się ekipa filmowa kręcąca kolejny odcinek miejscowej opery mydlanej. Poza owym przelotnym ozdobnikiem wzdłuż muru ciągną się okolone cyprysami cmentarze, głównie tureckie, greckie i ormiańskie. Pośrednio mówią one sporo o tym, jak ważne jest to miejsce.

Kolejny istotny ślad wydarzeń z roku 1453 znajduje się nieco w górę biegu Lykosu, w pobliżu Złotego Rogu. Wedle relacji zwycięzców, przybywający z Edirne Mehmed cudownym zrządzeniem losu miał tam znaleźć grób Eyyüpa el-Ensariego, przyjaciela Proroka i chorążego islamu. Ensari :marł ze starości zaraz po tym, jak kalifowi Mu'awiji nie udało się zdobyć Konstantynopola. Poruszony tym odkryciem Mehmed wzniósł towarzysowi Proroka godny grobowiec - mauzoleum i meczet wdzięczności j toczony dziś mauzoleami osmańskich dostojników. To właśnie odkrycie



jobu Ensariego miało zapewnić Mehmedowi zwycięstwo. Podobnie jak w przypadku Złotej Bramy, i w tej opowieści może być niewiele prawdy, wedle wszelkiej wiedzy bowiem meczet stał w tym miejscu już w czasach Bizancjum. Nie umniejsza to jednak kultu otaczającego świątynię sułtana Eyyüpa, obecnie najświętszego miejsca tureckiego islamu, ani roli Mehmeda w wyniesieniu go. Można dodać, że porwany religijnym uniesieniem młody sułtan bezwiednie przydał sobie splendoru. Eyyüp to turecka forma imienia Ajjub, czyli Hiob, i to ostatnie imię niezmiennie wiąże się z największymi triumfami islamu we wschodniej części Morza Śródziemnego. Druzgocące zwycięstwo Chalida Ibn al-Walida w bitwie nad Jarmukiem wiązało się z Dajr Ajjub, klasztorem Hioba. Zwycięski pod Hittinem Salami, syn Ajjuba, Hioba, i założyciel dynastii Ajjubidów, zmiotł łacinników z Outremer. Tamtej wiosny 1453 roku Mehmed nie mógł chyba wybrać dla Turków lepszego patrona niż Hiob.

Ogłuszająca kanonada ciągnęła się bez końca. Wprawdzie wielkie działo Urbana mogło oddać strzał tylko raz na trzy godziny, dziesiątki mniejszych armat zasypywały mury pociskami dniem i nocą. Miasto przez całe tygodnie nie mogło zmrużyć oka. Giustiniani dbał o naprawę każdego uczynionego wyłomu i posyłał do nich ludzi z beczkami pełnymi kamieni. Ludzie stawali na głowie, aby wykonać swoją robotę przed następną salwą. Sam Giustiniani zdawał się obecny we wszystkich tych miejscach naraz, od morza Marmara po Złoty Róg. Nawet Wenecjanie dawali mu posłuch.

Genueńczyk wysyłał ochotników tam, gdzie byli najbardziej potrzebni. Wolałby rozkazywać jedynie wojownikom, jednak w wielkiej potrzebie trzeba było ściągnąć na mury także kobiety i dzieci. Konstantynopol, który w dwunastym wieku liczył około pół miliona dusz, zamieszkiwało obecnie najwyżej pięćdziesiąt tysięcy ludzi, przy czym zewnętrzne mury obejmowały także szereg przytulonych do miasta wiosek, poprzedzielanych szachownicą pól sąsiadujących z majątkami możliwych. To nie był już ten Konstantynopol co kiedyś, przetrwała jednak idea, którą stolica sobą reprezentowała. Dlatego właśnie zdobycie miasta było dla Mehmeda tak ważne - postrzegał je jako szansę na podjęcie dawnej tradycji. Dla Konstantyna - odwrotnie - oznaczało upadek i koniec.

Zwykłych żołnierzy armii oblężniczej nic to oczywiście nie obchodziło. Przez cały kwiecień kolejne fale baszybuzuków podchodziły pod odcinek fortyfikacji między Lykosem a Blachernami, próbując wykorzystać nowo uczynione wylomy w murach. Ich ostre krzyki mieszały się z przekleństwami obrońców. Wszystkie szturmy zostały odparte i wszystkie zakończyły się rzezią stłoczonych bezładnie w potencjalnych przejściach żołnierzy. Chrześcijanie razili ich z murów ogniem, na dole zaś każdy wylom dawał się zablokować wysiłkiem niewielkiej grupy obrońców. Na dodatek pancerze zostały znacznie ulepszone od czasu krucjat. Genueńczycy i Grecy nosili lekkie zakrzywione napierśniki, mogące odbić cios miecza, oraz wytrzymałe hełmy nie mające nic wspólnego z ciężkimi garnkami stosowa-

nymi przez dawnych rycerzy. Niechronieni praktycznie żadnymi osłonami Turcy byli łatwymi przeciwnikami dla łacinników i Bizantyjczyków, którzy chociaż ubrani w stal, potrafili poruszać się równie lekko.

Wewnątrz murów dni mijały na nieustannych modlitwach. Wiosna była wyjątkowo deszczowa, co nie przeszkadzało jednak procesjom wędrującym z ikonami od kościoła do kościoła. Głuchy łomot padających pocisków brzmiał niczym złowrogi kontrapunkt dla nabożnych śpiewów. Rankiem 20 kwietnia obrządki zostały przerwane i mnisi pojawili się na murach od strony morza Marmara zwabieni radosnymi okrzykami strażników, którzy dostrzegli na horyzoncie trzy genueńskie żagle. Tym razem zjawiały się jako eskorta wielkiego statku ze zbożem, które papież wysłał oblężonym, niemającym już szans na zaopatrzenie ze strony Morza Czarnego. Osmańska flota podniosła kotwice i powiosłowała pod wiatr na spotkanie przeciwnika. Gdy Mehmed usłyszał o przybyszach, zostawił dolinę Lykosu, przegalopował obok mauzoleum Eyyüpa i zjechał ze wzgórza Galaty na brzeg Bosforu. Wedle wielu relacji okazał aż tak wielkie zniecierpliwienie, że wjechał na rumaku do wody i zaczął wykrzykiwać rozkazy swojemu bułgarskiemu admirałowi. Turcy nie mogli jednak nic poradzić na wiatr. Wysokie italskie statki sunęły pewnie naprzód i były już blisko miasta. Uradowani obrońcy przygotowywali się do opuszczenia łańcucha.

Wtedy wiatr ucichł. Turecka flotylla szybko zbliżyła się do unieruchomionych statków z obwisłymi za-

glami na masztach. Przez cały dzień gromadzone na brzegach tłumy obserwowały, jak małe tureckie okręty próbowały pokonać genueńską flotyllę. Łacinnicy połączyli jednostki, tworząc pływającą fortecę. Turcy zaczepiali haki o ich nadburcia i próbowali wspinać się na pokłady, jednak obrońcy znajdowali się o wiele wyżej i bez trudu strącali wspinających się po burtach napastników. Mehmed patrzył z rosnącym niezadowoleniem, jak tureckie galery wpadają na siebie w tej kotłowni, a ich lekkie działa wybijają jedynie niegroźne dla przeciwnika otwory powyżej linii wody. Co gorsza, gdy słońce zaczęło opadać ku zachodowi, wiatr powrócił i Genueńczycy postawili żagle. Opuszczono o łańcuch i ze Złotego Rogu wypłynęły dwie weneckie galery, aby dać osłonę przybyszom. W ciągu kilku minut wszystkie jednostki schroniły się w zatoce, bezpieczne i zwycięskie.

Osmański Aleksander doznał nader przykrej i publicznej porażki. Oburzony do głębi nakazał egzekucję pechowego admirała, jednak oficerowie wybronili go, wskazując na osobistą odwagę, jaką wykazał się podczas starcia. Co dziwne, sułtan dał się przekonać. Skazał Bułgara jedynie na chłostę, która zmieniła mu podszwy stóp w żywe mięso, i porzucenie jako bezdomnego żebraka. Dokonawszy aktu sprawiedliwości, zaczął się zastanawiać, jak by podreperować nadszarpnięte tym incydentem morale wojska i zaszkodzić przy okazji chrześcijanom. Ostatecznie uznał, że skoro turecka flota nie może wpłynąć do Złotego Rogu, należy ją tam wnieść.

Nowo zainstalowana bateria dział została nakierowana na polecenie Mehmeda niemal prosto w niebo, co zwiastowało wynalezienie moździerza. Ustawione na wzgórzu ponad genueńską Galatę, pierwszy raz oddały salwę w niedzielę, 22 kwietnia. Bombardowanie zaskoczyło marynarzy na jednostkach kotwiczących naprzeciwko Konstantynopola i obrońców na murach z tej strony miasta. Podczas gdy Grecy, Wenecjanie, Katalończycy i Kreteńczycy szukali sobie schronienia, na zboczu za łacińskim przedmieściem rozgrywał się niezwykle spektakl. Wysoka na siedemdziesiątosiemdziesiąt metrów stromizna została przecięta drogą wyłożoną drewnianymi, wysmarowanymi tłuszczem płytami; połączyła ona Bosfor ze Złotym Rogiem. Wyśiłkiem setek ludzi i wołów Turcy przetransportowali następnie swoje statki na górę. Działa osłaniały cały czas ich prace ogniem zaporowym. Przed wieczorem większość osmańskiej floty znalazła się w Złotym Rogu, dokładnie naprzeciwko mauzoleum Eyyüpa i kilka kilometrów od łacińskiej floty schowanej za bezużytecznym już teraz łańcuchem. Łacinnicy myśleli, aby ją podpalić, ale nic z tego nie wyszło, głównie za sprawą sporów między Genueńczykami i Wenecjanami. Nim kwiecień dobiegł końca, Złoty Róg przestał być bezpieczną przystanią, Konstantynopol zaś został całkowicie otoczony.

Obrońcy coraz częściej zadawali sobie pytanie, gdzie, na Boga, jest pomoc z Zachodu. Po co była cała ta dyskusja i zgoda na unię Kościołów, skoro nic się nie działo? Co rusz pojawiały się plotki, że wenecka, a na-

wet papieska flota jest już w drodze i lada chwila prze-  
rwie oblężenie. Jednak żadna z tych nowin nie okazała  
się prawdziwa. Grecy nie mogli wiedzieć, że łacinnicy  
nie byli zgodni w kwestii pomocy i zwlekali z nią, jak  
długo mogli. Wenecja nie miała wątpliwości, że ewen-  
tualna interwencja źle wpłynie na jej handel z Turkami  
i na wszelki wypadek rozwinęła prawdziwie ślimacze  
tempo przygotowań, planując wyprawę ratunkową do-  
piero na lato. A i tak była lepsza niż Genua, która nie  
podjęła żadnych większych działań, oraz ci z zachod-  
nioeuropejskich monarchów, którzy wprawdzie napaść  
głośno potępiali i wyrażali oburzenie, ale nie robili nic  
więcej. Brak pośpiechu mógł wynikać także z tego, że  
Europa postrzegała Konstantynopol podobnie, chociaż  
w nieco innym kontekście niż Mehmed czy Konstan-  
tyn, jako ideę, swojego rodzaju trwałą symbol albo na-  
wet gwiazdę, która zawsze jaśniała nad chrześcijańskim  
światem, i nikt nie potrafił wyobrazić sobie tego świata  
bez niej.

Łacinnicy nie wiedzieli, że w połowie maja gwiaz-  
da Konstantynopola zaczęła przygasać. Nieustanne  
bombardowanie zmieniło sporą część muru w dolinie  
Lykosu w stertę gruzu. Mehmed sprowadził ponadto  
górników z kosowskich kopalń srebra w Novo Brodo,  
aby wspomogli swoich ziomków pod Blachernami. Sa-  
perzy spróbowali podkopać się pod fortyfikacje długimi  
tunelami biegnącymi od obozowiska aż pod mury.  
Szczęśliwie dla oblężonych znalazł się wśród nich ła-  
ciński ochotnik, niejaki Johannes (lub John) Grant, mo-  
że Niemiec, a może Szkot, który radził sobie w mroku

podziemi nie gorzej niż kret. W ciągu kilku dni Serbowie zostali wyparci z korytarzy. Niektóre z nich zalano, inne zaminowano, tu i ówdzie doszło przy tym do walki wręcz.

To drobne może, ale ważne zwycięstwo nie zmieniło jednak całości obrazu. Nie było już złudzeń. Jeszcze na początku maja kilkunastu marynarzy przebranych za Turków i z fałszywą turecką banderą przepłynęło obok blokady Mehmeda i udało się na Dardanele. Załoga statku zgłosiła się na ochotnika, aby sprawdzić, czy na Morzu Egejskim nie pojawiła się jednak jakaś łacińska flota gotowa nieść pomoc miastu. Rejs trwał dwa tygodnie, podczas których zwiadowcy odwiedzali różne wyspiarskie kolonie, wypytyjąc o wieści i rozglądając się bacznie po horyzoncie. Lojalni do końca wrócili do miasta, chociaż wiedzieli, że nie ma już dla nich ratunku<sup>31</sup>. Przekazali Konstantynowi wiadomość, że żadnego wsparcia nie będzie. Doradcy błagali basileusa, aby uciekał, póki jeszcze może. Sugerowali udanie się na Peloponez. Konstantyn odmówił. Nie chciał być basileusem nigdzie poza miastem, którego imię nosił.

Turcy też nie mieli wielu powodów do zadowolenia. Dreptali w błocie pod murami już blisko dwa miesiące i nie zdołali odnieść zwycięstwa. Pomysł z przetransportowaniem floty do Złotego Rogu, jakkolwiek błyskotliwy, nie skłonił miasta do kapitulacji. Szturmy były odpierane i nawet maszyny oblężnicze na nic się przydały, wojsko poniosło ciężkie straty. Halil Pa-sza namawiał do przerwania walki i odstąpienia od

miasta, zanim nieudany szturm naprawdę zaszkodzi prestiżowi sułtana. Konstantynopol był przydatny również jako karta przetargowa w rozmowach z chrześcijańskimi potęgami. Zaistniała sytuacja powinna uświadomić łacinnikom, że nie należy zbyt sprzeciwiać się imperium osmańskiemu. Mehmed wysłuchał go uważnie, ale rady nie przyjął. Wraz z pozostałymi paszami zdecydował się na kolejny, jeszcze potężniejszy atak.

Ostatni tydzień Konstantynopola jako chrześcijańskiej stolicy był czasem swoistych pożegnań. Nawet żywoły zdawały mówić, że to już koniec. Wiemy o tym z kilku niezależnych relacji świadków tamtych zdarzeń, w tym Jerzego Sfrantzes, bardzo przytomnego weneckiego chirurga Niccola Barbaro oraz innych kronikarzy, Turków i łacinników. Świadomi już tego, że Bóg się od nich odwrócił, w nocy 24 maja mieszkańcy miasta ujrzeli znikający nagle z nieba księżyc w pełni<sup>33</sup>. Trzygodzinne zaćmienie pograżyło miasto w całkowitych ciemnościach, rozświetlanych jedynie błyskami wrażeń armat. Przerażeni takim widokiem ludzie zebrali się rano, aby obejść miasto procesją i błagać Najświętszą Marię Pannę o cud ratunku. Gdy ruszyli ulicami, zaczął padać deszcz, w pewnej chwili ikona ześliznęła się z platformy i wpadła w błoto. Mimo prób nikomu nie udało się jej podnieść, chwilę potem zaś niebiosa otworzyły się potężnym gradobiciem, które rozpędziło uczestników procesji. Płynąca ulicami woda prawie porywała ze sobą dzieci. Procesja dobiegła końca, cud nie nastąpił.



Potem pojawiły się kolejne znaki. Następnego dnia wzgórze i miasto zniknęły w gęstej mgle, jakiej nie widziano jeszcze nad Bosforem o tej porze roku. Gdy mgła uniosła się pod wieczór, wielka kopuła Hagia Sophia zdawała się świecić nieziemskim, purpuroworóżowym blaskiem. To ostatnie zjawisko nie zostało nigdy w pełni wyjaśnione. Nawet Mehmed, chociaż znajdował się daleko za murami, widział to dziwne światło. Jego sufi powiedzieli mu, że nie ma się czym martwić, bo to znak, że miasto znalazło się we władzy światła islamu. Dlatego też obecnie widnieje na kopule inskrypcja: „Bóg jest światłem Niebios na Ziemi. Jego blask jest nim samym, a nie tylko światłem, które prześwieca przez szkło, albo którym migocze gwiazda zaranna lub jaśnieje pochodnia”.

28 maja 1453 roku ranek wstał cichy i spokojny. Bez burzy, mgły, dziwnego światła - i bez bombardowania. Gdy ludzie Giustinianiego wyjrżeli ponad blanki, ujrzeli turecką armię podchodzącą coraz bliżej pod mury. Szykował się wielki atak. W mieście uformowały się procesje, uderzono w dzwony, pobożne ręce uniosły ikony jak najwyżej. Konstantyn przemówił do wielkiego tłumu zebranych przy murach obrońców. Wymienił cztery powody, dla których warto walczyć do końca - wiarę, ojczyznę, rodzinę i władcę. I rzeczywiście, to było wszystko, z czego mogli czerpać odwagę. Tego ranka mieszkańcom Konstantynopola nie zostało już nic więcej.

Wieczorem odprawiono w Hagia Sophia ostatnią mszę. Przyszli wszyscy, Grecy, łacinnicy, szlachta,

kupcy, zwykli ludzie, niewolnicy, mężczyźni, kobiety, dzieci. Unia między Kościołem Wschodu i Zachodu nie była już hasłem rozpoznawczym, wszyscy po swojemu modlili się o wybawienie, ich oczy lśniły w blasku światła odbijającego się od mozaik. Gdy zapadła ciemność, Konstantyn i Sfrantzes wyszli z wielkiego kościoła i pojechali Mese, główną ulicą starego miasta, aż do murów. Basilus pożegnał się w Blachernach ze swoją świętą oraz niewolnikami, prosząc, aby wybaczyli mu wszystko, w czym mógł ich kiedykolwiek skrzywdzić. Potem wyszedł na taras i spojrzał na morze ognisk płonących na równinie trackiej. Potem pożegnał się ze Sfrantzesem i po raz ostatni nałożywszy zbroję, udał się nad Lykos, aby sprawdzić, czy wszystko już gotowe.

W tym samym czasie ledwie dwieście metrów dalej Mehmed objeżdżał ze swoimi dowódcami przygotowane do ataku wojska. Dodawał ludziom odwagi, mówił im, że Bóg oczekuje zwycięstwa. Chwała była w zasięgu ręki, jeśli nie w tym życiu, to w następnym, bo przecież każdy, komu dane będzie zginąć w takiej bitwie, trafi jako męczennik do raju.

Wybiła północ. Chrześcijanie na murach sięgali do krzyżyków i amuletów, na polach pod murami podniósł się głęboki pomruk głosów dziesiątków tysięcy rozmo-dlonych muzułmanów.

Na sam koniec przerażeni ludzie zwrócili się ku Bogu. Konstantynopol mógł być idea, ideałem, symbolem, mógł być nawet piórkiem przy czapce wielkiego zdobywcy, pozostawał jednak także bastionem na morzu wiary.

We wtorek, 29 maja 1453 roku, wcześniej przed świtem noc nagle eksplodowała. Ze wszystkich stron podniósł się wokół miasta wielki rwetes. Huknęły setki dział, zawarczały bębny, jęknęły przeciągle rogi, rozległy się gwizdki i porykiwania przerażonych koni i mułów. Krzyki i przekleństwa uniosły się pod niebiosa. Na Złotym Rogu podeszły pod mury statki, z których zaczęto rzucać na mury kotwiczkami. Na morzu Marmara z jakichś niezidentyfikowanych, ciemnych konturów poszedł ogień dział. Szturm nastąpił równocześnie na całej długości lądowych murów. Wielka fala rozkrzyczanych ludzi z pochodniami ruszyła przed siebie niepomna na pociski bezustannie kruszące wiekowe cegły i kamienie. obrońcy przekonali się rychło, że żadne miejsce nie zostało oszczędzone. Mehmed rzucił do walki całą swoją armię i chrześcijanie nie mieli nagle nikogo do wzmocnienia szczególnie zagrożonego odcinka między Lykosem a Blachernami.

Tam właśnie, w miejscu nadwyreżonym mocno przez sześć tygodni bombardowania, zdarzyło się najważniejsze. Wszystkie inne działania, chociaż także groźne, podjęto głównie dla odwrócenia uwagi. Z miejsca na szczycie murów ponad Lykosem Konstantyn i Giustiniani ujrzeli wielką kohortę baszybuzuków, wypadających z okrzykiem z ciemności i wspinających się na zewnętrzne umocnienia. Łacinnicy i Grecy czekali już na nich z żelazem w dłoniach. Odezwały się arkebuzy, zaśpiewały łuki, zaświszczały strzały wypuszczane z kusz. Turcy padali całymi tysiącami, zaścielając okolicę morzem trupów, ale zaraz pojawiali się no-

wi. I ich spotykał ten sam koniec, jednak kolejna fala natychmiast zajmowała ich miejsce. Tak mijały godziny. Napór nie słabł ani na chwilę, aż dano znak, by ruszyć regularne oddziały, bardziej zdyscyplinowane niż baszybuzukowie, jednak i one zostały odparte przez obrońców, których nie było na tym odcinku więcej niż tysiąc. Pociski z dział przedzierały się przez ludzką mierzwę, aby jeszcze bardziej porozbijać fortyfikacje, aż walka przeniosła się na gruzy środkowego muru, gdzie każda ze stron na zmianę próbowała objąć w posiadanie kolejne rumowiska.

Ostatecznie pojawili się janczarowie. Mehmed zagrzewał ich głośno do boju: „Ruszajcie, sokoły, maszerujcie, lwy moje!” Byli to mężczyźni jak na tamte czasy szczególnie okazali, sami najsilniejsi i najwyżsi wojownicy Bałkanów. Szybko i bardzo cicho zaczęli wspinać się na mury. Ubrani na biało przypominali armię gigantycznych upiorów. Legenda głosi, że największy spośród nich, anatolijski olbrzym imieniem Hasan, wdrapał się aż na sam szczyt i własnoręcznie zabił dziesiątki chrześcijan, zanim obrońcy przygnietli go wielką liczbą, niczym tłum Liliputów Guliwera. Jednak to dyscyplina, a nie skłonność do indywidualnego bohaterstwa, czyniła janczarów tak groźnymi. Wprawdzie rozbijali się o mury niczym fale o kamienne molo, ale każdy z zakrwawionych szeregów ustępował w ładzie i ordynku następnemu, który podejmował szturm. Chrześcijanie byli już wyczerpani wielogodzinną walką, bo nie było nawet jak odetchnąć, podczas gdy przeciwnik rzucał na nich ciągle nowe, wypoczęte

oddziały. Ostatecznie obrońcy znowu zaczęli się cofać, przenosząc linię obrony na ostatni, wewnętrzny mur.

Tam właśnie pocisk przeszył zbroję Giustinianiego Longo, raniąc go śmiertelnie. Genueńczyk, czując nadchodzący koniec, kazał swoim ludziom, aby zanieśli go na statek, który czekał w Złotym Rogu. Basileus błagał go, aby pozostał na posterunku i nie przygłębiał jeszcze bardziej obrońców swym zniknięciem, ale Giustiniani odmówił. Gdy jednak grupka odeszła, udając się do portu, Genueńczycy w fosie dojrzeli, co się dzieje, i duch w nich upadł. Biegiem wrócili do miasta, zostawiając swoich greckich towarzyszy na pastwę janczarów.

W tym momencie ujrzano osmański sztandar powiewający na murze blisko pałacu Porfirogenetów. W pechowym załamaniu muru była tam furta, którą podczas gwałtownego odwrotu ktoś musiał zostawić otwartą. Napastnicy zauważyli to i włali się do środka. Rosnąca masa Turków ogarnęła Wenecjan broniących dzielnicy Blacherny.

To był już koniec. Konstantyn XI Dragazes, osiemdziesiąty dziewiąty i ostatni cesarz Bizancjum, próbował nakłonić ludzi do powstrzymania przeciwnika, jednak nikt nie mógł już tego dokonać. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa basileus pobiegnął wraz z przybocznymi na mur w okolicy Lykosu i zginął tam, walcząc do końca za swój świat. Resztę obrońców na murach spotkał ten sam los, gdy armie Mehmeda wdarły się do miasta. Czerwone Jabłko był ich.

Wczesnym popołudniem Mehmed II, teraz już Fatih, Zdobywca, wjechał powoli do Konstantynopola przez bramę Edirnekapi. Podążał konno tą samą ulicą Mese, którą poprzedniego wieczoru przemierzył Konstantyn w towarzystwie Sfrantzesa. Fatih dał swoim ludziom trzy dni na łupienie miasta, co było losem każdej zdobytej orężem fortecy. Wojsko już świtem wzięło się rażno do rabowania, gwałcenia, zabijania i brania w niewolę. Dym unosił się w powietrzu, ulice zaścielały martwe ciała.

Fatih dotarł w końcu do Hagia Sophia. Zsiadł z konia, przykucnął na chwilę i w geście pokory posypał swój turban garścią ziemi. Wierni, którzy modlili się tu jeszcze rano, zniknęli zakuci w kajdany i wygnani grupami na sprzedaż, uwięzieni dla okupu albo zgwałceni. Legenda powiada, że duchowni wniknęli niczym duchy w mury świątyni, aby wyłonić się z nich i dalej służyć Chrystusowi, kiedy wróci do Konstantynopola.

Fatih wszedł do środka. Świątynia była pusta, jeśli nie liczyć gromadki szczególnie wytrwałych poszukiwaczy skarbów, szukających czegoś dla siebie w obrabowanym już wcześniej wnętrzu. Sułtan ostrym głosem nakazał jednemu z nich, aby nie wyrywał marmurowych płyt z podłogi. Potem uniósł głowę i spojrzął na wielką kopułę, tak samo jak uczynił to dziewięćset lat wcześniej pragnący przelicytować Salomona Justynian. Od tej pory Hagia Sophia miała być meczetem.

Zdobywca wspiął się na górę, na samą kopułę. Z wielkiej wysokości dojrzał stary pałac bizantyjskich cesarzy, z dawna straszący już ruiną i zaniedbany po

tym, gdy powstały pałace Blacherny i Porfirogenetów. Dawna wspaniałość budynku wprawiła Fatiha w melancholijny nastrój. W dni swojego największego triumfu młody, bo liczący tylko dwadzieścia jeden lat mężczyzna okazał wielkość, która rzadko jest udziałem ludzi nawet trzykrotnie starszych. Patrząc na rozciągającą się w dole panoramę, wyrecytował stary perski wiersz o dawno zmarłych królach i zapomnieniu, które ich - i nas wszystkich - czeka:

*Pająk strzeże bram do wielkiego pałacu Chosrowa  
Sowa obwołuje warty w pałacu Afrasijaba.*

Oczekiwany przez Greków cud nie nastąpił. Widać anioł, który pełnił służbę w roku 1453, był zbyt leniwy, aby opuścić się zgrabnym lotem z nieba i odegnać niewiernych wojowników. To, co zaczęło się w Manzikercie, doczekało się swego końca - cesarstwo bizantyjskie odeszło do historii. Jednak mimo wszystkich lamentów, które rozległy się z tego powodu w stolicach chrześcijaństwa, pewien cud nastąpił - Konstantynopol się odrodził.

Dla Fatiha zbiorowisko zrujnowanych osiedli, którym był Konstantynopol 29 maja 1453 roku, nie stanowiło samo w sobie jakiejś szczególnej zdobyczy. Całe zostały chyba tylko oddzielające pola murki, w których walały się szczątki starych posągów. Kościoły nie nadawały się w większości do naprawy, mieszkańcy zostali wymordowani albo wzięci do niewoli. Mehmed dojrzał jednak z dachu najnowszego i największego meczetu Dar al-islam coś więcej prócz duchów minionych monarchów. Zrozumiał, co uczyniło to miasto

niemalże jednym z cudów świata. Była to jego bezcenna lokalizacja. Bosfor, rozległe morza Marmara, przystań Złotego Rogu, otaczające je mury, zalesione wzgórza wkoło oraz spotykające się w tym miejscu Europa i Azja, dwa morza, Czarne i Białe (czyli Śródziemne) - mimo zniszczeń wszystko to zachowało swoją wartość. W dawnych dniach mieszkańcy Bizancjum zwykli żartować, że ich chalcedońscy kuzyni musieli być ślepi, skoro założyli swoje polis po azjatyckiej stronie. Bo czyż mogło istnieć gdzieś na świecie wspanialsze miejsce od tego, które legendarny eponim Byzas wybrał na swoją siedzibę?<sup>43</sup>

Sułtan nie był ślepy. Chociaż osmańska stolica w Edirne mogła się pochwalić zarówno rzeką, jak i rosnącymi wkoło lasami, Fatih poczuł, że jej urok jest niczym wobec tego, co oferował Konstantynopol. Dla zdobywcy, który połączył dwa kontynenty i dwie różne epoki, senna siedziba gdzieś na krańcach świata nie była najlepszym z możliwych miejsc, nawet jeśli dawała szansę na wspaniałe polowania. Nakazał przeprowadzkę. Dwór porzucił Edirne, w nowej stolicy wyrósł zaś na akropolu pałac Topkapi, z którego widać było zarówno Złoty Róg, jak i morze Marmara. W ten sposób Kostantiniye (jak wymawiali nazwę miasta Arabowie i Turcy) zostało nową stolicą Fatiha.

Odrodzone z popiołów miasto było odbiciem osobowości sułtana - wielojęzyczne, przesycone kulturą, zmysłowe i bezlitosne. Średniowiecze dobiegało końca w basenie Morza Śródziemnego i bliska była nowa epoka *convivencia*, długiego okresu pokojowego



współistnienia, które zaburzone zostało dopiero w naszych czasach, gdy imperium osmańskie stało się chorym człowiekiem Europy. Jednak wówczas to spotkanie prowincjonalizmu i nacjonalizmu było jeszcze odległe o całe wieki. W pierwszym stuleciu rządów sprawowanych w nowej stolicy Osmanowie mieli uczynić Kostantyniye podobnym do Kordoby Umajjadów. I równie kosmopolitycznym. Mezquita i Aja Sofia nigdy nie były sobie bliższe niż wówczas, za rządów Fatiha.

Pierwszym, czego potrzebował zdobywca, byli ludzie. Dlatego zaprosił do Kostantyniye dosłownie wszystkich. Wedle popularnej teorii te właśnie słowa: „do miasta” (po grecku *eis ten polin*) stały się zwrotem, który przyjął się z czasem jako nowa turecka nazwa miasta. Z początku nieoficjalna, później jednak zatwierdzona urzędowo: Stambuł. Jeśli zaś chodzi o zaproszenie sułtana, nie zawsze było ono tylko zachętą - tysiące rodzin z Anatolii zostały zmuszone do przeprowadzki pod groźbą śmierci. Szczególną uwagę służy Fatiha poświęcali artystom i utalentowanym rzemieślnikom. Sułtan chciał jak najszybciej zbudować swoją stolicę i czynił to z gorliwością graniczącą z despotyzmem. Nakazując masowe migracje na swoich dobrach (w imperium osmańskim większość ziemi należała do sułtana), przyczynił swoim poddanych niewyobrażalnych cierpień, ale też nigdy nie ukończyłby swojego dzieła bez podobnych decyzji. Sprawę przyspieszyła też jego skłonność, aby nie szukać talentów wyłącznie w obrębie ludów islamu.

Jesienią 1453 roku dobiegła go wieść o niezwykle uczonym, starszym Greku, który był niewolnikiem w Edirne. Jego właściciel, który kupił wielu ludzi na targu zaraz po upadku Bizancjum, poznał się na wartości nabytku. Grek traktowany był z szacunkiem, pozwalano mu prowadzić badania, modlić się i pić wino jak każdemu innemu porządnemu chrześcijaninowi. Pogłoski zostały sprawdzone i niebawem Fatih sam zjawił się w majątku, aby namówić Jerzego Scholariosa na powrót do miasta Złotego Rogu. Scholarios, znany lepiej jako Gennadios, był najbardziej prominentnym duchownym Kościoła prawosławnego i aż do końca sprzeciwiał się unii z łacinnikami. Fatih obiecał mu odrodzenie biskupstwa w Kostantyniye, czyli patriarchatu prawosławnego działającego niezależnie od Stolicy Piotrowej i pod ochroną muzułmańskiego władcy. Wprawdzie nie zamierzał oddawać Grekom Hagia Sophia, mieli za to możliwość wyboru innej wielkiej świątyni oraz innych mniejszych kościołów, których imamowie nie mogliby odebrać im na meczety.

Propozycja została zaakceptowana, chociaż była naprawdę niezwykła jak na te czasy. Dla porównania można wspomnieć, że cywilizowana Wenecja znalazła się na skraju wojny domowej, gdy doża zaproponował budowę jednego meczetu, który miałby służyć przybywającym do miasta muzułmańskim kupcom. Fatih zaś był podobno ciekawy chrześcijaństwa. Powiadano, że zjawił się nawet pewnej niedzieli incognito w kościele Franciszkanów, aby obejrzeć obrządek. Kazał przygotować Gennadiosowi traktat objaśniający doktrynę

chrześcijańską. Zatrudnił też utalentowanego greckiego pochlebcę, aby ten napisał coś, co dziś zwiemy autoryzowaną biografią. W tekście tym jego oddanie idei odrodzenia Kostantyniye przedstawione zostało jako wielkie ekumeniczne święto, w którego ramach sułtan zebrał ludzi „ze wszystkich stron Azji i Europy i przeniósł ich z całą możliwą troską i jak najszybciej się dało, ludzi różnych narodowości, ale przede wszystkim chrześcijan”.

Cokolwiek nim kierowało, rezultat był pozytywny. Rdzenni mieszkańcy miasta, którzy uniknęli niewoli albo zostali wykupieni, wrócili i chociaż odpływ uczonych do Italii jeszcze się nasilił, wielka grecka społeczność znowu zapuściła korzenie nad brzegami Bosforu. Niebawem na nabrzeżach Złotego Rogu ponownie dały się słyszeć pokrzykiwania greckich kupców. Nie trwało długo, a do miasta ściągnęli także liczni Ormianie, lud utalentowany w handlu i rzemiośle. Od razu otrzymali też pozwolenie na ustanowienie własnego patriarchatu dawnej, monofizyckiej wersji chrześcijaństwa.

Jeśli chodzi o łacinników, pojawili się bardzo szybko, jednak nie bez pewnych komplikacji. Przyznane im przez bizantyjskich cesarzy koncesje handlowe zostały odnowione przez Turków, a wiele z nich potem przedłużono, jako tak zwane „kapitulacje osmańskie”. Genueńczycy z Galaty nie mieli żadnych problemów w zawarciu przyjaźni z lokatorami Topkapi. Podczas niedawnego konfliktu pozostali neutralni i dyplomatycznie nie wsparli Giustinianiego i jego ludzi, co oczywiście zostało zauważone. Przyznane im „kapitu-

lacje” dotrwały w prawie niezmięnionej formie aż do czasów współczesnych. Wenecjanie czym prędzej zakończyli wojnę z Fatihem o bizantyjskie posiadłości w południowej Grecji i też założyli placówkę w Galacji. Podobnie uczynili ich rywale w śródziemnomorskim handlu, czyli Florentyńczycy i Katalończycy.

Lewantyńczycy, jak zaczęto zwać później łacinników znad Bosforu, rośli w siłę w stolicy Fatiha. Mieli coraz większy wpływ na jej codzienność. Ich kobiety słynęły z modnych strojów, mężczyźni znani byli z talentów kupieckich i skłonności do trucicia każdego, kto mógłby przeszkodzić im w dalszym gromadzeniu bogactw (w 1471 roku Wenecjanie próbowali nawet przekupić żydowskiego lekarza Fatiha, aby ten otruił swojego władcę). Rządzeni przez własnych burmistrzów - *podesta* u Genuńczyków, *bailo* u Wenecjan - i podlegli własnym prawom, łacinnicy z Kostantyniye wywalczyli niezależność i autonomię, która dziwiła niepomiernie wielu tureckich muzułmanów. Jak pisał jeden z nich: „Jeśli chcesz zyskać wysoką pozycję w oczach sułtana, musisz być Żydem, Persem albo Frankiem”. Sułtan pamiętał jednak, ile wszyscy ci uprzywilejowani płacą mu corocznie tytułem podatków, i nie miał zamiaru zmieniać podejścia do niewiernych, którzy stanowili już połowę mieszkańców Kostantyniye. Jego agenci, którzy robili, co mogli, aby miejscowi Grecy i łacinnicy nie skakali sobie nawzajem do gardeł, pilnowali także, by dzwony kościelne nie przeszkadzały muezzinom w śpiewnych wezwaniach do modlitwy.

Nawet jeśli Kostantyniye nie było do końca muzułmańskim miastem, starano się zachować choćby pozory.

Jeszcze osobliwszy był dwór samego sułtana. Zaganiając muzułmanów do swojej stolicy, podobną akcję podjął też wobec chrześcijan. W kolejnych latach rozszerzył jeszcze bezlitosne dewszirme („pobór”) na młodych chrześcijan, którzy byli odbierani rodzinom i wychowywani w Kostantyniye. W sumie zaadaptował tylko starą metodę pozyskiwania janczarów, tyle że w tym przypadku chodziło o rekrutację do czegoś, co współcześnie nazywa się służbą cywilną. Co kilka lat osmańscy „łowcy talentów” wyruszali w teren i chronieni przez żołnierzy odwiedzali wioski na Bałkanach oraz w Anatolii i wybierali najbardziej obiecujących chłopskich synów. W niektórych przypadkach rodziny godziły się na to z ochotą, widząc w tym szansę na lepsze i bardziej światowe życie potomka. W większości przypadków jednak odbieranie dzieci budziło żal i bezsilną złość.

Oddzieleni od bliskich, chłopcy byli szybko poddawani obrzezaniu i nawracani na islam. Potem kierowano ich do szkół o ostrej dyscyplinie, które kształciły elitę mającą zarządzać imperium. Specjalną edukację rezerwowano dla młodzieńców o szczególnie dobrej prezencji, w przyszłości przeznaczonych na osobistych sekretarzy władcy. Było to okrutne postępowanie, ale dawało gwarancję wpojenia ofiarom niezachwianej lojalności wobec sułtana. Pranie mózgu i odpowiednia motywacja pozwalały obsadzać stanowiska naprawdę niezawodnymi ludźmi. Urodzeni jako chrześcijanie

i ukształtowani wedle pożądanego wzorca, stali się z czasem podporą państwa osmańskiego. Na dodatek jako pozbawieni przeszłości nie miewali ciągot dynastycznych. Sułtan unikał w ten sposób zmory europejskich monarchów, którzy nieustannie zmagali się z kwestionującą autorytet władzy arystokracją. Nigdy też nikt nie żądał od niego wprowadzenia takich wynalazków jak Magna Carta i nie groził mu bunt feudałów. Wielu z późniejszych dostojników zaczynało życie gdzieś na Bałkanach jako niepiśmienni pasterze kóz. Nawet stanowisko wielkiego wezyra, chociaż najbardziej ryzykowne na dworze, bo często zagrożone egzekucją, piastował niekiedy były chrześcijanin. Przypominało to trochę sytuację na dworze Grenady, gdzie Szmuel Hanagid mógł osiągnąć bardzo wysoką pozycję, z jedną wszakże różnicą - od Szmuela nikt nie żądał, aby przechodząc na służbę królewską, porzucił judaizm, wszyscy zaś ministrowie Fatiha musieli przyjąć islam. Zasady *convivencia* zmieniały się zależnie od bieżącej sytuacji politycznej i nawet w Kostantyniye nie dało się przekroczyć właściwych epoce reguł.

W Hiszpanii, kraju gdzie *convivencia* rozkwitła po raz pierwszy, idea wielowyznaniowego społeczeństwa należała już do przeszłości. To, co miało pojawić się na jej miejscu, czyniło tym istotniejszymi starania Fatiha. Po epoce zmięzchu Maurów, rozpoczętej pewnego letniego dnia pod Las Navas de Tolosa, w końcu zapadły całkowite ciemności. 2 stycznia 1492 roku armie *los reyes catolicos* (katolickich królów) zajęły Grenadę, stolicę ostatniej pozostałej jeszcze taify. Chrześcijanie

nie posiadali się z radości, muzułmanie okryli się żałobą. Uchodzący ostatni muzułmański władca Grenady Boabdil zatrzymał się jeszcze na zaśnieżonej grani Sierra Nevada, obejrzał się i przez łzy spojrział na Alhambrę, pałac swego wymarzonego miasta. Wiekowa matka monarchy miała mu wówczas powiedzieć: „Możesz płakać jak kobieta po tym, czego nie potrafiłeś obronić jak mężczyzna”.

W ten sposób islam stracił Półwysep Iberyjski. Wielka skała Gibraltaru pożegnała widokiem swego niewzruszonego masywu ostatnich mieszkańców Grenady, żeglujących na wygnanie 781 lat po tym, jak Taryk pokonał tę samą drogę w przeciwnym kierunku, aby pobić Wizygotów. Uchodźcy rozproszyli się po islamskim świecie. Naturalnym biegiem rzeczy wielu z nich trafiło także do Złotego Rogu, gdzie chrześcijańska świątynia w Galacie została przekształcona w Arap Camii (Meczet Arabski). Jest nim do tej pory.

Królowa Izabela i król Ferdynand, których małżeństwo doprowadziło ostatecznie do zjednoczenia Kastylii i Aragonii, przystąpili do budowy monolitycznej, jednowyznaniowej Hiszpanii. Pod rządami pierwszych katolickich monarchów oraz ich równie mało świątłych następców ojczyzna *convivencia* stała się jej cmentarzem. Rękopisy tłumaczeń dokonanych w Toledo za czasów króla Alfonsa trafiły do zakurzonych archiwów. Kordoba Umajjadów pozostała w pamięci jedynie z powodu męczeństwa pewnego upartego chrześcijanina. Wielki meczet poddany został operacji chirurgicznej, która tym bardziej wykazała wyższość oryginału.

Historia Rodriga Díaza została przekuta w legendę o Cydzie, którego odmalowano jako oddanego rzecznika katolicyzmu. Władcy Hiszpanii uznali przeszłość swojego kraju za zbyt kłopotliwą, aby obnosić się z nią publicznie.

W nowej, ciasnej umysłowo Hiszpanii nie było też miejsca dla Żydów. Rok 1492 przyniósł epokowe wydarzenie, którym było wygnanie „narodu wybranego” z Iberii. Można nazwać to jednym z najbardziej bezsensownych aktów autoagresji władców wobec własnego państwa. Hiszpańska korona przekreśliła jednym ruchem ręki tysiącletnie tradycje handlu i wzajemnego zaufania, których ślady można odnaleźć chociażby we wspomnianych wcześniej dokumentach z genizy kańskiej. Wprawdzie wielu Żydów zgodziło się przejść na chrześcijaństwo, przez co inkwizycja uznała ich później za tym bardziej podejrzanych, większość jednak odpłynęła ku dalszym brzegom Morza Śródziemnego. Sporo sefardyjczyków znalazło dom w imperium Osmanów, zwłaszcza w Tessalonice (Salonikach), która stała się w efekcie żydowskim miastem, oraz w Kostantyniye. Sułtan był zachwycony, mogąc przyjąć więcej zimnich. Poza samym wzrostem populacji oznaczało to przyływ wysokiej klasy handlowców, mistrzów rzemiosł oraz znawców słowa, dodających blasku rozwijającej się stolicy Osmanów. Syn Fatiha,

Bajazyt II, miał powiedzieć nawet do swoich dworzan: „Mawiają, że Ferdynand to mądry monarcha. Jakże niby, skoro miał własnego, wzbogaca mój kraj?”



Przybycie muzułmanów oraz żydów z Półwyspu Iberyjskiego oznaczało, że niemal wszystkie kawałki układanki były już na miejscach. W 1517 roku osmańskie armie przetoczyły się przez Bliski Wschód i Półwysep Arabski, usuwając osłabłych Mameluków z Kairu i instalując na ich miejsce zależnego od Topkapi pa-szę. Haszymidzi, potomkowie Proroka i jego szarifów (strażników) z Medyny i Mekki, stali się zwykłymi poddanymi Osmanów. Wraz z tymi zmianami pojawiła się w wielkiej stolicy nad Bosforem kolejna egzotyczna nowinka. Sułtan został odpowiednikiem kalifa, a jego pałac - centralnym miejscem islamu. Ale to nie wszystko. Wraz z inauguracją w 1520 roku rządów prawnuka Fatiha, Sulejmana Wspaniałego, marzenia Zdobywcy ziściły się do końca.

Widok ze wzgórz nad Kostantyniye uradowałby serca Bizantyjczyków z poprzedniego stulecia. W Złotym Rogu nieustannie wyrastał cały las masztów i powiewały flagi sygnałowe informujące o wielkim ruchu nie tylko w zatoce, ale też na nabrzeżach i bazarach, w magazynach, tawernach, koszarach, łaźniach i stoczniach, które wyrosły na obu brzegach zatoki. Weneckie karaki, łacińskie żagle Egipcjan, galery z Genui, smukłe i złociste lichtugi sułtana z dwoma setkami wioślarzy - wszystko to przepływało obok przylądka Sarayburnu, czy dla handlu czy tylko dla przyjemności żeglarzy. Swoista wieża Babel, w którą zmienił się Złoty Róg, kontrastowała gwarem z cichymi brzegami Bosforu, gdzie wyrosły barwne pałace bogatych władców Europy i Azji spod znaku krzyża i półksiężyca. Tutaj,

z dala od miejskiego zgiełku, mogli zabawić się i odpocząć. Jednym z najznamienitszych gospodarzy był Józef Nasi, urodzony w Lizbonie Żyd, którego interesy i wpływy sięgały aż do serca chrześcijaństwa. Wyróżniony przez sułtana nadaniem księstwa Naksos na Morzu Egejskim, prowadził na swoich włościach bardzo aktywne życie. Pamiętał, że to, co byłoby barbarzyństwem w stolicy Osmanów, w szesnastowiecznej Europie uchodziło za normę i robił, co mógł, czasem pochlebstwem, czasem zaś groźbą, aby skłonić władców różnych krajów do zaprzestania prześladowania Żydów.

Za Sulejmana Wspaniałego wielokulturowe państwo ogarnął także szal porządkowania i reorganizacji. Pod pysznym przydomkiem Wspaniałego ów władca znany jest tylko na Zachodzie; Turcy zwań go Prawodawcą. Jego próba skodyfikowania praw była największym takim przedsięwzięciem od czasów Justyniana i zaprowadziła pewien ład w zwyczajowym kodeksie postępowania osmańskiego społeczeństwa. Był także budowniczym. Jego naczelny architekt, Sinan, zapewne chrześcijanin przetrawiony przez maszynę edukacyjną państwa, zrealizował kilka prestiżowych projektów, w tym największy i budzący powszechny podziw meczet Suleymaniye z całym gąszczem kopuł i minaretów wyrastających aż do poziomu akweduktu zbudowanego w czwartym wieku przez rzymskiego cesarza Walensa. W ciągu życia kilku pokoleń pojawiły się w Kostantyniye całkiem nowe, muzułmańskie świątynie mające dorównać Aja Sofia albo nawet prześcignąć ją bla-

skiem. Na gruzach dawnego Rzymu wyrósł nowy. Bastion na morzu wiary zyskał kolejną, najświetniejszą i ostateczną już postać.

W dzisiejszym Stambule można trafić na sporo śladów *convivencia* zapoczątkowanej przez wydarzenia 1453 roku. W dawnej Galacie (obecnie Beyoglu) świadczą o niej liczne łacińskie kościoły, zachodnie ambasady i szkoły, zarówno średniowieczne, jak i późniejsze, aż do współczesnych. Stolica islamu była w średniowieczu miastem dziesiątków narodowości, które może nie zawsze darzyły się przyjaźnią, starały się jednak zwykle nie utrudniać sobie nawzajem życia. Wiele następstw tego burzliwego okresu wynikało z polityki europejskich mocarstw i stagnacji, która ogarnęła imperium Osmanów. Z wiarą nie miało to już zwykle wiele wspólnego. Dwudziesty wiek, który przyniósł upadek Osmanów i nasilenie tureckiego nacjonalizmu, był również kresem dawnych, kosmopolitycznych zaopędów Stambułu, chociaż obecnie niegdysiejsza stolica jakby odrodziła się na nowo.

Dla przeciętnego turysty nie jest miastem dawnej czy obecnej *convivencia*, ale miejscem obyczajowej tolerancji - między innymi za sprawą rozpowszechnionych w Europie opowieści o haremie Topkapi. W Międzynarodowym Porcie Lotniczym imienia Atatürka opuszczający Turcję turysta może kupić słoik fig opatrzonych francuskim oczywiście napisem: *L'Aphrodisiaque des Sultans* (afrodyzjak sułtański), co ma przypominać o dziesiątkach tysięcy dziewcząt, często Słowianek, które uprowadzano, kupowano albo przekazy-

wano w prezencje do sułtańskiego pałacu i rezydencji wielmożów albo które trafiały po prostu do burdeli Galaty. Ta „dziewczęca danina” przyćmiła w zbiorowej świadomości wszystko inne, co działo się w i wkoło Topkapi. Podobnie zresztą jak historie o sudańskich eunuchach strzegących haremów. Tymczasem Kostantyniye, chociaż nie był wielokulturową arkadią, na pewno pozostawał przez trzy wieki największym i najbardziej etnicznie zróżnicowanym miastem Europy.

W dzielnicy Fener, niedaleko fatalnego odcinka murów między Lykosem a Blachernami, stoi kościół Świętej Marii od Mongołów, nazwany tak na cześć nieślubnej córki cesarza Michała VIII Paleologa, która odbudowała tę ufundowaną w VII wieku świątynię, gdy jako szczęśliwa wdowa wróciła z dworu mongolskiego chana. To jedyna w mieście chrześcijańska świątynia z okresu przedosmańskiego, która nadal jest kościołem. Wiele innych stoi dzisiaj opuszczonych od czasu sekciarskich zamieszek w 1955 roku, które zmusiły większość miejscowych Greków do emigracji. Obecna główna świątynia miejscowego patriarchy, także skryta w zaułkach Feneru, swoją skromnością zaskoczyłaby nawet Gennadiosa.

Brak ostentacji wszakże to jedno, a niewidzialność - drugie. Podczas ostatniej wizyty w labiryncie Feneru odnosiłem wrażenie, że Święta Maria od Mongołów po prostu nie chce dać się znaleźć. Pomoc zjawiała się pod postacią małego chłopca, ucznia szkoły koranicznej, który szedł właśnie do domu, aby coś zjeść. Owszem, wiedział, gdzie jest meczet Rumich. Po krótkim klu-

czeniu wąskimi uliczkami pokazał go, a potem cierpliwie poczekał na zewnątrz, dając gościom czas na podziwianie starych ikon i oprawionych w ramy firmamentów - dekretów sułtana gwarantujących wiernym wolność wyznawania własnej religii oraz własność budynku świątyni. Na jednym ze starych pergaminów widniał podpis samego Zwycięzcy.

Po wyjściu na rozświetloną słońcem uliczkę zostało podziękować przewodnikowi i uprzejmie się z nim pożegnać. Gdy odchodził, ktoś wpadł jeszcze na pomysł, aby spytać go o imię.

Chłopiec odwrócił tylko głowę i rzucił przez ramię jedno słowo: „Fatih”.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

## MALTA 1565

Osłabienie imperium osmańskiego; koniec średniowiecznego morza wiary

Niedługo przed świtem 24 czerwca 1565 roku na wodach Wielkiej Zatoki pojawiła się flotylla pięciu tratw zmierzających w kierunku odległej o dwieście metrów małej zatoki między dwoma półwyspami, na których tłoczyły się setki odzianych w pancerze ludzi. Główny półwysep, obecnie zajęty w całości przez miasto Valletta, spowijały jeszcze dymy pozostałe po wystrzałach z dział. Nad widocznym na nabrzeżach tłumem powiewały z blanków sztandary z ośmioramiennym krzyżem charakterystycznym dla Zakonu Szpitalników świętego Jana z Jerozolimy.

Uzbrojeni w arkebuzy i muszkiety wojownicy obsadzający Birgu i Sengleę, maltańskie fortece wzniesione na niewielkich półwyspach Wielkiej Zatoki, byli tego samego chowu co pechowi rycerze zakonni spod Hittinu. W 1565 roku ich siedziba na Malcie, niewielkim występie piaskowca wyrastającym z wody między Sycylią a Libią, również znalazła się w opałach. Na szczycie głównego półwyspu, gdzie jeszcze niedawno stał gwiazdzisty fort Świętego Elma z broniącą go przez ponad miesiąc załogą kilkuset zakonników, obecnie snuły się tylko dymy. Pośród ruin leżały szczątki ponad ośmiu tysięcy tureckich żołnierzy, którzy zginęli, przełamując fanatyczną obronę chrześcijan.

Podczas ostatnich tygodni wielka budowla drżała nieustannie, niemal kołysała się pod ciosami zadawanymi przez artylerię. Nocą od brzegu oderwały się tajemnicze obiekty i powoli podryfowały w ciemność. Gdy wschód słońca oznajmił początek dnia świętego Jana Chrzciciela, patrona zakonu, strażnicy Birgu i Senglei doszli do wniosku, że przeciwnik przysyła im najwyraźniej jakiś podarunek.

Na rozkaz Jeana Parisota de la Valette'a, wielkiego mistrza zakonu (uczczono go później, nazywając od jego nazwiska położone nad Wielką Zatoką miasto), kilku miejscowych skoczyło do wody, aby przechwycić dryfujące tratwy. Znajdujący się we władzy francuskich, hiszpańskich i niemieckich rycerzy rodowici Maltańczycy wykorzystywani byli regularnie do wszelkich brudnych prac. Ich panowie zjawili się na wyspie ledwie trzydzieści pięć lat wcześniej. Była ich ostatnim przystankiem w tułaczce po Morzu Śródziemnym. Wcześniej kwaterowali w Jerozolimie oraz takich miejscach, jak Krak des Chevaliers, skąd zostali jednak wypędzeni przez Saladyna i jego następców. Ostatecznie opuścili Outremer w 1291 roku, po upadku Akki. Najpierw posiadzieli trochę na Cyprze, po czym przenieśli się na Rodos, skąd przez dwa wieki wysyłali galery trapiące muzułmańskich kupców i najeżdżali co jakiś czas, rażąc ogniem i mieczem, ziemie islamu. Wówczas to zakon, który powstał, aby dbać o pielgrzymów nie domagających w drodze do Jerozolimy, przybrał swą ostateczną, późnośredniowieczną postać bractwa arystokratycznych, chrześcijańskich korsarzy.

Po zdobyciu Konstantynopola przez Osmanów w 1453 roku rycerze z Rodos odmówili płacenia sułtanowi daniny, a nawet pozornego poddania się Fatihowi. Młody władca zrazu nie zareagował na zniewagę, ostatecznie jednak w 1480 roku jego armie dokonały inwazji na wyspę. Nie udało mu się pokonać rycerzy. Dopiero jego prawnuk, Sulejman Wspaniały, zmusił Rodos do kapitulacji w 1522 roku. Młody władca docenił odwagę zakonników i puścił ich wolno, rezygnując ze zwyczajowej masakry. Szpitalnicy włóczyli się następnie przez siedem lat po Europie, molestując wszelkich koronowanych bliskich i pociotków o jakiś kawałek ziemi, na którym zakon mógłby się osiedlić. Zależało im oczywiście, by nowa siedziba leżała nad Morzem Śródziemnym, aby czym prędzej mogli wrócić do swej pirackiej działalności. Ostatecznie zlitowali się nad nimi Habsburgowie, słusznie zakładając, że przyda im się ktoś strzegący podejścia do Sycylii. Osadzili więc szpitalników w 1530 roku na kamienistej Malcie. Corocznie 1 listopada zakonnicy mieli przy tym oddawać królowi hiszpańskiemu (zarazem cesarzowi Świętego Cesarstwa Rzymskiego) jednego maltańskiego sokoła, tytułem zapłaty za dzierżawę. Wyspa nie miała wiele wspólnego z ogrodami rozkoszy, które znaleźć można na Rodos, ale swoją rolę odgrywała. Jak można się spodziewać, rdzennych mieszkańców Malty nikt nie pytał o zdanie. Rycerze zakonni traktowali ich jak zwykłe narzędzia, przydatne w niebezpiecznej grze prowadzonej z Osmanami.



Owego czerwcowego poranka w 1565 tubylcy wcale nie mieli ochoty na kąpiel. Cała ich wspaniała zatoka znajdowała się pod ostrzałem dziesiątków dobrze wycelowanych dział. Niestety, mściło się na nich strategiczne położenie wyspy. Zwana od dawna pępek Morza Śródziemnego, przeżyła już wiele najazdów. Niemal każda fala śródziemnomorskich podbojów sprowadzała na Maltę jakichś cudzoziemców, pogan, chrześcijan czy muzułmanów. Posługujący się językiem należącym do rodziny semickiej tubylcy utrzymywali, że ich przodkami byli Fenicjanie, którzy jeszcze przed narodzinami *mare nostrum* założyli też kolonię w pobliskiej Kartaginie. Długą tradycję chrześcijańską uzasadniali bytnością na wyspie samego świętego Pawła, który miał zostać wyrzucony na maltańską plażę i przy okazji ochrzcił całą jej ludność już w 59 roku. Jakkolwiek było, nie ulega wątpliwości, że Maltańczycy czuli się na morzu jak u siebie. Wydawało się całkiem naturalne, że właśnie ten lud, z dawna żyjący na samym środku Morza Śródziemnego, weźmie udział w ostatnim akcie dramatu dziejów średniowiecznego morza wiary.

Pływacy dotarli do flotylli i nagle, w pełnej wy-czekiwania ciszy rozległy się okrzyki przerażenia. Na tratwach znajdowały się pozbawione głów ciała obrońców fortu Świętego Elma. Niektóre zostały nawet przybite do pokładu w pozie ukrzyżowania. Taki właśnie prezent przekazali Turcy obecni na drugim brzegu zatoki rycerzom świętego Jana w dniu ich święta. Prze-

słanie było jasne: żadnego miłosierdzia, żadnego szacunku wobec żywych i martwych.

Czy muzułmanie byli świadomi znaczenia tego dnia? Na pewno znali los Jana Chrzciciela, który został ścięty na żądanie Salome, a tureccy dowódcy, zwłaszcza ci z kosmopolitycznego Kostantyniye, znali w zarysie religię swoich wrogów. Tysiące chrześcijańskich niewolników, nawróconych na islam, znajdowały się w szeregach ich armii. Nawet sam dowódca tureckiej floty był węgierskim chrześcijaninem. Co więcej, zakon świętego Jana, który przez pokolenia najeżdżał wcześniej brzegi Anatolii, był naprawdę „bliskim” nieprzyjacielem Osmanów. Skala tej obrazy, zgranej w czasie oraz sposobie przeprowadzenia, nie mogła być przypadkowa.

Ciała zostały wyciągnięte na brzeg i rycerze ze smutkiem rozpoznali w nich szczątki swych towarzyszy. Wielki mistrz de la Valette rozkazał natychmiast opróżnić lochy fortów Birgu i Senglea. Przetrzymano w nich muzułmanów pojmanych podczas potyczek poprzedzających upadek fortu Świętego Elma oraz przywiezionych z korsarskich wypraw, niektórych nawet rok wcześniej. Dziesiątki ludzi wyszły na światło dnia. Wszyscy mrużyli oczy. Dzień był słoneczny, prawdziwie letni. Topór kata opadł raz, drugi...

Nieco później janczarowie penetrujący szczątki zdobytego fortu usłyszeli wystrzały z dział i rozbiegli się, szukając ukrycia. Pociski przeleciały nad Wielką Zatoką, pokonując tę samą drogę, którą w nocy przepłynęła flotylla umarłych. Lądowały z głuchym odgło-

sem i nie wybuchały. Pobledli Turcy szybko odkryli przyczynę - to były ludzkie głowy. Artyleria oddała kolejną salwę, potem jeszcze jedną i następną. Strzelała tak długo, aż przerzuciła na drugą stronę zatoki głowy wszystkich pomordowanych. Nikt nie zanotował, co dokładnie kierowało szpitalnikami, że zdecydowali się na ten makabryczny spektakl, ale dał on do myślenia nawet najbardziej bezkrytycznym apologetom zakonu. Ostatecznie muzułmanie odcięli głowy poległym wcześniej zakonnikom, chrześcijanie zaś stracili bezbronných jeńców. Ale tego krwawego lata 1565 roku na Malcie nikt nie miał żadnych skrupułów. Rycerze nie mieli nawet czasu, aby upajać się zemstą. Zaraz zostali wezwani do głównego kościoła w Birgu, miasteczku na wschodnim półwyspie Wielkiej Zatoki. Tego dnia miała zostać odprawiona uroczysta msza dla uczczenia ich patrona, świętego Jana Chrzciciela. Nie należało zaniedbywać świętych obowiązków.

Pisząc o Malcie, D. H. Lawrence zauważył, że „cały świat mógłby tu przybywać ostrzyć noże”. Patrząc z łodzi turystycznej na zatoki i ujścia strumieni poniżej Valletty, trudno się z nim nie zgodzić. Poza samą skałą macierzystą, nagą i spaloną południowym słońcem, swoje dodały jeszcze stulecia, gdy miasto obrastało w kolejne kamienne fortece. Masywne mury z wysokimi wieżami zdobią większość przylądków. Najpierw wznosili je bogaci rycerze, potem brytyjski rząd (w 1800 roku Królewska Marynarka

Wojenna odkupiła Maltę od Napoleona, który dwa lata wcześniej odebrał ją rycerzom zakonnym). Gdy

łódź zbliża się do odbudowanego fortu Świętego Elma, prawdziwego potwora z szarej skały, trudno nie pomyśleć, że ta mała wyspa mogłaby rywalizować umocnieniami ze schowanym w trzewiach góry Cheyenne centrum operacyjnym amerykańskich systemów obrony powietrznej. Bez wątpienia żadne inne miejsce w basenie Morza Śródziemnego nie zostało nigdy w tak widomy sposób dostosowane do obrony. Trudno by też znaleźć bardziej malownicze miejsce spotkania sił walczących pod sztandarami dwóch rywalizujących z dawną religii. Morze, największa scena średniowiecznych spektakli, ciągnie się wokół mamucich murów aż po horyzont. Nie ma tu też miejsca na ironię, jak w przypadku Poitiers czy niemal zapomniany Manzikert. Malta traktuje swoją przeszłość bardzo poważnie.

Valletta, której budowę rozpoczęto zaraz po oblężeniu w 1565 roku, nie ma najmniejszej szansy uciec od przeszłości. Odbudowana pieczołowicie po zniszczeniach drugiej wojny światowej, wygląda, jakby została przeniesiona na cypel wprost z epoki baroku.

Budowniczo wie miasta byli z natury ludźmi wpatrzonymi w przeszłość, co dawało o sobie znać nawet w tamtych odległych czasach. Pod koniec szesnastego wieku, gdy sytuacja na kontynencie zmieniła się znacząco, ich skłonność do wojowania uczyniła zakon swoistym anachronizmem. W ogóle chyba można powiedzieć, że wszystko jest tu w jakiś sposób spóźnione. Nawet w najlepszych czasach, gdy Malta opierała się naporowi Osmanów, na kontynencie nie przywiązywano wagi do zmagania w obszarze Morza Śródziemnego.

Oczy Europy zwrócone były na Atlantyk. Genueńczyk Giustiniani Longo popłynął na wschód bronić Konstantynopola i starego świata ledwie kilkadziesiąt lat przed tym, jak inny Genueńczyk, Krzysztof Kolumb, ruszył na zachód, aby odkryć dla hiszpańskiego króla całkiem nowy świat. Skarbce państw europejskich wypełniały się złotem obu Ameryk. Zaczęto korzystać z nowej drogi na wschód wokół Przylądka Dobrej Nadziei i transporty przypraw, niewolników oraz jedwabiu nie musiały już przechodzić przez Dar al-islam. Arabskie karawany ustąpiły miejsca portugalskim karawelom.

Dylemat związany z próbami połączenia wizji świata nadprzyrodzonego z praktyką doczesną, który był głównym motywem pojawiającym się w śródziemnomorskich konfliktach, zaczął być rozstrzygany gdzie indziej. Morze wiary straciło centralną pozycję. Oczywiście nie stało się to od razu i zdarzały się jeszcze na Morzu Śródziemnym gwałtowne starcia, jednak sam proces został zapoczątkowany. Z czasem nawet próby odwołania do wiary jako przyczyny zwycięstw czy porażek zaczęły tracić rację bytu. Kwestie konfesyjne całkowicie zniknęły z pola widzenia, zwłaszcza w Europie, gdzie niebawem miały się zacząć wojny religijne między katolikami a protestantami, które do końca zburzyły średniowieczny porządek. Dała jednak o sobie znać myśl pokrewna tej, którą wypowiedział w czternastym wieku Ibn Chaldun. To on zasugerował, że narodziny i upadki imperiów mogą wiązać się z czynnikami pozareligijnymi i nie mieć związku z Bożymi wyrokami. Dla myślicieli renesansu, mrocznego Machiavelle-

go czy słonecznego Erazma, krucjaty dawno już straciły swój religijny sens. Zmiany mentalne wywołane na Zachodzie przez renesans i reformację znalazły swoje odbicie w umocnieniu pozycji imperium Osmanów na Wschodzie, ich wspólnym skutkiem zaś było przekonanie, w ślad za Ibn Chaldunem, że władza króla czy sułtana ma przede wszystkim ziemski, nie metafizyczny wymiar. Francja, która szczerze nie cierpiała otaczających ją ze wszystkich stron Habsburgów, posunęła się nawet do zawarcia sojuszu obronnego z muzułmańskim Kostantyniye. W szesnastym wieku turecka flota kotwiczyla w Tulonie. Święty Ludwik, król i uczestnik krucjat, byłby wstrząśnięty tym widokiem - jednak tego morza wiary, po którym on żeglował w trzynastym wieku, już nie było.

Valletta jest też świadectwem, że historyczne zmiany nie zachodzą z dnia na dzień i że nie wszyscy wyciągają z nich nauki. Patron miasta, Jean Parisot de la Valette, tak uzasadniał swój upór w obronie wyspy: „Oto czeka nas wielka bitwa między Krzyżem a Koranem. Ogromna armia niewiernych zamierza najechać naszą wyspę. My zaś jesteśmy doborowymi żołnierzami Krzyża i jeśli Niebiosa mają zażądać od nas ofiary życia, oto najlepsza sposobność. Podążmy zatem, bracia moi, na ten święty ołtarz”. Potomek wielkiego, i wielce też skonfliktowanego rodu, który zabijał niewiernych podczas pierwszej krucjaty i bronił heretyckich albigensów, najwyraźniej nie miał wątpliwości, że walczy za wiarę. Jeśli chodzi o Turków, panująca w ich

stolicy *convivencia* nie przekładała się na relatywizm religijny.

U jednego z zabitych żołnierzy sułtana znaleziono bransoletę z napisem: „Nie przybyłem na Maltę dla bogactw ani zaszczytu, ale by zbawić moją duszę”. Z całą pewnością nie były to słowa ludzi świadomych faktu, że ich czas już minął.

Valletta jest oczywiście swoistym pomnikiem wystawionym chrześcijańskiemu punktowi widzenia, nawet jeśli powstała już po ostatnim wielkim starciu obu religii. Rycerze maltańscy wykuli swe pożegnanie w kamieniu i podobnie jak Justynian czy Abd ar-Rahman, szczególną uwagę zwracali na świątynie. W Valletcie takim właśnie miejscem jest wspaniała katedra Świętego Jana, główny kościół zakonu.

Aby zrozumieć przesłanie katedry, trzeba wiedzieć nieco o organizacji zakonu. Poszczególne grupy narodowościowe podzielone były na tak zwane *langues* („języki”), zwane też prowincjami, które przyjmowały z osobna odpowiedzialność za konkretne kampanie najazdów, prowadzone przez zakon. W późniejszych - i dostatej szych - latach, języki nie oddalały się zbyt od ojczyzn, konkurując ze sobą nawzajem na różnych polach. Najwyraźniej istniała też rywalizacja w budowaniu wspaniałych posiadłości, wygrana bezapelacyjnie przez prowincje Kastylii i Leónu. Tamtejsza siedziba zakonu, czyli *auberge*, jest prawdziwym osiemnastowiecznym klejnotem architektury, który nie ma swojego odpowiednika na Malcie. Trudno jednak orzec, która prowincja wygrała w dyscyplinie budowy

katedr. Świątynia Świętego Jana jest tak bogato udekorowana, że strach wchodzić do niej bez okularów przeciwsłonecznych. Rzeźby przedstawiające galery niewolnicze, spowite obłokami ołtarze, kamienne postaci na sarkofagach, herby podtrzymywane przez kariatydy, nawet krwiste obrazy Caravaggia przedstawiające dekapitowanie patrona świątyni - wszystkiego jest tutaj nadmiar. Płyty tworzące podłogę to marmurowe nagrobki dygnitarzy zakonu. Oszołomiony Walter Scott powiedział: „To najwspanialsze wnętrze, jakie kiedykolwiek widziałem”. Jednak całe to świadectwo próżności jaśnieje tylko światłem odbitym.

Wielkość pochodziła z roku 1565, kiedy twarda obrona wyspy zbliżyła ją do chrześcijańskiej Europy. To jest też najważniejsza data wspomniana obecnie na wyspie. W centralnej części plątaniny miejskich uliczek i świątyń, tuż obok biblioteki narodowej z wystawą spleśniałych *lettres de marque* (listów kaperskich) i równie starych listów dziękczynnych, współcześni inżynierowie skonstruowali cały audiowizualny labirynt przybliżający turystom wydarzenia z 1565 roku. Prezentacja sugeruje niedwuznacznie, że pewnego dnia brodaci i nieuleczalnie słabujący na rozumie Turcy postanowili z bliżej nieznanych powodów napaść na święty zakon szpitalników. Krótko mówiąc, był to bezprzykładny akt niechrześcijańskiej zgoła agresji. Sam zarzut agresji nie budzi wątpliwości, Osmanowie bowiem zwykli traktować podboje jako zwykły sposób pozyskiwania tego, co potrzebne było dworowi i rozwijającej się stolicy. Z drugiej jednak strony, nie ulega też



wątpliwości, że sułtan Sulejman został poważnie sprovokowany.

Na zachód od Valletty, na sąsiednim półwyspie, przy wejściu do zatoki w kształcie rozwartych nożyc, znajduje się Przylądek Draguta. Jego nazwa przywołuje postać, która była przyczyną wojny.

Dragut Rais był piratem. W szesnastym wieku takie zajęcie nie należało do szlacheckich, nie uznawano jednak też nikogo z tego powodu za socjopatę. Piraci bywali przydatni. W czasach Draguta na Morzu Śródziemnym rywalizowały dwa wielkie rody, z których jeden opanował Hiszpanię, Sycylię, południową Italię, Lombardię, Niderlandy, Niemcy i Austrię, drugi zaś Turcję, Grecję, Bałkany, Egipt, Libię, Maghreb, Palestynę, Syrię, Arabię i Irak. Chodzi oczywiście o Habsburgów i Osmanów, przy czym każdy z nich stosował całkiem bezprawne metody, aby drugiej stronie utrudnić handel morski.

Działający na rzecz Turków piraci z afrykańskiego Wybrzeża Berberyjskiego wywiązywali się ze swych zadań wręcz znakomicie. Przed Dragutem, chlubą muzułmańskiego piractwa, byli dwaj bracia wywodzący się z Mityleny na wyspie Lesbos, potomkowie odesłanego na emeryturę janczara i wdowy po pewnym greckim kapłanie. Młodszy z nich, któremu zresztą było pisane dłuższe życie, przeszedł do historii jako Barbarossa (Rudobrody). W dzisiejszym Stambule jego imię nosi prom kursujący w cieśninie, co dowodzi, że nawet najgorsza reputacja może zostać z czasem wybaczona i zapomniana. Barbarossa był bowiem nie tylko świet-

nym żeglarzem, ale też wyjątkowym okrutnikiem. Jego rajdy na chrześcijańskie wybrzeża zmusiły do wzniesienia całego szeregu wież wartowniczych - wiele z nich można oglądać do tej pory. Sprowadzał nieszczęścia na ziemię rozciągającą się od Balearów na zachodzie, po Kretę na wschodzie.

Kariere zaczął, odbierając Hiszpanii skrawki ziemi, które królestwo zdobyło na terenach obecnego wybrzeża Algierii i Maroka. Była to okolica z dawna już niepokojna, gdzie o władzę nad Berberami walczyli wcześniej Grecy, Kartagińczycy, Rzymianie, Wandalowie, Bizantyjczycy, Arabowie i Turcy. Wraz z przybyciem piratów zrobiło się jeszcze gorzej. Rekrutowali się oni bowiem głównie spośród iberyjskich muzułmanów, wygnanych po upadku Grenady. Zdolni, ale przepełnieni zapiekłą złością, pokazali, na co ich stać, gdy Barbarossa został władcą Algieru, portu, który stał się prawdziwym gniazdem złodziei, swoistą mekką wszystkich awanturników i rzezimieszków z całego śródziemnomorskiego świata.

Chrześcijańskim Hiszpanom jakoś nie udało się dojść z nimi do porozumienia, przeciwnie niż Turkom - dla nich nie było problemu. Ibrahim Pasza, przebiegły Grek, który był wielkim wezyrem Sulejmana, wpadł na pomysł, jak wykorzystać tę morderczą zbieraninę. Mniej więcej to samo Korona Brytyjska zrobiła później, wysyłając na morze Francisa Drake'a. Ibrahim chciał skierować piratów przeciwko Hiszpanii. Barbarossie powierzono oficjalny osmański urząd namiestnika Wybrzeża Berberyjskiego, a szkatuła sułtańska nie

poskąpiła środków na budowę nowych statków. Barbarossa otrzymał też honorowe członkostwo w Wysokiej Porcie, jak zwano wtedy dwór i jednocześnie elitę rządzącą sułtana. Osobiście doglądał w Złotym Rogu budowy okrętów i szkolenia kadr dla tureckiej marynarki. Przeprowadził potem wiele zdumiewających operacji morskich z załogami złożonymi po części z jego kompanów, po części zaś z przekazanych mu janczarów. Szczególnie przykrym dla chrześcijan zaskoczeniem był najazd w 1530 roku na południowe wybrzeża Italii. Barbarossa palił wioski, porywał tysiące niewolników na sprzedaż i do haremów. Nawet samego papieża zmusił do ucieczki. Próbował dopaść także Julię Gonzagę<sup>17</sup>, słynną piękność tamtych czasów. Oblegał jej zamek, sama Julia jednak uciekła, chociaż tylko w koszuli nocnej. Jeździec, którego trzymała się podczas jazdy, został potem na jej prośbę stracony. Podobno powodem było to, że miał okazję nazbyt dobrze obejrzeć sobie przyczynę całego zamieszania.

Dragut Rais był protegowanym Barbarossy. Im bardziej starzejący się Rudobrody tracił siły, tym śmielej pokazywał się jego młody następca.

Urodzony jako chrześcijanin w Anatolii, Dragut wyróżnił się w młodości podczas służby w sułtańskiej armii i dopiero potem został wolnym marynarzem. Wziął udział w bitwie pod Prewezą w 1538 roku, gdzie galery Barbarossy spotkały się hiszpańską flotą dowodzoną przez wielkiego Genuieńczyka Andreę Dorię, dokładnie w tym samym miejscu, które w 31 roku p.n.e. było świadkiem klęski Marka Antoniusza i Kleopatry.

Genua, której imperium handlowe okazało się efemerydą w porównaniu z potęgą morską Osmanów, dostarczała już tylko marynarzy dworowi hiszpańskiemu (co wyjaśnia, skąd wziął się w Iberii Krzysztof Kolumb). Pod Prewezą pomysły zwykle Doria został wymańrowany przez Barbarossę i chrześcijańska armada, chociaż silniejsza liczebnie, poniosła ciężkie straty. Zwycięski Rudobrody miał powiedzieć potem o swoim podwładnym, który zastosował śmiało taktykę abordażu: „Dragut to lew, jest odważniejszy ode mnie”.

Niezależnie od odwagi Dragut był bardziej charakterystyczny dla swojej epoki niż Barbarossa. Jego chrześcijańscy przodkowie, bo najpewniej został zabrany jakiejś rodzinie w ramach dewszirme, nie dostrzegali najbardziej frapującej reguły śródziemnomorskiego korsarstwa: wielu najlepszych muzułmańskich piratów było tak naprawdę niegdysiejszymi chrześcijanami. Potępiani przez duchowieństwo i surowo karani przez inkwizycję w razie pojmania sprytni konwertyci mieli swoje powody, aby pomóc chrześcijanom przejrzeć na oczy. Niewątpliwie część z nich szukała tylko sławy i bogactwa, na które nie mieliby szans, pozostawszy europejskimi parweniuszami. Inni, jako niewolnicy w krajach islamu, zostali zmuszeni do zmiany wiary, chociaż wiele tysięcy czyniło to dobrowolnie, zyskując w ten sposób szansę na wolność i awans w bezlitosnym, ale doceniającym talenty i fachowość tyglu Wybrzeża Berberyjskiego. Przejście na islam miało jeszcze inne zalety: pozwalało pożegnać raz na zawsze straszących ogniem piekielnym księży i zmuszającą do lizania pań-

skich butów szlachtę. W zamian pojawiała się obietnica raju po śmierci, gotówka płynęła wartkim strumieniem i była jeszcze ta miła świadomość, że sułtan daje przyzwolenie. Jeśli do tego wszystkiego dodać wielożeństwo, to mały krok w stronę nowej religii stawał się wielkim skokiem na drodze życia. Dragut i jego marynarze, handlarze niewolnikami i złodzieje mogli nie rozumieć do końca islamu, ale na pewno wiele mu zawdzięczali.

Ich chrześcijańscy przeciwnicy też byli nieustraszeni. Habsburski monarcha i jego admirał Doria najjeżdżali systematycznie północną Afrykę i raz byli nawet bliscy wykończenia Draguta (na tunezyjskiej wyspie Dżerba - jednak muzułmanin wymknął się, przeciągając nocą przez wyspę swoje zablokowane statki). Chrześcijańska flota Hiszpanii patrolowała zachodnie krańce Morza Śródziemnego w poszukiwaniu berberyjskich piratów, podczas gdy rycerze z Malty organizowali tak zwane „karawany” - długotrwałe kampanie pirackie przeciwko osmańskiej żegludze, głównie we wschodniej części morza. Szpiedzi joannitów śledzili ruch we wszystkich większych portach, aby wyłapywać szczególnie soczyste kąski.

Siłą napędową wszystkich morskich działań byli niewolnicy. W dowolnym momencie sezonu żeglugo-wego w szesnastym wieku na morzu pociły się dziesiątki tysięcy nagich ludzi przykutych łańcuchami do ławek. Musieli żyć we własnym brudzie, poruszając jednocześnie wielkimi wiosłami galer. Osoby obdarzone lepszym węchem wyczuwały bliskość tych statków

na długo przedtem, nim wyłaniały się zza linii horyzontu. Jeśli ktoś przetrwał rok albo dwa na galerach (i został potem wykupiony albo uwolniony w ramach wymiany jeńców, co często praktykowano między muzułmanami a chrześcijanami), świadczyło to o jego żelaznym zdrowiu. Zarówno Dragut, jak i wielki mistrz de la Valette sami spędzili nieco czasu na twardych ławach. To samo dotyczyło wielu innych rycerzy i renegeatów. Zostawali potem twardymi mężczyznami, którzy nie znali życia bez walki oraz wysiłku fizycznego i nawet w starszym wieku, gdy sił im już nie starczało, wpojone przez lata chciwość, złość i religijny zapał powodowały, że nie ustępowali pola przeciwnikowi.

Pod koniec czerwca 1565 roku, zaraz po upadku fortu Świętego Elma, gdy Turcy zaroili się wkoło Wielkiej Zatoki i zajęli pozycje przed Birgu i Sengleą, przygotowując się do ostatecznego ataku, część obrońców mogła żałować poczynań, które wpędziły ich w te tarapaty. W poprzednim roku wielki mistrz de la Valette rozkazał rycerzowi Romegasowi, jedynemu chrześcijańskiemu piratowi, który mógł rywalizować w tym fachu z Dragutem i Barbarossą, aby zdobył abordażem wielki statek handlowy płynący do Kostantyniye. Informatorzy zakonu donieśli, że jednostka wiezie cenny ładunek ubezpieczony przez głównego eunucha pałacu, znaczącą postać, ściśle podporządkowaną jeszcze potężniejszej osmańskiej księżniczce. Córka urodzona Sulejmanowi przez ukochaną, zmarłą jakiś czas wcześniej ukraińską piękność, Roksolanę, miała duży wpływ na ojca. Utrata statku była wystarczającym powodem, aby

ten wpływ wykorzystać. Co więcej, ci niewierni porwali i uwięzili również jej starą nianię.

W tym przypadku de la Valette posunął się za daleko. Sułtan pożałował tego dnia, gdy wiedziony wielkodusznością pozwolił wszystkim rycerzom zakonnym, w tym i młodemu de la Valetcie, żywym i zdrowym opuścić Rodos. Czterdzieści trzy lata później otrzymał dowód ich niewdzięczności. Zdobywca Adenu, Algieru, Bagdadu, Belgradu, Budy, większej części Armenii, Rodosu i Tebrizu uznał, że pora położyć kres działalności tych fanatycznych chrześcijańskich korsarzy. W swojej długiej karierze rzadko pozwalał się pokonać. Zasadniczo przeżył tylko jedną klęskę, pod Wiedniem w 1529 roku. Ale to było dawno. W 1565 roku dysponował armią około czterdziestu tysięcy żołnierzy i flotą złożoną ze 180 jednostek dowodzonych przez najbardziej zaufanych ludzi, gotowych pokazać całemu światu, że nikt nie będzie zadzierał z „cezarem”, jak sam siebie nazywał. Z władcą, który poświęcił swe życie sprawie islamu. Los Malty miał pokazać światu, co czeka całe Morze Śródziemne.

Ostatecznie pole walki ograniczyło się do dwóch skalistych półwyspów wybiegających w słone wody Wielkiej Zatoki. Zachodni, czyli Senglea, z biegnącymi po obwodzie fortyfikacjami z gwiazdzistym fortem na końcu, był ledwie zamieszkany. Miał około kilometra długości. Na podobnym wielkością Birgu znajdowało się niewielkie miasto z siedzibami kilku prowincji zakonu i szpitalem - śladem niegdysiejszej działalności braci w Jerozolimie. Była to również kwatera główna

pirackich operacji - wzdłuż brzegów biegły grube mury, a pośrodku wznosił się potężny zamek, fort Świętego Anioła. Od strony lądu chroniony był trzema wysuniętymi, trójkątnymi bastionami. Między Birgu a Sengleą znajdowała się Zatoka Galer, szeroki na ledwie 150 metrów pas wody oddzielony od Wielkiej Zatoki przeciągniętym między przylądkami łańcuchem. Była to zaporą podobna do tej, którą wiek wcześniej zastosowano w Złotym Rogu.

De la Valette przygotował się dobrze na tę chwilę. Dysponował dużymi zapasami żywności, wody, prochu i pocisków armatnich. Między oboma półwyspami zbudowano most pontonowy pozwalający na szybkie przetrzucenie żołnierzy z jednej pozycji na drugą. Brakowało mu jedynie ludzi. Po upadku fortu Świętego Elma miał pod swoim dowództwem ledwie siedmiuset rycerzy i osiem tysięcy Maltańczyków. Do tego dochodził jeszcze tłum ewakuowanych z głębi wyspy kobiet i dzieci oraz zwykła, anonimowa masa niewolników.

Dziesiątki tysięcy pewnych zwycięstwa Turków wraz z przybyłymi niedawno z północy Afryki wojownikami budowało od początku lipca stanowiska artyleryjskie oraz wieże oblężnicze. Zablokowali wyjście z Wielkiej Zatoki i raz jeszcze przenieśli okręty lądem, aby wziąć Birgu i Sengleę w dwa ognie. Jedynym cieniem była utrata Draguta. Waleczny osiemdziesięcioletni pirat został trafiony odłamkiem i zmarł tego samego dnia, kiedy obrońcy ujrzeli tratwy z bezgłowymi ciałami.



To, że Turcy zaatakują, nie ulegało wątpliwości, pozostawało jednak otwarte pytanie, gdzie i kiedy dokładnie to zrobią. Artyleria została znacznie udoskonalona od czasów Fatiha, janczarowie byli wytrawnymi muszkietierami, jednak najważniejsze pozostawały nadal intuicja i umiejętności dowódców. Szczególnie przy tak nierównych siłach.

Na początku lipca doszło do teatralnego zgoła epizodu, który zwiększył wszakże szanse obrońców. Chrześcijańscy wartownicy dostrzegli tureckiego oficera machającego do nich energicznie z drugiego brzegu. Osmańscy obserwatorzy też go zauważyli i posłali zaraz patrole, aby go pojmać. Mężczyzna wskoczył do Wielkiej Zatoki, ale zaczął się topić, młócąc bezładnie rękami. Wyciągnęli go dopiero maltańscy pływacy, którzy mimo ognia muszkietów ruszyli wpław z Senglei. Godzinę później dezerterski stanął przed wielkim mistrzem. Przedstawił się jako Grek, wszelako nie był byle jakim Grekiem. Nazywał się Laskarys i pochodził z rodziny spokrewnionej z Komnenami, która panowała w Cesarstwie Nicejskim, po roku 1204 uznającym się za spadkobiercę cesarstwa bizantyjskiego. Ucieczka tak znamienitego oficera podniosła rycerzy na duchu i pozwoliła im poznać wiele sekretów przeciwnika.

Głównym celem ataku miała być zachodnia strona Senglei, z dala od Zatoki Galer i olbrzymiego fortu Świętego Anioła na Birgu. De la Valette natychmiast kazał zbudować wzdłuż zachodniego brzegu półwyspu na wpół skrytą pod wodą palisadę z umocowanymi doń żelaznymi obręczami, hakami i wielkimi rejami wy-

montowanymi z galer zakonu. Zapora miała powstrzymać przeciwnika przed dopłynięciem na tyle blisko murów, aby można było przystawić do nich drabiny. Nocą Osmanowie wysłali swoich najlepszych pływaków, aby zdemontowali zaporę. Na nich z kolei czekali już Maltańczycy, niewysocy i uzbrojeni w noże mężczyźni, którzy znali głębiny swojej zatoki na pamięć. Ciemne wody poczerwieniały od krwi, palisada pozostała na miejscu.

Jednak osmański dowódca, Lala Mustafa Pasza, nie mógł już dłużej odkładać ataku. Dowodzeni przez zięcia Draguta, byłego dominikanina, który został renegatem, Algierczycy, Marokańczycy i Libijczycy palili się do szturm na znienawidzonych wrogów i chcieli pokazać regularnym tureckim żołnierzom, jak się walczy. Nie rozumieli, jak można było zmarnować cały miesiąc na zdobywanie niewielkiego w sumie fortu Świętego Elma. Świtem 15 lipca wybuchła wielka nawała artyleryjska, po której doszło wreszcie do ataku. Od zachodu zbliżyła się do półwyspu flotylla jednostek, które wcześniej kotwiczyły w głębi zatoki. Berberyjscy i osmańscy oficerowie pojawili się przy tej okazji w pełnym rynsztunku. Jak napisał naoczny świadek tych wydarzeń, który przebywał na Senglei: „Nawet niżsi stopniem włożyli szkarłatne szaty, wielu zaś było odzianych w złotogłów oraz srebrzysty i karmazynowy adamaszek. Uzbrojeni byli w dobre muszkiety z Fezu i zakrzywione szable Aleksandryjskiej i damasceńskiej roboty. Mieli też wspaniałe łuki i wszyscy nosili przepyszne turbany”. Pełen podziwu żołnierz, Hiszpan, któ-

rego pamiętnik jest najbogatszym źródłem wiedzy na temat oblężenia, dodaje wszakże: „Przedstawiali sobą wspaniały widok i byliby niemal piękni, gdyby nie byli tak niebezpieczni”. Na lądzie było podobnie. Ze wzgórz schodziły ku Senglei równie dekoracyjne oddziały Algierczyków.

Walka ciągnęła się niemal przez cały poranek. Mimo wielkich wysiłków Maltańczyków zdesperowani Afrykanie zdołali przebić się przez palisadę i wspiąć na mury, gdzie doszło do zązartej walki wręcz. U podstawy półwyspu obrońcy zarzucili Algierczyków płoną-cymi drewnianymi obręczami, podpalając ich bogate mundury. Pośrodku całego pandemonium doszło nagle do potężnej eksplozji - to wyleciała w powietrze prochownia fortu Senglea, wybijając przy tym sporą dziurę w umocnieniach. Co gorsza, doszło przy tej okazji do wybuchu paniki. Obrońcy zaczęli się cofać. Widząc, co się dzieje, de la Valette wysłał na półwysep trzymanyh w odwodzie rycerzy. Przebiegli po moście pontono-wym i włączyli się do walki. Niewiele brakowało do klęski, ale udało im się utrzymać półwysep. Tyle że za-raz potem Lala Mustafa zagrał asem.

Gdy spojrzenia wszystkich skierowane były na blanki, do Zatoki Galer weszło dziesięć okrętów, każdy z setką janczarów na pokładzie. Nie zamierzali forso-wać przegrody, mieli wylądować u stóp murów Senglei i zaskoczyć obrońców od tyłu. Był ich cały tysiąc i na-leżeli do elitarnych oddziałów osmańskiej armii. Lala Mustafa nie wierzył, aby cokolwiek mogło ich po-

wstrzymać. Plan powiódłby się najpewniej, gdyby nie jeden drobiazg.

W maju, tuż przed przybyciem tureckiej armii, wielki mistrz kazał rozmieścić poniżej fortu Świętego Anioła dodatkowe działa. Wycelowana w Sengleę bateria została zamaskowana. Jej zadaniem było przeciwdziałanie ewentualnym próbom zniszczenia łańcucha rozpiętego między oboma półwyspami. Osmańscy dowódcy mieli dość oleju w głowie, aby nie próbować podobnej sztuczki, więc działa nie odezwały się wcześniej ani razu i nic nie zdradziło ich pozycji. Dziesięć tureckich jednostek weszło im wprost pod lufy. Obsługa baterii ujrzała kołyszące się ciężko niczym tłuste kaczki kadłuby i zapchane wojskiem pokłady. Odwrócone rufami do dział jednostki odległe były ledwie o sto metrów. Padł szeptem wydany rozkaz i armaty plunęły ogniem. Ośmiuset janczarów zginęło na miejscu, dziewięć statków poszło na dno. Wody wkoło Senglei wypełniły się masą zakrwawionych ciał. Ten dzień należał do obrońców. Zginęło ich wprawdzie aż 250, jednak atakujący stracili 3 tysiące ludzi. Wściekły Lala Mustafa nakazał ostrzał ze wszystkich dział. Spadające na półwyspy żelazo dało przedsmak kolejnego szturmu.

Pertraktacje nie wchodziły w grę, a tym bardziej nikt nie myślał o rezygnacji z dalszej walki. Turcy wysłali na Birgu starego greckiego niewolnika, aby przekazał obrońcom ultimatum Lali Mustafy. De la Valette kazał zawiązać posłańcowi oczy i zaprowadzić go na skraj murów. Tam zdjęto mu opaskę, a nieszczęsny

człowiek popuścił zaraz ze strachu. Usatysfakcjonowany de la Valette powiedział mu, że ta przepaść w dole wypełni się niebawem ciałami żołnierzy jego panów.

Determinacja obrońców była poniekąd wymuszona. Gdyby Turcy opanowali Maltę, mogliby ją wykorzystać jako bazę do późniejszego podboju Sycylii i dalej Italii. Z kolei odparcie Osmanów oznaczałoby przełamanie otaczającej ich aury niezwycięzonych. Dałoby też wiecznie skłóconym europejskim chrześcijanom motywację do wspólnego przeciwstawienia się muzułmańskiemu zagrożeniu. Żadna ze stron nie zwracała uwagi na fakt, że świat przestał już przywiązywać wielką wagę do podziałów religijnych i przyszłość cywilizacji wiązała się z szerokimi przestworami Atlantyku. Oraz że ich władcy dawno już dogadali się co do podziału bogactw i zasięgu swoich wpływów. Jedy- nym, co naprawdę mogła zmienić ta bitwa, była religij- na geografia krain otaczających *mare nostrum*. O tym jednak obrońcy najwyraźniej też nie wiedzieli. Morze Śródziemne miało się stać sceną wielu jeszcze zmagañ, pozbawionych wszakże już religijnego kontekstu. Dra- mat na Birgu i Senglei, ostatni akt dziejów odchodzą- cego świata, był w gruncie rzeczy melodramatem.

Lipiec przeszedł w sierpień, a piekielny ostrzał nie ustawał. Lala Mustafa przemieścił baterie bliżej półwy- spów, aby skuteczniej burzyć fortyfikacje. De la Valet- te wysłał na ulice Birgu niewolników, kazać im budo- wać barykady, na wypadek gdyby nieprzyjaciel wdarł się do miasta. Pracujący ginęli całymi setkami od ostrzału, który na początku sierpnia trwał nieprzerwa-

nie sześć dni i nocy. Czegoś takiego jeszcze tu nie widziano. W odległych o 150 kilometrów Syrakuzach na wybrzeżu Sycylii gorące letnie dni pobrzmiwały echem dalekiej kanonady, dziwnym gromem dobiegającym z bezchmurnego nieba.

Sprawiał on, że Sycylijczycy każdego dnia myśleli o Malcie. Obrońcy Malty też myśleli codziennie o Sycylii, ale z całkiem innego powodu: wypatrywali stamtąd ratunku. Potężny habsburski wicekról Sycylii od początku oblężenia powtarzał niezmiennie, że wyśle na wyspę posiłki, jednak podobnie jak łacinnicy w 1453 roku, zdawał się z tym mieć same problemy. Przybycie silnej armii z północy jeszcze bardziej skomplikowałoby Turkom przedsięwzięcie, które po paru miesiącach walk nie wyglądało już wcale tak różowo.

Upływ czasu stał się w końcu problemem także dla wicekróla Sycylii. W miarę jak wieści o heroicznej obronie rozchodziły się po Europie, Malta stawała się *cause celebre* (słynną sprawą) chrześcijańskiego świata. Nawet Elżbieta, protestancka królowa Anglii, zwróciła uwagę na katolicką batalię, pisząc: „Jeśli Turcy zwyciężą na Malcie, trudno powiedzieć, czym jeszcze zagrożą chrześcijaństwu”. Przedstawiciel Habsburgów czuł, że trzeba by nareszcie coś zrobić, ciągle jednak męczył go ten sam dylemat: czy osłabiać obronę Sycylii i wysłać wojsko na południe, gdzie czeka je niepewny los, czy trzymać armię pod bokiem, gotową do odparcia najazdu na jego wyspę. Oczywiście wolałby stracić Malte niż Sycylię i mimo coraz silniejszych nacisków zwlekał z podjęciem jakiejkolwiek akcji.

7 sierpnia odległa kanonada nagle ustała i mieszkańcy Sycylii nabrali przekonania, że Malta padła.

Dla obrońców Birgu i Senglei cisza mogła znaczyć tylko jedno. Gdy wyszli na zasłane gruzem ulice i wspięli się na mury, przez dymy zasnuwające całe miasto ujrzeli tysięczne wojsko atakujące ich pozycje. Lala Mustafa nakazał jednoczesny szturm ze wszystkich stron. Na Birgu udało się zrobić wyłom w murze bastionu znanego jak Posterunek Kastylijski. Turcy włali się do środka. Przy podstawie Senglei wdarli się na mury. Obrońcy nie mieli już żadnych rezerw, które mogliby przerzucić po moście pontonowym - oba półwyspy były jednakowo oblegane. Liczący siedemdziesiąt lat Lala Mustafa też wyciągnął miecz i poprowadził atak janczarów na Sengleę. Przytłoczeni szturmem rycerze maltańscy cofali się krok po kroku. Z Birgu, które jeszcze się trzymało, widać było sztandary Osmanów postępujących coraz dalej w głąb sąsiedniego półwyspu. Wydawało się, że jeszcze chwila, a będzie po wszystkim.

I nagle tureccy trębacze dali sygnał do odwrotu. Zdumiony Lala Mustafa zamarł w miejscu, to samo uczynili jego ludzie. Po chwili dotarli doń posłańcy z przerażającą wieścią, że na wyspie wylądowały nowe oddziały chrześcijańskie i pustoszą właśnie odległy o kilka kilometrów obóz armii osmańskiej. Zakrwawieni rycerze byli nie mniej zdumieni, widząc, jak przeciwnik, który był już o włos od zwycięstwa, zbiera szyki i wycofuje się z Senglei. Atak dobiegł końca.

Obawiając się najgorszego, Lala Mustafa wysłał zwiadowców na poszukiwanie sycylijskich sił ekspedycyjnych. Patrole obeszczy całą wyspę, nie znajdując żołnierzy Habsburga. Niczego nie znaleziono, poza znanymi, spalonymi przez słońce skałami. Ale obóz faktycznie był zrujnowany. Wszędzie poniewierały się ciała martwych żołnierzy z polowych lazaretów. Ktoś wymordował nawet kucharzy.

Gdy Mustafa rozwiązał wreszcie tę zagadkę, przysięgł zabić wszystkich rycerzy zakonnych. Nagły koniec ostrzału został odnotowany nie tylko na Sycylii, ale również w małym mieście Mdina pośrodku Malty. Wojna tam nie dotarła i skromny garnizon złożony z grupki rycerzy oraz podległych im zbrojnych nie wziął dotąd udziału w walkach. Długotrwała kanonada i zapadła po niej cisza sugerowała, że doszło do ataku, który najpewniej ogołocił obóz przeciwnika ze straży. Wysłany poza mury oddział jazdy nie napotkał ani śladu Turków, chociaż ostatnio okolica się od nich roiła. Bez przeszkód dotarł do całkiem bezbronного obozu, w którym zostali tylko ranni i chorzy. Rycerze z Mdiny wymordowali ich wszystkich, wcześniej powiedziawszy tym, którzy mogli chodzić (i którym pozwolono uciec), że oto zjawiała się na wyspie przednia straż wielkiej sycylijskiej armii. Zanim Lala Mustafa wrócił z pola walki, wszyscy chrześcijanie zniknęli. Ich podstęp uratował Sengleę.

Szaleństwo trwało dalej. Lala Mustafa nie przejmował się już Sengleą. Skupił się na zdobyciu Birgu, gdzie biło serce strasznego zakonu. Zbudowano wielką



wieżę oblężniczą, obłożono ją zlewany wodą skórami i całość podtoczono w pobliże murów Posterunku Kastylijskiego. Usadowieni na szczycie konstrukcji żołnierze zaczęli ostrzeliwać obrońców płonącymi strzałami i obrzucać bombami zapalającymi. De la Valette przewidział jednak podobną sytuację. Na murach ustawiono w regularnych odstępach wielkie kadzie ze słoną wodą, w której żołnierze mogli błyskawicznie gasić płonące ubrania i wracać do walki. Znalazł nawet sposób na groźną machinę oblężniczą: kolejną ukrytą baterię dział, o których Turcy nie wiedzieli. Gdy wieża była już blisko, odsunięto kamienne bloki maskujące broń i cały grad siekańców tak mocno nadwyrężył konstrukcję, że załamana runęła do fosy.

Lala Mustafa minował, de la Valette stosował kontrminowanie. Lala Mustafa ścinał jeńców na oczach obrońców, de la Valette wieszał pojmanych na blakach. Lala Mustafa zamarkował atak na Sengleę, po czym uderzył niespodziewanie na zewnętrzne i wewnętrzne mury Posterunku Kastylijskiego. Turcy ogarnęli fortyfikację. Teraz przyszła pora na de la Valette'a. Chociaż miał już siedemdziesiąt jeden lat, osobiście wbiegł do ogarniętego paniką miasta i zmusił ludzi do zawrócenia. Miejscowi cywile zaczęli obrzucać przeciwników kamieniami, ciskali na nich z dachów płonące pochodnie i żelazne obręcze. Birgu zostało uratowane.

Ostrzał artylerii nie ustawał już ani na chwilę. W szpitalu brakowało miejsc. Każdy kto mógł chodzić, był uznawany za zdrowego. Żołnierze trwali na blan-

kach, małe dzieci przynosiły im gąbki nasączone winem. Kobiety dostarczały amunicję z ostatnich zapasów. W tureckim obozie zbierała swe żniwo dyzenteria. Nadeszła też wiadomość o przechwyceniu przez chrześcijan statków z zaopatrzeniem dla wojska. Lala Mustafa dowiedział się, że prowiantu starczy mu tylko na trzy tygodnie.

Tymczasem starsi dowódcy de la Valette'a naciskali, aby wycofać wszystkich, w tym także kobiety i dzieci, do fortu Świętego Anioła na samym krańcu półwyspu Birgu. Przekonywali, że Senglea długo się już nie utrzyma, podobnie jak miasto Birgu. Forteca będzie ich jedyną szansą. De la Valette sprzeciwił im się: lepiej zająć Turków jak największą liczbą celów, nawet jeśli będzie to oznaczać wyższe straty. Ustąpić choć o stopę oznaczało przegrać bitwę. Przeciwnik nie mógł wiedzieć, jak rozpaczliwa była naprawdę sytuacja obrońców.

20 sierpnia osiem tysięcy osmańskich żołnierzy zgłosiło się na ochotnika, by zdobyć Birgu albo zginąć. Większość wywiązała się tylko z drugiego przyrzeczenia, ogień obrońców bowiem nie osłabł ani trochę, nawet jeśli stanowiska strzeleckie zmieniły się w sterty gruzów. Atak załamał się. Morale tureckiej armii było jeszcze gorsze niż fizyczna kondycja obrońców. Obie strony odczuwały już skrajne zmęczenie.

De la Valette jako jedyny znał treść informacji, którą zdołał przekazać mu tydzień wcześniej wicekról Sycylii. Była to obietnica przysłania armii szesnastu tysięcy żołnierzy. Wielki mistrz miał dość rozumu, aby

nie dzielić się z nikim tą wieścią ani samemu zbytnio w nią nie wierzyć. Kiedy jednak na początku września Turcy wznowili ostrzał i kolejny ich atak załamał się w ogniu obrońców, słowo stało się ciałem. W pobliżu wyspy pojawiła się linia bojowa habsburskich okrętów, które oddały trzykrotny salut. Turecki admirał wiedział, co to oznacza, i nie podjął pościgu.

Turcy odstąpili od oblężenia Malty 6 września 1565 roku. Lala Mustafa Pasza i jego ludzie musieli wywalczyć sobie przejście na północną stronę wyspy. Sam dowódca pozostał na brzegu niemal do końca, dowodząc walką z sycylijskimi grasantami, którzy wjeżdżali nawet do wody, aby przeszkodzić w wycofywaniu się wyczerpanych oddziałów. Lala Mustafa zdołał jednak ocalić to, co pozostało jeszcze z potężnej armii. 8 września jego flota podniosła wreszcie kotwice, wypłynęła z zatoki, w której miał podobno wylądować święty Paweł, i wzięła kurs na Kostantyniye. Muzułmańska armada nie zdołała pokonać zakonu fanatycznych korsarzy, którzy mieli się za krzyżowców. Pewna epoka dobiegła niemal końca. W 1565 roku de la Valette miał siedemdziesiąt jeden lat, Lala Mustafa siedemdziesiąt. Dragut zginął w wieku osiemdziesięciu lat. Sulejman Wspaniały liczył lat siedemdziesiąt jeden i został mu już tylko rok życia. Wierni do końca własnej wierze starzy wojownicy zamknęli historię swego świata w sposób najkrwawszy z możliwych.

Birgu nosi obecnie nazwę Vittoriosa, co nie powinno chyba nikogo dziwić. Jest sennym miasteczkiem z zakurzonymi ulicami i nijak nie przypomina pełnej

blasku i rozreklamowanej Valletty wzniesionej po drugiej stronie zatoki. Senglea uległa industrializacji. Pełno tu dokerów i innych robotników portowych. Po zachodniej stronie półwyspu, gdzie znajdowała się kiedyś palisada, dominuje wielka stocznia, w której leczą się chyba wszystkie niedomagające trampy i promy samochodowe z obszaru Morza Śródziemnego. Na rufie jednej z cumujących tam, przerdzewiałych ze szczętem łajb, dał się dojrzeć napis STAMBUŁ. Powyżej widniała też nazwa statku: DRAGUT.

W Zatoce Galer, obecnie Zatoce Stoczniowej, króluje jachtklub i marina. Obok ktoś buduje kasyno. Spacerując po uliczkach Birgu, można trafić na dawne siedziby różnych prowincji zakonu. Obecnie pełnią funkcję muzeów albo rezydencji milionerów. Różnią się od wielkich, barokowych posiadłości Valletty, która wyrosła w siedemnastym i osiemnastym wieku, kiedy wyspa bogaciła się jako największy rynek niewolniczy Europy. W Birgu, które po odparciu ataku zostało praktycznie zapomniane, budowano skromniej, bardziej w stylu tego, co zakon postawił na wyspie przez kilkadziesiąt pierwszych lat piractwa. Gdy pójść w kierunku podstawy półwyspu, ujrzy się odbudowany starannie Posterunek Kastylijski oraz inne fortyfikacje - dumnie zwane kawalierami - oddzielające nadal Birgu od reszty wyspy.

Przy całym przepychu zabudowy, która dominuje wkoło Wielkiej Zatoki, tutaj można poczuć, że jesteśmy na środku Morza Śródziemnego. Nasze morze - *mare nostrum* - otacza nas ze wszystkich stron. Dla hi-

storii udana obrona Malty oznaczała powstrzymanie tureckiego najazdu na Europę. Było to wydarzenie równie doniosłe, jak zdobycie Rzymu przez Alaryka czy Bagdadu przez Mongołów. Sześć lat po tureckiej porażce zjednoczone floty chwiejącego się chrześcijaństwa pokonały Osmanów pod Lepanto, znów w pobliżu miejsca, gdzie zakończyły się dzieje Marka Antoniusza i Kleopatry. Zażarci rywale, Habsburgowie i Wenecjanie, połączyli się na krótką chwilę, aby zadać miażdżący cios tureckiej flocie. Związek ten został nazwany ze śmiertelną powagą Świętą Ligą - bitwa zaś zapadła w świadomość Europejczyków jako równa zwycięstwu pod Poitiers. Jednak żadną miarą nie doszłoby do tego, gdyby nie Malta. Oblężenie tej wyspy oznaczało kres tureckiej supremacji na Morzu Śródziemnym. Lepanto - nieśmiały początek tych wojen morskich, w których decydowało się o przyszłych dochodach z piractwa i handlu niewolnikami. Dla tych zaś, którzy patrzą szerzej, Lepanto jest ważne o tyle, że przeżył tę bitwę jeden z najważniejszych jej uczestników - Cervantes - chociaż niewiele brakowało, aby rozstał się wówczas z tym światem.

Jest coś lekko szalonego w spacerach brzegami Birgu w sierpniowe południe. Tak jak śpiewał przed laty Noel Coward: „Na to słońce wychodzą tylko wściekłe psy i Anglicy”. Senny upał to chyba jedyna stała rzecz na tym morzu zmian. Zmian osobliwych, bo doceniając wagę wszystkich dawnych i współczesnych niepokojów targających Palestyną i Jerozolimą, można dostrzec, że głównymi ośrodkami fermentu w basenie

Morza Śródziemnego były kraje, które obecnie zwiemy Turcją i Hiszpanią. Od wczesnych dni Konstantynopola i klęsk nad Jarmukiem oraz pod Manzikertem, do porażek iberyjskich muzułmanów pod Poitiers i Las Navas de Tolosa, decydujące znaczenie miały przemiany zachodzące na dwóch przeciwległych krańcach tego świata. To może zastanawiać. Oczywiście sporo działo się też poza nimi, wszędzie bitwy przeplatały się z długimi okresami wyznaniowej tolerancji, jednak największymi graczami byli wyznawcy religii symbolizowanych przez Mezkitę i Aja Sofia. To oni stanowili o śródziemnomorskich wartościach po upadku kultury antyku.

Warto sobie to uświadomić na drodze do odfałszowywania popularnego obrazu średniowiecza. Co jeszcze ciekawsze, te dwa kraje - Hiszpania i Turcja - wykazują obecnie największą aktywność, jeśli chodzi o próbę rzetelnego wniknięcia w to, co część świata opatrzyła po prostu hasłami „chrześcijanie” i „muzułmanie”.

A jednak ostatnia bitwa rozegrała się dokładnie pośrodku, na Malcie, która nadal spływa potem w bezruchu afrykańskiego powietrza, podczas gdy dzwony tuzina niewidocznych kościołów biją na Anioł Pański. Wielki granitowy masyw fortu Świętego Anioła faluje przed oczami, widać jednak zwieszającą się martwo z braku wiatru flagę z ośmioramiennym krzyżem. W zacienionych zakątkach zaparkowały ciężarówki, ich kierowcy drzemią w kabinach. Bliżej środka Birgu, na placu, gdzie zaparkować może najwyżej dziesięć samo-

chodów albo tyleż koni, jakieś niedobitki z brytyjskiego okresu kolonialnego zachwalają na nieocienionych tarasach lunch składający się z tradycyjnych kiełbasek podawanych na pacynie tłuczonych kartofli. Gdzie indziej można dojrzeć dyskretnie pochowane kościoły i kaplice. Można zapukać, wejść do środka. W oratorium świętego Józefa panuje miły, przynoszący ulgę chłód. W szklanej gablocie spoczywa na czerwonej materii miecz, który należał niegdyś do Jeana Parisota de la Valette'a. Obok znajduje się jego wytarty filcowy kapelusz - czarny, z prostym, szerokim rondem. Tkwi tam niczym dowód, że nawet najświętsi wojownicy muszą pewnego dnia przejść na emeryturę.

# EPILOG

Fale średniowiecznego morza wiary rozbijały się z największym hukiem na brzegach Anatolii i Iberii, jednak jego wody nigdzie naprawdę nie były spokojne. Niewiele tu było miejsc, gdzie nie rozlegała się bitewna wrzawa, niewielu miało szansę żyć tutaj długo w pokoju, dbając o swoje dobra. Z czasem islam i chrześcijaństwo nauczyły się pewnej łagodności, nie można jednak zapomnieć, jak wiele zła wyrządzono w ich imieniu ani jak zażarta była kiedyś ich rywalizacja. Dwoistość tego dziedzictwa może być trudna do przyjęcia, rzuca bowiem cień na jasne chwile wzajemnego zrozumienia i tolerancji, które także się przecież zdarzały. Owszem, templariusze i ubrani na biało janczarowie głośniej zapisali się w historii niż mozarabscy skrybowie czy kairsy kupcy, ale wszyscy oni zasługują na miejsce w naszej zbiorowej pamięci. Być może Kordoba oraz Palermo, ojczyzny *convivencia*, staną się kiedyś dla nas równie ważne jak krwawe krucjaty czy Poitiers, i zrozumimy wówczas, jak ważna była w średniowieczu żywa i pokojowa dyskusja między islamem a chrześcijaństwem.

Chociaż może jednak nie, albowiem niektóre konflikty zdają się skazać naszą pamięć aż nazbyt trwale. Ślady takich postaw można zapewne odnaleźć w europejskich obawach wobec kandydowania Turcji do członkostwa we Unii Europejskiej. Można usłyszeć tu nawet dalekie echa konfesyjnego niepokoju, czy nie grozi Europie, przez niektórych nadal określanej jako



„chrześcijańska”, inwazja obecnego w Anatolii islamu. Wprawdzie świeccy mieszkańcy współczesnej Europy odrzucają otwarcie podobne anachronizmy, ale nie zaprzeczają, że zdarzają im się jeszcze atawistyczne odruchy. W zetknięciu z niewiadomym nawet późne dzieci oświecenia mogą kojarzyć się czasem z żeglarzami dawnego morza wiary. Współczesny nacjonalizm pokazał niedawno na Bałkanach, do jakich zbrodni może doprowadzić dołączenie doń wątków religijnych. Jeśli geografia wyznaniowa znowu stanie się przedmiotem dyskusji, to ta książka, w zamierzeniu mająca przypominać o sprawach, które chyba są nie dość obecne w naszej zbiorowej pamięci, stanie się pierwszym głosem nawołującym do działania. Nie tylko w basenie Morza Śródziemnego, ale na całym świecie. Dla ludzi pragnących rozpałcić nienawiść religia - przy całym pocieszeniu, jakie daje - zawsze pozostanie przede wszystkim odbezpieczonym granatem.

Nigdzie przeszłość i teraźniejszość nie przeplatają się żywiej i bardziej dobitnie niż we współczesnej Jerozolimie. Nietrudno to zrozumieć, wzięwszy pod uwagę wszystkie historie, które zdarzyły się właśnie tutaj, a nie są akurat tematem tej książki. Na jednym z tych wzgórz doszło do zmartwychwstania; z innego ktoś wjechał na koniu do nieba i stamtąd wrócił; tutaj stała kiedyś świątynia kryjąca to, przez co Bóg komunikował się z człowiekiem. Za Górą Oliwną rozciągają się niezwykle zupełnie pustkowia Judei, naturalna dekoracja do najfantastyczniejszych opowieści, a ich układanie ćwiczą tu z zapalem od wieków. O ile to starożytne

Ateny, a potem Rzym zrodziły ideę *mare nostrum* - o tyle właśnie w Jerozolimie - nie w Damaszku ani Konstantynopolu - wypowiedziano na głos i określono dominujące znaczenie morza wiary.

Można powiedzieć, że wielkie stare miasto prowokuje do jeszcze jednej refleksji. Wprawdzie średnio-wieczna Jerozolima była przez długi czas sceną gwałtownych konfliktów, jednak w czasach imperium osmańskiego popadła w prowincjonalne odrętwienie. Więcej sporów zdarzało się wówczas w obrębie religii niż pomiędzy nimi, czego dowodzi wspaniała, ale i eklektyczna Bazylika Grobu Pańskiego. Był to czas, gdy również Jerozolimę ogarnęła *convivencia* i mieszkańcy stolicy monoteizmu czcili spokojnie swego Boga na wiele sposobów.

Dzisiaj niewiele zostało z tej atmosfery. Podchodząc do Ściany Płaczu albo Kopyły na Skale, można poczuć się jak na lotnisku, tyle po drodze jest bramek i ludzi z wykrywaczami metalu. Obecna napięta atmosfera mogłaby równie dobrze pochodzić z jakichś innych niespokojnych czasów między Jarmukiem a Malcią. Rany są jeszcze świeże, zmiany nieutrwalone, granice nadal niestałe. Można sobie tylko życzyć - choć jest to raczej pobożne życzenie - że któregoś dnia współczesna Jerozolima pogodzi się ze swą burzliwą historią i zapamiętuje w niej nową *convivencia*. Owszem, istnieją enklawy, i to nie tylko w Jerozolimie, gdzie archaiczny język krucjat i dżihadu traktowany jest nadal z całą powagą. Niemniej kapelusz de la Valette'a leży już sobie tylko spokojnie w maltańskiej gablocie, Saladyn nigdy nie

zjedzie ze swego cokołu w Damaszku, a na szachownicy Poitiers i na działach dawnego Konstantynopola bawią się dzieci. Chaos dawnych dziejów uległ uzdrawiającemu wpływowi czasu. Zachwycone tłumy zwiedzają Mezquitę i Aja Sofia, oddychając zapewne z ulgą, że przynajmniej w tych dwóch świątyniach dawny spór przyniósł tylko wspaniałe owoce.